

**JEFFREY ARCHER**

**TAJEMNICA AUTOPORTRETU**

**PRZEŁOŻYŁY DANUTA SĘKALSKA EWA GODYCKA**

**JEFFREY ARCHER**

**TAJEMNICA AUTOPORTRETU**

**PRZEŁOŻYŁY DANUTA SĘKALSKA EWA GODYCKA**

## Podziękowania

Oto lista osób i instytucji, którym pragnę podziękować za ich bezcenną pomoc i rady udzielane przy pisaniu tej książki: Rosie de Courcy, Mari Roberts, Simon Bainbridge, Victoria Leacock, Kelley Ragland, Mark Poltimore (dział malarstwa dziewiętnastowiecznego i dwudziestowiecznego, Sotheby), Louis van Tilborgh (kurator malarstwa, Muzeum van Gogha), Gregory De Boer, Rachel Rauchwerger (dyrektorka, Art Logistics), Fundacja Narodowych Zbiorów Sztuki, Instytut Sztuki Courtaulda, John Power, Jun Nagai i Terry Lenzer.

Jeffrey Archer

10 września

1

Victoria Wentworth siedziała samotnie przy stole, przy którym Wellington jadł kolację w towarzystwie swych szesnastu sztabowych oficerów w przeddzień wymarszu pod Waterloo.

Tamtego wieczoru generał sir Harry Wentworth siedział po prawicy Żelaznego Księcia i dowodził lewym skrzydłem, kiedy pokonany Napoleon zjechał z pola bitwy, by skończyć na wygnaniu. Wdzięczny monarcha obdarzył generała tytułem earla Wentworth, który rodzina z dumą piastowała od 1815 roku.

Takie myśli zaprzętały głowę Victorii, gdy czytała ponownie sprawozdanie doktor Petrescu. Przebiegłszy wzrokiem ostatnią stronę, odetchnęła z ulgą. Rozwiązanie wszystkich jej kłopotów znalazło się dosłownie za pięć dwunasta.

Drzwi pokoju jadalnego otworzyły się bezszelestnie i Andrews, który posługiwał trzem pokoleniom Wentworthów, początkowo jako młodszy lokaj, a obecnie kamerdyner, zręcznie sprzątnął talerzyk deserowy jaśnie pani.

- Dziękuję - powiedziała Victoria i dopiero gdy Andrews był przy drzwiach, dodała: - Czy wszystko przygotowane do wyeksponowania obrazu? - Nie była w stanie wymówić nazwiska malarza.

- Tak, milady - odparł Andrews, odwracając się ku swej chlebodawczyni. - Obraz zostanie odesłany, zanim pani zejdzie na śniadanie.

- A czy poczyniono przygotowania do wizyty doktor Petrescu?

- Tak, milady - powtórzył Andrews. - Spodziewamy się doktor Petrescu w środę koło południa. Już poinstruowałem kucharkę, że panie będą jadły lunch na oszklonej werandzie.

- Dziękuję ci, Andrews - rzekła Victoria.

Kamerdyner lekko się skłonił i cicho zamknął za sobą ciężkie dębowe drzwi.

Kiedy przybędzie tu doktor Petrescu, jedna z najcenniejszych pamiątek rodowych będzie w drodze do Ameryki i choć arcydzieło nigdy już nie wróci do pałacu Wentworth Hall, nikt poza najbliższą rodziną nie musi się o tym dowiedzieć.

Victoria złożyła serwetkę i wstała od stołu. Zabrała sprawozdanie Petrescu i opuściła jadalnię. Stukot jej obcasów odbijał się echem w marmurowym holu. Przystanąła u stóp schodów, podziwiając portret pędzla Gainsborough przedstawiający całą postać Catherine, lady Wentworth, w długiej sukni z jedwabiu i tafty, z naszyjnikami z brylantów i w dobranych kolczykach. Victoria dotknęła swego ucha i uśmiechnęła się na myśl, że w tamtych czasach noszenie tak kosztownych błyskotek uważano zapewne za rzecz nader śmiałą.

Patrzyła prosto przed siebie, idąc szerokimi, marmurowymi schodami do swojej sypialni na pierwszym piętrze. Nie miała odwagi, by spojrzeć w oczy przodków, których uwiecznili Romney, Lawrence, Reynolds, Lely i Kneller, gdyż zdawała sobie sprawę, że ich wszystkich zawiodła. Pogodziła się z myślą, że zanim się położy spać, napisze wreszcie do siostry i powiadomi ją o

decyzji, jaką podjęła.

Arabella jest taka mądra, taka rozsądna. Gdyby ta jej ukochana siostra bliźniaczka urodziła się kilka minut wcześniej, a nie później, wtedy odziedziczyłaby majątek i niewątpliwie poradziłaby sobie z sytuacją z o wiele większym polotem. Co gorsza, kiedy Arabella dowie się o wszystkim, nie będzie ani narzekać, ani protestować, lecz po prostu, zgodnie z rodzinną tradycją, nie okaże żadnych emocji.

Victoria zamknęła drzwi sypialni, przemierzyła pokój i położyła na biurku raport doktor Petrescu. Rozwiązała kok, rozpuszczając włosy. Przez kilka minut szciotkowała je, po czym rozebrała się i włożyła jedwabną koszulę nocną, którą pokojówka przygotowała na łóżku. Na koniec wsunęła stopy w nocne pantofle. Nie mogła dłużej zwlekać, więc usiadła przy biurku i sięgnęła po wieczne pióro.

Wentworth Hall

001

Najdroższa Arabello!

Odkładałam napisanie tego listu tak długo, bo chciałam Ci zaoszczędzić przykrej wiadomości.

Kiedy umarł nasz drogi papa, a ja odziedziczyłam posiadłość, dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, w jak wielkie popadł długi. Obawiam się, że mój brak doświadczenia w interesach, połączony z rujnującym podatkiem spadkowym, tylko zaostrzył problem.

Myślałam, że rozwiązaniem będą dalsze pożyczki, ale to jeszcze pogorszyło sytuację. W pewnym momencie nawet się bałam, że z powodu mojej naiwności trzeba będzie sprzedać naszą rodzową posiadłość. Jednak z radością Cię informuję, że znalazło się rozwiązanie.

W środę będę się widziała...

Victoria odniosła wrażenie, że słyszy, jak otwierają się drzwi sypialni. Zastanowiło ją, kto ze służących poważił się wejść do pokoju bez pukania.

Kiedy się odwróciła, aby to sprawdzić, kobieta już stała przy niej.

Victoria podniosła oczy na nieznajomą, której nigdy nie widziała. Była młoda, szczupła i jeszcze niższa od Victorii. Mile się uśmiechnęła, przez co wydała się bezbronna. Victoria odwzajemniła uśmiech, lecz wtem spostrzegła, że tamta w prawej ręce trzyma kuchenny nóż.

- Kto... - zaczęła Victoria, kiedy nieznajoma schwyciła ją za włosy i szarpnęła jej głowę do tyłu. Victoria poczuła na szyi dotyk cienkiego ostrza. Jednym cięciem noża poderżnięto jej gardło, jak owieczce skazanej na rzeź.

Na moment przed śmiercią Victorii kobieta odcięła jej lewe ucho.

11 września

2

Anna Petrescu wcisnęła guzik budzika. Na tarczy wyświetliła się piąta pięćdziesiąt sześć. Za cztery minuty obudziłyby ją wczesnoporanne wiadomości. Ale nie dziś. Całą noc jej umysł gorączkowo pracował i tylko od czasu do czasu zapadała w krótki sen. Kiedy się w końcu obudziła, wiedziała, co musi zrobić, jeżeli szef nie zechce postąpić według jej zalecenia. Wyłączyła budzenie, by nie słuchać wiadomości, które mogłyby skierować jej myśli na inny tor, wyskoczyła z łóżka i podążyła prosto do łazienki. Stała pod zimnym prysznicem trochę dłużej niż zwykle, licząc, że dzięki temu całkiem oprzytomnieje. Jej ostatniego mężczyznę - kiedy to było? - śmieszyło, że zawsze bierze

prysznic przed porannym biegiem.

Anna się wytarła i włożyła białą trykotową koszulkę i niebieskie szorty. Chociaż słońce jeszcze nie weszło, nie potrzebowała rozsuwać zasłon w swojej małej sypialni, by się przekonać, że zapowiada się kolejny bezchmurny, słoneczny dzień. Zasuwała zamek bluzy dresowej, na której wciąż był widoczny wyblakły znak „P” w miejscu, skąd odpruła tę grubą niebieską literę. Anna nie chciała obwieszczać światu, że kiedyś należała do drużyny lekkoatletycznej Uniwersytetu Stanu Pensylwania. W końcu to było dziewięć lat temu. Włożyła jeszcze pantofle do biegania i mocno związała sznurówki. Irytowało ją, kiedy musiała przystawać w połowie biegu i zawiązywać je na nowo. Na koniec zawiesiła sobie na szyi srebrny łańcuszek z kluczem od frontowych drzwi.

Dokładnie zamknęła swoje czteropokojowe mieszkanie, przemierzyła korytarz i nacisnęła guzik windy.

Czekając, aż niewielka kabina z ociąganiem podjedzie na dziesiąte piętro, zaczęła wykonywać serię ćwiczeń rozciągających mięśnie, którą zakończy, nim zjedzie na parter.

Wysiadła w holu i uśmiechnęła się do swojego ulubionego portiera, który prędko otworzył drzwi żeby się nie musiała zatrzymywać.

- Dzień dobry, Sam - rzuciła, wybiegając z Thornton House na Pięćdziesiątą Czwartą Wschodnią Ulicę i kierując się w stronę Central Parku.

Co rano przebiegała Południową Pętlę. W weekendy porywała się na dłuższą, sześciomilową pętlę, ale wtedy nie liczyło się, czy się kilka minut spóźni. Dziś to miało znaczenie.

Bryce Fenston też wstał tego ranka przed szóstą, bo również miał spotkanie o wczesnej porze. Stojąc pod prysznicem, słuchał porannych wiadomości: informacja o samobójcy, który wysadził się na Zachodnim Brzegu - wydarzenie równie powszednie jak prognoza pogody czy ostatnie wahania kursów walutowych - nie skłoniła go do tego, żeby zwiększyć głośność.

- Kolejny bezchmurny, słoneczny dzień, powieje lekki wietrzyk w kierunku południowo-wschodnim, najwyższa temperatura 77, najniższa 65 stopni Fahrenheita - radosnym głosem zapowiadała pogodę dziewczyna, kiedy Fenston wychodził spod prysznicza. Po chwili poważnie brzmiący głos poinformował, że indeks wartości akcji Nikkei w Tokio skoczył o czternaście punktów w górę, a indeks Hang Seng w Hongkongu spadł o jeden punkt. Londyński FTSE na razie nie ujawnił, czy pójdzie do góry, czy w dół. Fenston uważał, że akcje jego banku nie wzrosną nagle ani nie spadną, gdyż poza nim tylko jeszcze dwie osoby wiedziały o jego małym wyczynie. Z jedną z nich jest umówiony o siódmej na śniadanie, a drugą o ósmej wyrzuci z pracy.

O szóstej czterdzieści Fenston był już wykąpany i ubrany. Przejrzał się w lustrze; wołałby być trochę wyższy i nieco szczuplejszy. Drobne braki - łatwe do skorygowania dzięki ubraniom uszytym przez dobrego krawca i pantoflom na podwyższonych obcasach ze specjalnymi wkładkami. Miałby też ochotę znów zapuścić włosy, ale nie może sobie na to pozwolić teraz, kiedy jest tu tak wielu uchodźców z jego kraju, którzy mogliby go rozpoznać.

Chociaż ojciec Fenstona był konduktorem tramwajowym w Bukareszcie, każdy, kto by zobaczył nienagannie ubranego mężczyznę wychodzącego z domu o fasadzie z piaskowca przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Wschodniej Ulicy i wsiadającego do limuzyny z szoferem, uznałby, że wywodzi się on z wyższych warstw Upper East Side. Ten, kto przyjrzałby się bliżej, dostrzegłby mały brylant w lewym uchu Fenstona; ta maniera - jak sądził - wyróżnia go spośród bardziej konserwatywnych kolegów. Nikt z personelu nie śmiał mu powiedzieć, że jest zgoła inaczej.

Fenston rozsiadł się wygodnie z tyłu limuzyny.

- Do biura - burknął, po czym wcisnął guzik na oparciu. Uniosła się przydymiona szara przeszłona, udaremniając zbędną wymianę zdań z szoferem. Fenston sięgnął po „New York Timesa” leżącego na siedzeniu obok. Przerzucił strony, by się przekonać, czy jakiś tytuł wzbudzi jego zainteresowanie. Wydawało się, że burmistrz Giuliam się pogubił. Zainstalował swoją kochankę w Gracie Mansion, co skłoniło prawowitą małżonkę do wygłaszania opinii na ten temat przed każdym, kto tylko chciał słuchać. Tego ranka był to „New York Times”. Fenston zagłębił się w ostatnie strony, gdy szofer skręcił w FDR Drive, i dotarł do nekrologów, kiedy limuzyna zatrzymała się przed Północną Wieżą. Jedyne nekrologu, który interesował Fenstona, nikt nie zamieści przed jutrzejszym dniem, a zresztą nikt w Ameryce nie wie, że ona nie żyje.

- Mam spotkanie na Wall Street o wpół do dziewiątej - poinformował Fenston szofera, gdy ten otworzył mu drzwi samochodu. -

Przyjedź po mnie piętnaście po ósmej. - Szofer skinął głową, a Fenston skierował się do holu. Wprawdzie w budynku było dziewięćdziesiąt dziewięć wind, ale tylko jedna jechała prosto do restauracji na sto siódmym piętrze.

Kiedy Fenston wyłonił się z windy minutę później - kiedyś obliczył, że spędzi tydzień życia w windach - kierownik sali spostrzegł stałego gościa, lekko skłonił głowę i zaprowadził go do stolika w rogu z widokiem na Statuę Wolności. Pewnego razu, gdy Fenston ujrzał, że jego stały stolik jest zajęty, obrócił się na pięcie i wrócił do windy. Od tej pory stolik w rogu każdego ranka był wolny - ot, na wszelki wypadek.

Fenston się nie zdziwił, że Karl Leapman na niego czeka. Leapman przez dziesięć lat pracy w Fenston Finance ani razu się nie spóźnił. Fenston był ciekaw, od jak dawna on tu tkwi, tylko po to, by mieć pewność, że prezes nie przyjdzie wcześniej. Spojrzał na człowieka, który wielokrotnie dowiódł, że nie ma tak brudnej sprawy, której by się nie podjął dla swojego pana. Ale Fenston był jedynym człowiekiem, który zaoferował Leapmanowi pracę, kiedy ten wyszedł z więzienia. Prawnicy wykluczeni z adwokatury z wyrokiem za oszustwo nie spodziewają się, że jakaś kancelaria przyjmie ich na wspólnika.

Fenston zaczął mówić, nim usiadł:

- Teraz, gdy van Gogh jest nasz, mamy tylko jedno do omówienia.

Jak się pozbyć Anny Petrescu, nie budząc jej podejrzeń?

Leapman otworzył leżącą przed nim teczkę i uśmiechnął się.

3

Tego ranka nic nie szło zgodnie z planem.

Andrews powiedział kucharce, że zanieś jaśnie pani tacę ze śniadaniem zaraz po odesłaniu obrazu. Kucharka dostała migreny, więc przygotowanie śniadania powierzono jej niesumiennej pomocnicy. Specjalny furgon zjawił się z czterdziestominutowym opóźnieniem, a bezczelny młody kierowca oznajmił, że nie odjedzie, jeżeli nie dostanie kawy i ciasteczek. Kucharka nigdy by nie pozwoliła na takie fanaberie, ale pomocnica ustąpiła. Pół godziny później Andrews zastał ich oboje siedzących przy kuchennym stole, zajętych pogawędką.

Cóż, mógł się tylko cieszyć, że jego pani się nie obudziła przed odjazdem furgonu. Skontrolował zawartość tacy, poprawił nieumiejętnie złożoną serwetkę, opuścił kuchnię i wszedł na piętro.

Balansując tacą na jednej ręce, drugą cicho zastukał do drzwi sypialni, po czym nacisnął klamkę.

Gdy ujrzał jaśnie panią leżącą na podłodze w kałuży krwi, wydał stłumiony okrzyk, upuścił tacę i podbiegł do ciała.

Chociaż nie ulegało wątpliwości, że lady Victoria nie żyje od kilku godzin, Andrews nie miał zamiaru skontaktować się z policją, dopóki druga w kolejności dziedziczka posiadłości Wentworth nie dowie się o tragedii. Szybko wyszedł z sypialni, zamknął drzwi i pierwszy raz w życiu puścił się pędem po schodach.

Kiedy zatelefonował Andrews, Arabella Wentworth akurat kogoś obsługiwała.

Odłożyła słuchawkę i przeprosiła klienta, wyjaśniając, że musi natychmiast wyjść. Zdjęła tabliczkę z napisem „Otwarte”, wystawiła inną, z napisem „Zamknięte”, i przekreśliła w zamku klucz swojego sklepiku z antykami, gdy tylko z ust Andrews padły słowa „nagły wypadek”. Takiego wyrażenia nigdy u niego nie słyszała w ciągu czterdziestu dziewięciu lat.

Piętnaście minut później Arabella zatrzymała mini-morrisa na zwirowanym podjeździe Wentworth Hall. Andrews czekał na nią na najwyższym stopniu schodów.

- Jest mi bardzo przykro, milady. - To było wszystko, co powiedział, po czym powiódł swoją nową panią do domu, a potem szerokimi marmurowymi schodami w górę. Kiedy dotknął poręczy, by się uspokoić, Arabella pojęła, że jej siostra nie żyje.

Przedtem nieraz się zastanawiała, jak zareaguje w sytuacji kryzysowej. Doznała ulgi, gdy się okazało, że choć w pierwszej chwili na widok ciała siostry dostała konwulsyjnych torsji, to jednak nie zemdliała. Chociaż niewiele brakowało. Po chwili uchwyciła się kolumnienki łóżka, żeby odzyskać równowagę, a potem się odwróciła.

Krew rozbryznęła się wszędzie, skrzepła na dywanie, na ścianach, biureczku, nawet na suficie. Z nadludzkim wysiłkiem Arabella puściła kolumnienkę i chwiejnym krokiem podeszła do telefonu na nocnym stoliku. Opadła na łóżko, podniosła słuchawkę i wybrała numer alarmowy 999. Kiedy odebrano telefon, poprosiła o połączenie z policją.

Potem odłożyła słuchawkę. Postanowiła, że dotrze do drzwi sypialni, nie oglądając się na ciało siostry. Nie udało się. Rzuciła tylko jedno spojrzenie, ale tym razem dostrzegła list zaczynający się od słów: „Najdroższa Arabello”. Schwyciła niedokończony list nie mając ochoty dzielić się z policją ostatnimi myślami siostry. Wepchnęła kartkę do kieszeni i słaniając się, wyszła z pokoju.

4

Anna pobiegła na zachód Pięćdziesiątą Czwartą Wschodnią Ulicą, minęła Museum of Modern Art, przecięta Szóstą Aleję, po czym skręciła w prawo w Siódmą. Ledwo spojrzała na znajomy, charakterystyczny kształt ogromnej rzeźby LO wznoszącej się na rogu Pięćdziesiątej Piątej Wschodniej oraz na Carnegie Hall, kiedy przecinała Pięćdziesiątą Siódmą. Dużo energii i uwagi pochłaniało jej unikanie dojeżdżających do pracy ludzi, którzy śpieszyli naprzeciwko albo tarasowali drogę. Anna traktowała bieg do Central Parku jako rozgrzewkę, toteż dopiero gdy dotarła do Bramy Rzemieślników i znalazła się w parku, włączyła stoper, który miała na przegubie lewej ręki.

Kiedy wpadła już w swój normalny rytm, postarała się skupić na wyznaczonym na ósmą spotkaniu z prezesem.

Była zaskoczona i odczuła pewną ulgę, kiedy Bryce Fenston zaproponował jej pracę w Fenston Finance kilka dni po tym, kiedy straciła stanowisko zastępczyni kierownika w dziale impresjonistów domu aukcyjnego Sotheby.



Kiedy przyznała, że to z jej winy Sotheby stracił okazję sprzedaży cennej kolekcji na rzecz głównego rywala, domu aukcyjnego Christie, jej bezpośredni zwierzchnik nie krył, że na pewien czas powinna się pożegnać z myślą o jakimkolwiek awansie. Anna całymi miesiącami hołubiła, karmiła pochlebstwami, nakłaniała tego szczególnego klienta, by powierzył sprzedaż majątku rodzowego salonowi Sotheby i naiwnie sądziła, że kochanek, któremu się zwierzyła, zachowa dyskrecję. Nie wzięła pod uwagę tego, że jest prawnikiem.

Kiedy ujawniono nazwisko klienta w dziale sztuki „New York Timesa”, Anna straciła kochanka i pracę. Nie polepszyło sprawy, kiedy kilka dni później w tej samej gazecie ukazała się wzmianka, że doktor Anna Petrescu odeszła z domu aukcyjnego Sotheby „w niełasce” - ten eufemizm znaczył: „wyrzucona z pracy” - i na domiar złego felietonista dodał że me powinna nawet próbować starać się o pracę u Christiego.

Bryce Fenston był stałym bywalcem na wszystkich ważniejszych aukcjach impresjonistów i nie mógł nie zauważyć Anny, która stała obok licytatora, notując i obserwując przebieg aukcji. Oburzały ją wszelkie sugestie, że to dzięki niezwyklej urodzie i sportowej sylwetce stawiano ją ciągle na eksponowanym miejscu, a nie z boku sali wraz z innymi „wskazywaczami”.

Przebiegając przez Mostek Towarzyszy Zabaw, Anna spojrzała na zegarek: dwie minuty osiemnaście sekund. Zawsze stawiała sobie za cel, by pokonać pętlę w dwanaście minut. Wiedziała, że nie jest to szybko, jednak złościła się, ilekroć ktoś ją wyprzedzał, a zwłaszcza kiedy to była kobieta. Anna uplasowała się na dziewięćdziesiątym siódmym miejscu w zeszłorocznym nowojorskim maratonie, więc rzadko się zdarzało, by w trakcie porannego joggingu w Central Parku przegoniło ją jakieś dwunożne stworzenie.

Pomyślała znowu o Fenstonie. W świecie sztuki - w domach aukcyjnych, galeriach i wśród prywatnych handlarzy - od pewnego czasu było wiadomo, że Fenston gromadzi jedną z największych kolekcji impresjonistów. Stale był - obok takich kolekcjonerów jak Steve Wynn, Leonard Lauder, Anne Dias i Takashi Nakamura - jednym z ostatnich oferentów, kiedy na aukcji pojawiał się jakiś nowy ważny obraz. U takich kolekcjonerów to, co zwykle zaczyna się jako niewinne hobby, prędko staje się nałogiem, tak samo wciągającym jak narkotyki. Dla Fenstona, który miał obrazy wszystkich znaczących impresjonistów oprócz van Gogha, sama myśl o posiadaniu dzieła holenderskiego mistrza była niczym zastrzyk czystej heroiny, a po dokonaniu zakupu prędko pragnął następnej dawki, niczym roztrzęsiony narkoman, rozpaczliwie poszukujący diler. Jego dilerem była Anna Petrescu.

Kiedy Fenston przeczytał w „New York Timesie”, że Anna odchodzi z domu aukcyjnego Sotheby, natychmiast zaoferował jej miejsce w zarządzie i pensję, która świadczyła o tym, jak bardzo mu zależało na powiększaniu kolekcji. Co ostatecznie przekonało Annę, to odkrycie, że Fenston też pochodzi z Rumunii. Ciągle jej przypominał, że podobnie jak ona był zbiegiem z kraju, gdzie panował policyjny reżim Ceausescu, i jak ona znalazł schronienie w Ameryce.

Już na samym początku pracy Anny w banku Fenston poddał testowi jej wiedzę. Przy pierwszym spotkaniu, podczas lunchu, pytał ją głównie o to, czy wie o jakichś dużych zbiorach rodzinnych, które przetrwały jeszcze w rękach drugiego czy trzeciego pokolenia. Ponieważ Anna przepracowała sześć lat w salonie Sotheby, niemal wszystkie wybitne, wystawione na aukcję dzieła impresjonistów przechodziły przez jej ręce albo przynajmniej zostały przez nią obejrzone i umieszczone w jej bazie danych.

Wkrótce po podjęciu pracy w domu aukcyjnym nauczyła się, że zwykle sprzedają starobogaccy, a kupują nowobogaccy. Właśnie tak zetknęła się pierwszy raz z lady Victorią Wentworth, starszą córką

siódmego earla Wentworth - uosabiającą stare, bardzo stare pieniądze - sama występując w imieniu Bryce'a Fenstona, stuprocentowego nuworysza.

Annę zastanawiało obsesyjne zainteresowanie Fenstona kolekcjami innych osób, dopóki nie odkryła, że udzielanie dużych pożyczek pod zabezpieczenie dzieł sztuki to polityka firmy - Mało banków jest skłonnych uważać „sztukę” niezależnie od formy, za zabezpieczenie. Owszem - nieruchomości, akcje, obligacje, ziemia, nawet biżuteria ale rzadko dzieła sztuki. Bankowcy nie rozumieją tego rynku i niechętnie występują o zwrot majątku od klientów, zwłaszcza że przechowywanie dzieł, ubezpieczanie i w końcu często konieczność ich sprzedaży nie tylko pochłania dużo czasu, ale jest również niepraktyczne. Bank Fenston Finance stanowił rzadko spotykany wyjątek. Anna prędko odkryła, że Fenston nie jest prawdziwym miłośnikiem sztuki ani jej szczególnym znawcą. Pasowała do niego sentencja Oscara Wilde'a: „Człowiek, który zna cenę wszystkiego, ale nie zna wartości niczego”. Upłynęło jednak trochę czasu, zanim Anna odkryła jego prawdziwy cel.

Jednym z pierwszych zadań, jakie wyznaczono Annie, był wyjazd do Anglii i wycena majątku lady Victorii Wentworth, potencjalnej klientki, która zwróciła się do Fenston Finance o dużą pożyczkę. Okazało się, że zbiory Wentworthów to typowo angielska kolekcja utworzona przez drugiego earla, ekscentrycznego arystokratę z dużymi pieniędzmi, doskonałym gustem i na tyle dobrym okiem, że następne pokolenia uznały go za utalentowanego amatora. Od swoich rodaków nabył Romneya, Westa, Constable'a, Stubbsa i Morlanda oraz wspaniały obraz pędzla Turnera „Zachód słońca nad Plymouth”.

Trzeci earl nie miał zainteresowań artystycznych, więc kolekcja pokrywała się kurzem do czasu, aż jego syn, czwarty earl, odziedziczył posiadłość, jak również wytrawne oko swego dziadka.

Jamie Wentworth spędził prawie rok w oddaleniu od kraju, wyruszył bowiem w objazd Europy. Odwiedził Paryż, Amsterdam, Rzym, Florencję, Wenecję i Sankt Petersburg, po czym wrócił do Wentworth Hall z dziełami Rafaela, Tintoretta, Tycjana, Rubensa, Holbeina i van Dycka, nie wspominając o włoskiej żonie. Jednakże to Charles, piąty earl, z niechlubnych powodów przebił swoich przodków. Charlie nie kolekcjonował obrazów, tylko kochanki. Po burzliwym weekendzie spędzonym w Paryżu - głównie na wyścigach w Longchamp, ale również w pewnej sypialni w Hotel de Crillon - ostatnia paniienka go namówiła, żeby kupił od jej lekarza malowidło nieznanego artysty. Charlie Wentworth wrócił do Anglii, pozbywszy się oblubienicy, ale obarczony obrazem, który zesłał do sypialni dla gości, aczkolwiek obecnie liczni entuzjaści uważają „Autoportret z zabandażowanym uchem” za jedną z najlepszych prac van Gogha.

Anna przestrzegła Fenstona, by zachował ostrożność przy kupnie obrazu van Gogha, gdyż opinie dotyczące autorstwa są często bardziej wątpliwe niż wiarygodność bankierów z Wall Street - porównanie to nie przypadło Fenstonowi do gustu. Powiedziała mu, że w prywatnych kolekcjach trafiają się falsyfikaty, a nawet kilka wisi w muzeach, w tym w muzeum narodowym w Oslo. Jednak kiedy Anna przestudiowała papiery dołączone do „Autoportretu” van Gogha, w tym list doktora Gacheta ze wzmianką o Charlesie Wentworsie, pokwitowanie opiewające na osiemset franków z pierwszej sprzedaży oraz poświadczenie autentyczności wydane przez Louisa van Tilborgha, kuratora malarstwa w Muzeum van Gogha w Amsterdamie, nabrała pewności, że wspaniały portret wyszedł rzeczywiście spod ręki mistrza, i tę opinię przekazała prezesowi.

Dla miłośników van Gogha „Autoportret z zabandażowanym uchem” jest szczytem doskonałości. Wprawdzie mistrz namalował trzydzieści pięć autoportretów w swoim życiu, ale po obcięciu lewego

ucha wykonał jedynie dwa. To akurat płótno dlatego stanowiło przedmiot pożądania każdego poważnego kolekcjonera, gdyż drugie było wystawione w Instytucie Courtaulda w Londynie. Anna z coraz większym niepokojem myślała o tym, jak daleko Fenston może się posunąć, żeby dostać w swoje ręce ten jedyny drugi egzemplarz.

Spędziła dziesięć przyjemnych dni w Wentworth Hall na katalogowaniu i wycenie rodowej kolekcji. Kiedy wróciła do Nowego Jorku, poinformowała zarząd - głównie składający się z kompanów Fenstona bądź polityków, którzy skwapliwie przyjmowali parę groszy - że gdyby kiedyś sprzedaż okazała się konieczna, to aktywa z nadwyżką pokryją bankową pożyczkę trzydziestu milionów dolarów.

Co prawda, Anny nie interesowało, dlaczego Victoria Wentworth potrzebuje tak dużej sumy, ale podczas pobytu w Wentworth Hall często słyszała, jak dziedziczka posiadłości mówi ze smutkiem o przedwczesnej śmierci „drogiego papy”, o odejściu na emeryturę zaufanego zarządcy majątku i o niewspółmiernie wysokim, czterdziestoprocentowym podatku spadkowym.

- Gdyby tylko Arabella urodziła się parę chwil wcześniej... - wzdychała często Victoria.

Po powrocie do Nowego Jorku Anna doskonale pamiętała każdy obraz i rzeźbę ze zbiorów Victorii - nie potrzebowała zaglądać do dokumentacji. Miała dar, który odróżniał ją od rówieśników na uczelni i kolegów z domu aukcyjnego: fotograficzną pamięć. Jeżeli zobaczyła obraz, nigdy nie zapomniała, co przedstawiał, w czyich był rękach i gdzie się znajdował. Co niedziela wystawiała - bezskutecznie - ów dar na próbę, odwiedzając jakąś nową galerię, którąś z sal w Metropolitan Museum of Art lub po prostu przeglądając najnowszy katalog dzieł sztuki. Wróciwszy do siebie, zapisywała nazwę każdego obrazu, który widziała, po czym sprawdzała w różnych katalogach. Od czasu ukończenia uniwersytetu do zasobów swojej pamięci dodała Luwr, Prado i Uffizi, jak również waszyngtońską National Gallery, Phillips Collection i Getty Museum. W banku danych jej pamięci mieściło się również trzydzieści siedem prywatnych kolekcji i niezliczone katalogi - atut, za który Fenston gotów był przepłacać.

Obowiązki Anny nie wykraczały poza wycenę kolekcji potencjalnych klientów i przedstawianie zarządowi pisemnych sprawozdań. Nigdy nie uczestniczyła przy sporządzaniu umów. Tymi sprawami zajmował się wyłącznie zatrudniony w banku prawnik Karl Leapman. Jednak Victoria napomknęła kiedyś, że bank obciąża ją odsetkami składanymi, poczynając od szesnastu procent. Anna prędko pojęła, że zadłużenie klientów, ich naiwność i brak wiedzy finansowej to źródła sukcesu Fenston Finance. Ten bank zdawał się lubować w niewypłacalności swych klientów.

Mijając Karuzelę, Anna wydłużyła krok. Spojrzała na zegarek - czas o dwanaście sekund gorszy. Skrzywiła się, ale pomyślała, że przynajmniej nikt jej nie wyprzedził. Wróciła myślami do kolekcji Wentworthów i zalecenia, jakie przedstawi tego ranka Fenstonowi. Mimo że pracowała w firmie niespełna rok i zdawała sobie sprawę, że nadal nie może liczyć na przyjęcie do domu aukcyjnego Sotheby czy Christie, postanowiła, że złoży rezygnację, jeżeli prezes nie przyjmie jej rady.

W ciągu ostatniego roku nauczyła się znosić próżność Fenstona, a nawet jego wybuchy, kiedy nie postawił na swoim, ale nie mogła się zgodzić na wprowadzenie w błąd klienta, a zwłaszcza kogoś tak naiwnego jak Victoria Wentworth. Odejście z Fenston Finance po tak krótkim czasie nie będzie dobrze wyglądało w jej życiorysie, ale śledztwo w sprawie oszustwa wyglądałoby o wiele gorzej.

- Spodziewam się potwierdzenia dziś rano - odparł Fenston.

- To dobrze, bo muszę się skontaktować z jej prawnikiem, żeby mu w wypadku śmierci w niejasnych okolicznościach - znowu na chwilę zamilkł - wszelkie rozstrzygnięcia wracają pod jurysdykcję stanu Nowy Jork.

- Dziwne, że nikt nigdy nie kwestionuje tej klauzuli umowy - zauważył Fenston, smarując masłem bułeczkę.

- Dlaczego mieliby to robić? - spytał Leapman - ~ Skąd mogliby wiedzieć, że wkrótce pożegnają się z życiem?

- A czy policja nie będzie podejrzewać, że maczaliśmy w tym palce?

- Nie - odparł Leapman. - Nigdy nie spotkałeś Victorii Wentworth, nie podpisałeś pierwotnej umowy i nawet nie widziałeś obrazu.

- Nikt go nie oglądał oprócz rodziny Wentworthów oraz Petrescu - zauważył Fenston. - Jednak chciałbym wiedzieć, kiedy będę mógł bezpiecznie...

- Trudno powiedzieć, ale może potrwać parę lat, zanim policja będzie skłonna przyznać, że nawet nie ma podejrzanego, zwłaszcza w tak głośnej sprawie.

- Dwa lata wystarczą - orzekł Fenston. - Do tej pory procenty tak narosną, że będę mógł zachować van Gogha i wyprzedać resztę kolekcji, nic nie tracąc z pierwotnej inwestycji.

- Na szczęście w porę przeczytałem sprawozdanie Petrescu - powiedział Leapman - bo gdyby ona postąpiła zgodnie z jej zaleceniem, to nie moglibyśmy nic zrobić.

- Racja - rzekł Fenston. - Ale teraz musimy znaleźć sposób, żeby się pozbyć Petrescu.

- To łatwe - rzekł Leapman z uśmiechem. - Wykorzystamy jej słabość.

- Co to takiego? - zapytał Fenston.

- Jej uczciwość.

Arabella siedziała sama w salonie, ślepa i głucha na to, co się dzieje wokół. Nie zauważyła, że herbata Earl Grey w filiżance na stole dawno już wystygła. Najgłośniejszym dźwiękiem w pokoju było tykanie zegara na kominku. Dla Arabelli czas się zatrzymał.

Na podjeździe stało kilka samochodów policyjnych i karetka. Ludzie w mundurach, białych fartuchach, ciemnych garniturach, a niektórzy nawet z maskami na twarzach wchodzili i wychodzili z domu, spełniając swoje obowiązki i nie niepokojąc jej.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Arabella podniosła oczy i ujrzała starego przyjaciela. Przystąpiwszy próg, nadinspektor policji zdjął czapkę z daszkiem ozdobioną srebrnym galonem. Arabella podniosła się z sofy; była blada, oczy miała czerwone od płaczu. Wysoki mężczyzna pochylił się i pocałował ją delikatnie w oba policzki, po czym poczekał, aż usiądzie, i dopiero wtedy zajął miejsce w skórzanym fotelu naprzeciwko. Stephen Renton złożył kondolencje; były szczere, gdyż znał Victorię od wielu lat.

Arabella podziękowała mu, usiadła prosto i cicho spytała:

- Kto mógł zrobić coś tak potwornego, i to osobie tak niewinnej jak Victoria?

- Chyba nie ma prostej ani logicznej odpowiedzi na to pytanie - odparł nadinspektor. - W dodatku ciało znaleziono dopiero po kilku godzinach, co dało napastnikowi aż nadto czasu, żeby się ulotnić. - Zamilkł na chwilę. - Moja droga, czy czujesz się na siłach, żeby odpowiedzieć na kilka pytań?

Arabella skinęła głową.

- Zrobię wszystko, żeby pomóc wytropić napastnika. - Wymówiła to słowo z jadem.

- Normalnie, prowadząc dochodzenie o morderstwo, zacząłbym od pytania, czy twoja siostra miała jakichś wrogów, ale tak jak ją znałem, uważam, że to niemożliwe. Jednak muszę cię zapytać, czy wiedziałaś o jakichś kłopotach Victorii, ponieważ - zawahał się - od pewnego czasu w okolicy krążą plotki, że po śmierci waszego ojca na twoją siostrę spadły wielkie długi.

- Po prostu tego nie wiem - przyznała Arabella. - Kiedy wyszłam za mąż za Angusa, przyjeżdżaliśmy tutaj ze Szkocji tylko na dwa tygodnie w lecie i co drugi rok na święta Bożego Narodzenia. Dopiero po śmierci męża wróciłam do Surrey - nadinspektor skinął głową, ale nie przerywał - i słyszałam takie same pogłoski. Plotkowano nawet, że część mebli w moim sklepie pochodzi z posiadłości i Victoria się ich pozbywa, żeby opłacić służbę.

- Czy w tych plotkach było trochę prawdy? - spytał Stephen.

- Nic a nic - odparła Arabella. - Kiedy Angus umarł i sprzedałam naszą farmę w Perthshire, miałam dość pieniędzy, żeby wrócić do Wentworth, otworzyć mały sklepik i przekształcić swoje życiowe hobby w warte zachodu przedsięwzięcie. Pytałam kilkakrotnie siostrę, czy pogłoski o sytuacji finansowej ojca są prawdziwe. Victoria zaprzeczała i zawsze utrzymywała, że sytuacja jest pod kontrolą. Ale ona uwielbiała ojca i nie wierzyła, że mógłby postąpić niewłaściwie.

- Czy przychodzi ci do głowy coś, co mogłoby być jakąś wskazówką, dlaczego...

Arabella wstała i bez wyjaśnienia podeszła do biurka w głębi pokoju. Podniosła zakrwawiony list, który znalazła u siostry, i podała go nadinspektorowi.

Stephen dwa razy przeczytał niedokończoną wiadomość, po czym zapytał:

- Czy wiesz, co Victoria miała na myśli, gdy pisała, że „znalazło się rozwiązanie”?

- Nie - przyznała Arabella - ale możliwe, że będę mogła odpowiedzieć na to pytanie, kiedy porozmawiam z Arnoldem Simpsonem.

- Nie wiązałbym z tym specjalnych nadziei - rzekł Stephen.

Arabella przyjęła tę uwagę, ale nie zareagowała. Wiedziała, że naturalnym odruchem nadinspektora jest nieufność wobec adwokatów, którzy zwykle nie kryją przekonania o swojej wyższości nad funkcjonariuszami policji.

Nadinspektor podniósł się z fotela, zbliżył do sofy i usiadł obok Arabelli. Ujął jej rękę.

- Dzwon do mnie, kiedy tylko zechcesz - powiedział łagodnie. - I, Arabello, nie miej przede mną za dużo sekretów, bo muszę wiedzieć wszystko, naprawdę wszystko, jeżeli mamy odkryć, kto zamordował twoją siostrę.

Arabella nie odpowiedziała.

~ Cholera! - mruknęła Anna pod nosem, kiedy wysportowany ciemnowłosy mężczyzna przebiegł swobodnie koło niej, co w ostatnich tygodniach zdarzyło się kilkakrotnie. Nie obejrzał się do tyłu - wytrawni biegacze nigdy się nie oglądają. Wiedziała, że nie ma sensu go doganiać, bo z pewnością po stu metrach „spuchnie”. Ujrzała tego tajemniczego osobnika raz w przelocie, ale prędko się oddalił i zobaczyła tylko jego plecy w szmaragdowej koszulce, kiedy biegł w stronę Pól Truskawkowych. Próbowwała nie myśleć o nim i skupić się na spotkaniu z Fenstonem.

Wysłała już prezesowi egzemplarz swojego sprawozdania z zaleceniem, żeby bank jak najszybciej sprzedał autoportret. Znała kolekcjonera w Tokio, który się pasjonował malarstwem van Gogha i posiadał dość jenów, żeby tego dowieść. A w wypadku owego szczególnego obrazu w grę wchodziła dodatkowo słabostka Japończyka, którą Anna mogłaby wykorzystać - na co zwróciła uwagę w swoim sprawozdaniu. Van Gogh zawsze się zachwycał sztuką japońską i na ścianie, w tle

autoportretu, odtworzył grafikę „Pejzaż z gejszami”, co, zdaniem Anny, dodatkowo zachęciłoby Takashiego Nakamurę.

Nakamura był prezesem największego koncernu stalowego w Japonii, ale ostatnio spędzał coraz więcej czasu na wzbogacaniu swojej kolekcji sztuki, która, jak ogłosił, miała stanowić część fundacji i w przyszłości wraz z nią zostać przekazana narodowi. Za dodatkowy plus Anna uważała skrytość Nakamury, który z typowo japońską tajemniczością nie dopuszczał do przeniknięcia na zewnątrz jakichkolwiek szczegółów na temat swej kolekcji. Ta sprzedaż pozwoliłaby Victorii zachować twarz - to było coś, co Japończycy w pełni rozumieli. Anna kiedyś nabyła dla Nakamury obraz Degasa „Lekcja tańca z Mme Minette”; sprzedający pragnął przeprowadzić transakcję bez świadków - usługę tę wielkie domy aukcyjne oferują osobom, które chcą uniknąć wścibskich dziennikarzy kręcących się w salach aukcyjnych. Była pewna, że Nakamura zaproponuje przynajmniej sześćdziesiąt milionów dolarów za unikalne holenderskie arcydzieło. Jeżeli więc Fenston zaakceptuje jej propozycję - a dlaczego właściwie miałby tego nie zrobić? - w rezultacie wszyscy będą zadowoleni.

Kiedy Anna minęła Karczmę na Błoniach, znów spojrzała na zegarek. Musi zwiększyć tempo, jeśli chce pokonać dystans do Bramy Rzemieślników w czasie poniżej dwunastu minut. Gdy pędziła w dół wzgórza, nasunęła się jej refleksja, że nie powinna pozwolić, aby na jej osąd wpływał osobisty stosunek do klienta, ale Victoria naprawdę potrzebowała pomocy. Przebiegając przez Bramę Rzemieślników, nacisnęła stoper - dwanaście minut i cztery sekundy. Niech to licho!

Ruszyła truchtem w stronę swojego mieszkania, nie zdając sobie sprawy, że mężczyzna w szmaragdowozielonej koszulce bacznie ją obserwuje.

6

Jack Delaney, agent FBI, ciągle nie miał pewności, czy Anna Petrescu jest kryminalistką.

Obserwował, jak Anna wtapia się w tłum, kierując się z powrotem do Thornton House. Kiedy zniknęła mu z oczu, pobiegł przez Owczą Łąkę w stronę stawu. Od sześciu tygodni prowadził dochodzenie w sprawie tej kobiety. O tyle było to utrudnione, że nie chciał, aby Anna się dowiedziała, iż FBI prowadzi też śledztwo w sprawie jej szefa, który bez wątpienia jest przestępcą..

Minął prawie rok od czasu, kiedy szef Jacka, agent specjalny Richard W. Macy, wezwał go do biura i powierzył mu nowe zadanie, przydzielając jednocześnie zespół ośmiu agentów. Jack miał podjąć dochodzenie w sprawie trzech bestialskich, popełnionych na trzech różnych kontynentach morderstw, które łączyło jedno: każda z ofiar miała w chwili śmierci wielkie niespłacone długi w Fenston Finance. Jack prędko doszedł do wniosku, że morderstwa zostały zaplanowane i że były dziełem zawodowego zabójcy.

W powrotnej drodze do swojego małego mieszkania na West Side Jack pobiegł na skróty przez Ogród Szekspira. Miał już prawie skompletowane akta najnowszej pracownicy Fenstona, ale wciąż nie mógł się zdecydować, czy jest ona współniczką swego szefa, czy też niewinną naiwniaczką.

Jack sięgnął do dzieciństwa Anny i ustalił, że jej stryj George Petrescu wyemigrował z Rumunii w 1972 roku i osiedlił się w Danville w stanie Illinois. Kilka tygodni po tym, jak Ceausescu mianował siebie prezydentem, George napisał do brata z błaganiem, żeby przyjechał do Ameryki. Kiedy Ceausescu zostrzył reżim, a żonę Elenę mianował swoją zastępczynią, George ponowił zaproszenie, które obejmowało również jego młodą bratanicę Annę.

Rodzice Anny nie chcieli opuszczać ojczyzny, lecz zdecydowali się w 1987 roku przeszmuglować siedemnastoletnią córkę z Bukaresztu i wyprawić ją statkiem do Ameryki do stryja,

obietując jej, że będzie mogła wrócić do kraju, kiedy Ceausesc upadnie. Anna nie wróciła do Rumunii. Regularnie pisywała do domu i prosiła rodziców, by dołączyli do niej, ale rzadko otrzymywała odpowiedź. Dwa lata później dowiedziała się, że ojca, który był w opozycji, zabito w utarczce granicznej. Matka się zarzekała, że nigdy nie opuści ojczyzny, bo nie miałby kto się opiekować grobem ojca Anny.

Tyle zdołał się dowiedzieć członek zespołu Jacka z artykułu, jaki Anna napisała do szkolnej gazetki. Również kolega Anny z klasy napisał o łagodnej dziewczynce z długimi blond warkoczami i niebieskimi oczami, która przybyła z jakiegoś miejsca o nazwie Bukareszt i zna tak niewiele angielskich słów, że nie potrafi nawet wyrecytować roty ślubowania na porannym apelu. Pod koniec drugiego roku w szkole Anna redagowała gazetkę, z której Jack zaczerpnął te informacje.

Po ukończeniu szkoły średniej Anna zdobyła stypendium na studia historii sztuki w Uniwersytecie Williama w Massachusetts. W gazecie lokalnej odnotowano, że dziewczyna wygrała zawody międzyuczelniane z Uniwersytetem Cornella w biegu na milę w czasie czterech minut i czterdziestu ośmiu sekund. Jack prześledził dalsze losy Anny aż do wstąpienia na Uniwersytet Stanu Pensylwania, gdzie pisała pracę doktorską na temat fowistów. Musiał poszukać tego słowa w słowniku Webstera. Tak się nazywała grupa artystów, reprezentowanych głównie przez Matisse'a Deraina i Vlamincka, którzy chcieli się uwolnić od wpływu impresjonizmu i stosowali ostre i kontrastowe barwy. Jack dowiedział się też o tym, jak młody Picasso opuścił Hiszpanię, żeby dołączyć do grupy w Paryżu, gdzie zaszokował publiczność obrazami, o których „Paris Match” napisał, że nie będą mieć „trwałego znaczenia” i zapewnił czytelników, że „rozsądek powróci”. Jack nabrał ochoty, by poczytać więcej o artystach, o których nigdy nie słyszał - jak Vuillard, Luce i Camois. Ale trzeba będzie z tym poczekać na wolną chwilę - chyba że wcześniej znajdzie się dowód, który pozwoli przygwoździć Fenstona.

Ukończywszy uniwersytet, doktor Petrescu podjęła pracę w domu aukcyjnym Sotheby jako stażystka. Od tego momentu informacje Jacka były dość skąpe, gdyż mógł pozwolić swoim agentom tylko na ograniczone kontakty z dawnymi kolegami Anny. Dowiedział się jednak, że Anna ma fotograficzną pamięć, gruntowną wiedzę i że wszyscy ją lubią, począwszy od portierów, a skończywszy na prezesie. Nikt jednak nie chciał wytłumaczyć, co znaczyło „popadła w niełaszkę”, chociaż Jack się dowiedział, że nie byłaby mile widziana z powrotem u Sotheby'ego przy obecnym kierownictwie. Nie mógł też pojąć, dlaczego Anna zdecydowała się podjąć pracę w Fenston Finance. Tu musiał polegać na domysłach, gdyż nie mógł ryzykować i zwrócić się do osób, które pracowały z nią w banku, chociaż było oczywiste, że Tina Forster, sekretarka prezesa, została serdeczną przyjaciółką Anny.

W krótkim czasie, jaki upłynął od chwili podjęcia pracy w banku, Anna odwiedziła kilku nowych klientów, którzy ostatnio zaciągnęli duże pożyczki; wszyscy byli właścicielami cennych kolekcji. Jack się obawiał, że lada dzień któregoś z nich spotka taki los, jak trzy poprzednie ofiary Fenstona.

Wbiegł na Osiemdziesiątą Szóstą Zachodnią. Trzy pytania wciąż czekały na odpowiedź. Po pierwsze, jak długo przed podjęciem przez nią pracy w banku Fenston znał Petrescu. Po drugie, czy znali się albo czy ich rodziny się znały w Rumunii. Po trzecie, czy Petrescu była wynajętą zabójczynią.

Fenston złożył zamaszty podpis na rachunku za śniadanie, wstał i nie czekając, aż Leapman dopije kawę, wymaszerował z restauracji. Wsiadł do otwartej windy, ale czekał, aż Leapman

naciśnie guzik na osiemdziesiąte trzecie piętro. Dołączyła do nich grupa Japończyków w granatowych garniturach i gładkich jedwabnych krawatach; oni też jedli śniadanie w restauracji o nazwie Okna na Świat. Fenston nigdy w windzie nie rozmawiał o interesach, bo dobrze wiedział, że kilku jego konkurentów zajmuje piętra powyżej i poniżej jego biura.

Kiedy drzwi windy otworzyły się na osiemdziesiątym trzecim piętrze, Leapman wyszedł za swoim mocodawcą, ale później się odwrócił i skierował wprost do gabinetu Petrescu. Otworzył drzwi bez pukania i ujrzał asystentkę Anny, Rebekę, która przygotowywała dokumentację potrzebną Annie na spotkanie z prezesem. Wydał ostrym tonem polecenia niepodlegające dyskusji. Rebeka natychmiast odłożyła teczki na biurko Anny i poszła szukać dużego tekturowego pudełka.

Leapman przemierzył z powrotem korytarz i wszedł do gabinetu prezesa, by uzgodnić taktykę rozprawy z Petrescu. Chociaż przeprowadzali podobną operację trzykrotnie w ciągu ostatnich ośmiu lat, to Leapman przestrzegł prezesa, że teraz może być inaczej.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Fenston.

- Myślę, że Petrescu nie odejdzie bez walki - odparł Leapman. - W końcu nie dostanie łatwo innej pracy.

- Niewątpliwie, jeżeli to będzie ode mnie zależało - rzekł Fenston, zacierając ręce.

- Ale w tych okolicznościach może byłoby rozsądnie, gdybym...

Pukanie do drzwi przerwało dyskusję. Fenston podniósł wzrok i ujrzał w drzwiach Barry'ego Steadmana, szefa ochrony banku.

- Przepraszam, panie prezesie, że przeszkadzam, ale tu jest kurier, który ma przesyłkę dla pana i mówi, że nikt inny nie może jej pokwitować.

Fenston ruchem ręki nakazał wejść kurierowi i bez słowa złożył podpis w prostokątnej rubryczce obok swojego nazwiska. Leapman zawiesił na nim wzrok, ale żaden z nich się nie odezwał, dopóki kurier nie wyszedł i Barry nie zamknął za sobą drzwi.

- Czy to jest to, co przypuszczam? - szepnął Leapman

- Zaraz się dowiemy - odrzekł Fenston, rozdierając paczuszkę i wytrząsając jej zawartość na biurko.

Obydwaj wbili wzrok w lewe ucho Victorii Wentworth.

- Dopilnuj, żeby Krantz dostała drugie pół miliona - polecił Fenston.

Leapman skinął głową.

- I jeszcze przysłała nam prezent - rzekł Fenston, spoglądając na staroświecki brylantowy kolczyk.

Anna tuż po siódmej skończyła się pakować. Zostawiła walizkę w holu, zamierzając wpaść po pracy do domu i zabrać ją w drodze na lotnisko. Samolot do Londynu miał odlecieć za dwadzieścia szósta wieczorem i wylądować na Heathrow nazajutrz, tuż przed wschodem słońca. Anna zdecydowanie wolała nocny lot, gdyż mogła się wyspać i mieć jeszcze dość czasu, by się przygotować na spotkanie z Victorią w Wentworth Hall. Spodziewała się, że Victoria przeczytała jej sprawozdanie i że się zgodzi, iż sprzedaż obrazu van Gogha bezpośrednio klientowi wybawi ją z kłopotów.

Anna wyszła z domu drugi raz tego ranka, tuż po siódmej dwadzieścia. Zatrzymała taksówkę - rozrzutność, ale o tyle usprawiedliwiona, że Anna chciała wyglądać jak najlepiej na spotkaniu z



prezesem. Usiadła z tyłu i przejrzała się w małym lusterku. Niedawno kupiony kostium projektanta Ananda Jona i biała jedwabna bluzka z pewnością zwrócą uwagę, chociaż kogoś mogą zdziwić jej czarne tenisówki.

Taksówka skręciła w FDR Drive i przyśpieszyła, tymczasem Anna sprawdziła telefon komórkowy. Znalazła trzy wiadomości: od swojej sekretarki Rebeki, która chciała z nią pilnie rozmawiać, co było dziwne, bo miały się zobaczyć za kilka minut; potwierdzenie lotu z British Airlines oraz zaproszenie na kolację z Robertem Brooksem, nowym prezesem domu aukcyjnego Bonhams.

Po dwudziestu minutach taksówka zatrzymała się przed wejściem do Północnej Wieży. Anna zapłaciła, wysiadła z samochodu i włączyła się w strumień pracowników podążających ku wejściu i znikających w bramkach obrotowych. Wsiadła do windy ekspresowej i w niespełną minutę stanęła na zielonym dywanie piętra dyrektorskiego. Kiedyś w windzie usłyszała, że każde z pięter ma powierzchnię blisko jednego akra i że w budynku, którego nigdy nie zamykano, pracuje około pięćdziesięciu tysięcy ludzi - ponad dwa razy więcej, niż mieszka w jej przybranym rodzinnym mieście Danville w stanie Illinois.

Anna skierowała się wprost do swojego biura i ze zdziwieniem skonstatowała, że Rebeka na nią nie czeka, chociaż wiedziała, jak ważne jest spotkanie o ósmej. Jednak doznała ulgi, gdy zobaczyła, że wszystkie istotne dla sprawy teczki leżą na biurku. Dwukrotnie sprawdziła, czy są ułożone w takim porządku, jak prosiła. Miała jeszcze kilka minut, więc kolejny raz zajrzała do teczki dotyczącej Wentworth Hall i zaczęła czytać swoje sprawozdanie: „Wartość posiadłość Wentworth można określić w kilku kategoriach. Mój wydział interesuje się jedynie...

Tina Forster wstała dopiero parę minut po siódmej. Wizytę u dentysty miała wyznaczoną na wpół do dziewiątej, a Fenston wyraźnie dał jej do zrozumienia, że dziś rano nie musi być punktualna. To zwykle znaczyło że miał spotkanie za miastem albo zamierzał kogoś zwolnić i nie chciał, by się kręciła po biurze i współczuła komuś, kto właśnie stracił pracę. Tina wiedziała, że nie będzie to Leapman, bo Fenston bez mego by sobie nie poradził, i chociaż ucieszyłaby się, gdyby miał wylecieć Barry Steadman, to mogła o tym tylko marzyć, ponieważ ten facet nieustannie wychwalał prezesa, a prezes chłonał pochlebstwa niczym gąbka wyrzucona na plażę, czekająca na następną falę.

Tina rozkoszowała się kąpielą w wannie - na taki luksus pozwalała sobie zwykle w weekendy - i zastanawiała się, kiedy nadejdzie jej kolej. Od ponad roku była osobistą asystentką Fenstona i chociaż gardziła nim i wszystkim, co reprezentował, starała się być niezastąpiona. Wiedziała, że nie może myśleć o rezygnacji, dopóki...

W sypialni zadzwonił telefon, lecz Tina ani myślała go odbierać. Przypuszczała, że to pewno Fenston z pytaniem o jakąś teczkę, o numer telefonu, a nawet o swój terminarz. Zwykle odpowiedź brzmiała: „Na biurku przed panem”. Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie Anna, jedyna prawdziwa przyjaciółka, jaką miała, odkąd się przeniosła z zachodniego wybrzeża Stanów. Mało prawdopodobne, uznała, gdyż Anna o ósmej ma przedstawić sprawozdanie prezesowi i pewno nawet w tej chwili po raz dwudziesty sprawdza drobne szczegóły.

Tina się uśmiechnęła, wychodząc z wanny, i owinęła się ręcznikiem. Przecięła korytarz i znalazła się w sypialni. Jeżeli jakiś gość zostawał na noc w jej ciasnym mieszkanku, mógł spać razem z nią w łóżku albo na kanapie. Nie było innego wyboru, bo Tina miała tylko jedną sypialnię. Ostatnio Tina nie przyjmowała wielu gości. Po przejściach z Fenstonem Tina nie ufała nikomu. Niedawno miała

ochotę się zwierzyć Annie, ale tego akurat sekretu nie mogła wyjawiać.

Rozsunęła zasłony i mimo że był już wrzesień, bezchmurny i jasny poranek zachęcał do włożenia letniej sukienki. Może poprawi jej to samopoczucie, kiedy będzie patrzeć na maszynę do borowania?

Ubrała się, przejrzała w lustrze, po czym poszła do kuchni zrobić sobie kawę. Sroga asystentka dentysty nie pozwoliła jej nic zjeść na śniadanie, nawet grzanki, więc Tina włączyła telewizor, żeby obejrzeć poranne wiadomości. Nie było nic ciekawego. Po informacji o samobójczym zamachowcu na Zachodnim Brzegu wspomniano jeszcze o ważącej sto pięćdziesiąt kilogramów kobiecie, która oskarżyła McDonalda o zrujnowanie jej życia seksualnego. Tina już miała wyłączyć audycję „Dzień dobry, Ameryko”, kiedy na ekranie pojawił się rozgrywający z drużyny futbolowej 49ers.

Ujrzawszy go, Tina pomyślała o swoim ojcu.

7

Tego ranka Jack Delaney przybył do biura przy Federal Plaza 26 tuż po siódmej. Na widok sterty teczek piętrzących się na biurku ogarnęło go przygnębienie. Każda z nich związana była z prowadzonym przez niego śledztwem w sprawie Bryce'a Fenstona, tymczasem po roku nie mógł dostarczyć szefowi dostatecznych dowodów, żeby poprosić sędziego o wydanie nakazu aresztowania.

Otworzył teczkę z aktami osobowymi Fenstona w złudnej nadziei, że natknie się na jakiś drobny ślad, jakiś charakterystyczny rys albo po prostu jakiś błąd, co ostatecznie dowiedzie bezpośredniego związku Fenstona z trzema okrutnymi morderstwami popełnionymi w Marsylii, Los Angeles i Rio de Janeiro.

W 1984 roku trzydziestodwuletni Nicu Munteanu zjawił się w ambasadzie amerykańskiej w Bukareszcie, twierdząc, że może zidentyfikować dwóch szpiegów operujących w samym sercu Waszyngtonu; informację tę był skłonny przekazać w zamian za amerykański paszport. Co tydzień zgłaszano w ambasadzie kilkanaście podobnych ofert i prawie wszystkie okazywały się bezwartościowe, ale w wypadku Munteanu informacja się sprawdziła. Nim upłynął miesiąc, dwóch dobrze uplasowanych funkcjonariuszy wracało samolotem do Moskwy, Munteanu zaś otrzymał paszport.

Nicu Munteanu wylądował w Nowym Jorku siedemnastego lutego 1985 roku. Jack znalazł niewiele informacji o jego poczynaniach w następnym roku, ale nagle pojawił się on znów, z odpowiednimi finansami w rękę, żeby przejąć Fenston Finance, niewielki kulejący bank na Manhattanie. Nicu Munteanu zmienił nazwisko na Bryce Fenston - żadne to przestępstwo - ale nikt nie umiał wskazać jego protektorów, mimo że w ciągu następnych kilku lat bank przyjmował wielkie wpłaty od nienotowanych na giełdzie spółek z Europy Wschodniej. Strumień gotówki nagle wysechł w 1989 roku, akurat wtedy, kiedy Ceausescu wraz z żoną Eleną uciekł z Bukaresztu po wybuchu rebelii. W ciągu kilku dni schwytano ich, osądzono i stracono.

Jack spojrział przez okno na dolny Manhattan i przyszła mu na myśl maksyma Federalnego Biura Śledczego: Nigdy nie wierz w zbieg okoliczności, ale nigdy go nie lekceważ.

Po śmierci Ceausescu bank przeżywał chude lata do czasu gdy Fenston poznał Karla Leapmana, prawnika wykluczonego z adwokatury, który niedawno został zwolniony z więzienia, gdzie odsiadywał karę za oszustwo. Nie upłynęło dużo czasu, a bank rozkwitł.

Jack spojrział na kilka fotografii Bryce'a Fenstona, który regularnie występował w kronikach towarzyskich z jedną z najpopularniejszych w Nowym Jorku kobiet u boku. Rozmaicie go

przedstawiano: jako wybitnego bankiera, czołowego finansistę, a nawet jako hojnego dobroczyńcę, i prawie zawsze wspomniano o jego wspaniałej kolekcji sztuki. Jack odsunął zdjęcia na bok. Nie mógł zrozumieć człowieka, który nosił w uchu kolczyk, a jeszcze bardziej zastanawiało go, dlaczego ktoś, kto pojawił się w Ameryce z gęstą czupryną, postanowił ogolić się na zero. Przed kim się ukrywa?

Jack zamknął teczkę z materiałami o Munteanu/Fenstonie i zajął się Pierre'em de Rochelle, pierwszą z jego ofiar.

Rochelle potrzebował siedemdziesięciu milionów franków na zakup udziału w winnicy. Jego jedyne doświadczenie w tej branży ograniczało się do regularnego osuszania butelek. Nawet przy pobieżnym zbadaniu wyszłoby na jaw, że jego koncepcja zainwestowania środków nie ma sensu. Jednak Fenstonowi, kiedy czytał wniosek Rochelle'a, wpadła w oko informacja, że młodzian niedawno odziedziczył zamek w Dordogne, w którym każda ściana pyszniła się wybitnymi dziełami impresjonistów, w tym jednym płótnem Degasa, dwoma Pissarra i jednym Moneta z okresu Argenteuil.

Winnica nie przynosiła dochodu przez cztery jałowe lata i w tym czasie zamek zaczął się pozbywać swoich aktywów; na ścianach zostawały tylko puste miejsca po obrazach. Do czasu gdy Fenston przetransportował ostatni obraz do Nowego Jorku, żeby włączyć go do swojej kolekcji, pierwotna kwota pożyczki Pierre'a wraz z procentami zdążyła się podwoić. Kiedy w końcu zamek został wystawiony na sprzedaż, Pierre zamieszkał w małej klitce w Marsylii, gdzie noc w noc pił na umór. Trwało to do chwili, gdy bystra młoda kobieta, świeżo po studiach prawniczych, podpowiedziała mu, kiedy był akurat trzeźwy, że gdyby bank Fenstona sprzedał obraz Degasa, Moneta i dwa płótna Pissarra, to on mógłby nie tylko spłacić dług, ale wycofać się ze sprzedaży zamku i zażądać zwrotu reszty kolekcji. Jednak ta koncepcja nie zgadzała się z długofalowymi planami Fenstona.

Tydzień później w jednym z zaułków Marsylii znaleziono ciało Pierre'a z poderżniętym gardłem.

Po czterech latach tamtejsza policja zamknęła dochodzenie, stawiając na teczce z aktami pieczęć NON RESOLU

Kiedy sprawy spadku zostały ostatecznie rozstrzygnięte, Fenston sprzedał wszystkie obrazy z wyjątkiem płótna Degasa, Moneta i dwóch płócien Pissarra i po odliczeniu procentów składanych, opłat bankowych i honorariów adwokackich młodszy brat Pierre'a, Simon de Rochelle, odziedziczył mieszkanie w Marsylii.

Jack wstał z biurka, rozprostował kości i ziewnął ze znużeniem, po czym zdecydował, że zabierze się do sprawy Chrisa Adama juniora. Mimo że znał ją na pamięć.

Chris Adams senior prowadził cieszącą się wielkim powodzeniem galerię sztuki w alei Melrose w Los Angeles. Specjalizował się w szkole amerykańskiej, tak uwielbianej przez hollywoodzką śmietankę towarzyską. Po jego przedwczesnej śmierci w wypadku samochodowym syn odziedziczył kolekcję dzieł takich twórców jak Rothko, Pollock, Jasper Johns, Rauschenberg oraz kilka akryli Warhola z „Czarną Marilyn” włącznie.

Stary kolega szkolny podsunął Chrisowi sposób na podwojenie majątku: zainwestowanie w rewolucyjny biznes internetowy. Chris odpowiedział, że nie ma gotówki, tylko galerię, obrazy i „Christinę”, stary jacht ojca, i to do spółki z młodszą siostrą. Wtedy wkroczył na scenę Fenston Finance i zaproponował Chrisowi pożyczkę dwunastu milionów dolarów, na zwykłych warunkach. Jak zazwyczaj podczas rewolucji, na polu walki padło kilka ofiar, w tym Chris junior.

Dług rósł, a Fenston Finance nie niepokoił swojego klienta. Taki stan rzeczy trwał do chwili, gdy

Chris przeczytał w „Los Angeles Timesie”, że ostatnio sprzedano „Przestrzeloną czerwoną Marilyn” Warhola za cztery miliony dolarów. Natychmiast skontaktował się z domem aukcyjnym Christie w Los Angeles, gdzie go zapewniono, że może się spodziewać równie dobrych cen za prace Rothki, Pollocka i Jaspiera Johnsa. Trzy miesiące później Leapman wpadł do biura prezesa z najnowszym katalogiem sprzedaży Christiego. Zaznaczył żółtymi karteczkami siedem różnych pozycji katalogowych, które miały pójść pod młotek. Fenston wykonał jeden telefon, po czym zarezerwował sobie najbliższy lot do Rzymu.

Trzy dni później Chrisa znaleziono w toalecie baru gejowskiego z poderżniętym gardłem.

Fenston bawił wtedy na wakacjach we Włoszech. Jack miał kopię jego rachunku za hotel, biletów samolotowych, a nawet wykaz zakupów przy użyciu karty kredytowej z kilku sklepów i restauracji.

Obrazy natychmiast wycofano z aukcji, a tymczasem policja w Los Angeles podjęła śledztwo. Minęło półtora roku. Z braku nowych dowodów akta sprawy dołączono do innych nierozstrzygniętych przypadków przechowywanych w podziemiach wydziału policji Los Angeles. Siostra Chrisa musiała się zadowolić modelem „Christiny”, ukochanego jachtu ojca.

Jack odsunął akta Chrisa juniora i spojrział na nazwisko Marii Vasconcellos, brazylijskiej wdowy, która odziedziczyła dom i gazon pełen rzeźb - różniących się od tych w byle centrum ogrodniczym. Moore, Giacometti, Remington, Botero i Calder - oto to autorzy dzieł, jakie senora Vasconcellos otrzymała w spadku po mężu. Na nieszczęście zakochała się w żigolaku, a kiedy on jej poradził...

Na biurku Jacka zadzwonił telefon.

- Nasza ambasada w Londynie na drugiej linii - poinformowała go sekretarka.

- Dziękuję, Sally - rzekł Jack. Dobrze wiedział, że to może być tylko Tom Crasanti, który wstąpił do FBI w tym samym dniu co on.

- Cześć, Tom, jak się masz? - zapytał, zanim jeszcze usłyszał głos.

- Nie najgorzej - odparł Tom. - Nadal codziennie biegam, chociaż nie jestem taki dobry jak ty.

- A mój chrześniak?

- Uczy się grać w krykieta.

- A to zdrajca. Masz jakieś dobre wieści?

- Nie - odrzekł Tom. - Dlatego dzwonię. Będziesz musiał otworzyć kolejną sprawę.

Jack poczuł, że cierpnie mu skóra.

- Kto tym razem? - spytał.

- Lady Victoria Wentworth.

- Jak zginęła?

- Tak samo jak tamte trzy ofiary - poderżnięte gardło, prawie na pewno nożem kuchennym.

- Dlaczego myślisz, że Fenston maczał w tym palce?

- Była winna bankowi trzydzieści milionów z kawałkiem.

- A na co on poluje tym razem?

- Na autoportret van Gogha.

- Wart?

- Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt milionów dolarów.

- Lecę najbliższym samolotem do Londynu.

O siódmej pięćdziesiąt sześć Anna zamknęła teczkę Wentworth Hall i schyliła się, żeby otworzyć dolną szufladę biurka. Zdjęła tenisówki i włożyła czarne pantofle na wysokich obcasach. Wstała, pozbierała papiery, zerknęła do lustra - wszystko w najlepszym porządku.

Opuściła swój pokój i powędrowała korytarzem w stronę wielkiego narożnego apartamentu. Kilka osób z personelu powitało ją słowami „Dzień dobry, Anno”, na co odpowiedziała uśmiechem. Zapukała delikatnie do drzwi prezesa - wiedziała, że Fenston już siedzi za biurkiem.

Gdyby się choć minutę spóźniła, spojrzełby znacząco na zegarek. Anna czekała na słowa zaproszenia, ale ku jej zaskoczeniu drzwi się od razu otworzyły i ujrzała przed sobą Karla Leapmana. Miał na sobie niemal identyczny garnitur jak Fenston, ale w innym gatunku.

- Dzień dobry, Karl - rzuciła pogodnie, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Prezes podniósł wzrok i ruchem ręki wskazał Annie miejsce naprzeciwko. On także jej nie powitał, ale przecież rzadko mu się to zdarzało. Leapman zajął miejsce z prawej strony prezesa, trochę z tyłu, niczym kardynał w świetle papieża. Pozycja wyraźnie określona. Anna myślała, że lada chwila ukaże się Tina z filiżanką czarnej kawy, ale drzwi do pokoju sekretarki były zamknięte na głucho.

Spojrzała na obraz Moneta z okresu Argenteuil, wiszący na ścianie za biurkiem. Wprawdzie Monet malował kilkakrotnie tchnącą spokojem scenę na brzegu rzeki, ale to płótno należało do najdoskonalszych. Anna kiedyś zapytała Fenstona, gdzie nabył ten obraz, ale wykręcił się od odpowiedzi, a ona nie znalazła żadnej wzmianki o sprzedaży wśród ostatnich transakcji.

Spojrzała na Leapmana; wyraz pożądlivosti na jego twarzy przywodził jej na myśl Kasjusza. Zawsze, czy rano, czy wieczorem, wyglądał na nieogolonego. Zwróciła oczy na Fenstona, który z pewnością nie był Brutusem, i niespokojnie poruszyła się na krześle, usiłując nie okazać zmieszania z powodu milczenia, które nagle, na skinienie Fenstona, zostało przerwane.

- Doktor Petrescu - zaczął Leapman - do prezesa dotarły przykre wiadomości. Jak się wydaje, wysłała pani klientce jeden z poufnych dokumentów banku, zanim prezes miał szansę rozważenia jego implikacji.

Annę zamurowało, ale po chwili odzyskała zimną krew i postanowiła odbić piłeczkę.

- Jeżeli pan mówi o moim sprawozdaniu dotyczącym pożyczki na rzecz posiadłości ziemskiej Wentworth, to owszem, wysłałam jego kopię lady Victorii Wentworth.

- Ale prezes nie miał dość czasu, żeby przeczytać sprawozdanie i wyrobić sobie na ten temat opinię, zanim wysłała je pani klientce - rzekł Leapman, zaglądając do notatek.

- To nie tak, proszę pana. Pierwszego września zarówno panu, jak i panu prezesowi wysłano kopię mojego sprawozdania, z zaleceniem, żeby lady Victorię poinformować o jej pozycji finansowej przed najbliższym terminem płatności kwartalnej.

- Nie otrzymałem tego sprawozdania - rzucił szorstko Fenston.

- I rzeczywiście - powiedziała Anna, wciąż patrząc na Leapmana - prezes to potwierdził, gdyż z jego gabinetu otrzymałam zwrot formularza, który podpisałam do sprawozdania.

- Nie widziałem go na oczy - ponownie zaprzeczył Fenston.

- I który prezes parał - ciągnęła Anna. Otworzyła teczkę, wyjęła z niej wspomniany formularz i położyła na biurku przed Fenstonem.

Zignorowała go.

- Należało przynajmniej poczekać, aż wyrażę swoją opinię - rzekł - zanim dopuściła pani do tego, żeby sprawozdanie dotyczące tak delikatnej sprawy wydostało się poza to biuro.

Anna wciąż nie mogła pojąć, dlaczego ci dwaj chcą konfrontacji. Nawet nie bawili się w dobrego i złego policjanta.

- Czekałam tydzień, panie prezesie - odrzekła - i w tym czasie ani razu się pan nie wypowiedział na temat moich zaleceń, mimo że dziś wieczorem lecę do Londynu, żeby jutro po południu spotkać się z lady Victorią Wentworth. Chociaż - mówiła dalej, zanim Fenston zdążył zareagować - dwa dni później wysłałam panu notatkę z przypomnieniem. - Znowu otworzyła teczkę i położyła kolejną kartkę na biurku prezesa.

Znowu ją zignorował.

- Ale ja nie czytałem pani sprawozdania - powtórzył, widać niezdolny odstąpić od swego tekstu.

„Spokój, dziewczyno, zachowaj spokój”. Annie się zdawało, że słyszy szept ojca. Zaczepnęła tchu i ciągnęła:

- Moje sprawozdanie sprowadza się do poinformowania zarządu, którego jestem członkiem, że gdybyśmy sprzedali obraz van Gogha, czy to bezpośrednio klientowi, czy za pośrednictwem jednego z uznanych domów aukcyjnych, to uzyskana kwota pokryłaby z naddatkiem pożyczkę banku wraz z odsetkami.

- Ale może ja nie mam zamiaru sprzedawać obrazu van Gogha - oznajmił Fenston, teraz wyraźnie nie trzymając się swego tekstu.

- Nie miałby pan wyboru, panie prezesie, gdyby takie było życzenie naszej klientki.

- Ale może zaproponowałbym jakieś lepsze rozwiązanie problemu Wentworth.

- Skoro tak - powiedziała Anna spokojnie - to dziwię się, że nie skonsultował się pan ze mną jako kierowniczką odpowiedniego wydziału, żebyśmy przynajmniej jak koledzy omówili różnice opinii przed moim dzisiejszym odlotem do Anglii.

- To impertynencja - rzekł Fenston podniesionym głosem. - Ja nie muszę się nikomu opowiadać.

- Panie prezesie, nie uważam, żeby stosowanie się do przepisów prawa było impertynencją - odparła spokojnie Anna. - Poinformowanie klienta o innych możliwych zaleceniach jest tylko wymogiem prawnym. Jestem pewna, że pan sobie zdaje sprawę, że w świetle nowych przepisów bankowych zaproponowanych przez Izbę Skarbową i ostatnio uchwalonych przez Kongres...

- A ja jestem pewien, że pani sobie zdaje sprawę - rzekł Fenston - że przede wszystkim jest pani odpowiedzialna przede mną.

- Jeżeli uważam, że urzędnik banku narusza prawo, to nie - odparowała Anna - bo nie chcę w tym brać udziału.

- Czy pani próbuje mnie sprowokować, żebym panią zwolnił? - wrzasnął Fenston.

- Nie, ale mam wrażenie, że to pan mnie prowokuje do rezygnacji - cicho powiedziała Anna.

- Tak czy owak - rzekł Fenston, obracając się w fotelu i spoglądając przez okno - jest oczywiste, że nie ma pani dłużej żadnej roli do odegrania w tym banku, bo nie jest pani graczem zespołowym - o czym ostrzegano mnie, kiedy odprawiono panią z Sotheby.

Nie reaguj, nakazała sobie Anna. Zaciśnęła usta i spojrzała na profil Fenstona. Już miała odpowiedzieć, kiedy odnotowała w jego wyglądzie jakąś zmianę, a potem spostrzegła nowy kolczyk. Z pewnością próżność będzie jego zgubą, pomyślała. Fenston obrócił się ku niej i spiorunował ją wzrokiem. Zignorowała to.

- Panie prezesie, ponieważ podejrzewam, że ta rozmowa jest nagrywana, chcę postawić jedną sprawę jasno. Zdaje się, że nie orientuje się pan za dobrze w prawie bankowym i najwyraźniej nie ma pan pojęcia o kodeksie pracy, ponieważ nakłanianie współpracownika, żeby wyłudził od naiwnej

kobiety jej dziedzictwo, jest przestępstwem kryminalnym, co z pewnością pan Leapman, który ma bogate doświadczenie z wieloma obliczami prawa, chętnie panu wytłumaczy.

- Wynoś się, babo, zanim cię stąd wyrzucę! - wrzasnął Fenston, podrywając się na równe nogi.

Anna wstała powoli, odwróciła się tyłem do Fenstona i skierowała się do drzwi.

- I natychmiast opróżnij swoje biurko, bo za dziesięć minut ma cię tu nie być! Jeżeli zostaniesz chwilę dłużej, polecę ochronie, żeby wyprowadziła cię z budynku.

Anna nie usłyszała ostatniej uwagi Fenstona, bo już zamykała za sobą drzwi.

Pierwszą osobą, na którą się natknęła na korytarzu, był Barry, który najwyraźniej dostał wcześniej cynk. Wyglądało na to, że cała scena została zaaranżowana dużo wcześniej, nim Anna weszła do budynku.

Przemierzała teraz korytarz z całą godnością, na jaką było ją stać, mimo że Barry siedł obok i od czasu do czasu trącał ją łokciem. Minęła windę, którą trzymano otwartą. Ciekawe, dla kogo, pomyślała. Z pewnością nie dla niej. Wróciła do swojego biura po niespełna piętnastu minutach. Teraz Rebeka na nią czekała. Stała za biurkiem, trzymając duże tekturowe pudełko. Anna podeszła do swojego biurka i zamierzała włączyć komputer, kiedy usłyszała głos:

- Proszę niczego nie dotykać. Pani rzeczy osobiste już zostały spakowane, więc chodźmy.

Anna obejrzała się i zobaczyła, że Barry kreci się przy drzwiach - Tak mi przykro - odezwała się Rebeka. - Próbowałam się dodzwonić i uprzedzić panią, ale...

- Proszę z nią nie rozmawiać - warknął Barry - tylko podać karton.

Jej już tu nie ma. - Barry położył dłoń na rękojęści pałki.

Anna była ciekawa, czy on zdaje sobie sprawę, jak głupio wygląda.

Popatrzyła na Rebeke z uśmiechem.

- To nie pani wina - powiedziała, kiedy sekretarka wręczyła jej pudełko.

Anna postawiła je na biurku, usiadła i wysunęła dolną szufladę.

- Nie wolno pani zabierać niczego, co jest własnością firmy - burknął Barry.

- Jestem przekonana, że panu Fenstonowi nie zależy na moich tenisówkach - odparła Anna, zdjęła pantofle na wysokich obcasach i umieściła je w kartonie. Następnie włożyła tenisówki, zawiązała sznurowadła, podniosła karton i wyszła na korytarz.

Próby zachowania godności były daremne. Każdy pracownik wiedział, że podniesione głosy w gabinecie prezesa, a potem spacer pod eskortą Barry'ego, wyprowadzającego człowieka poza teren firmy, znaczą tylko jedno: że przed chwilą został wylany. Teraz osoby przechodzące korytarzem prędko wycofywały się do swoich pokoi, nie próbując Anny zagadywać.

Szef ochrony poprowadził swoją podopieczną do biura na drugim końcu korytarza, w którym Anna nigdy nie była. Kiedy tam weszła, Barry zajął pozycję w drzwiach. Widać również tu dotarły dokładne wytyczne, ponieważ urzędnik, który przyjął Annę, nie ośmielił się nawet powiedzieć „Dzień dobry” - ze strachu, że dojdzie to do prezesa. Podsunął jej skrawek papieru, na którym widniała wypisana tłustymi czcionkami kwota dziewięciu tysięcy stu szesnastu dolarów. Jej miesięczna pensja. Anna bez słowa złożyła podpis.

- Pieniądze zostaną przelane na pani rachunek dziś po południu - poinformował urzędnik, nie podnosząc wzroku.

Obróciła się i ujrzała swojego cerbera krążącego za drzwiami z groźną miną. Wyszła z działu księgowości i pod czujnym okiem Barry'ego powędrowała z powrotem opustoszałym korytarzem.

Gdy dotarli do windy, Barry nacisnął przycisk ze strzałką w dół, Anna zaś stała, przyciskając do

piersi swoje kartonowe pudło.

Obydwoje czekali na windę, gdy samolot linii American Airlines, lot numer 11z Bostonu, uderzył w dziewięćdziesiąte czwarte piętro Wieży Północnej.

9

Ruth Parish spojrzała w górę na umieszczony na ścianie nad jej biurkiem monitor wskazujący odloty i z ulgą skonstatowała, że samolot linii United Airlines, lot 107, zmierzający do Stanów Zjednoczonych na lotnisko imienia Johna Kennedy'ego, w końcu wystartował o pierwszej czterdzieści po południu. Z czterdziestominutowym opóźnieniem.

Ruth i jej przyjaciel Sam założyli firmę pod nazwą Art Locations prawie dziesięć lat temu, a gdy Sam odszedł do młodszej kobiety, Ruth przejęła firmę - i tym samym zrobiła o wiele lepszy interes. Nie widziała świata poza pracą, mimo że musiała przesiadywać do późna, miała do czynienia z wymagającymi klientami i ciągle kłopoty z samolotami, pociągami i frachtowcami, które nigdy nie przybywały na czas. Przewożenie bardziej i mniej wybitnych dzieł sztuki z jednego krańca kuli ziemskiej na drugi pozwalało jej łączyć wrodzony talent organizacyjny z umiłowaniem pięknych przedmiotów - nawet jeżeli oglądała je tylko w przelocie.

Ruth objeżdżała świat, przyjmując zamówienia od rządów, które planowały urządzenie wystaw państwowych, prowadziła również interesy z właścicielami galerii, handlarzami i kilkoma kolekcjonerami prywatnymi, którzy często chcieli tylko przerzucić ulubiony obraz z jednego domu do drugiego. Przez te lata wielu klientów zostało jej przyjaciółmi. Lecz nie Bryce Fenston. Ruth dawno temu doszła do wniosku, że Fenston nie używa takich słów, jak „proszę” i „dziękuję”, i była pewna, że nie figuruje na liście osób, którym on wysyła kartki na Boże Narodzenie. Ostatnio zażądał, żeby zabrać obraz van Gogha z Wentworth Hall i bezzwłocznie przetransportować go do jego biura w Nowym Jorku.

Uzyskanie zezwolenia na wywóz arcydzieła nie było trudne, ponieważ niewiele instytucji czy muzeów jest w stanie zgromadzić sześćdziesiąt milionów dolarów, by nie dopuścić do zabrania obrazu z kraju. Zwłaszcza że narodowe galerie Szkocji nie zdołały zebrać nawet siedmiu i pół miliona funtów, żeby „Studium kobiety w żałobie” Michała Anioła nie opuściło naszej ziemi i nie wzbogaciło prywatnej kolekcji w Stanach.

Kiedy Andrews, kamerdyner w Wentworth Hall, zatelefonował poprzedniego dnia i powiadomił, że obraz będzie można zabrać rano, Ruth wydała polecenie, żeby resorowany pneumatycznie, specjalny furgon stawił się na miejscu przed ósmą. Przemierzała płytę lotniska tam i z powrotem na długo przedtem, nim tuż po dziesiątej furgonetka zajechała pod jej biuro.

Kiedy wyładowano obraz, Ruth sama doglądała jego przygotowania do bezpiecznej wysyłki do Nowego Jorku - to zadanie zwykle pozostawiała jednemu z podległych jej pracowników. Nadzorowała pakowacza, który owinął obraz bezkwasowym przezroczystym papierem, a potem umieścił go w wyłożonej pianką skrzynce; przygotował ją w nocy, żeby była gotowa na czas. Zabezpieczył ją mocującymi ryglami, uniemożliwiającymi jej otwarcie bez zestawu skomplikowanych kluczy. Na skrzynce umieszczono specjalne czujniki, które zabarwiłyby się na czerwono, gdyby ktoś próbował ją otworzyć. Po obu bokach skrzynki pakowacz naniósł przez szablon napis: OSTROŻNIE, a na czterech rogach liczbę 47”. Celnik sprawdzający dokumenty przewozowe uniósł ze zdziwieniem brwi, ponieważ jednak pozwolenie na wywóz zostało udzielone, brwi rychło wróciły na swoje miejsce.



Ruth podjechała do oczekującego boeinga 747 i patrzyła, jak czerwona skrzynka znika w olbrzymiej ładowni. Nie wróciła do biura, dopóki nie zatrzasnęły się potężne drzwi. Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się. Samolot odleciał o pierwszej czterdzieści po południu.

Pomyślała teraz o obrazie, który późnym popołudniem zostanie przysłany z Rijksmuseum w Amsterdamie na wystawę „Kobiety Rembrandta” w Akademii Królewskiej. Ale przedtem zatelefonuje do Fenston Finance z informacją, że obraz van Gogha jest w drodze.

Wybrała numer Anny w Nowym Jorku i czekała, aż ta podniesie słuchawkę.

10

Nastąpił głośny wybuch i budynek zakołysał się z boku na bok.

Anna przeleciała na drugą stronę korytarza i wylądowała na podłodze, jak rzucona na deski przez boksera wagi ciężkiej. Otworzyły się drzwi windy i oczom Anny ukazała się ognista kula, która spragniona tlenu wystrzeliła w górę. Gorący podmuch uderzył ją w twarz niczym z buchającego żarem pieca. Leżała oszołomiona.

W pierwszej chwili pomyślała, że w budynek trafił piorun, ale prędko uznała, że to niemożliwe, bo na niebie nie było ani jednej chmurki. Zapadła upiorna cisza. Anna już sądziła, że ogłuchła, gdy po chwili rozległy się wołania: „O Boże!”, i przed jej oczyma przeleciały za oknem olbrzymie kawały szkła, pogiętego metalu i fragmenty biurowych mebli.

To musi być bomba, napłynęła kolejna myśl. Wszyscy, którzy znajdowali się w tym budynku w 1993 roku, wciąż od nowa opowiadali, co się wydarzyło pewnego potwornie zimnego popołudnia w lutym. Część opowieści była wątpliwa, niektóre całkiem zmyślane, ale fakty pozostawały faktami. Ciężarówka wypełniona materiałami wybuchowymi wjechała do podziemnego garażu pod budynkiem. Kiedy nastąpił wybuch, sześć osób zginęło i ponad tysiąc zostało rannych. Pięć podziemnych kondygnacji obróciło się w perzynę, a ewakuacja budynku zajęła służbom ratowniczym kilka godzin. Od tamtego czasu wszyscy pracujący tutaj mieli obowiązek uczestniczenia w ćwiczeniach przeciwpożarowych. Anna usiłowała sobie uprzytomnić, jak należy się zachować w takiej sytuacji.

Przypomniała sobie pouczenie wydrukowane czerwonymi literami na drzwiach prowadzących na klatkę schodową na każdym piętrze: „W razie niebezpieczeństwa nie wracaj do swojego biurka, nie korzystaj z windy, wyjdź przez najbliższą klatkę schodową”. Wpierw jednak musiała sprawdzić, czy w ogóle może się podnieść, gdyż zdawała sobie sprawę, że osypała się na nią część sufitu i że budynek ciągle się chwieje. Ostrożnie spróbowała wstać i chociaż była potłuczona oraz w kilku miejscach skaleczona, kości miała całe. Rozluźniła mięśnie, jak to robiła zawsze przed biegiem na długi dystans.

Zostawiła to, co ocalało z tekturowego pudełka, i niepewnym krokiem poszła ku położonej w środku budynku klatce schodowej C. Niektórzy jej koledzy również zaczęli po pierwszym szoku przychodzić do siebie, a kilku nawet wróciło do pokoi po swoje rzeczy.

Wędrującą korytarzem Annę zasypywano pytaniami, na które nie знаła odpowiedzi.

- Co mamy robić? - pytała sekretarka.

- Czy powinniśmy iść do góry, czy w na dół? - chciała wiedzieć sprzątaczką.

- Czy czekać na akcję ratunkową? - próbował ustalić makler.

To były pytania do szefa ochrony, ale Barry przepadł bez śladu.

Gdy Anna dotarła na klatkę schodową, dołączyła do grupy oszołomionych ludzi - milczących albo

płaczących - którzy nie bardzo wiedzieli, co począć. Nikt nie miał pojęcia, jaka była przyczyna wybuchu i dlaczego budynek nadal się chwieje. Chociaż kilka świateł na klatce schodowej zgasło jak zdmuchnięty płomień świecy, fotoluminescencyjny pasek na krawędzi każdego stopnia jasno błyszczał.

Kilkoro ludzi wokół Anny próbowało się skontaktować ze światem zewnętrznym za pomocą telefonów komórkowych, ale tylko nielicznym się to udawało. Pewna dziewczyna rozmawiała ze swym chłopakiem. Mówiła mu, że szef puścił ją wcześniej do domu i resztę dnia będzie miała wolną. Mężczyzna relacjonował otaczającą rozmowę z żoną.

- Samolot uderzył w Wieżę Północną - obwieścił.

- Ale gdzie, gdzie? - zawołało naraz kilka głosów.

Mężczyzna powtórzył pytanie żonie.

- Nad nami, w dziewięćdziesiąte któreś piętro - przekazał ludziom jej odpowiedź.

- Ale co my mamy robić? - zapytał główny księgowy, który się nie ruszał z górnego stopnia.

Młodszy mężczyzna powtórzył pytanie żonie i czekał na odpowiedź.

- Burmistrz radzi, żeby jak najszybciej wydostać się z budynku.

Na te słowa wszyscy, którzy stali na schodach, ruszyli w dół na osiemdziesiąte drugie piętro. Anna spojrzała do tyłu w szklane okno i zdumiała się, że tak wielu ludzi tkwi przy biurkach, jakby siedzieli w teatrze po opuszczeniu kurtyny i czekali, aż przerzedzi się tłum pracy do wyjścia.

Ona sama posłuchała rady burmistrza. Schodząc w dół, liczyła stopnie - wypadało po osiemnaście na piętro, co, jak obliczyła, oznacza, że musi pokonać co najmniej tysiąc pięćset, zanim dotrze do holu. Tłok na klatce schodowej robił się coraz większy, bo mrowie ludzkie wylewało się z biur i dołączało do grupy Anny na każdym piętrze; panował ścisk jak w przepelnionym metrze w godzinach szczytu. Annę zadziwił spokój schodzących.

Strumień ludzki na klatce schodowej prędko się podzielił na dwa: najwolniejsi poruszali się pasem wewnętrznym, najszybsi wyprzedzali ich na pasie zewnętrznym. Ale tak jak na autostradzie, nie każdy przestrzegał przepisów i co pewien czas wszystko zastygło w bezruchu, aby potem niepewnie ruszyć z miejsca. Za każdym razem, kiedy osiągnano nowe piętro, jedni zatrzymywali się na poboczu, podczas gdy inni śpieszyli dalej.

Anna minęła starego mężczyznę w czarnym filcowym kapeluszu. Przypomniała sobie, że w ostatnim roku widywała go kilkakrotnie, zawsze w tym samym kapeluszu. Odwróciła się i uśmiechnęła się do niego, a on uniósł rondo.

Mozolnie brnęła w dół; czasem osiągała niższe piętro w ciągu niecałej minuty, ale częściej drogę tarasowali ci, którzy opadli z sił po pokonaniu zaledwie kilku pięter. Na zewnętrznym pasie ruchu było coraz bardziej tłoczno, więc nie mogła przekraczać ustalonej prędkości.

Usłyszała pierwszy wyraźny rozkaz, kiedy dotarła do sześćdziesiątego ósmego piętra.

- Iść prawą stroną, nie zatrzymywać się! - rozległ się władczy głos, dobiegający gdzieś z dołu.

Wprawdzie słyszała polecenie coraz wyraźniej, w miarę jak schodziła w dół, ale dopiero kilka pięter niżej ujrzała pierwszego strażaka, który powoli się do niej zbliżał. Miał na sobie luźny ognioodporny strój i mocno się pocił pod czarnym hełmem, oznaczonym numerem 28. Annie trudno było sobie wyobrazić, w jakim on będzie stanie, kiedy przemierzy jeszcze trzydzieści pięter w górę. Wydawało się też, że jest nadmiernie obciążony sprzętem: na jednym ramieniu miał zwoje liny, na plecach dwa pojemniki z tlenem - niczym himalaista ruszający na zdobycie Mount Everestu. Tuż za nim szedł drugi strażak, który dźwigał długi wąż, sześć bosaków i olbrzymią butlę wody pitnej. Tak

obficie spływał potem, że od czasu do czasu zdejmował hełm i polewał tą wodą głowę.

Ludzie, którzy wychodzili z biur i dołączali do grupy Anny, wędrowali w dół w milczeniu. Było tak do chwili, kiedy starszy mężczyzna z przodu potknął się i wpadł na kobietę, ona zaś skaleczyła nogę o ostry kant schodów i zaczęła krzyczeć na mężczyznę.

- Dość tego - powiedział głos z tyłu. - Przeszedłem tę drogę po wybuchu bombowym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim i powiadam pani, że jeszcze nic pani nie widziała.

Anna schyliła się i pomogła wstać mężczyźnie, podczas gdy inni przepychali się obok.

Ilekcio stawała na kolejnym piętrze, spoglądała przez szerokie tafle szyb na pracowników, którzy tkwili przy biurkach, widać nieświadomi exodusu rozgrywającego się na ich oczach. Podchwytywała nawet urywki rozmów dobiegających przez otwarte drzwi. Jakiś broker na sześćdziesiątym drugim piętrze usiłował dobić interesu przed otwarciem giełd o dziewiątej rano. Ktoś inny tak na nią patrzył, jakby szklana tafla była ekranem telewizyjnym, a on występował w roli sprawozdawcy z meczu futbolowego. Ten człowiek na bieżąco przekazywał przez telefon komentarz przyjacielowi w Wieży Południowej.

Coraz więcej strażaków szło do góry, wprowadzając na szlaku ruch dwukierunkowy i nieustannie pokrzykując:

- Iść prawą stroną, nie zatrzymywać się!

Anna szła bez przerwy, często tempo dyktował najwolniejszy członek grupy. Wprawdzie budynek przestał się chwiać, ale na twarzach otaczających ją ludzi nadal malowało się napięcie i strach. Nie wiedzieli, co się wydarzyło nad ich głowami i nie mieli pojęcia, co ich czeka na dole. Annę ogarnęło poczucie winy na widok starej kobiety niesionej przez dwóch młodych mężczyzn na dużym skórzanym fotelu; miała obrzmiałe nogi i nierówno oddychała.

W dół, w dół, w dół. Anna pokonywała piętro za pięciem, aż wreszcie i ją ogarnęło zmęczenie.

Myślała o Rebecce i Tinie i modliła się w duchu o ich bezpieczeństwo. Zastanawiała się nawet, czy Fenston i Leapman wciąż siedzą w gabinecie prezesa, przekonani, że ich żadne niebezpieczeństwo nie dosięgnie.

Ogarniała ją pewność, że już jest bezpieczna i wkrótce przebudzi się z koszmaru. Uśmiechała się nawet, słysząc krążące wokół nowojorskie żarciki, gdy nagle usłyszała z tyłu krzyk:

- Drugi samolot uderzył w Wieżę Południową!

11

Jack przeraził się swoją pierwszą reakcją, kiedy po drugiej stronie ulicy usłyszał huk przypominający wybuch bomby. Sally wpadła do pokoju i powiedziała mu, że samolot uderzył w Wieżę Północną World Trade Center.

- Miejmy nadzieję, że trafił prosto w biuro Fenstona - powiedział.

Następna opinia, jaką wyraził, gdy razem z innymi starszymi agentami dołączył w centrum dowodzenia do Dicka Macy'ego, agenta specjalnego koordynatora, była już bardziej profesjonalna. Podczas gdy inni rzucili się do telefonów, by zrozumieć, co się dzieje niecałą milę od nich, Jack powiedział Dickowi, że to jest dokładnie zaplanowany akt terroryzmu. Kiedy drugi samolot uderzył w Wieżę Południową trzy minuty po dziewiątej, Macy zapytał tylko:

- Tak, ale jakiej organizacji terrorystycznej?

Trzecia reakcja Jacka przyszła z opóźnieniem i go zaskoczyła. Pragnął, by Anna Petrescu zdołała się uratować, ale kiedy Wieża Południowa zawałiła się pięćdziesiąt sześć minut później, doszedł do

wniosku, że wkrótce Wieża Północna podzieli jej los.

Wrócił do siebie i włączył komputer. Napływały informacje z biura FBI w Massachusetts, z których wynikało, że dwa atakujące samoloty pierwotnie wyleciały z Bostonu i jeszcze dwa są w powietrzu. Telefony od pasażerów samolotów, które wystartowały z tego samego lotniska, wskazywały, że i one są opanowane przez terrorystów. Jeden z nich kierował się na Waszyngton.

Kiedy uderzył pierwszy samolot, prezydent George W. Bush odwiedzał szkołę na Florydzie; błyskawicznie przewieziono go do bazy Amerykańskich Sił Lotniczych Barksdale w Luizjanie. Wiceprezydent Dick Cheney był w Waszyngtonie. Wydał już polecenie zestrzelenia dwu pozostałych maszyn. Rozkazu nie wykonano. Cheney chciał wiedzieć, jaka organizacja terrorystyczna jest odpowiedzialna za atak, ponieważ prezydent zamierzał zwrócić się do narodu i żądał odpowiedzi. Jack tkwił w biurze, odbierając telefony od agentów z miejsca wypadku i często przekazując ich relacje Macy'emu. Jeden z agentów, Joe Corrigan, doniósł, że widziano, jak Fenston i Leapman wchodzili do budynku na Wall Street tuż przedtem atakiem na Wieżę Północną. Jack spojrzął na liczne teczki rozrzucone na biurku i pożegnał się z myślą o zamknięciu sprawy.

- A Petrescu? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparł Joe. - Mogę tylko powiedzieć, że zauważono ją, jak wchodziła do budynku o siódmej czterdzieści sześć, i od tej pory nikt jej nie widział.

Jack spojrzął na ekran telewizora. Trzeci samolot uderzył w Pentagon. Kolej na Biały Dom, pomyślał.

- Drugi samolot uderzył w Wieżę Południową - powtórzyła kobieta, która stała na stopniu powyżej Anny.

Anna nie wierzyła, żeby taki nieprawdopodobny wypadek mógł się zdarzyć dwa razy w ciągu jednego dnia.

- To nie jest wypadek - powiedział ktoś za nią, jakby czytał w jej myślach. - Jedyny raz samolot wpadł na budynek w Nowym Jorku w czterdziestym piątym roku. Trafiał w siedemdziesiąte dziewiąte piętro Empire State Building. Ale to się stało w mglisty dzień i nie było wtedy takich jak teraz skomplikowanych urządzeń nawigacyjnych. I nie zapominajcie, że przestrzeń powietrzna nad miastem jest strefą zakazu lotów, czyli że to musi być dobrze zaplanowana akcja. Jestem pewien, że nie tylko my mamy kłopoty.

Wśród tłumu zaczęły natychmiast krążyć różne teorie spiskowe, opowieści o atakach terrorystycznych i o niesłychanych wydarzeniach; ci ludzie nie mieli pojęcia, o czym mówią. Gdyby można było poruszać się szybciej, tłum wpadłby w panikę. Anna pojęła, że ci wszyscy, którzy mówili jednocześnie, po prostu maskują strach.

- Iść prawą stroną, nie zatrzymywać się! - padały polecenia od umundurowanych funkcjonariuszy wszelkiej maści, którzy brnęli pod górę.

Część wędrowców idących w dół opadła z sił, więc Anna ich wyprzedzała. Była wdzięczna losowi za te wszystkie godziny spędzone na bieganiu w Central Parku i za przyływy energii, dzięki którym nie ustawała.

Pierwszy raz poczuła woń dymu w okolicach czterdziestego piętra i usłyszała głośny kaszel dobiegający z niższych pięter. Gdy dojrzała na kolejny podest, dym zgęstniał i szybko wypełnił jej płuca. Zakryła oczy i zaczęła gwałtownie kaszleć. Przypomniała sobie, że gdzieś czytała, iż dziewięćdziesiąt procent wypadków śmiertelnych w pożarach powoduje właśnie wdychanie dymu. Przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy ludzie przed nią zwolnili, a potem stanęli. Wszyscy zanosili

się kaszlem. Czy znaleźli się w pułapce, bez drogi ucieczki w górę i w dół?

- Nie zatrzymywać się! - rozkazał strażak wdrapujący się w górę. -

Przez kilka pięter będzie gorzej, ale później się poprawi - zapewnił tych, którzy się wahali.

Anna spojrzała w twarz mężczyźnie, który z takim przekonaniem wydał polecenie. Posłuchała go, wierząc, że najgorsze jest już za nią. Osłaniała oczy i pokonywała następne piętra, wstrząsana kaszlem. Okazało się, że strażak miał rację, bo dym rzedł. Postanowiła słuchać tylko pnących się w górę zawodowców i nie kierować się opiniami schodzących w dół amatorów.

Wychodzący z dymu odczuwali natychmiastową ulgę i od razu próbowali przyśpieszyć. Jednak gęsty tłum nie mógł się prędko posuwać jednym pasem ruchu. Anna usiłowała zachować spokój, wśliznąwszy się za ślepego mężczyznę sprowadzanego po schodach przez psa.

- Nie bój się dymu, Rosie - powiedział ślepiec, a pies zamachał ogonem.

W dół, w dół, w dół; tempo zawsze nadawała osoba z przodu. Kiedy Anna dotarła do opustoszałej samoobsługowej restauracji na trzydziestym dziewiątym piętrze, do obładowanych sprzętem strażaków dołączyli funkcjonariusze Dyrekcji Portu i policjanci z Oddziału Służb Ratowniczych - najpopularniejsi z nowojorskich gliniarzy, ponieważ zajmowali się tylko zapewnianiem bezpieczeństwa i ratownictwem, nie wystawiali natomiast mandatów za nieprawidłowe parkowanie ani nie aresztowali. Anna czuła się winna, kiedy mijała tych, którzy szli w górę, gdy tymczasem ona zmierzała w przeciwnym kierunku.

Kiedy dotarła na dwudzieste czwarte piętro, kilku utyłanych maruderów przystało na wypoczynek, kilku nawet zbiło się w grupkę, by opowiadać sobie anegdoty, a inni nadal nie chcieli opuszczać swoich biur, bo nie wierzyli, że wypadek na dziewięćdziesiątym czwartym piętrze mógłby ich w jakiś sposób dotknąć. Anna rozejrzała się wokół z rozpacżliwą nadzieją, że zobaczy jakąś znajomą twarz, może Rebeki albo Tiny, a choćby i Barry'ego, ale równie dobrze mogła być w obcym kraju.

- Mamy tu trzeci, a możliwe, że czwarty stopień zagrożenia - ogłosił przez nadajnik dowódca batalionu - więc opróżniam każde piętro.

Anna obserwowała, jak dowódca systematycznie ewakuuje ludzi ze wszystkich biur. Trochę to trwało, ponieważ każde piętro miało wielkość połowy boiska piłkarskiego.

Na dwudziestym pierwszym piętrze jakiś osobnik tkwił uparcie za biurkiem; przed chwilą zawarł transakcję walutową wartości miliarda dolarów i czekał na potwierdzenie.

- Wychodzić! - krzyknął dowódca batalionu, ale elegancik zignorował rozkaz i dalej wystukiwał coś na klawiaturze komputera. - Powiedziałem, wychodzić! - powtórzył wyższy oficer pożarnictwa, a tymczasem jego dwaj podwładni podnieśli mężczyznę z krzesła i postawili na podeście schodów.

Niespełniony broker niechętnie dołączył do wędrowców.

Kiedy Anna dotarła na dwudzieste piętro, napotkała nowy problem. Musiała brodzić w wodzie, która lała się na ludzi z instalacji gaśniczej i z przeciekających rur na każdej kondygnacji. Stąpała niepewnie, omijając kawałki rozbitego szkła i rozżarzone okruchy gruzu, zalegające schody i opóźniające marsz. Czuła się jak kibic usiłujący wydostać się ze stadionu, na którym jest tylko jedna obrotowa bramka. Kiedy zeszła poniżej dwudziestego piętra, zdecydowanie przyśpieszyła. Wszystkie niższe piętra zostały ewakuowane i coraz mniej personelu biurowego włączało się w spływający schodami potok ludzki.

Na dziesiątym piętrze Anna zajrzała przez otwarte drzwi do pustego biura. Ekran komputera wciąż migotały, krzesła stały odsunięte na bok, jakby ich użytkownicy wyszli do toalety i mieli za

chwile powrócić. Plastikowe kubki z wystygłą kawą i wypite do połowy puszki coca-coli stały na prawie wszystkich blatach. Wszędzie, nawet na podłodze, wały się papiery, natomiast fotografie rodzinne w srebrnych ramkach tkwiły na swoich miejscach. Ktoś z tyłu wpadł na Annę, więc szybko ruszyła dalej.

Gdy znalazła się na siódmym piętrze, już nie spowalniali jej koledzy z pracy, tylko woda i pływające szczątki. Ostrożnie torowała sobie między nimi drogę, gdy do jej uszu dobiegł głos. Zrazu nikły, po chwili wyraźniejszy. Gdzieś z dołu ktoś ponaglał przez megafon:

- Nie zatrzymujcie się, nie oglądajcie się do tyłu, nie używajcie telefonów komórkowych - to hamuje idących za wami.

Musiała pokonać jeszcze trzy piętra, zanim znalazła się w holu i brodząc w wodzie, przeszła obok ekspresowej windy, która zaledwie przed dwiema godzinami błyskawicznie zawiozła ją do biura.

Nagle z tryskacza na suficie siknęła woda, ale Anna i tak była przemoczona do nitki.

Rozkazy wykrzykiwane przez megafony brzmiały coraz głośniejsze, a apele były coraz bardziej natarczywe:

- Nie zatrzymujcie się, opuszczajcie budynek i odchodźcie jak najdalej.

To nie takie łatwe, chciała odpowiedzieć Anna. Gdy dotarła do bramek obrotowych, przez które przechodziła wcześniej, okazało się, że są pogruchotane i pogiete. Widocznie zostały zniszczone przez strażaków, którzy wnosili do budynku ciężki sprzęt.

Była dezorientowana i nie wiedziała, co robić. Czy powinna czekać, aż dołączą do niej inni? Przystanęła, ale tylko na chwilę, bo usłyszała kolejny kategoryczny rozkaz, skierowany jakby wprost do niej:

- Niech się pani nie zatrzymuje, nie używa telefonu komórkowego i nie ogląda się za siebie.

- Ale dokąd iść? - ktoś zawołał.

- Schodami ruchomymi w dół, przez pasaż handlowy, a potem jak najdalej od tego budynku.

Anna dołączyła do tabunu umęczonych ludzi, którzy się wdarli na zatłoczone ruchome schody. Zjechała w dół do hali, po czym pojechała do góry innymi schodami ruchomymi, które ją zawiozły na otwarty plac, gdzie często razem z Tiną i Rebeką jadały lunch na świeżym powietrzu, słuchając koncertu pod gołym niebem. Teraz nie było świeżego powietrza ani kojących dźwięków skrzypiec - tylko znowu głos, nawołujący:

- Nie oglądać się do tyłu, nie oglądać się do tyłu!

Nie posłuchała rozkazu, w rezultacie czego nie tylko zwolniła, ale upadła na kolana, wstrząsana torsjami. Patrzyła, nie wierząc własnym oczom, jak najpierw jeden człowiek, a potem następny - pewno uwięzieni w swoich biurach nad dziewięćdziesiątym piętrem - skaczą z okien na pewną śmierć, by uniknąć powolnej męczarni w płomieniach.

- Niech pani wstanie i idzie dalej!

Anna podniosła się i potykając, ruszyła do przodu, uświadomiwszy sobie nagle, że żaden z funkcjonariuszy kierujących ewakuacją nie nawiązuje kontaktu wzrokowego z ludźmi uciekającymi z budynku ani nie odpowiada na ich pytania. Pomyślała, że to pewno dlatego, by nie wstrzymywać pochodów tych, którzy jeszcze usiłują wydostać się na zewnątrz.

Kiedy przechodziła koło księgarni Bordersa, zerknęła na wystawę, gdzie królował bestseller numer jeden „Valhalla Rising”\*\*.

- Niech pani idzie! - powtórzono głośniejsze.

- Dokąd? - zapytała z rozpaczą.
- Dokądkolwiek, po prostu proszę iść.
- W którą stronę?
- Wszystko jedno, byle jak najdalej od wieży.

Anna wypluła resztki wymiocin i szła przed siebie, oddalając się od budynku.

Kiedy dotarła do wejścia na plac, natknęła się na wozy strażackie i karetki; ich załogi opatrywały rannych i zajmowały się tymi, którzy już nie mogli iść. Anna nie traciła czasu. Znalazłszy się w końcu na ulicy, spojrzała w górę i zobaczyła tabliczkę ze strzałką pokrytą czarną warstwą brudu. Z trudem odczytała napis: Ratusz. Puściła się po raz pierwszy truchtem, a potem zaczęła biec. Teraz wyprzedzała ludzi, którzy wcześniej wyszli z budynku z niższych pięter. Nagle usłyszała z tyłu nieznany odgłos. Przypominał grzmot pioruna i narastał z każdą sekundą. Anna nie chciała oglądać się za siebie, ale impuls był silniejszy.

Stała oniemiała i patrzyła, jak na jej oczach wali się Wieża Południowa, jakby była z bambusa. W kilka sekund szczątki budynku roztrzaskały się o ziemię, wyrzucając w górę pył i odłamki, które błyskawicznie wzbily się w niebo, tworząc nieprzejrzystą górę płomieni i oparów, ta zaś przez moment unosiła się w powietrzu, a potem zaczęła nieubłaganie przemieszczać się ku zatłoczonym ulicom, ogarniając wszystkich i wszystko, co stało na jej drodze.

Anna biegła jak nigdy w życiu, ale wiedziała, że to daremne. Za kilka sekund dopadnie ją nieustępliwy szary potwór i zadławi wszystko. Nie wątpiła, że czekają śmierć. Pragnęła tylko, by nastąpiła szybko.

Fenston obserwował World Trade Center z bezpiecznego miejsca w biurze na Wall Street.

Patrzył z niedowierzaniem, jak drugi samolot leci prosto na Wieżę Południową.

Podczas gdy większość nowojorczyków martwiła się losem przyjaciół krewnych i znajomych i myślała, jak im pomóc w tych tragicznych chwilach, inni zaś zastanawiali się nad tym, co to oznacza dla Ameryki, Fenston miał w głowie tylko jedno.

Przybył wraz z Leapmanem na Wall Street na spotkanie z potencjalnym klientem tuż przed atakiem na Wieżę Północną. Zrezygnował ze spotkania i spędził następną godzinę przy automacie telefonicznym w korytarzu, usiłując skontaktować się z kimkolwiek ze swojego biura, ale nikt nie podnosił tam słuchawki. Inni też chcieli skorzystać z telefonu, ale Fenston był niewzruszony. Leapman z kolei wydzwaniał z telefonu komórkowego.

Kiedy Fenston usłyszał drugi wybuch, puścił słuchawkę i popędził do okna. Leapman prędko do niego podszedł. Obaj stali w milczeniu i patrzyli na walącą się Wieżę Południową.

- Niedługo runie i Północna - rzekł Fenston.

- To chyba możemy uznać, że Petrescu nie przeżyje - powiedział rzeczowo Leapman.

- Mam gdzieś Petrescu - odrzekł Fenston. - Jak padnie Wieża Północna, stracę mojego Moneta, a nie jest ubezpieczony.

Anna biegła z maksymalną prędkością, z każdą chwilą coraz dotkliwiej sobie uświadamiając, że wszystko wokół cichnie. Krzyki zamierały jeden po drugim i wiedziała, że wkrótce przyjdzie na nią kolej. Wydawało się, że za nią nie ma już nikogo i pierwszy raz w życiu zapragnęła, by ktoś - ktokolwiek - ją wyprzedził, żeby się nie czuła jak ostatni człowiek na całej kuli ziemskiej. Rozumiała

teraz, jak to jest, kiedy za tobą pędzi lawina z szybkością dziesięć razy większą, niż potrafi osiągnąć istota ludzka. Ta szczególna lawina była czarna.

Anna oddychała głęboko, przymuszając swoje ciało do szybkości, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała. Podciągnęła białą jedwabną bluzkę - teraz czarną, przemoczoną i wymiętą - i przyłożyła ją do ust, tuż zanim dogoniła ją nieustępliwa, spowijająca wszystko szara chmura.

Potężny podmuch powietrza pchnął Annę i rzucił na ziemię, ale wciąż desperacko usiłowała posuwać się do przodu. Zdołała zrobić kilka kroków, nagle jednak zaczęła się gwałtownie krztusić. Zmusiła się, żeby iść dalej, lecz zaraz uderzyła głową o coś twardego. Położyła dłoń na murze i próbowała wymacać drogę. Ale czy się oddalała od szarej chmury, czy do niej wracała? Popiół, błoto, pył miała w ustach, oczach, uszach, nosie i we włosach, maź wżarła się jej w skórę. Czuła się tak, jakby miała żywcem spłonąć. Pomyślała o ludziach, którzy na jej oczach wyskakiwali z okien, bo uznali, że tak będzie lżej umierać. Teraz ich rozumiała, ale ona nie miała jak skoczyć i mogła się tylko zastanawiać, czy prędko się udusi. Zrobiła ostatni krok, uklękła na ziemi i zaczęła się modlić.

- Ojczy nasz... - Ogarnął ją spokój. Już prawie zamykała oczy i zapadała w głęboki sen, kiedy w nicości dostrzegła błyskające policyjne światło. - Któryś jest w niebie... - Zdobyła się na ostatni wysiłek, dźwignęła się i ruszyła w stronę niebieskiego światła. - Świeć się imię Twoje... - ale samochód przejechał obok, bo nie usłyszano jej żalosnego wołania o pomoc. - Przyjdź Królestwo Twoje... - Anna znowu upadła, kalecząc kolano o brzeg krawężnika - Bądź wola Twoja... - nic jednak nie poczuła. - Jako w niebie, tak i na ziemi. - Uchwyciła się prawą ręką krawężnika i posunęła się jeszcze parę centymetrów. Traciła oddech, ale wydało się jej, że dotyka czegoś ciepłego. Czy to coś żywego? - Pomocy - szepnęła cicho, nie oczekując odpowiedzi.

- Proszę mi dać rękę - usłyszała. Ktoś mocno ją chwycił, - Niech pani spróbuje wstać. - Z pomocą mężczyzny Anna dźwignęła się na nogi. - Czy widzi pani ten trójkąt światła z tamtej strony? - zapytał mężczyzna, ale ona nawet nie widziała, gdzie wskazywał.

Obróciła się w koło, lecz zewsząd otaczała ją czarna noc. Wtem wyrwał się jej stłumiony okrzyk radości, kiedy dostrzegła promień słońca przebijający się przez grubą powłokę mroku. Uchwyciła rękę nieznajomego i oboje zaczęli wolno podążać ku światłu, które z każdym krokiem stawało się jaśniejsze, aż w końcu wydostała się z piekła i znalazła na powrót w Nowym Jorku.

Obróciła się do obsypanej popiołem postaci, do człowieka, który uratował jej życie. Miał mundur tak brudny i zapyłony, że gdyby nie znajoma czapka z daszkiem i odznaka, nie odgadłaby, że jest policjantem. Uśmiechnął się i na twarzy pokazały mu się bruzdy, jakby miał gruby makijaż.

- Proszę iść do światła - powiedział i zniknął w nieprzeniknionej chmurze, zanim zdążyła mu podziękować.

Amen.

Fenston zrezygnował z prób dodzwonienia się do swojego biura dopiero wtedy, gdy na jego oczach padła Wieża Północna. Odłożył słuchawkę, pognął z powrotem obcym korytarzem i natknął się na Leapmana, który właśnie nagryzmolił słowo „Sprzedane” na tabliczce „Do wynajęcia”, wiszącej na drzwiach pustego pomieszczenia biurowego.

- Jutro dziesięć tysięcy ludzi będzie walczyć o to miejsce - wyjaśnił Leapman - więc przynajmniej jeden problem mamy z głowy.

- Jedno biuro można zastąpić drugim, ale nic mi nie zwróci mojego Moneta - odrzekł niewdzięczny Fenston. I po chwili milczenia dodał: - A jeżeli me dostanę tego van Gogha...



- Obraz powinien być w połowie drogi nad Atlantykiem - zauważył Leapman, spojrzawszy na zegarek.

- Miejmy nadzieję, bo teraz nie mamy żadnej dokumentacji poświadczającej, że jest naszą własnością - powiedział Fenston, spoglądając przez okno na szarą chmurę, która się unosiła nad miejscem, gdzie przedtem stały wyniosłe bliźniacze wieże.

Anna dołączyła do grupy maruderów, którzy się wynurzyli z mroku. Towarzysze niedoli wyglądali, jakby już ukończyli maraton, ale jeszcze nie dotarli do mety. Po wydostaniu się z głębokich ciemności Anna nie mogła patrzeć na świecące ostrym blaskiem słońce; nawet podniesienie zapyłonych powiek wymagało wysiłku. Wlokła się krok za krokiem, potykając się, odkrztuszając błoto i pył, i zastanawiała się, ile jeszcze czarnej mazi ma w płucach. Zrobiła kilka kroków i upadła na kolana, spokojna, że szara chmura już jej nie dogoni. Kaszłała i odpluwała. Nagle uniosła głowę i ujrzała, że otacza ją grupa zaintrygowanych gapiów, którzy patrzą na nią, jakby spadła z innej planety.

- Czy była pani w którejś z wież? - spytał ktoś.

Nie miała siły odpowiedzieć i postanowiła uciec jak najdalej od ciekawskich oczu. Zaledwie po kilku krokach wpadła na japońskiego turystę, który się pochylił, żeby ją sfotografować. Gniewnie odprawiła go machnięciem ręki, na co zgiął się niżej w ukłonie i przeprosił.

Kiedy dotarła do następnego skrzyżowania, opadła na chodnik i wzniosła oczy w górę: znajdowała się na rogu Franklin i Church. Dzieli mnie tylko kilka przecznic od mieszkania Tiny, napłynęła myśl. Ale czy Tina się uratowała, skoro była gdzieś z tyłu? Nagle ni stąd, ni zowąd przy Annie zatrzymał się autobus. Chociaż był tak zatłoczony jak tramwaj w San Francisco w godzinach szczytu, ludzie odsunęli się, by mogła wsiąść. Autobus przystawał przy każdej przecznicy, jedni wyskakiwali, drudzy wsiadali, nikt nie płacił za bilet. Wydawało się, że wszyscy nowojorczyści solidarnie chcą odegrać swoją rolę w trwającym dramacie.

- O mój Boże - szepnęła Anna, znalazłszy się w autobusie, i objęła głowę rękoma. Pierwszy raz pomyślała o strażakach, którzy wymijali ją na schodach oraz o Tinie i Rebecce, które na pewno nie żyją. Dopiero kiedy się zna człowieka, tragedia przestaje być wiadomością prasową.

Kiedy autobus stanął w Greenwich Village w pobliżu Washington Square Park, Anna o mało się nie przewróciła, wysiadając. Dobrnęła do chodnika i zaczęła od nowa odkrztuszać szarą mazę, od czego powstrzymywała się w autobusie. Obca kobieta usiadła przy niej na krawężniku i podała jej butelkę wody. Anna kilkakrotnie przeplukała usta, po czym pluła czarnym płynem. Opróżniła butelkę, ale nie połknęła ani kropli. Kobieta pokazała jej hotelik, dokąd uciekinierzy z World Trade Center napływali i skąd odpływali nieprzerwanym strumieniem, po czym ujęła Annę pod rękę i ostrożnie ją poprowadziła do damskiej toalety na parterze. W pomieszczeniu było pełno mężczyzn i kobiet, ale nikt nie zważał na płęć. Anna zobaczyła siebie w lustrze i pojęła, dlaczego gapie tak dziwnie na nią patrzyli. Wyglądała, jakby ktoś wysypał na nią kilka worków szarego popiołu. Trzymała ręce pod kurkiem z wodą tak długo, aż tylko paznokcie zostały czarne. Następnie próbowała zmyć z twarzy warstwę zbrylonego pyłu, co się okazało prawie niewykonalne. Chciała podziękować nieznajomej, ale ta, podobnie jak policjant, odeszła, żeby pomóc komuś innemu.

Kulejąc, wróciła na ulicę; czuła suchość w ustach, miała skaleczone kolana, stopy pokryte pęcherzami i obolałe. Szła z trudem przez Waverly Place usiłując sobie przypomnieć numer mieszkania Tiny. Minęła opustoszałą restaurację i zatrzymała się przed domem oznaczonym numerem

dwieście siedemdziesiątym trzecim.

Uchwyciła się znajomej balustrady z kutego żelaza niczym liny ratunkowej i podciągnęła się w górę schodów pod frontowe drzwi. Przesunęła palcem obok dzwonek: Amato, Kravits, Gambino, O'Rourke, Forster...

- Forster, Forster - powtarzała radośnie i nacisnęła mały guzik dzwonka. Ale jakim cudem Tina może odpowiedzieć, skoro nie żyje? - Ta myśl kołatała się w mózgu Anny. Trzymała palec na dzwonku, jakby to miało przywrócić Tinę do życia, jednak nadaremnie. W końcu zrezygnowała i ze łzami płynącymi strumieniem po twarzy pokrytej zaskorupiałym pyłem odwróciła się, by odejść, gdy zirytowany głos zapytał:

- Kto tam?

Anna opadła na najwyższy stopień.

- Dzięki Bogu! - zawołała. - Ty żyjesz, żyjesz!

- Ale ty... przecież to niemożliwe, żebyś ty żyła... - odezwał się niedowierzający głos.

- Otwórz drzwi, to się przekonasz.

Trzask otwieranego zamka był najcudowniejszym dźwiękiem, jaki usłyszała tego dnia.

13

- Ty żyjesz, żyjesz! - powtarzała Tina, otwarłszy z impetem drzwi i objąwszy przyjaciółkę. Anna wyglądała jak ulicznik, który w epoce wiktoriańskiej czyścił kominy, ale to nie przeszkadzało Tinie, która ją mocno przytuliła.

- Myślałam o tym, że zawsze mnie rozśmieszałaś i zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś będę się śmiać, gdy usłyszałam dzwonek.

- A ja byłam przekonana, że nawet jeżeli jakoś wydostałaś się z budynku, to i tak nie mogłaś przeżyć, kiedy zawałiła się wieża.

- Gdybym miała butelkę szampana, to bym ją otworzyła dla uczczenia tej okazji - rzekła Tina, wypuszczając przyjaciółkę z objęć.

- Wystarczy mi kawa, potem jeszcze jedna kawa, a potem kąpiel.

- Kawę mam - powiedziała Tina. Ujęła Annę za rękę i poprowadziła ją do małej kuchenki na końcu korytarza. Na dywanie zostawały szare ślady stóp.

Anna usiadła przy okrągłym drewnianym stoliku i złożyła ręce na kolanach, a tymczasem telewizor z wyłączonym dźwiękiem pokazywał obrazy katastrofy widziane z drugiej strony. Nie poruszała się, bo wiedziała, że wszystko, czego dotknie, będzie natychmiast wysmarowane błotem i popiołem. Tina zdawała się tego nie zauważać.

- Wiem, że to może się wydać trochę dziwne - odezwała się Anna - ale nie mam pojęcia, co się dzieje.

Tina włączyła głos w telewizorze.

- Piętnaście minut relacji - powiedziała, nalewając wodę do dzbanka do kawy - i dowiesz się wszystkiego.

Anna patrzyła na niekończące się powtórki pokazujące samolot wbijający się w Wieżę Południową, ludzi rzucających się z wyższych pięter w dół na pewną śmierć i upadek najpierw Wieży Południowej, a potem Północnej.

- I inny samolot uderzył w Pentagon? - zapytała. - To ile ich właściwie jest?

- Był jeszcze czwarty - odparła Tina, stawiając dwa kubki na stole - ale nikt nie jest pewny, dokąd leciał.

- Przypuszczalnie na Biały Dom - rzekła Anna, spoglądając na ekran pokazujący prezydenta Busha przemawiającego z bazy Barksdale w Luizjanie: „Możecie być tego pewni, Stany Zjednoczone wytropią i ukarzą tych, którzy są odpowiedzialni za te tchórzliwe akty”.

Obraz się zmienił i teraz na ekranie znów było widać drugi samolot, nalatujący na Wieżę Południową.

- O mój Boże - westchnęła Anna. - Nawet nie pomyślałam o niewinnych pasażerach tych samolotów. Kto za tym wszystkim stoi? - zapytała.

Tina napełniła jej kubek czarną kawą.

- Departament Stanu jest ostrożny - rzekła - a ci zwykle podejrzani, jak Rosja, Korea Północna, Iran i Irak, od razu zakrzyknęli: „To nie ja!” i przysięgają, że zrobią wszystko, aby wytropić sprawców.

- A co mówią dziennikarze, bo ci nie muszą być ostrożni?

- CNN wskazuje na Afganistan, a szczególnie na grupę terrorystyczną o nazwie Al-Kaida. Chyba tak się to wymawia, chociaż nie jestem pewna, bo nigdy o nich nie słyszałam - odparła Tina, siadając naprzeciwko Anny.

- To chyba zgraja fanatyków religijnych, o których myślałam, że interesują się tylko opanowaniem Arabii Saudyjskiej, żeby dostać w swoje ręce ropę naftową. - Anna zerknęła znów na ekran telewizora i zaczęła słuchać słów komentatora, który próbował sobie wyobrazić, co to znaczyło być w Wieży Północnej, kiedy uderzył pierwszy samolot. Skąd to możesz wiedzieć, chciała go zapytać. Sto minut skurczyło się do kilku sekund i powtarzało się znów i znów, niczym dobrze znana reklama. Kiedy runęła Wieża Południowa i w niebo buchnął dym, Anna zaczęła głośno kaszleć, osypując wszystko wokół popiołem.

- Wszystko w porządku? - spytała Tina, podrywając się z krzesła.

- Tak, zaraz mi przejdzie - odparła Anna, dopijając kawę. - Czy można wyłączyć telewizor? To ciągle przypominanie, jak tam było, jest ponad moje siły.

- Oczywiście - rzekła Tina i nacisnęła guzik pilota. Obraz znikł.

- Nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich naszych przyjaciółach, którzy byli w budynku - powiedziała Anna.

Tina dolała jej świeżej kawy.

- Ciekawa jestem, czy Rebeka...

- Nie dała znaku życia - brzmiała odpowiedź. - Dotąd zgłosił się tylko Barry.

- Tak, wyobrażam sobie, że Barry pierwszy rzucił się na schody, tratując każdego, kto stanął mu na drodze. Ale do kogo zadzwonił Barry?

- Do Fenstona. Na jego komórkę.

- Fenston? - zdziwiła się Anna. - Jak udało mu się uciec, kiedy ja wyszłam z jego biura na kilka minut przed uderzeniem pierwszego samolotu?

- Wtedy zdążył już dotrzeć na Wall Street. Miał spotkanie z przyszłym klientem, którego jedynym atutem był obraz Gauguina, więc nie było mowy, żeby się spóźnił.

- A Leapman? - spytała Anna i upiła łyk kawy.

- Jak zwykle pół kroku za nim - rzekła Tina.

- To dlatego trzymano drzwi windy otwarte.

- Drzwi windy? - powtórzyła Tina.

- To nieważne - rzekła Anna. - Ale dlaczego nie było cię rano w pracy?

- Miałam wizytę u dentysty - wyjaśniła Tina. - Wyznaczoną kilka tygodni temu. - Zamilkła i spojrzała na Annę. - Kiedy tylko usłyszałam wiadomość, wydzwaniałam do ciebie na komórkę, ale nie odpowiadałaś. Gdzie byłaś?

- Opuszczałam pod eskortą teren firmy.

- Pod eskortą strażaka? - zapytała Tina.

- Nie, tego kretyna Barry'ego - odparła Anna.

- Ale dlaczego?

- Bo Fenston właśnie mnie wyrzucił.

- Wyrzucił cię? - rzekła Tina z niedowierzaniem. - Dlaczego akurat ciebie?

- Bo w sprawozdaniu dla zarządu zaleciłam, żeby Victoria Wentworth sprzedała obraz van Gogha, co by nie tylko pozwoliło jej spłacić zadłużenie w banku, ale i zachować pozostały majątek.

- Ale obraz van Gogha to był jedyny powód, dla którego Fenston poszedł na ten układ - zauważyła Tina. - Myślałam, że zdajesz sobie z tego sprawę. On od lat poluje na płótno tego malarza. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, to sprzedaż obrazu i wybawienie Victorii z tarapatów. Jednak to nie powód, żeby cię zwalniać. Jaki pretekst...

- Wysłałam też kopię sprawozdania klientce, bo uważałam, że tego wymaga etyka bankowa.

- Nie sądzę, żeby etyka spędzała Fenstonowi sen z oczu. Ale to mimo wszystko nie tłumaczy, dlaczego tak prędko się ciebie pozbył.

- Ponieważ miałam właśnie lecieć do Anglii i powiadomić Victorię, że nawet upatrzyłam jej ewentualnego kupca. Znanego kolekcjonera japońskiego, Takashiego Nakamurę, który na pewno chciałby szybko załatwić transakcję, pod warunkiem rozsądnej ceny wyjściowej.

- Nietrafny wybór - zauważyła Tina. - Niezależnie od ceny Nakamura jest ostatnim człowiekiem, z którym Fenston chciałby prowadzić interesy. Obaj od lat polują na obraz van Gogha i zawsze tylko oni dwaj zostają na placu boju, kiedy licytuje się płótna ważnych impresjonistów.

- Dlaczego mi o tym nie powiedział? - rzekła Anna.

- Bo nie zawsze jest mu na rękę mówić innym, co kombinuje - odparła Tina.

- Ale przecież byliśmy oboje w jednym zespole.

- Jaka ty jesteś naiwna, Anno. Czy nie zorientowałaś się, że w zespole Fenstona jest tylko jeden człowiek?

- Przecież on nie może zmusić Victorii, żeby mu oddała obraz van Gogha, chyba że...

- Nie byłabym tego taka pewna - rzekła Tina.

- Dlaczego?

- Wczoraj Fenston zatelefonował do Ruth Parish i polecił jej natychmiast zabrać obraz. Słyszałam, jak powtórzył: „Natychmiast!”

- Zanim Victoria miałaby szansę realizacji moich zaleceń.

- To by też tłumaczyło, dlaczego cię zwolnił, bo mogłabyś wsiąść do samolotu i pokrzyżować mu plany. Ale - dodała Tina - nie jesteś pierwszą osobą, która odważyła się wstąpić na tę wydeptaną ścieżkę.

- Co masz na myśli? - zainteresowała się Anna.

- Kiedy ktoś się połapie, jakie są prawdziwe zamiary Fenstona, prędko pokazuje się mu drzwi.

- To dlaczego ciebie nie wyrzucił?

- Ponieważ ja nie występuję z zaleceniami, do których on wolałby się nie stosować. Dzięki temu nie uważa mnie za zagrożenie. - Zamilkła na chwilę. - No, na razie.

Anna uderzyła gniewnie pięścią w stół, wzniesając obłoczek pyłu.

- Jaka ja jestem głupia - rzekła z westchnieniem. - Mogłam to przewidzieć, a teraz już nic nie mogę zrobić.

- Nie byłabym o tym taka przekonana - powiedziała Tina. - Nie wiemy, czy na pewno Ruth Parish zabrała obraz z Wentworth Hall. Jeżeli nie, to masz dość czasu, żeby zadzwonić do Victorii i doradzić jej, żeby go zatrzymała do czasu, kiedy się porozumiesz z Nakamurą. W ten sposób będzie mogła spłacić dług Fenstonowi, a on nie zdoła temu przeszkodzić - dodała. W tym momencie jej telefon komórkowy zagrał melodię „California, Here I Come”. Tina sprawdziła, kto dzwoni: wyświetliło się słowo SZEF. Położyła palec na ustach. - To Fenston - ostrzegła. | Przymuszczałnie chce się dowiedzieć, czy się ze mną kontaktowałeś.

- Czy wiesz, kogo zostawiliśmy na tym rumowisku? - zagadnął Fenston, zanim Tina zdążyła się odezwać.

- Annę?

- Nie - rzekł Fenston. - Petrescu nie żyje.

- Nie żyje? - powtórzyła Tina, rzucając spojrzenie przyjaciółce. -

Ale...

- Tak. Kiedy zgłosił się Barry, potwierdził, że ostatni raz ją widział, jak leżała na podłodze, więc przypuszczalnie nie przeżyła.

- Myślę, że pan...

- Nie ma co się martwić o Petrescu - ciągnął Fenston. - Już wiem, kim ją zastąpię, ale mojego Moneta nic nie zastąpi.

Tinie zdumienie na moment odebrało głos i właśnie chciała mu powiedzieć, jak bardzo się myli, gdy nagle przysła jej do głowy myśl, że może chamstwo Fenstona uda się obrócić na użytek Annie.

- Czy to znaczy, że straciliśmy również van Gogha?

- Nie - odparł Fenston. - Ruth Parish już potwierdziła, że obraz jest w drodze. Powinien być na lotnisku Kennedy'ego wieczorem i Leapman pojedzie go odebrać.

Tina zgarbiła się na krześle, zgnębiona.

- Pamiętaj, bądź w biurze jutro rano o szóstej.

- O szóstej?

- Tak - potwierdził Fenston. - I nie skarż się. W końcu cały dzień miałaś wolny.

- Gdzie się mam stawić? - zapytała Tina, nawet nie próbując się spierać.

- Zająłem biuro na trzydziestym drugim piętrze Trump Building przy Wall Street czterdzieści, więc będziemy pracować normalnie. - Fenston przerwał połączenie.

- On myśli, że zginęłaś - powiedziała Tina. - Ale bardziej martwi się utratą obrazu Moneta - dodała, zamykając pokrywkę telefonu.

- Prędko się dowie, że żyję - zauważyła Anna.

- Jeżeli będziesz tego chciała - rzekła Tina. - Czy ktoś cię widział, kiedy wydostałaś się z wieży?

- Tylko w takim stanie - odparła Anna.

- To lepiej zostawmy sprawy tak, jak są, a tymczasem ustalmy, co trzeba zrobić. Fenston mówi, że obraz van Gogha jest w drodze do Nowego Jorku i że Leapman odbierze go, jak tylko samolot

wylądować.

- To co możemy poradzić?

- Mogłabym spróbować jakoś zatrzymać Leapmana, a ty byś w tym czasie odebrała obraz.

- Ale co bym z nim zrobiła - spytała Anna - skoro Fenston na pewno by mnie poszukiwał?

- Mogłabyś wsiąść do pierwszego samolotu do Londynu i odwiedzić van Gogha do Wentworth Hall.

- Nie mogłabym tego zrobić bez pozwolenia Victorii - zastrzegła się

Anna.

- Dobry Boże! Anno, kiedy ty wydorosłujesz? Musisz przestać myśleć jak starosta szkolny i zacząć sobie wyobrażać, co by zrobił Fenston, gdyby był na twoim miejscu.

- Dowiedziałby się, o której godzinie ląduje samolot - powiedziała Anna. - Więc pierwszą rzeczą, jaką muszę zrobić...

- Przede wszystkim musisz wziąć prysznic, a tymczasem ja się dowiem, kiedy przylatuje samolot oraz co zamierza Leapman - oznajmiła Tina, wstając. - Bo jednego możesz być pewna: jeśli pozostaniesz w tym stanie, niczego na lotnisku ci nie wydadzą.

Anna dopiła kawę i podążyła za Tiną korytarzem. Przyjaciółka otworzyła drzwi do łazienki i przyjrzała się Annie.

- Do zobaczenia - zawahała się - za godzinę.

Pierwszy raz w tym dniu Anna się zaśmiała.

Powoli ściągnęła ubranie i rzuciła je na podłogę. Spojrzała do lustra i zobaczyła w nim kogoś obcego. Zdjęła z szyi srebrny łańcuszek i położyła go z boku, koło modelu jachtu. Na końcu zdjęła zegarek. Stała na ósmej czterdzieści sześć. Kilka sekund później byłaby w windzie.

Wchodząc pod prysznic, Anna zastanawiała się nad śmiałym planem Tiny. Odkręciła oba kurki i przez pewien czas delektowała się kaskadą wody, zanim pomyślała o myciu. Widziała, że barwa wody się zmienia z czarnej na szarą, ale chociaż zapamiętała się szorowała, woda ciągle była szara. Mimo to dalej tarła skórę, aż się zaczerwieniła i zaczęła ją piec, a na koniec sięgnęła po butelkę szamponu. Stojąc nadal pod prysznicem, trzykrotnie umyła głowę, ale wiedziała, że musi upłynąć wiele dni, zanim ktokolwiek pozna, że jest naturalną blondynką. Nie próbowała się wycierać, tylko się schyliła, zatkała wannę i odkręciła wodę. Leżąc w kąpieli, przypominała sobie wszystkie wydarzenia tego dnia.

Myślała o tym, ilu utraciła przyjaciół i kolegów i o tym, jakie miała szczęście, że przeżyła. Ale na opłakiwanie zmarłych przyjdzie czas, teraz musi coś zrobić, by uratować Victorię od powolnej śmierci.

Z zamyślenia wyrwało Annę stukanie do drzwi. Tina weszła do łazienki i przysiadła na brzegu wanny. - Dużo lepiej - oznajmiła z uśmiechem, przyjrzawszy się przyjaciółce.

- Zastanawiałam się nad twoim pomysłem - rzekła Anna - i gdybym mogła...

- Zmiana planów - wpadła jej w słowo Tina. - Niedawno nadano komunikat federalnego zarządu lotnictwa cywilnego, że wszystkie samoloty w Ameryce mają zakaz startów do odwołania i że samolotom przylatującym nie będzie wolno lądować, więc obraz van Gogha wraca teraz na Heathrow.

- Wobec tego muszę natychmiast zatelefonować do Victorii i powiedzieć jej, żeby poleciła Ruth Parish zwrócić obraz do Wentworth Hall.

- Zgoda - przytaknęła Tina - ale właśnie sobie uświadomiłam, że Fenston stracił jeszcze coś ważniejszego od Moneta.

- Czy może być dla niego coś ważniejszego?

- Umowa z Victorią i wszystkie inne papiery, z których wynika, że zostanie właścicielem obrazu van Gogha i całej posiadłości Wentworthów, o ile Victoria nie spłaci długu.

- Czy nie trzymałaś kopii zapasowych? - spytała Anna.

- Tak - odparła Tina po chwili wahania. - W sejfie w biurze Fenstona.

- Jednak nie zapominaj, że Victoria też ma te dokumenty. Tina znów chwilę milczała.

- Chyba że zechce je zniszczyć - powiedziała w końcu.

- Ona nigdy się na to nie zgodzi - rzekła Anna.

- Może byś spróbowała do niej zadzwonić i spytać ją? Gdyby na to poszła, miałabyś aż nadto czasu, żeby sprzedać van Gogha i zwrócić dług Fenstonowi, zanim mógłby coś zrobić.

- Jest tylko jeden problem.

- Jaki? - spytała Tina.

- Nie mam jej numeru telefonu. Jej akta są w moim biurze, a ja straciłam wszystko, łącznie z komórką, notesem elektronicznym i portfelem.

- Na pewno ci powiedzą w informacji międzynarodowej - podsunęła Tina. - A teraz się wytrzymaj i włóż mój płaszcz kąpielowy. Potem wykombinujemy ci jakieś ubranie.

- Dziękuję - powiedziała Anna, ścisnąwszy jej rękę.

- Chyba nie będziesz mi dziękować, kiedy zobaczysz, czym cię poczęstuję. Nie spodziewałam się gości, więc musisz się zadowolić pozostałościami chińskiego dania.

- Wspaniale - rzekła Anna. Wyszła z wanny, schwyciła ręcznik i ciasno się nim owinęła.

- Do zobaczenia za dwie minuty - rzuciła Tina. - W tym czasie to wykwintne danie odgrzeje się w kuchence mikrofalowej. - Odwróciła się do drzwi.

- Tina, czy mogę cię o coś zapytać?

- O wszystko, co chcesz.

- Dlaczego pracujesz u Fenstona, skoro nie cierpisz go tak samo jak ja? Tina nie od razu odpowiedziała.

- O wszystko, tylko nie o to - rzuciła w końcu i zamknęła za sobą drzwi.

14

Ruth Parish podniosła słuchawkę miejskiego telefonu.

- Cześć, Ruth - odezwał się znajomy głos z nieoczekiwaną wiadomością. - Tu Ken Lane z United Airlines. Chcę ci powiedzieć, że nasz samolot do Nowego Jorku, lot numer sto siedem, został zawrócony i mniej więcej za godzinę wyląduje na Heathrow.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Ruth.

- Nie znam w tej chwili szczegółów - przyznał Ken - ale z doniesień napływających z lotniska Kennedy'ego wynika, że na bliźniacze wieże dokonano ataku terrorystycznego. Żadne lotnisko w Stanach nie udziela zgody na starty i lądowania aż do odwołania.

- Kiedy to się stało?

- Około pierwszej naszego czasu, pewno wyszłaś wtedy na lunch. Możesz się o tym dowiedzieć z telewizji. Pokazują to wszystkie stacje.

Ruth schwyciła leżącego na biurku pilota i wycelowała w ekran.

- Czy umieścisz obraz van Gogha w magazynie - zagadnął Ken - czy chcesz, żeby go odwieźć z powrotem do Wentworth Hall?

- Na pewno nie wróci do Wentworth Hall - odparła Ruth. - Na noc umieszczę go w zamkniętej strefie celnej, a jak tylko na lotnisku Kennedyego zniosą ograniczenia, wsadzę go do pierwszego samolotu do Nowego Jorku. - Zastanowiła się. - Czy potwierdzisz przewidywany czas przylotu, żebym wysłała wcześniej furgon?

- Dobra - rzekł Ken.

Ruth odłożyła słuchawkę i spojrzała na ekran telewizora. Wklepała numer 501 na pilocie. Pierwsze, co zobaczyła, to samolot uderzający w Wieżę Południową.

Teraz rozumiała, dlaczego Anna nie odpowiadała na jej telefon.

Wycierając się po kąpieli, Anna zaczęła się zastanawiać, jaki Tina może mieć powód, by nadal pracować u Fenstona. Nie rozumiała jej motywów; przecież Tina ze swoją inteligencją mogłaby dostać o wiele lepszą pracę.

Włożyła płaszcz kąpielowy i ranne pantofle przyjaciółki, zawiesiła na szyi łańcuszek z kluczem i włożyła na rękę zegarek wskazujący wciąż tę samą godzinę. Obejrzała się w lustrze; jej wygląd zdecydowanie się poprawił, ale ilekroć pomyślała o tym, co przeżyła ledwo kilka godzin temu, ogarniały ją mdłości. Ciekawe, pomyślała, przez ile dni, miesięcy, lat będzie ją prześladował ten koszmar.

Otworzyła drzwi łazienki i przeszła korytarzem, omijając szare ślady stóp, jakie zostawiła na dywanie. Kiedy wkroczyła do kuchni, Tina przerwała nakrywanie do stołu i podała jej swój telefon komórkowy.

- Czas zadzwonić do Victorii i uprzedzić ją, co knujesz.

- A co knuję?

- Na początek zapytaj ją, czy wie, gdzie jest obraz van Gogha.

- Przypuszczam, że zamknięty w strefie celnej na Heathrow, ale jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. - Anna wybrała numer 00.

- Centrala międzynarodowa.

- Potrzebny mi numer telefonu w Anglii - powiedziała Anna.

- Firmowy czy prywatny?

- Prywatny.

- Nazwisko?

- Wentworth, Victoria Wentworth.

- Adres?

- Wentworth Hall, Wentworth, Surrey. Nastąpiło długie milczenie, po czym Anna usłyszała:

- Przykro mi, proszę pani, ale ten numer jest zastrzeżony.

- Jak to? - zapytała Anna.

- Nie mogę podać tego numeru.

- Ale to pilna sprawa - nalegała Anna.

- Przykro mi, proszę pani, ale nie mogę go podać.

- Ale ja jestem bliską przyjaciółką.

- Może sobie pani być królową Anglii, i tak nie podam tego numeru.

- Połączenie zostało przerwane.



Anna się zasepiła.

- Jaki zatem mamy plan B? - zapytała Tina.

- Nie ma rady, muszę jakoś dotrzeć do Anglii i postarać się zobaczyć z Victorią, żeby ją ostrzec o zamiarach Fenstona.

- Dobrze. Teraz trzeba zdecydować, przez jaką granicę masz się przedostać.

- Jaką mam szansę przekroczenia granicy, kiedy nawet nie mogę wrócić do swojego mieszkania i zabrać rzeczy, bo wszyscy by się dowiedzieli, że jestem cała i zdrowa?

- Nie ma przeszkód, żebym ja poszła do twojego mieszkania - zauważyła Tina. - Powiedz, co ci potrzeba, to spakuję torbę i...

- Nic nie trzeba pakować - rzekła Anna. - Wszystko, czego potrzebuję, jest gotowe i czeka w holu. Przecież dziś wieczorem miałam lecieć do Londynu.

- To znaczy, że potrzebuję tylko klucza do twojego mieszkania.

Anna odpięła łańcuszek i podała jej klucz.

- A jak poradzę sobie z portierem? - zagadnęła Tina. - Na pewno zapyta, do kogo przyszłam.

- Z tym nie będzie kłopotu - uspokoiła ją Anna. - On ma na imię Sam. Powiedz mu, że przyszedł do Davida Sullivana, to się uśmiechnie i przywoła windę.

- Kto to taki ten Sullivan?

- Mieszka na czwartym piętrze i rzadko przyjmuje jedną dziewczynę dwa razy. Płaci Samowi parę dolarów tygodniowo, żeby utrzymywać każdą w przekonaniu, że jest jedyną kobietą w jego życiu.

- Ale to nie rozwiązuje problemu pieniędzy - zauważyła Tina. - Nie zapominaj, że straciłaś w katastrofie portfel i kartę kredytową, a wszystko, co ja mam przy duszy, to siedemdziesiąt dolarów.

- Wzięłam wczoraj z konta trzy tysiące dolarów - rzekła Anna. - Przy przewożeniu wartościowego obrazu nie można ryzykować opóźnienia i trzeba zadbać o to, żeby mieć na trasie zapasowego przewoźnika. Mam też pięćset dolarów w szufladce przy łóżku.

- I będzie ci potrzebny mój zegarek - dodała Tina.

Anna zdjęła swój zegarek i zamieniła się z Tiną.

- Nigdy nie zapomnisz - rzekła Tina, patrząc na tarczę - o której godzinie uderzył ten samolot.

Zadźwięczał sygnał kuchenki mikrofalowej.

- To może być niejadalne - uprzedziła Tina, podając wczorajszego kurczaka z ryżem smażonym po kantońsku. Między jednym kęsem a drugim przyjaciółki omawiały sposoby wydostania się z miasta i zastanawiały się, jaką granicę będzie najbezpieczniej przekroczyć.

Kiedy zmiotły wszystko z talerzy i wypily następny dzbanek kawy, rozważyły wszystkie możliwe szlaki z Manhattanu, choć Anna wciąż nie była zdecydowana, czy powinna kierować się na północ, czy na południe. Tina włożyła talerze do zlewu i powiedziała:

- Ty decyduj, która droga będzie najszybsza, a ja spróbuję się wydostać z centrum i wejść do twojego mieszkania, nie wzbudzając podejrzeń Sama.

Anna uścisnęła przyjaciółkę.

- Uważaj - ostrzegła ją. - Tam jest piekło.

Tina zatrzymała się na górnym stopniu schodów. Coś było nie tak. Po chwili zrozumiała, co takiego. W ciągu jednego dnia Nowy Jork się zmienił.

Ulice nie były już pełne pędzących ludzi, niemających czasu, żeby przystanąć i pogadać,

tworzących najbardziej dynamiczne zbiorowisko na świecie. Tinie się wydało, że to niedziela. Nie, nawet nie niedziela. Ludzie stali i patrzyli w stronę World Trade Center. Towarzyszył im akompaniament niemilkających syren, bezustannie przypominających tutejszym mieszkańcom - jeżeli potrzebowali przypomnienia - że to, co oglądali w telewizorach w swoich domach, klubach, barach, nawet na wystawach sklepów, rozgrywa się tylko o kilka przecznic dalej.

Tina wędrowała ulicą w poszukiwaniu taksówki, ale nie widziała znajomych żółtych samochodów, tylko czerwone, białe i niebieskie barwy wozów strażackich, karet pogotowia i pojazdów policyjnych, płynących w jednym kierunku. Grupki ludzi zbierały się na rogach ulic i oklaskiwały przejeżdżających pracowników trzech służb, jakby to byli młodzi rekruci opuszczający kraj, by na obczyźnie walczyć z wrogiem. Teraz już nie trzeba po to wyjeżdżać za granicę, pomyślała Tina.

Szła przed siebie, mijając przecznicę za przecznicą, zdając sobie sprawę, że podobnie jak podczas weekendów dojeżdżający umknęli w góry, pozostawiając miejscowym robotę. Ale teraz jeszcze jedna nieznaną, oszołomioną grupą ludzi krąży po mieście. W ostatnim stuleciu Nowy Jork wchłonął przybyszy wszystkich nacji świata, a teraz dołączyło do nich jeszcze jedno plemię. Ci najnowsi imigranci wyglądali, jakby wyłonili się z trzewi ziemi i jak każda rasa wyróżniali się kolorem skóry - szaro-popielatym. Wałęsali się po Manhattanie niczym uczestnicy maratonu, kuśtykający do mety wiele godzin po tym, jak najlepsi zawodnicy opuścili scenę. Jednak było coś, co wszystkim, którzy owego jesienno-wieczoru zadzierali głowy w górę, jeszcze bardziej rzucało się w oczy. Podniebny zarys Nowego Jorku, jaki tworzyły wierzchołki wyniosłych, błyszczących drapaczy chmur, skrył się pod gęstą szarą mgłą, która wisiała nad miastem jak nieproszony gość. Od czasu do czasu w szatańskiej chmurze występowały przerwy i w jednej z nich Tina pierwszy raz ujrzała sterczące z ziemi wyszczerbione metalowe szczątki - wszystko co pozostało z jednej z najwyższych budowli świata. Dentysta ocalił jej życie.

Przechodziła obok pustych sklepów i restauracji w mieście, które nigdy nie kładło się spać. Życie powróci do Nowego Jorku, ale nigdy nie będzie on taki sam. Terrorysty to byli ludzie, którzy mieszkali w dalekich krajach: na Bliskim Wschodzie, w Palestynie, Izraelu, nawet w Hiszpanii, Niemczech i Irlandii Północnej. Tina spojrzała na chmurę. Teraz zamieszkali na Manhattanie i zostawili tu swoją wizytówkę.

Bez większej nadziei kolejny raz zamachała na widok - nieczęsty teraz - przejeżdżającej taksówki. Samochód zatrzymał się z piskiem opon.

15

Anna wróciła do kuchni i zabrała się do mycia naczyń. Próbowwała czymś się zająć, by wciąż nie wracać myślą do twarzy ludzi idących schodami do góry, twarzy, które, jak się obawiała, wryły się jej w pamięć do końca życia. Odkryła złą stronę swojego niezwykłego daru.

Zwróciła myśli ku Victorii Wentworth i zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób mogłaby przeszkodzić Fenstonowi w zrujnowaniu komuś życia. Czy Victoria uwierzy, że Anna nie wiedziała, iż Fenston od początku zamierzał ukraść jej van Gogha i wycisnąć z niej ostatni grosz? Właściwie dlaczego miałyby uwierzyć, skoro ona była członkinią zarządu i tak łatwo dała się otumanić?

Wyszła z kuchni i udała się na poszukiwanie mapy. Znalazła dwie na półce z książkami w pokoju od ulicy nad biurkiem Tiny: „Manhattański spryciarz” i „Atlas Ameryki Północnej”, wsparte o ostatni bestseller o Johnie Adamsie, drugim prezydencie Stanów Zjednoczonych. Stała i podziwiała plakat

Rothki na ścianie naprzeciw regału z książkami - wprowadziła nie jej ulubiony okres, ale wiedziała, że musi to być jeden z cenionych przez Tinę artystów, bo drugi miała w biurze. Już go nie ma, pomyślała, wracając do teraźniejszości. Wróciła do kuchni i rozpostarła na stole mapę Nowego Jorku.

Kiedy ustaliła, jaką drogą opuści Manhattan, złożyła mapę i sięgnęła po grubszy atlas. Liczyła, że pomoże jej zdecydować, którą granicę powinna przekroczyć.

Znalazła w spisie Meksyk i Kanadę, a potem zaczęła sporządzać obszerne notatki, jakby przygotowywała sprawozdanie dla zarządu; zwykle sugerowała wtedy dwie możliwości do wyboru, ale zawsze na końcu podawała zdecydowane zalecenie. Kiedy zamknęła gruby niebieski tom, nie miała wątpliwości, jaki powinna wybrać kierunek, żeby na czas dotrzeć do Anglii.

Jadąc taksówką do Thornton House, Tina rozmyślała o tym, jak się dostać do mieszkania Anny, a potem wyjść z jej bagażem, nie wzbudzając podejrzeń portiera. Gdy taksówka zajęła na miejsce, sięgnęła do kieszeni żakietu i zaczerwieniła się. Wyszła z mieszkania bez pieniędzy. Spojrzała przez plastikowe okno na identyfikator taksówkarza: Abdul Affridi - z lusterka wstecznego zwisały dyndające paciorki. Taksówkarz odwrócił się, ale nie uśmiechnął. Dziś nikt się nie uśmiechał.

- Nie wzięłam pieniędzy - oznajmiła Tina, czekając na stek przekleństw.

- Nie ma problemu - mruknął kierowca, wyskoczył z taksówki i otworzył Tinie drzwi. Wszystko w Nowym Jorku się zmieniło.

Tina podziękowała i w napięciu podeszła do drzwi frontowych; miała przygotowaną odzywkę na początek. Jednak kiedy zobaczyła Sama, który siedział w dyżurce, obejmując głowę rękoma i chlipiąc, wyrwały się jej całkiem inne słowa:

- Co się stało? Czy miał pan kogoś znajomego w World Trade Center?

Sam podniósł głowę. Przed nim leżała fotografia Anny biegnącej w maratonie.

- Ona nie wróciła do domu - powiedział. - Wszyscy inni lokatorzy, którzy tam pracowali, przyszli dawno temu.

Tina objęła starego człowieka. Oto jeszcze jedna ofiara. Tak bardzo chciała mu powiedzieć, że Anna jest zdrowa i cała. Ale nie dziś.

Tuż po ósmej Anna zrobiła sobie przerwę na odpoczynek i zaczęła przeglądać kanały telewizyjne. Wszystkie stacje pokazywały jedno wydarzenie. Uznała, że nie może oglądać niekończących się relacji, wciąż od nowa przypominających jej własną, epizodyczną rolę w dwuaktowym dramacie, i już miała wyłączyć telewizor, kiedy zapowiedziano, że prezydent Bush przemówi do narodu.

- Dobry wieczór. Dzisiaj nasi współobywatele... - Anna słuchała w skupieniu i skinęła głową, kiedy prezydent ciągnął: - Ofiary były w samolotach albo w biurach; sekretarki, biznesmeni i kobiety... - Anna znowu pomyślała o Rebecce. - Nikt z nas nigdy nie zapomni tego dnia... - zakończył prezydent i Anna całkowicie się z nim zgodziła.

Wyłączyła telewizor w chwili, kiedy Wieża Południowa waliła się z hukiem, co wyglądało jak kulminacyjny moment filmu katastroficznego.

Usiadła wygodnie i utkwiała wzrok w mapie rozłożonej na kuchennym stole. Dwa, a może trzy razy sprawdzała trasę, jaką opuści Nowy Jork. Dokładnie notowała wszystko, co powinna zrobić, zanim rano wyjdzie z domu, kiedy drzwi mieszkania nagle się otworzyły i do środka wkroczyła chwiejnym krokiem Tina - z torbą z laptopem przewieszoną przez ramię i z pękatą walizką, którą

ciągnęła za sobą. Anna wybiegła na korytarz na jej powitanie. Przyjaciółka wyglądała na wyczerpaną.

- Przepraszam, kochanie, że to tak długo trwało - powiedziała Tina.

Zostawiła bagaże w holu i powędrowała świeżo odkurzonym korytarzem do kuchni. - Mało autobusów jeździ w tę stronę, a w dodatku nie wzięłam ze sobą pieniędzy. - Opadła na krzesło kuchenne. - Niestety, musiałam naruszyć twoje pięćset dolarów, bo inaczej dotarłabym tutaj dopiero po północy.

Anna roześmiała się.

- Teraz na mnie kolej, żeby ci zrobić kawy - zaproponowała.

- Tylko raz zostałam zatrzymana - ciągnęła Tina - przez bardzo przyjaznego policjanta, który skontrolował twój bagaż i uwierzył, że odesłano mnie z lotniska, bo samolot nie odleciał. Nawet pokazałam mu twój bilet.

- Miałaś jakieś kłopoty u mnie w domu? - zagadnęła Anna, po raz trzeci parząc kawę.

- Tyle tylko, że musiałam pocieszać Sama, który po prostu cię ubóstwia. Wyglądał, jakby płakał od wielu godzin. Nie musiałam nawet wymieniać nazwiska Davida Sullivana, bo Sam chciał mówić tylko o tobie. Kiedy wsiadałam do windy, wcale się nie interesował, dokąd jadę. - Tina rozejrzała się po kuchni. Odkąd się wprowadziła, nigdy nie było tu tak czysto. - Więc masz już plan? - zapytała, spoglądając na mapę na kuchennym stole.

- Tak - odparła Anna. - Zdaje się, że najlepiej byłoby popłynąć promem do New Jersey, a potem wynająć samochód, ponieważ, według najnowszych wiadomości, wszystkie tunele i mosty są zamknięte. Wprawdzie do granicy kanadyjskiej jest ponad czterysta mil, ale powinnam dotrzeć na lotnisko w Toronto jutro wieczorem i wtedy byłabym w Londynie następnego dnia rano.

- Czy wiesz, o której odpływa pierwszy prom? - spytała Tina.

- Teoretycznie płyną bez przerwy, lecz w praktyce co piętnaście minut, począwszy od piątej rano. Ale kto wie, czy jutro w ogóle będą kursować, nie mówiąc o tym, czy zgodnie z rozkładem.

- Tak czy owak - rzekła Tina - proponuję, żebyś wcześniej się położyła i próbowała przespać. Nastawię budzik na wpół do piątej.

- Lepiej na czwartą - zaproponowała Anna. - Jeżeli prom będzie odpływał o piątej, chcę być pierwsza w kolejce. Podejrzewam, że wydostanie się z Nowego Jorku będzie najtrudniejszą częścią podróży.

- Wobec tego skorzystaj z sypialni - powiedziała Tina z uśmiechem - a ja się prześpię na kanapie.

- Mowy nie ma - zaprotestowała Anna, nalewając przyjaciółce świeżej kawy. - I tak zrobiłaś już dziś bardzo dużo.

- Wcale nie.

- Gdyby Fenston kiedyś się dowiedział o twoich poczynaniach - zauważyła Anna - natychmiast by cię wyrzucił.

- To byłoby moje najmniejsze zmartwienie - oświadczyła Tina bez dalszych wyjaśnień.

Jack bezwiednie ziewnął. To był ciężki dzień, a miał wrażenie, że noc będzie jeszcze gorsza.

Nikt z jego zespołu nie myślał, żeby pójść do domu, i wszyscy wyglądali na zmęczonych. Na jego biurku zadzwonił telefon.

- Pomyślałem, szefie, że powinienem ci powiedzieć - odezwał się Joe - że sekretarka Fenstona Tina Forster zjawiała się w Thornton House dwie godziny temu. Po czterdziestu minutach wyszła z

walizką i laptopem i pojechała z tym do domu.

Jack wyprostował się na krześle.

- Wobec tego Petrescu żyje - orzekł.

- Chociaż widać nie chce, żebyśmy tak myśleli - rzucił Joe.

- Ale dlaczego?

- Może woli, żebyśmy zaliczyli ją do tych, którzy zaginęli, i prawdopodobnie nie żyją - podsunął Joe.

- Nie my - rzekł Jack.

- To kto?

- Założyłbym się, że Fenston.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia - westchnął Jack. - Ale mam zamiar się tego dowiedzieć.

- W jaki sposób, szefie?

- Trzeba postawić ludzi pod mieszkaniem Tiny Forster, zanim Petrescu wyjdzie z budynku.

- Ale my nawet nie wiemy, czy ona tam jest.

- Jest, na pewno - powiedział Jack i odłożył słuchawkę.

-

12 września

16

Tej nocy Anna prawie nie spała, pochłonięta myślami o swojej przyszłości. Doszła do wniosku, że równie dobrze mogłaby wrócić do Danville i otworzyć galerię dla miejscowych artystów, skoro każdy potencjalny pracodawca, który zasięgnąłby opinii o niej u Fenstona, usłyszałby jego wersję wydarzeń. Uświadomiła sobie, że jedyną dla niej szansą ratunku jest dowieść, jakie były prawdziwe zamiary Fenstona, i uznała, że to niemożliwe bez pełnej współpracy Victorii i być może zniszczenia całej związanej ze sprawą dokumentacji, a nawet jej własnego sprawozdania.

Kiedy Tina zapukała do drzwi tuż po czwartej, Annę aż zdziwiła przepelniająca ją energia.

Wzięła znowu prysznic, ponownie umyła włosy i poczuła się prawie jak człowiek.

Podczas śniadania, przy czarnej kawie i bajgielkach. Anna omówiła z Tiną swój plan. Ustaliły zasady porozumiewania, kiedy Anna będzie poza krajem. Anna nie miała teraz karty kredytowej ani telefonu komórkowego, więc uzgodniła z Tiną, że będzie dzwonić na jej domowy numer - zawsze z publicznego telefonu, nigdy dwa razy z tego samego. Przedstawi się jako Vincent i tylko tym imieniem będzie się posługiwać. Rozmowa nie może trwać dłużej niż minutę.

Anna wyszła z domu o czwartej pięćdziesiąt dwie; miała na sobie dzinsy, niebieską trykotową koszulkę, lniany żakiet i czapkę baseballową. Nie była pewna, czego się spodziewać, gdy tego chłodnego mrocznego ranka stanęła na chodniku. Na ulicach było niewielu ludzi, a ci nieliczni mieli spuszczone głowy - miasto pograżyło się w żałobie. Nikt nie zwracał uwagi na Annę, kiedy z torbą z laptopem na ramieniu kroczyła zdecydowanym krokiem, ciągnąc za sobą walizkę. W którąkolwiek stronę zwróciła oczy, widziała szarą mgłę, nadal wiszącą nad miastem. Gęsta chmura się przerzedziła, ale niczym zaraza rozprzestrzeniła się na dalsze okolice. Z jakiegoś nieodgadnionego powodu Anna uznała, że kiedy się obudzi, chmura zniknie, ale ona, jak nieproszony gość na przyjęciu, na pewno odejdzie na ostatku.

Minęła grupę ludzi, którzy już się ustawiali w kolejce, by oddać krew, bowiem mieli nadzieję, że

odnajdzie się więcej tych, którzy przeżyli. Anna była jedną z nich, ale nie chciała, żeby ją znaleziono.

Fenston siedział za biurkiem w swoim nowym lokalu na Wall Street już o szóstej rano. W końcu w Londynie jest jedenasta. Najpierw zatelefonował do Ruth Parish.

- Gdzie jest mój van Gogh? - zagadnął, nie zadając sobie trudu, żeby się przedstawić.

- Dzień dobry panu - powiedziała Ruth, ale Fenston nie odwzajemnił pozdrowienia. - Jak z pewnością pan wie, samolot wiozący pański obraz został zawrócony w związku z wczorajszą tragedią.

- To gdzie jest mój van Gogh? - powtórzył pytanie Fenston.

- Bezpiecznie ukryty w naszym skarbcu w zamkniętej strefie celnej. Oczywiście będziemy musieli ponownie zgłosić go do odprawy i odnowić pozwolenie na wywóz. Ale nie ma potrzeby, żeby to robić przed...

- Zróbcie to dziś | powiedział Fenston.

- Dziś planowałam przewóz czterech obrazów Vermeera z...

- Pieprzyć Vermeera. Waszym pierwszym obowiązkiem jest dopilnować, żeby mój obraz był spakowany i gotowy do odbioru.

- Ale formalności mogą potrwać kilka dni - powiedziała Ruth. - Na pewno zdaje pan sobie sprawę, jakie jest teraz spiętrzenie po tym...

- Pieprzyć to - warknął Fenston. - Jak tylko federalny zarząd lotnictwa cywilnego zniesie ograniczenia, wyślę Karla Leapmana po obraz.

- Ale mój personel pracuje na okrągło, żeby nadrobić opóźnienia spowodowane przez...

- Powiem to tylko raz - rzekł Fenston. - Jeżeli obraz będzie gotów do załadunku, kiedy mój samolot wylądjuje na Heathrow, potroję, powtarzam: potroję pani wynagrodzenie.

Fenston odłożył słuchawkę, przeświadczony, że jego rozmówcy zapamięta tylko to jedno słowo: „potroję”. Mylił się. Ruth zachodziła w głowę, dlaczego Fenston nie wspomniał o ataku na bliźniacze wieże ani nie powiedział choćby słowa o Annie. Czy przeżyła, a jeżeli tak, to dlaczego jej nie wysłał po obraz?

Tina wysłuchiwała każdego słowa Fenstona w drugim aparacie w swoim pokoju - bez wiedzy prezesa. Żałowała, że nie może nawiązać kontaktu z Anną i prędko przekazać jej tych informacji - takiej ewentualności żadna z nich nie wzięła pod uwagę. Może wieczorem Anna zadzwoni.

Tina wyłączyła telefon, ale zostawiła włączony ekran ustawiony w rogu biurka. Dzięki niemu mogła obserwować wszystko, a co ważniejsze - wszystkich, którzy odwiedzali Fenstona, o czym on nie wiedział, zresztą o to nie pytał. Fenstonowi nie przyszłoby do głowy przychodzić do biura Tiny, skoro mógł ją wezwać, naciskając guzik, a gdyby do pokoju jak zwykle bez pukania wszedł Leapman, prędko zgasiłaby ekran.

Kiedy Leapman wynajmował na krótki czas biura na trzydziestym drugim piętrze, nie przywiązywał wagi do pokoju sekretarki. Interesowało go jedynie ulokowanie prezesa w jak najprzestronniejszym pomieszczeniu, podczas gdy on sam zajął pokój na drugim końcu korytarza. Tina nie przyznała się, że dysponuje dodatkowym wyposażeniem; miała świadomość, że z czasem ktoś to odkryje, ale sądziła, że może wcześniej zdoła zgromadzić wszystkie niezbędne informacje, by zgotować Fenstonowi jeszcze gorszy los niż ten, na jaki on ją skazał.

Skończywszy rozmawiać z Ruth Parish, Fenston przycisnął guzik z boku biurka. Tina chwyciła blok biurowy i ołówek i pośpieszyła do biura prezesa.

- Pierwsze, co trzeba zrobić - zaczął Fenston, zanim zdążyła zamknąć drzwi - to sprawdzić, ile mam jeszcze personelu. Niech pani zawiadomi wszystkich, gdzie się przenieśliśmy, żeby mogli natychmiast stawić się do pracy.

- Widziałam, że rano jeden z pierwszych zjawił się szef ochrony - zauważyła Tina.

- Tak jest - odparł Fenston. - I potwierdził, że kilka minut po tym, jak pierwszy samolot uderzył w Wieżę Północną, wydał polecenie, aby wszyscy pracownicy opuścili budynek.

- I podobno dał wszystkim przykład - mruknęła zjadliwym tonem Tina.

- Kto to pani powiedział? - spytał Fenston, podnosząc głowę.

Tina natychmiast pożałowała swoich słów i prędko odwróciła się do wyjścia.

- Do południa dostarczę panu te nazwiska - rzuciła.

Kilka godzin spędziła na próbach skontaktowania się z czterdziestoma trzema osobami, które pracowały w Wieży Północnej. Do dwunastej doliczyła się trzydziestu czterech. Zanim Fenston udał się na lunch, położyła mu na biurku listę dziewięciu nazwisk osób zaginionych, przypuszczalnie nieżyjących.

Nazwisko Anny Petrescu było na tej liście szóste.

Do czasu, kiedy Tina dostarczyła Fenstonowi listę z nazwiskami, Anna zdołała dotrzeć do pomostu jedenastego - taksówką, autobusem, piechotą, znowu taksówką - gdzie ujrzała długą kolejkę osób cierpliwie czekających na wejście na prom do New Jersey. Stanęła na końcu kolejki, włożyła ciemne okulary i naciągnęła tak nisko daszek czapki, że prawie zakrywał jej oczy. Skrzyżowała ramiona, podniosła kołnierz żakietu i opuściła głowę - chyba tylko jakiś wyjątkowo niewrażliwy osobnik mógłby próbować wdać się z nią w rozmowę.

Policja sprawdzała tożsamość wszystkich, którzy opuszczali Manhattan. Anna przyglądała się, jak ciemnowłosego, młodego człowieka o śniadej cerze odprowadzono na bok. Biedny chłopak się spieszył, kiedy otoczyło go trzech policjantów. Jeden zadawał mu pytania, drugi go obszukał.

Minęła prawie godzina, zanim Anna dotarła wreszcie do przodu kolejki. Zdjęła czapkę, odsłaniając długie jasne włosy i mleczną karnację.

- Dlaczego wybiera się pani do New Jersey? - zapytał policjant, sprawdzając jej tożsamość.

- Moja koleżanka pracowała w Wieży Północnej i do tej pory się nie odnalazła - odparła Anna. I po chwili milczenia dodała: - Pomyślałam, żeby odwiedzić jej rodziców.

- Przykro mi, proszę pani - rzekł policjant. - Mam nadzieję, że się znajdzie.

- Dziękuję - odparła Anna i prędko ruszyła ze swoimi bagażami schodnią w górę. Czowała się tak podle, że skłamała, że nie mogła spojrzeć na policjanta. Oparła się o poręcz i wbiła wzrok w szarą chmurę, która wciąż spowijała teren World Trade Center i sąsiednie ulice po obu stronach. Myślała o tym, ile minie dni, tygodni, a może miesięcy, zanim zniknie gęsta pokrywa dymu. Co powstanie na opustoszałym miejscu i jak zostanie uczczona pamięć zmarłych? Podniosła głowę i zapatrzyła się w bezchmurne błękitne niebo. Czegoś było brak. Chociaż znajdowali się w odległości kilku mil od lotnisk Kennedyego i La Guardi, na niebie nie było ani jednego samolotu, jak gdyby wszystkie nagle odleciały w inną stronę świata.

Wysłużony silnik ożył z dygotem i prom powoli ruszył w krótką podróż na drugą stronę Hudsonu do New Jersey.

Na nabrzeżu zegar na wieży wybił pierwszą. Minęło pół dnia.

- Żadne samoloty nie będą odlatywały z lotniska Kennedy'ego przez następne dwa dni - powiedziała Tina.

- Prywatne też nie? - spytał Fenston.

- Nie ma żadnych wyjątków - zapewniła go Tina.

- Królewskiej rodzinie saudyjskiej pozwolono odlecieć jutro - wtrącił Leapman, który stał obok prezesa - ale to chyba jedyny wyjątek.

- Tymczasem staram się pana umieścić na liście priorytetowej, jak to zwą dziennikarze - powiedziała Tina, która wolała nie wspominać, że dyrekcja lotniska nie uznała życzenia szefa, pragnącego zabrać obraz van Gogha z Heathrow, za nadzwyczaj ważne.

- Czy mamy jakichś przyjaciół na lotnisku Kennedy'ego? - zagadnął Fenston.

- Kilku - rzekł Leapman - ale wszyscy nagle dorobili się mnóstwa bogatych krewnych.

- Macie jakiś inny pomysł? - spytał Fenston, spoglądając na oboje.

- Mógłby pan pojechać samochodem do Meksyku albo do Kanady

- podsunęła Tina - i stamtąd polecieć samolotem rejsowym. - Dobrze wiedziała, że szef nie przyjmie takiej rady.

- Fenston pokręcił głową i zwracając się do Leapmana, powiedział:

- Spróbuj z któregoś z naszych przyjaciół zrobić krewnego - komuś trzeba będzie coś odpalić. Tak jest zawsze.

17

- Wezmę każdy samochód, jaki pan ma - powiedziała Anna.

- W tej chwili niczym nie dysponuję - odparł zduszony młody człowiek w stoisku z napisem „Happy Hire”; na piersi miał plastikową plaketkę, na której widniało imię Hank. - I nie spodziewam się, żeby coś zwrócono przed jutrzejszym rankiem - dodał, nie bacząc na wypisaną u góry dewizę firmy: „Nikt nie odejdzie od nas bez uśmiechu”.

Anna nie umiała ukryć rozczarowania.

- Nie sądzę, żeby chciała się pani zdecydować na furgonetkę - rzekł Hank. - To nie jest najnowszy model, ale jeżeli pani bardzo zależy...

- Biorę - powiedziała Anna, czując, że długa kolejka chętnych za jej plecami tylko czeka, żeby odmówiła.

Hank położył na kontuarze trzy egzemplarze formularza i przystąpił do wypełniania rubryczek. Anna podała mu prawo jazdy i paszport, dzięki czemu mógł ich wypełnić nawet więcej.

- Jak długo pojazd będzie pani potrzebny? - spytał Hank.

- Dzień, może dwa. Zostawię go na lotnisku w Toronto.

Wypełniwszy wszystkie rubryczki, Hank obrócił formularz i podsunął Annie do podpisu.

- Należy się sześćdziesiąt dolarów i dwieście dolarów kaucji.

- Anna zmarszczyła brwi i podała Hankowi dwieście sześćdziesiąt dolarów.

- I poproszę o kartę kredytową.

Anna położyła przed Hankiem jeszcze jeden banknot studolarowy. Pierwszy raz próbowała kogoś przekupić. Hank schował banknot do kieszeni.

- To biała furgonetka na stanowisku trzydziestym ósmym - powiedział, wręczając Annie kluczyki.

Kiedy Anna tam dotarła, pojęła, dlaczego mała, dwumiejscowa biała furgonetka była ostatnim pojazdem do wzięcia. Otworzyła tylne drzwi i umieściła w środku walizkę i laptopa, a potem poszła



do przodu i wcisnęła się na pokryty plastikiem fotel kierowcy. Spojrzała na deskę rozdzielczą. Licznik wskazywał 98 617 mil, a według szybkościomierza maksymalna prędkość wynosiła dziewięćdziesiąt mil na godzinę, co Anna przyjęła ze sceptycyzmem. Samochód wyraźnie dożywał swoich dni i dodatkowe czterysta mil prawdopodobnie go wykończy. Wątpiła, czy był wart trzysta sześćdziesiąt dolarów.

Uruchomiła silnik i niepewnie wycofała samochód z parkingu. W bocznym lusterku zobaczyła jakiegoś mężczyznę, który prędko zszedł z drogi. Nim ujechała milę, przekonała się, że samochód nie został zaprojektowany ani dla szybkości, ani dla wygody. Spojrzała na mapę, którą rozłożyła obok na siedzeniu pasażera, a potem zaczęła się rozglądać za drogowskazami do Jersey Turnpike i Del Water Gap. Chociaż nic nie jadła od śniadania, uznała, że pomyśli o posiłku, kiedy przejedzie kilka mil.

- Miałaś rację, szefie - rzekł Joe. - Ona nie zmierza do Danville.

- A dokąd?

- Na lotnisko w Toronto.

- Jedzie samochodem czy pociągiem?

- Furgonetką - odparł Joe.

Jack spróbował obliczyć, ile czasu zajmie Annie podróż, i doszedł do wniosku, że powinna dotrzeć do Toronto najpóźniej nazajutrz po południu.

- Przymocowałem nadajnik GPS do jej tylnego zderzaka - dodał Joe

- tak że będziemy mogli ją śledzić dzień i noc.
- I dopilnuj, żeby agent czekał na nią na lotnisku.
- Już go odkomenderowałem - rzekł Joe - i poleciłem, żeby dał mi znać, gdzie ona poleci.
- I Do Londynu - powiedział Jack.

Przed trzecią po południu Tinie udało się wykreślić z listy zaginionych cztery nazwiska. Trzy osoby wzięły udział w prawyborach na burmistrza, a czwarta spóźniła się na pociąg.

Fenston sprawdził listę, a Leapman wskazał palcem jedyne nazwisko, które go interesowało. Fenston na nie spojrział i skinął głową. Uśmiechnął się.

- Zostaliśmy wyręczeni - skomentował Leapman.
- Jakie wieści z lotniska Kennedy'ego? - spytał Fenston.
- Zezwolą jutro na parę lotów - rzekł Leapman. - Dyplomaci, nagle przypadki do szpitali i wysocy rangą politycy, prześwietleni przez Departament Stanu. Ale udało mi się załatwić dla nas okienko w piątek rano. - Chwilę milczał. ~ Komuś był potrzebny nowy samochód.
- Jaki model? - spytał Fenston.
- Ford mustang - odparł Leapman.
- Zgodziłbym się nawet na cadillaca.

O wpół do czwartej Anna dotarła do obrzeży Scranton, ale postanowiła jeszcze przez dwie godziny jechać dalej. Dzień był bezchmurny i rześki, a trzypasmowa autostrada pełna samochodów jadących na północ; prawie wszystkie ją wyprzedzały. Trochę się odprężyła, kiedy rosnące po obu stronach drogi wysokie drzewa zastąpiły drapacze chmur. Przeważnie na autostradach obowiązywało ograniczenie prędkości do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, co odpowiadało osobliwemu wehikułowi Anny. Ale musiała mocno dzierżyć kierownicę, żeby furgonetka nie zbaczała na inny pas. Anna spojrzała na mały zegarek na desce rozdzielczej. Postanowiła, że spróbuje przed siódmą dojechać do Buffalo, a potem zrobi sobie przerwę.

Spojrzała we wsteczne lusterko, nagle uświadamiając sobie, jak się czuje uciekający przestępca. Nie można się posłużyć kartą kredytową ani telefonem komórkowym, a na dźwięk dalekiej syreny serce zaczyna bić jak szalone. Cały czas trzeba się mieć na baczności przed obcymi i co chwilę oglądać się za siebie. Zapragnęła znaleźć się w Nowym Jorku, wśród przyjaciół, przy pracy, którą lubiła. Jej ojciec kiedyś powiedział...

- O Boże! - wykrzyknęła. Czy matka myśli, że ona nie żyje? A stryjek George i rodzina w Danville? Czy zaryzykować telefon? Do licha, nie potrafi myśleć jak przestępca.

Leapman bez uprzedzenia wszedł do pokoju Tiny. Prędko wyłączyła ekran w rogu biurka.

- Czy Anna Petrescu była pani przyjaciółką? - spytał Leapman bez słowa wyjaśnienia.
- Tak, jest nią - odparła Tina, podnosząc głowę znad biurka.
- Jest? - zdziwił się Leapman.

- Była - szybko poprawiła się Tina.
- Nie miała pani od niej wiadomości?
- Gdybym miała, tobym nie umieściła jej nazwiska na liście osób zaginionych, prawda?
- Czy rzeczywiście? - spytał Leapman.
- Jasne, że nie - potwierdziła Tina, spoglądając mu w twarz. - Proszę mi dać znać, gdyby się odezwała do pana.

Leapman zmarszczył brwi i wyszedł z pokoju.

Anna zjechała z szosy i skręciła na dziedziniec niezbyt atrakcyjnej, taniej restauracji. Z zadowoleniem stwierdziła, że na parkingu stoją tylko dwa pojazdy, a kiedy znalazła się w budynku, zobaczyła trójkę gości siedzących przy bufecie. Usiadła w boksie tyłem do bufetu, naciągnęła głęboko czapkę i sięgnęła po zatłuszczoną plastikową kartę dań. Zamówiła zupę pomidorową i specjalność szefa kuchni, kurczaka z rusztu.

Pół godziny później, uboższa o dziesięć dolarów, była z powrotem na szosie. Wprawdzie nie piła nic oprócz kawy na śniadanie, ale wkrótce ogarnęła ją senność. Zanim zatrzymała się, by coś zjeść, przejechała trzysta dziesięć mil w czasie niewiele dłuższym niż osiem godzin, a teraz musiała walczyć ze sobą, żeby nie zasnąć.

„Jesteś zmęczony? Odpocznij” - radziła dobrze widoczna tablica z boku drogi. Anna zareagowała ziewnięciem. Spostrzegła, że jadąca przed nią dwunastokołowa ciężarówka zjeżdża na przydrożny parking. Zerknęła na zegarek na desce rozdzielczej - parę minut po jedenastej. Jest w drodze od prawie dziewięciu godzin. Postanowiła, że prześpi się dwie godziny i potem ruszy dalej. I tak wyśpi się w samolocie.

Podążyła za ciężarówką z naczepą na parking, a potem pojechała w najdalszy kąt. Zatrzymała furgonetkę za wielką lorą. Wyskoczyła z furgonetki, sprawdziła, czy wszystkie drzwi są zamknięte, po czym wdrapała się do tyłu, zadowolona, że w pobliżu nie ma innego samochodu. Umościła się, oparłszy głowę na laptopie. Trudno byłoby o mniej wygodną pozycję, ale po chwili zmorzył ją sen.

- Wciąż niepokoi mnie ta Petrescu - rzekł Leapman.
- Dlaczego miałbyś się niepokoić martwą kobietą? - zdziwił się Fenston.
- Bo nie jestem przekonany, że ona nie żyje.
- Jak mogłaby przeżyć? - zapytał Fenston, wyglądając przez okno na czarny całun uparcie spowijający teren World Trade Center.
- My przeżyliśmy.
- Ale wyszliśmy wcześniej z budynku - rzekł Fenston.
- Może ona też wyszła wcześniej. Przecież kazałeś jej opuścić teren biura w ciągu dziesięciu minut.
- Barry jest innego zdania.
- Barry żyje - przypomniał mu Leapman.

Nawet jeżeli Petrescu uciekła, i tak nic nie może zrobić - rzekł Fenston.

- Mogłaby dotrzeć do Londynu przede mną - rzekł Leapman.
- Ale przecież obraz jest bezpiecznie zamknięty na Heathrow.
- Jednak cała dokumentacja; świadcząca, że jesteś jego właścicielem, była w twoim sejfie w Wieży Północnej, a gdyby Petrescu mogła przekonać...

- Przekonać kogo? Victorii Wentworth nie ma na tym świecie i nie zapominaj, że Petrescu jest zaginiona, a może i nie żyje.

- Ale to się może okazać tak samo wygodne dla niej, jak jest dla nas.

- Wobec tego postarajmy się, żeby było mniej wygodne.

-  
13 września

18

Annę wyrwało z głębokiego snu głośnie, uporczywe walenie. Przetarła oczy i wyjrzała przez przednią szybę. Mężczyzna z wielkim brzuchem, który mu zwisał nad dżinsami, łomotał pięścią w maskę furgonetki. W drugiej ręce trzymał puszkę z piwem, z której ulewała się piana. Anna już miała na niego krzyknąć, kiedy zauważyła, że ktoś inny szarpie tylne drzwi. Nawet lodowaty prysznic prędzej by jej nie otrzeźwił.

Przeczołgała się na miejsce kierowcy i szybko obróciła kluczyk w stacyjce. Spojrzała w boczne lusterko i ze zgrozą zobaczyła, że teraz stoi tuż za nią czterdziestotonowa ciężarówka, niepozostawiająca jej prawie pola manewru. Otwartą dłoń nacisnęła klakson, co tylko ośmieliło mężczyznę z puszką piwa: wgramolił się na maskę i pod przednią szybę. Anna zobaczyła wyraźnie jego twarz, kiedy wbił w nią pożądlive spojrzenie. Zrobiło jej się niedobrze. Mężczyzna otworzył bezzębne usta i zaczął lizać szybę, a tymczasem jego kumpel dalej próbował otworzyć tylne drzwi. Silnik w końcu zapalił.

Anna obróciła mocno kierownicą, licząc, że się wymknie z wąskiej przestrzeni między dwiema ciężarówkami, ale posunęła się niewiele do przodu i zaraz musiała się cofnąć. Furgonetka nie była wyposażona w mechanizm wspomaganie kierownicy. Anna ostro ruszyła do tyłu i usłyszała wrzask drugiego mężczyzny, który uskoczył w bok. Teraz z impetem wrzuciła pierwszy bieg i wcisnęła pedał gazu. Gdy furgonetka skoczyła do przodu, brzuchaty mężczyzna zsunął się z maski i spadł z łomotem na ziemię. Anna przerzuciła dźwignię z powrotem na wsteczny bieg, modląc się, żeby tym razem udało się jej wymknąć. Jednak zanim wykonała pełny obrót kierownicą, spojrzała na bok i zobaczyła, że drugi mężczyzna wpatruje się w nią przez okno po stronie pasażera. Zarzucił wielkie łapska na furgonetkę i zaczął nią kołysać. Anna nacisnęła pedał gazu i furgonetka powlokła mężczyznę wolno do przodu, ale nie zmieściła się w luce, choć niewiele brakowało. Anna po raz trzeci wrzuciła bieg wsteczny i zamarła, widząc na masce ręce brzuchatego, który podnosił się na nogi. Rzucił się do przodu, rozplaszczył nos o przednią szybę i zrobił gest kciukiem w dół. Potem krzyknął do kumpla:

- W tym tygodniu ja posuwam pierwszy!

Kumpel przestał kołysać furgonetkę i zarechotał.

Anna oblała się zimnym potem, widząc, jak brzuchacz podchodzi chwiejnym krokiem do swojej ciężarówki. Rzuciła okiem w boczne lusterko i zobaczyła, że drugi wsiada do swojej kabiny.

W ułamku sekundy pojęła, co chcą zrobić: unieruchomić ją w pułapce. Z taką siłą nacisnęła pedał gazu, że furgonetka wpadła na ciężarówkę z tyłu, w chwili gdy szofer włączył długie światła. Z impetem wrzuciła pierwszy bieg, kiedy silnik ciężarówki z przodu zapalił z rykiem, buchnąwszy chmurą czarnych spalin na jej przednią szybę. Anna gwałtownie skrzyła kierownicę i znowu wcisnęła gaz. Furgonetka skoczyła w przód, kiedy ciężarówka przed nią zaczęła się cofać. Uderzyła o krawędź potężnego błotnika ciężarówki; tracąc zderzak i własny błotnik. Potem została popchnięta przez ciężarówkę z tyłu, która najechała na nią i zdarła jej tylny zderzak. Mała furgonetka wyleciała

przez wąską lukę jak kamień z procy, okręciła się wokół własnej osi i stanęła. Anna spojrzała w bok i zobaczyła, że ciężarówki, niezdolne zareagować na czas, wpadają jedna na drugą.

Przemknęła przez parking obok kilku stojących ciężarówek i wyjechała na autostradę. Widziała we wstecznym lusterku, jak tamte dwie ciężarówki się rozdzielają. Zazgrzytały hamulce i rozbrzmiała kakofonia klaksonów, kiedy Anna wpadła na szosę, cudem uniknąwszy kolizji ze sznurem jadących samochodów; kilka musiało zboczyć o dwa pasy, żeby na nią nie wpaść. Pierwszy kierowca długo trąbił, dając Annie do zrozumienia, co o niej myśli. Anna przepaszająco machnęła ręką w stronę wyprzedzającego ją samochodu; cały czas obserwowała boczne lusterko, wypatrując z lękiem, czy któryś z prześladowców jej nie ściga. Docisnęła do końca pedał gazu, sprawdzając maksymalną prędkość furgonetki.

Znowu spojrzała w boczne lusterko. Na wewnętrznym pasie ruchu pojawił się za nią olbrzymi osiemnastokołowiec. Mocno uchwyciła rękoma kierownicę i wcisnęła stopą pedał gazu, ale furgonetka była u kresu możliwości. Ciężarówka zbliżała się coraz bardziej i lada chwila, o czym Anna dobrze wiedziała, zamieni się w buldożer. Całą dłońią nacisnęła klakson; wydał beczący głos, który nie wypłoszyłby nawet ptaków z gniazd. Na poboczu pojawił się duży zielony znak, wskazujący zjazd na 1-90 w odległości mili.

Anna przejechała na środkowy pas, a wielka ciężarówka podążyła za nią niczym magnes, który pragnie zgarnąć wszystkie puszczone samopas opiłki. Szofer ciężarówki tak bardzo się zbliżył, że Anna w lusterku wstecznym widziała jego twarz. Pokazał w uśmiechu dziąsła, a potem nacisnął klakson. Rozległ się ryk, który zagłuszyłby ostatnie tony opery Wagnera.

Pół mili do zjazdu - obiecywał kolejny znak. Anna zboczyła na szybki pas, zmuszając nadjeżdżające samochody do hamowania. Tym razem zatrafiło kilku kierowców. Zignorowała ich i zwolniła do pięćdziesięciu mil - wtedy odezwała się cała orkiestra.

Osiemnastokołowiec jechał teraz obok furgonetki. Anna zwolniła, on też; ćwierć mili do zjazdu, obwieścił następny znak. Anna ujrzała zjazd z oddali, dziękując Bogu za pierwsze promienie światła przebijające zza chmur, ponieważ żadne z jej świateł nie działało.

Wiedziała, że będzie mieć tylko jedną szansę i musi wybrać odpowiedni moment. Zbliżając się do zjazdu, mocno ścisnęła kierownicę i przejechała obok zielonego trójkąta trawy, przedzielającego obie autostrady. Gwałtownie przydusiła pedał gazu i choć furgonetka nie wyrwała się do przodu, to jednak wysforowała się o kilka metrów. Czy to wystarczyło? Szofer ciężarówki zareagował błyskawicznie i też przyśpieszył. Dzielili ich tylko długość samochodu, kiedy Anna znienacka obróciła kierownicę w prawo i przecięła wewnętrzny i środkowy pas, a potem sforsowała brzeg trawnika. Furgonetka podskakiwała na nierównej powierzchni, po czym wjechała na odległy pas zjazdowy. Samochód jadący wewnętrznym pasem musiał zboczyć na utwardzone pobocze, podczas gdy drugi przemknął pasem zewnętrznym. Kiedy Anna ustabilizowała furgonetkę na pasie wewnętrznym, spojrzała na drugą stronę: osiemnastokołowy potwór podążał autostradą i wkrótce znikł z oczu.

Zwolniła do pięćdziesiątki, chociaż serce biło jej trzy razy szybciej. Usiłowała się odprężyć. Podobnie jak u wszystkich sportowców, liczył się czas powrotu do normy. Skręcając w autostradę 1-90, spojrzała we wsteczne lusterko. Tętno znów jej przyśpieszyło do stu pięćdziesięciu, kiedy zobaczyła zbliżającą się drugą osiemnastokołową ciężarówkę.

Brzuchacz nie popełnił takiego samego błędu.

Sam podniósł głowę na widok wchodzącego do holu nieznanego mężczyzny. Kiedy człowiek jest portierem, powinien umieć poznawać się na ludziach. Powinien wiedzieć, czy trzeba do nich mówić: „Dzień dobry panu”, czy też: „W czym mógłbym panu pomóc?”, a może tylko: „Witam”. Sam przyjrzał się wysokiemu mężczyźnie w średnim wieku: miał na sobie szykowny, ale znoszony garnitur, trochę wyświecony na łokciach, mankiety koszuli były nieco wystrzępione. Krawat, według Sama, był wiązany tysiąc razy.

- Dzień dobry - rzekł Sam.

- Dzień dobry - odpowiedział mężczyzna. - Jestem z Departamentu Imigracyjnego.

Sam się zaniepokoił. Wprawdzie urodził się w Harlemie, ale słyszał opowieści o ludziach, których deportowano przez pomyłkę.

- W czym mógłbym panu pomóc? - zapytał.

- Sprawdzam osoby zaginione, uznane za zmarłe, w wyniku wtorkowego ataku terrorystycznego.

- Czy kogoś konkretnie? - zapytał ostrożnie Sam.

- Tak - odparł mężczyzna. Położył teczkę na kontuarze, otworzył i wyjął listę z nazwiskami. Przesunął palcem z góry na dół i zatrzymał się przy literze P. - Anna Petrescu - powiedział. - To jej ostatni adres, jaki mamy.

- Nie widziałem Anny, od kiedy wyszła do pracy we wtorek rano - rzekł Sam - ale kilka osób o nią pytało, a jedna jej przyjaciółka przyszła tu tamtego dnia wieczorem i zabrała trochę jej osobistych rzeczy.

- Co wzięła?

- Nie wiem - odparł Sam. - Poznałem tylko walizkę.

- Czy wiecie, jak się nazywa ta dziewczyna?

- Dlaczego pan o to pyta?

- Mogłoby to być pomocne, gdyby się udało z nią skontaktować. Matka Anny bardzo się niepokoi.

- Nie, nie znam jej nazwiska - przyznał Sam.

- Czy poznalibyście ją, gdybym wam pokazał jej zdjęcie?

- Może - odparł Sam.

Mężczyzna znowu otworzył teczkę. Tym razem wyjął z niej fotografię i podsunął Samowi. Ten przez chwilę się jej przyglądał.

- Tak, to ona. Ładna dziewczyna - zawiesił głos - ale nie taka ładna jak Anna. Ona była piękna.

Po wjeździe na autostradę 1-90 Anna zauważyła, że maksymalna dozwolona prędkość wynosi siedemdziesiąt mil na godzinę. Z chęcią by ją przekroczyła, ale choć mocno naciskała pedał gazu, osiągała najwyżej sześćdziesiąt osiem.

Wprawdzie druga ciężarówka była dość daleko, ale prędko się zbliżała. Teraz Anna nie mogła zastosować poprzedniej strategii. Modliła się o jakiś znak. Ciężarówka ją doganiała, kiedy Anna usłyszała syrenę.

Cieszyła się na myśl, że każą jej zjechać na bok i nie martwiła się, czy uwierzą jej tłumaczeniom, dlaczego na pełnym gazie przecięła dwa pasy ruchu i wpadła w zjazd z autostrady, nie wspominając o tym, że jej furgonetce brakowało obydwu zderzaków i błotnika i nie działało ani jedno światło. Zwolniła, kiedy samochód policyjny przemknął koło ciężarówki i wjechał za furgonetkę. Policjant obejrzał się do tyłu i dał znak kierowcy ciężarówki, żeby się zatrzymał. Anna widziała w bocznym

lusterku, jak obydwaj pojazdy stają na poboczu.

Minęła więcej niż godzina, zanim uspokoiła się na tyle, że przestała co kilka minut zerkać w boczne lusterko.

Kiedy minęła następna, Anna poczuła głód i postanowiła się zatrzymać w przydrożnej restauracyjce na śniadanie. Zaparkowała furgonetkę, weszła do środka i zajęła miejsce na samym końcu przy bufecie. Przeczytała kartę dań i zamówiła „wielki” zestaw: jajka na bekonie, kielbaski, smażone ziemniaki, racuchy i kawę. Nie była to jej zwykła strawa, ale też nic nie było zwyczajne podczas ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

W trakcie jedzenia Anna sprawdzała swoją trasę na mapie. Dwaj pijani mężczyźni, którzy ją ścigali, pomogli jej się trzymać planu. Anna obliczyła, że pokonała już około trzystu osiemdziesięciu mil, ale do granicy z Kanadą zostawało jeszcze co najmniej pięćdziesiąt. Obejrzała dokładniej mapę. Następny postój to Niagara Falls - dotrze tam za godzinę.

W telewizorze za kontuarem nadawano pierwsze poranne wiadomości. Słabła nadzieja na odnalezienie więcej żywych ludzi. Nowy Jork zaczął opłakiwać swoich zmarłych i przystępował do długotrwałego i żmudnego uprzątnięcia po katastrofie. Nabożeństwo żałobne z udziałem prezydenta miało się odbyć w Waszyngtonie jako część obchodów dnia pamięci narodowej. Prezydent zamierzał potem polecieć do Nowego Jorku i odwiedzić Strefę Zero. Następnie na ekranie telewizora pokazał się burmistrz Giuliani. Był w koszulce z krótkim rękawem, z dumą ozdobionej literami NYPD w hołdzie nowojorskim policjantom, i w czapce z daszkiem z napisem NYFD - upamiętniającym nowojorskich strażaków. Chwalił ducha nowojorczyków i przyrzekał, że przywróci miasto do normalnego stanu tak szybko, jak to będzie możliwe.

Kamera telewizyjna pokazała teraz lotnisko Kennedy'ego, gdzie rzecznik potwierdził, że nazajutrz zostaną wznowione pierwsze loty pasażerskie. To jedno zdanie zdecydowało o dalszym planie Anny. Wiedziała, że jeżeli chce mieć jakąś szansę przekonania Victorii, to musi wylądować w Londynie, zanim Leapman odleci z Nowego Jorku. Wyrzała przez okno. Na parking wjeżdżały dwie ciężarówki. Zamarła, odwróciła oczy, żeby nie patrzeć, jak kierowcy wysiadają z szoferek. Rozglądała się za wyjściem ewakuacyjnym, kiedy wchodzili do restauracji. Obaj zajęli miejsca przy barze, uśmiechnęli się do kelnerki i nawet nie spojrzeli na Annę. Anna nigdy przedtem nie rozumiała, czemu ludzie cierpią na paranoję.

Spojrzała na zegarek: siódma pięćdziesiąt pięć. Dopiła kawę, zostawiła na stoliku sześć dolarów i powędrowała do kabiny telefonicznej po drugiej stronie knajpki. Wybrała numer 212.

- Dzień dobry panu, zgłasza się agent Roberts.
- Dzień dobry - odparł Jack, prostując plecy. - Ma pan coś nowego?
- Stoję na przydrożnym parkingu gdzieś między Nowym Jorkiem i granicą kanadyjską.
- I co pan tam robi?
- Trzymam w ręku zderzak.
- Niech zgadnę - rzekł Jack. - Zderzak był kiedyś przytwierdzony do białej furgonetki, którą jechała podejrzana.
- Tak, proszę pana.
- I gdzie teraz jest ta furgonetka? - zapytał Jack, starając się ukryć irytację.
- Nie mam pojęcia, proszę pana. Muszę przyznać, że kiedy podejrzana zjechała na parking, żeby odpocząć, ja też zasnąłem. Jak się obudziłem, furgonetki już nie było, został tylko zderzak z

przyczepionym nadajnikiem GPS.

- Czyli że podejrzana albo jest bardzo sprytna - rzekł Jack - albo miała jakiś wypadek.
- Zgadza się. - Agent Roberts milczał przez chwilę, a potem spytał:
- Jak pan myśli, co powinienem teraz zrobić?
- Wstąpić do CIA - rzucił Jack.

- Cześć, tu Vincent. Coś nowego?

- Tak jak myślałaś, Ruth Parish schowała obraz w zamkniętej strefie celnej na Heathrow.
- Więc muszę go stamtąd wydobyć - powiedziała Anna.

- To może nie być takie łatwe - rzekła Tina - bo Leapman leci jutro z samego rana z Kennedyego po obraz, czyli że masz tylko dwadzieścia cztery godziny przewagi. - Chwilę milczała. - I jest jeszcze inny problem.

- Inny problem?

- Tak. Leapman nie jest przekonany, że nie żyjesz.
- Czy ma jakiś powód, żeby tak myśleć?

- Wypytuje o ciebie, więc bądź bardzo ostrożna. Nie zapomnij, jak zareagował Fenston, kiedy zawaliła się Wieża Północna. Mógł stracić część personelu, ale martwił się tylko o obraz Moneta, który został w jego gabinecie. Bóg wie, co by zrobił, gdyby stracił też van Gogha. Martwi artyści są dla niego ważniejsi od żywych ludzi.

Na czole Anny pojawiły się kropelki potu, kiedy połączenie zostało przerwane. Spojrzała na zegarek: trzydzieści dwie sekundy.

- Nasz „przyjaciel” na lotnisku Kennedyego potwierdził, że przydzielono nam okienko jutro rano o siódmej dwadzieścia - oznajmił Leapman. - Ale nie poinformowałem o tym Tiny.

- Dlaczego? - zdziwił się Fenston.

- Bo portier w domu, gdzie mieszka Petrescu, powiedział mi, że widział dziewczynę podobną do Tiny, wychodzącą z budynku we wtorek wieczorem.

- We wtorek wieczorem? Ale to by znaczyło...

- I ona niosła walizkę.

Fenston zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

- Czy chcesz, żeby w związku z tym coś zrobić?

- Co takiego?

- Na początek założyć podsłuch telefonu w jej mieszkaniu. Jeżeli Petrescu jest z nią w kontakcie, dowiemy się, gdzie przebywa i co zamierza.

Fenston nie odpowiedział, co Leapman zawsze brał za zgodę.

Do granicy kanadyjskiej było cztery mile - jak obwieszczał znak przy drodze. Anna się uśmiechnęła - ale uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy wyjechała zza zakrętu i stanęła na końcu długiej kolejki samochodów, która ginęła gdzieś w dali.

Wysiadła z furgonetki i rozprostowała kości. Skrzywiła się, patrząc na poobijany wehikuł. Jak to wytłumaczy firmie, która go wypożyczyła? Naprawdę nie może już wydawać więcej pieniędzy - a udział własny w wypadku uszkodzenia samochodu wynosił, o ile dobrze pamiętała, pięćset dolarów. Rozciągając mięśnie, zauważyła, że druga strona drogi jest pusta; widać nikomu nie jest spieszo do



Przez dwadzieścia minut zdołała się posunąć tylko o sto metrów. Kiedy po przeciwnej stronie drogi zobaczyła stację benzynową, podjęła błyskawiczną decyzję - naruszając kolejną zasadę życiową. Przecięła szosę, wjechała na dziedziniec, minęła pompy i zaparkowała furgonetkę koło drzewa - tuż za wielką tablicą oznajmiającą: „Luksusowe mycie samochodów”. Potem wyjęła z furgonetki swoje dwa bagaże i ruszyła pieszo do granicy.

20

- Tak mi przykro, droga pani - powiedział Arnold Simpson, patrząc na Arabellę Wentworth spoza biurka. - Okropna sprawa - dodał, wrzucając jeszcze jedną kostkę cukru do filiżanki z herbatą.

Arabella nie odezwała się, kiedy Simpson złożył ręce jak do modlitwy na antycznym, dwustronnym biurku. Uśmiechnął się dobrotliwie do swojej klientki i już miał wyrazić swoją opinię, kiedy Arabella otworzyła teczkę, którą trzymała na kolanach, i rzekła:

- Może pan, jako adwokat naszej rodziny, wytłumaczy mi, jak mój ojciec i Victoria zdołali wpaść w tak wielkie długi, i to w tak krótkim czasie?

Simpson odchylił się do tyłu i rzucił Arabelli spojrzenie ponad połówkowymi szklami.

- Pani drogi ojciec i ja - zaczął - byliśmy bliskimi przyjaciółmi przez ponad czterdzieści lat. Jak pani z pewnością wie, byliśmy razem w Eton.

- Simpson dotknął! ciemnoniebieskiego krawata z jasnoniebieskim paskiem, który wyglądał, jakby właściciel nosił go co dzień, odkąd skończył szkołę.

- Mój ojciec zawsze mówił „w tym samym czasie”, a nie „razem” - docięła mu Arabella. - Więc może teraz odpowie pan na moje pytanie.

- Właśnie zamierzałem - rzekł Simpson, któremu na moment zabrakło słów, i zaczął przeszukiwać teczki rozrzucone w nieładzie na biurku.

- Ach, tak! powiedział w końcu, biorąc do ręki jedną z nich, z napisem „Londyński Lloyd”. Otworzył ją i poprawił okulary. - Kiedy pani ojciec został członkiem nieoperacyjnym Lloyd'a w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, zapisał się do kilku syndykatów, stawiając posiadłość jako dodatkowe zabezpieczenie. Przez wiele lat działalność ubezpieczeniowa przynosiła znaczne zyski i pani ojciec otrzymywał pokaźne roczne dochody. - Simpson przejechał palcem w dół po kolumnie liczb.

- Ale czy zwrócił mu pan wtedy uwagę na to, co oznacza nieograniczona odpowiedzialność? - spytała Arabella.

- Przyznaję - rzekł Simpson, ignorując jej pytanie - że podobnie jak wielu innych, nie przewidziałem takiej bezprecedensowej serii złych lat.

- Całkiem jak gracz, który liczy, że obrót koła ruletki przyniesie mu zysk - powiedziała Arabella. - Więc dlaczego nie doradził mu pan, żeby się wycofał w porę i odszedł od stołu?

- Pani ojciec był upartym człowiekiem - rzekł Simpson - i wierzył, że skoro przetrwał kilka złych lat, to wrócą dobre czasy.

- Ale tak się nie stało - powiedziała Arabella, sięgając po inny z licznych dokumentów w swojej teczce.

- Niestety, nie - przyznał Simpson, który tak się skulił na krześle, że prawie go nie było widać spoza biurka.

- A co się stało z grubym portfelem papierów wartościowych, jakie rodzina zgromadziła w ciągu

wielu lat?

- Pani ojciec musiał je zlikwidować najpierw, żeby utrzymać saldo dodatnie na rachunku bankowym. Obawiam się - ciągnął Simpson, odwracając następną kartkę - że w chwili śmierci pani ojca jego zadłużenie przekraczało dziesięć milionów funtów.

- Ale nie u Couttsa - zauważyła Arabella - ponieważ trzy lata wcześniej przeniósł swoje konto do małego nowojorskiego banku o nazwie Fenston Finance.

- Zgadza się, droga pani - przytaknął Simpson. - Doprawdy, zawsze wydawało mi się zagadkowe, jak ta szczególna instytucja natrafiła na...

- Dla mnie to żadna zagadka - dogryzła mu Arabella, wyjmując list ze swojej teczki. - Jest oczywiste, że obrali go sobie za cel.

- Ale nadal nie mogę zrozumieć, skąd wiedzieli...

- Wystarczyło, że czytali finansowe kolumny jakiejś gazety. Poważne czasopisma codziennie donosiły o kłopotach Lloyda, a nazwisko mojego ojca pojawiała się regularnie, obok kilku innych, jako tego, którego wprowadzono do pechowych, jeżeli nie oszukańczych syndykatów.

- To tylko pani domysły - powiedział Simpson, podnosząc głos.

- To, że pan tak wtedy nie uważał - odparła Arabella - wcale tego nie dowodzi. Prawdę mówiąc, jestem zdumiona, że pozwolił pan swojemu bliskiemu przyjacielowi odejść z banku Couttsa, który obsługiwał moją rodzinę od ponad dwustu lat, i przenieść się do takich krętaczy.

Simpson zaczerwienił się jak piwonia.

- Może szanowna pani od polityków przejęła zwyczaj przewidywania po faktie - rzucił.

- Nie, proszę pana - odparła Arabella. - Mojemu nieżyjącemu mężowi też oferowano przystąpienie do Lloyda. Makler zapewnił go, że farma całkowicie wystarczy na niezbędny wkład, na co Angus pokazał mu drzwi.

Simpson zaniemówił.

- I jak, jeżeli mogę zapytać, mając w panu głównego doradcę, Victoria zdołała podwoić ten dług w niecały rok?

- To nie moja wina - warknął Simpson. - Może pani skierować swój gniew na fiskusa, który zawsze musi ściągnąć haracz - dodał, szukając koperty z napisem „Podatki spadkowe”. - O, mam. Fiskusowi należy się czterdzieści procent wartości majątku zmarłego, chyba że został bezpośrednio przekazany małżonkowi, co z pewnością nieżyjący mąż pani objaśnił. Jednakże udało mi się dzięki zręcznemu rozegraniu sprawy, co pozwolę sobie podkreślić, uzgodnić z inspektorami sumę jedenastu milionów funtów, czym lady Victoria zdawała się całkowicie usatysfakcjonowana.

- Moja siostra była naiwną starą panną, która nigdy nie oddalała się z domu bez ojca i do trzydziestego roku życia nie miała własnego konta bankowego - powiedziała Arabella - a jednak dopuścił pan do tego, że podpisała umowę z Fenston Finance, co musiało się skończyć jeszcze większymi długami.

- Nie było wyjścia: trzeba było albo podpisać, albo wystawić posiadłość na sprzedaż.

- Nieprawda - zaprzeczyła Arabella. - Wystarczył mi jeden telefon do lorda Hindlipa, prezesa domu aukcyjnego Christie, aby się dowiedzieć, że gdyby znajdujący się w posiadaniu rodziny obraz van Gogha został wystawiony na licytację, przyniosłby więcej niż trzydzieści milionów funtów.

- Ale pani ojciec nigdy by się nie zgodził na sprzedaż van Gogha!

- Mój ojciec nie żył, kiedy pan zaakceptował drugą pożyczkę - przypomniała Arabella. - To pan powinien jej zalecić taką decyzję.

- Droga pani, nie miałem wyboru, biorąc pod uwagę warunki pierwotnej umowy.

- Której był pan świadkiem, ale najwyraźniej jej pan nie czytał. Ponieważ moja siostra nie tylko się zgodziła płacić szesnastoprocentowe odsetki składane, ale nawet dopuścił pan do tego, żeby dołożyła obraz van Gogha jako dodatkowe zabezpieczenie.

- Przecież może pani zażądać, żeby sprzedali obraz, i wtedy problem będzie rozwiązany.

- Znow się pan myli - rzekła Arabella. - Gdyby przeczytał pan nie tylko pierwszą stronę umowy, odkryłby pan, że w razie sporu wszelkie decyzje wracają pod jurysdykcję sądu w Nowym Jorku, a ja z pewnością nie posiadam środków na walkę z Bryce'em Fenstonem na jego własnym gruncie.

- Ani nie jest pani do tego uprawniona - odgryzł się Simpson - ponieważ ja...

- Jestem najbliższą krewną - oznajmiła stanowczo Arabella.

- Ale nie ma testamentu, z którego by wynikało, komu Victoria zamierzała zostawić posiadłość - wykrzyknął Simpson.

- Jeszcze jedna powinność, którą spełnił pan z właściwą sobie przezornością i talentem.

- Właśnie omawialiśmy to z pani siostrą...

- Już na to trochę za późno - przerwała mu Arabella. - Czeka mnie teraz walka z człowiekiem pozbawionym skrupułów, który dzięki panu zdaje się mieć prawo po swojej stronie.

- Jestem pewien - rzekł Simpson, ponownie składając dłonie na biurku takim ruchem, jakby chciał udzielić ostatniego błogosławieństwa - że mogę uwinąć się z tym problemem w ciągu...

- Powiem panu, z czym się pan może uwinąć - oświadczyła Arabella, podnosząc się z krzesła. - Otóż niech pan jak najszybciej odeśle wszystkie dokumenty dotyczące posiadłości Wentworth do Wentworth Hall. - Spojrzała na adwokata z góry. - I proszę dołączyć rachunek - popatrzyła na zegarek - za godzinę pańskiej bezcennej porady.

21

Anna wędrowała środkiem drogi, ciągnąc walizkę i niosąc torbę z laptopem na ramieniu. Coraz mocniej doskwierała jej świadomość, że ścigają ją spojrzenia pasażerów siedzących w swoich unieruchomionych samochodach i przypatrujących się dziwacznej, samotnej postaci przechodzącej obok.

Pierwszą milę pokonała w ciągu piętnastu minut, a rodzina, która rozłożyła się na trawiastym skraju drogi z piknikiem, poczęstowała ją winem. Przejście następnego takiego odcinka zajęło jej osiemnaście minut, ale wciąż nie widziała posterunku granicznego. Upłynęło jeszcze dwadzieścia minut, nim minęła tablicę z napisem: „1 mila do granicy” i spróbowała przyspieszyć.

Pokonanie ostatniego odcinka przypomniało jej, które mięśnie ją bolą po długim, męczącym biegu. Nagle ujrzała linię mety, poczuła przyływ energii i zwiększyła tempo.

Kiedy dzieliło ją jakieś sto kroków od szlabanu granicznego, grad uporczywych spojrzeń sprawił, że poczuła się jak ktoś, kto się wpycha poza kolejną. Odwróciła wzrok i zwolniła. Zatrzymała się przy białej linii, gdzie kierowców się prosi, żeby zgasili silniki i czekali, i stanęła z boku.

W tym dniu pełniło służbę dwóch celników, którzy jak na czwartkowy ranek musieli się uporać z wyjątkowo długą kolejką. Siedzieli w budkach, sprawdzając dokumenty o wiele bardziej skrupulatnie niż zwykle. Anna usiłowała ściągnąć wzrokiem młodszego z celników w nadziei, że wzbudzi jego współczucie, ale nie potrzebowała lusterka, by wiedzieć, że po przejściach ostatniej doby nie może wyglądać dużo lepiej niż wtedy, kiedy pólżywa wydostała się z Wieży Północnej.

W końcu młodszy strażnik przywołał ją skinieniem. Obejrzał jej dokumenty i spojrzał na nią

zdziwiony. Jak daleko brnęła z tymi bagażami? Dokładnie sprawdził jej paszport. Wszystko wydawało się w porządku.

- Z jakiego powodu odwiedza pani Kanadę? - zapytał.

- Uczestniczę w seminarium poświęconym sztuce na Uniwersytecie McGilla w związku z moją dysertacją doktorską na temat prerafaelitów - powiedziała Anna, patrząc mu prosto w twarz.

- A którzy szczególnie panią interesują? - zapytał od niechcienia strażnik.

Przemądrzały typek albo miłośnik malarstwa, pomyślała Anna. Podjęła grę.

- Między innymi Rosetti, Holman Hunt i Morris - powiedziała.

- A drugi Hunt?

- Alfred? On nie jest prawdziwym prerafaelitą, ale...

- Ale dobrym artystą.

- Zgadza się.

- Kto prowadzi seminarium?

- Ee... Vern Swanson - rzuciła Anna, mając nadzieję, że strażnik nie słyszał o najwybitniejszym specjalistcie w tej dziedzinie.

- To dobrze, bo będę miał okazję go zobaczyć.

- To znaczy?

- No cóż, jeżeli jest nadal profesorem historii sztuki w Yale, to będzie jechał z New Heaven, a ponieważ nie ma żadnych lotów do i ze Stanów Zjednoczonych, to tylko tu będzie mógł przekroczyć granicę.

Annie nie przychodziła na myśl stosowna odpowiedź i była wdzięczna za ratunek stojącej za nią kobiecie, która zaczęła się głośno skarżyć mężowi, że tak długo czeka.

- Byłem na Uniwersytecie McGilla - powiedział z uśmiechem młody funkcjonariusz i oddał paszport Annie, która zastanawiała się, czy rumieniec na policzkach zdradził jej zażenowanie. - Wszystkim nam jest przykro z powodu tego, co się stało w Nowym Jorku - dodał.

- Dziękuję - rzekła Anna i przekroczyła granicę. „Witamy w Kanadzie”.

- Kto tam? - odezwał się głos.

- Na dziesiątym piętrze jest usterka elektryczna - odparł stojący przed frontowymi drzwiami mężczyzna w zielonym kombinezonie. Na głowie miał baseballową czapkę drużyny Jankesów, w rękę trzymał skrzynkę z narzędziami. Przymknął oczy i uśmiechnął się do kamery nadzorującej. Usłyszawszy brzęczyk, pchnął drzwi i wszedł do środka już bez dalszych pytań.

Minął windę i wszedł na schody. Tu było mniej prawdopodobne, że ktoś go zapamięta. Zatrzymał się na dziesiątym piętrze, omiół wzrokiem korytarz. Ani żywego ducha; o wpół do czwartej po południu zawsze panuje spokój. Nie umiałby powiedzieć dlaczego, po prostu tak wynikało z jego doświadczenia. Kiedy dotarł do drzwi, nacisnął dzwonek. Odpowiedziała mu cisza. Ale przecież zapewniono go, że ona będzie w pracy jeszcze co najmniej dwie godziny. Mężczyzna położył torbę na podłodze i obejrzał dwa zamki w drzwiach. No, nie jest to Fort Knox. Z dokładnością chirurga, który ma przeprowadzić operację, otworzył torbę i wybrał kilka precyzyjnych narzędzi.

Dwie minuty i czterdzieści sekund później był w mieszkaniu. Szybko się zorientował, gdzie są trzy aparaty telefoniczne. Pierwszy znajdował się na biurku we frontowym pokoju, pod reprodukcją Warhola przedstawiającą Marilyn Monroe. Drugi był przy łóżku, obok fotografii. Intruz spojrzął na kobietę na zdjęciu. Stała między dwoma mężczyznami tak do siebie podobnymi, że z pewnością byli

to ojciec i syn.

Trzeci aparat mężczyzna znalazł w kuchni. Spojrzał na drzwi lodówki i uśmiechnął się szeroko; oboje są kibicami drużyny 49ers.

Po upływie sześciu minut i dziewięciu sekund był z powrotem na korytarzu. Zbiegł po schodach i wyszedł przez drzwi frontowe na ulicę.

Robota zajęła mu niecałe dziesięć minut. Wynagrodzenie: tysiąc dolarów. Jak dla chirurga.

Anna była wśród ostatnich pasażerów, którzy wsiedli do autobusu Greyhound, odjeżdżającego o trzeciej z przystanku Niagara Falls.

Dwie godziny później autobus zatrzymał się na zachodnim brzegu jeziora Ontario. Anna wysiadła pierwsza i nie przystając, żeby podziwiać zarysy budynków Mięsa van der Rohe na tle nieba nad Toronto, przywołała pierwszą taksówkę, która się pojawiła.

- Proszę na lotnisko. Jak najszybciej.

- Który terminal? - zapytał kierowca.

- Europejski - rzuciła Anna po chwili wahania.

- Terminal trzeci - rzekł taksówkarz. Ruszając, dodał: - Skąd pani jest?

- Z Bostonu - odparła Anna. Nie chciała mówić o Nowym Jorku.

- To okropne, co się wydarzyło w Nowym Jorku - rzekł taksówkarz.

- To był jeden z tych momentów historycznych, kiedy każdy zapamięta, gdzie był. Ja siedziałem w taksówce, usłyszałem o tym w radiu. A pani gdzie była?

- W Wieży Północnej - powiedziała Anna.

Od razu poznałem się na tej larwie, pomyślał.

Pokonanie odległości siedemnastu mil z Bay Street do międzynarodowego lotniska im. Lestera B. Pearsona zajęło dwadzieścia pięć minut i w tym czasie taksówkarz więcej się nie odezwał. Kiedy zajechał pod terminal trzeci, Anna zapłaciła i prędko skierowała się na lotnisko. Spojrzała w górę na tablicę odlotów; w tym momencie zegar cyfrowy przeskoczył na dwudziestą ósmą minutę po piątej.

Na ostatni lot na Heathrow było za późno; przed chwilą zamknięto wyjście za ostatnim pasażerem. Anna zaklęła. Przebiegła wzrokiem listę miast, do których jeszcze odlatywały samoloty tego wieczoru: Tel Awiw, Bangkok, Hongkong, Sydney, Amsterdam. Amsterdam! Bardzo dobrze, pomyślała. Lot KL692, startuje o osiemnastej zero zero, wyjście C31, akurat pasażerowie wchodzili na pokład.

Anna pobiegła do stanowiska linii KLM i rzuciła pytanie mężczyźnie za kontuarem, zanim zdążył na nią spojrzeć:

- Czy dostanę się jeszcze na samolot do Amsterdamu?

Mężczyzna przestał liczyć bilety.

- Tak - odparł - ale musi się pani pośpieszyć, bo za chwilę zamykają wyjście.

- Ma pan miejsce przy oknie?

- Przy oknie, w środku, koło przejścia, do wyboru, do koloru.

- Dlaczego tak?

- Mało kto chce teraz latać, i to wcale nie dlatego, że dziś jest trzynasty.

- Lotnisko Kennedy'ego ponownie potwierdziło nasz przydział czasu o siódmej dwadzieścia jutro rano - oznajmił Leapman.

- To dobrze - rzekł Fenston. - Zadzwoń, kiedy samolot wystartuje.

O której lądujecie na Heathrow?

- Około siódmej - odparł Leapman. - Ktoś z Art Locations będzie czekał na pasie startowym, żeby dostarczyć obraz na pokład samolotu. Trzykrotnie większa zapłata pomogła się im skoncentrować.

- A kiedy wrócisz?

- Następnego dnia na śniadanie.

- Jakież wiadomości o Petrescu?

- Nie - rzeki Leapman. - Tina miała tylko jeden telefon. Od mężczyzny.

- Nic od...

Tina weszła do pokoju.

- Jest w drodze do Amsterdamu - zameldował Joe.

- Do Amsterdamu? - powtórzył Jack, bębniąc palcami po blacie biurka.

- Tak, spóźniła się na ostatni lot na Heathrow.

- Wobec tego poleci do Londynu o świcie.

- Mamy już agenta na Heathrow - rzekł Joe. - Czy chcesz, żeby postawić jeszcze gdzieś naszych ludzi?

- Tak, na Gatwick i Stansted - odparł Jack.

- Jeżeli masz rację, to ona będzie w Londynie tylko kilka godzin przed Karlem Leapmanem.

- To znaczy? - zapytał Jack.

- Prywatny odrzutowiec Fenstona ma zarezerwowane okienko na lotnisku Kennedyego jutro o siódmej dwadzieścia i jedynym pasażerem jest Leapman.

- Czyli że prawdopodobnie zamierzają się spotkać - uznał Jack. - Zadzwoń do agenta Crasantiego w naszej ambasadzie w Londynie i poproś, żeby postawił dodatkowych agentów na wszystkich trzech lotniskach. Chcę wiedzieć, co ci dwoje kombinują.

- Nie będziemy na swoim terytorium - przypomniał Joe. - Gdyby Brytyjczycy się skapowali, nie mówiąc o CIA...

- Na wszystkich trzech lotniskach - powtórzył Jack i odłożył słuchawkę.

Ledwo Anna weszła na pokład, zamknięto drzwi. Zaprowadzono ją na miejsce i poproszono, by zapięła pas, ponieważ samolot miał niemal natychmiast wystartować. Anna z zadowoleniem stwierdziła, że pozostałe miejsca w jej rzędzie są niezajęte i gdy tylko znikł napis nakazujący zapiąć pasy, złożyła poręczę i rozciągnęła się, okrywając się dwoma kocami i ułożywszy głowę na prawdziwej poduszce. Zapadła w drzemkę, zanim samolot osiągnął stałą wysokość lotu.

Ktoś delikatnie dotknął jej ramienia. Anna zakłęta pod nosem. Zapomniała powiedzieć, że nie chce nic jeść. Spojrzała do góry na stewardesę i zmrużyła zaspane oczy.

- Nie, dziękuję - powiedziała zdecydowanie i znów zacisnęła powieki.

- Przykro mi, ale muszę panią prosić, żeby pani usiadła i zapięła pas - nalegała uprzejmie stewardesa. - Lądujemy za około dwadzieścia minut. Gdyby chciała pani przestawić zegarek, to w Amsterdamie jest szósta pięćdziesiąt pięć rano.

-

14 września

Leapman obudził się na długo przed przyjazdem limuzyny. W takim dniu nie wolno zasnąć.

Wstał i pomaszerował prosto do łazienki. Wiedział, że choćby najstaranniej się ogolił, i tak przed wieczorem pojawi mu się na twarzy szczecina. Mógłby zapuścić brodę podczas długiego weekendu. Wziął prysznic, ogolił się, ale nie zwracał sobie głowy śniadaniem. Stewardesa poda mu kawę i rogaliki na pokładzie należącego do banku, prywatnego odrzutowca. Czy ktoś w tym zaniedbanym apartamentowcu w niemodnej dzielnicy by uwierzył, że za dwie godziny Leapman będzie jedynym pasażerem odrzutowca Gulfstream V, lecącego do Londynu?

Podszedł do na wpół pustej szafy i wybrał ostatnio kupiony garnitur, ulubioną koszulę i krawat, który włożył pierwszy raz. Nie chciał, żeby pilot był od niego elegantszy.

Stał przy oknie w oczekiwaniu na samochód, świadom, że jego niewielkie mieszkanko nie jest dużo lepsze od więziennej celi, gdzie spędził cztery lata. Spojrzał w dół na Czterdziątą Trzecią Ulicę, kiedy absurdalna w tym miejscu limuzyna zajeżdżała pod frontowe drzwi.

Usiadł z tyłu samochodu; nie odezwał się do kierowcy, kiedy otwierał mu drzwi. Podobnie jak Fenston, wcisnął guzik w oparciu fotela i obserwował, jak przydymiona szyba sunie w górę, oddzielając go od szofera. Przez następne dwadzieścia cztery godziny będzie żył w innym świecie.

Czterdzieści minut później limuzyna skręciła z autostrady Van Wycka w zjazd na lotnisko Kennedy'ego. Szofer przemknął przez wjazd nieznany większości pasażerów i zatrzymał samochód przed małym budynkiem terminalu tylko dla uprzywilejowanych, którzy latali własnymi samolotami. Leapman wysiadł z samochodu i został zaprowadzony do saloniku, gdzie czekał na niego kapitan odrzutowca.

- Czy jest szansa, że odlecimy wcześniej, niż zaplanowano? - spytał Leapman, opadając na wygodny skórzany fotel.

- Nie, proszę pana - odparł kapitan. - Samoloty startują co czterdzieści pięć sekund, a my lecimy, jak potwierdzono, o siódmej dwadzieścia.

Leapman chrząknął i zajął się porannymi gazetami.

„New York Times” donosił na pierwszej stronie, że prezydent Bush obiecuje pięćdziesiąt milionów dolarów nagrody za złapanie Osamy ben Ladena, co Leapman uznał za przejaw teksańskiego podejścia do prawa i porządku, manifestującego się od ostatnich stu lat. „Wall Street Journal” podawał, że akcje Fenston Finance spadły o kolejne dwanaście centów; dotknęło to kilku firm, które miały siedziby główne w World Trade Center. Jak już dostanie w swoje ręce van Gogha, firma przetrwa okres spadku wartości akcji, a tymczasem on się skoncentruje na skonsolidowaniu efektów. Wyrwał go z zamyślenia głos jednego z członków załogi:

- Może pan wejść na pokład, startujemy za jakieś piętnaście minut.

Inny samochód podwiózł go pod schody przystawione do samolotu, który kołował, zanim Leapman zdążył dopić sok pomarańczowy, nie odprężył się jednak, dopóki odrzutowiec nie osiągnął stałej wysokości lotu dziesięciu tysięcy metrów i nie wyłączono znaku nakazującego zapięcie pasów. Wtedy pochylił się do przodu, podniósł telefon i wybrał prywatny numer Fenstona.

- Jestem w drodze - oznajmił - i nic mi nie przeszkodzi, żebym wrócił jutro o tej porze - zawiesił głos - w towarzystwie pewnego Holendra.

- Zadzwoń, jak tylko wylądujesz - powiedział prezes.

Tina wyłączyła aparat, z którego słuchała rozmów prezesa.

Ostatnio Leapman wpadał coraz częściej do jej pokoju - zawsze bez pukania. Nie robił sekretu z tego, że według niego Anna żyje i jest z Tiną w kontakcie.

Odrzutowiec prezesa dziś rano odleciał z lotniska Kennedy'ego o czasie i Tina wysłuchała rozmowy Fenstona z Leapmanem. Uświadomiła sobie, że Anna ma nad Leapmanem niewiele godzin przewagi, o ile oczywiście w ogóle jest w Londynie.

Tina wyobraziła sobie Leapmana, jak wraca do Nowego Jorku następnego dnia i z tym swoim przyklejonym do twarzy mdłym uśmiezkiem wręcza prezesowi obraz van Gogha. Ściągała do komputera najnowsze umowy, a potem przesyłała je pocztą elektroniczną na swój adres - robiła to tylko wtedy, kiedy Leapmana nie było w firmie, a Fenston był bardzo zajęty.

Pierwszy osiągalny tego ranka samolot, kierujący się na londyńskie lotnisko Gatwick, miał wystartować z Schiphol o dziesiątej. Anna kupiła bilet w stanowisku British Airways, gdzie ją uprzedzono, że lot będzie opóźniony o dwadzieścia minut, ponieważ samolot jeszcze nie wylądował. Dzięki temu Anna zdążyła wziąć prysznic i się przebrać. Lotnisko Schiphol było przyzwyczajone do nocnych podróży. Anna wybrała ze swojej skromnej garderoby najbardziej klasyczny zestaw na spotkanie z Victorią.

Usiadła w Caffè Nero przy kawie i zaczęła przeglądać „Herald Tribune”. „Pięćdziesiąt milionów dolarów nagrody” - obwieszczał tytuł na drugiej stronie - mniej niż to, co uzyskano by w każdym domu aukcyjnym za obraz van Gogha. Anna nie traciła czasu na czytanie artykułu, gdyż musiała się skupić na tym, co najważniejsze, kiedy stanie przed Victorią.

Najpierw powinna się dowiedzieć, gdzie jest obraz. Jeżeli Ruth Parish ma go w swojej przechowalni, wtedy doradzi Victorii, żeby zatelefonowała do niej i zażądała jego natychmiastowego zwrotu do Wentworth Hall, i doda, że chętnie poinformuje Ruth, iż Fenston Finance nie może zatrzymać obrazu wbrew życzeniu Victorii, zwłaszcza gdyby jedyna istniejąca umowa miała przepaść. Czuła, że Victoria się na to nie zgodzi, jednak gdyby powiedziała „tak”, wtedy ona skontaktuje się z panem Nakamurą w Tokio i spróbuje się dowiedzieć...

- Pasażerowie udający się do Londynu samolotem British Airways, lot 8112, proszeni są do wyjścia D14 - rozległ się komunikat.

Kiedy przelecieli nad kanałem La Manche, Anna wielokrotnie przebiegała myślą swój plan, starając się znaleźć w nim jakiś błąd, ale uznała, że tylko dwoje ludzi mogłoby go uznać za niemądry. Samolot wylądował na Gatwick z trzydziestopięciominutowym opóźnieniem.

Znalazłszy się na angielskiej ziemi, spojrzała na zegarek; wiedziała, że już za dziewięć godzin Leapman wyląduje na Heathrow. Kiedy przeszła przez kontrolę paszportową i odebrała bagaż, udała się na poszukiwanie samochodu do wynajęcia. Pomięła stanowisko firmy „Happy Hire” i ustawiła się w kolejce do Avisu.

Nie zwróciła uwagi na eleganckiego młodego człowieka, który stał w sklepie wolnoctwowym i szeptał do aparatu komórkowego:

- Wylądowała. Cały czas mam ją na oku.

Leapman zagłębił się w przepastnym skórzanym fotelu, o wiele wygodniejszym od tych w jego mieszkaniu na Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Stewardesa podała mu na srebrnej tacy czarną kawę w porcelanowej filiżance ze złotym brzegiem. Oparł się i zaczął myśleć o czekającym go zadaniu.



Zdawał sobie sprawę, że gra tylko rolę bagażowego, chociaż dziś w jego bagażu znajdzie się jeden z najcenniejszych obrazów na świecie. Pogardzał Fenstonem, który nigdy nie traktował go jak równego sobie. Żeby Fenston choć raz mu przyznał, że się zasłużył firmie i potraktował go jak godnego szacunku kolegę, a nie płatnego - zresztą niezbyt hojnie - lokaja! Wystarczyłoby, żeby mu od czasu do czasu powiedział „dziękuję”. To prawda, Fenston wyciągnął go z rynsztoka, ale zaraz potem wpakował w następny.

Pracował dla Fenstona od dziesięciu lat i na jego oczach niewyrobiony imigrant z Bukaresztu wspinał się po drabinie bogactwa i statusu - drabinie, którą on utrzymywał w równowadze, nadal będąc tylko pomagierem. Jednak to się mogło z dnia na dzień zmienić. Wystarczyłoby, żeby Krantz popełniła jeden błąd, a ich role mogłyby się odwrócić. Fenston by skończył w więzieniu, a on zostałby z fortuną, której nikt nie byłby w stanie wytropić.

- Czy napije się pan jeszcze kawy? - zagadnęła go stewardesa.

Anna nie potrzebowała mapy, by trafić do Wentworth Hall, chociaż wokół licznych wysepek po drodze musiała uważać, żeby nie pojechać w złym kierunku.

Czterdzieści minut później przejeżdżała przez bramę posiadłości. Przed wizytą w Wentworth Hall Anna nie знаła dobrze barokowej architektury, która dominowała w siedzibach arystokracji angielskiej z końca siedemnastego i początku osiemnastego stulecia. „Gmaszysko” - jak Victoria określała swoje rodzinne gniazdo - zbudował w 1697 roku sir John Vanbrugh. To było jego pierwsze zlecenie, później zaprojektował Castle Howard, a także Blenheim Palace - dla innego zwycięskiego wojaka - zanim został najbardziej rozchwytywanym architektem w Europie.

Aleję wiodącą do rezydencji Wentworthów ocieniały dęby, które były równie wiekowe jak pałac, choć widać było wśród nich wyrwy poczynione przez gwałtowne burze w 1987 roku. Anna minęła ozdobny staw, w którym pływały karpie Magoi Koi - imigranci z Japonii - oraz dwa korty tenisowe i trawiaste pólko do krokieta, obsypane pierwszymi jesiennymi liśćmi. Gdy wyjechała zza zakrętu, wyłonił się przed nią wspaniały pałac, otoczony tysiącem słynnych angielskich zielonych akrów.

Victoria raz powiedziała Annie, że w pałacu jest sześćdziesiąt siedem pokoi, z czego czternaście to sypialnie dla gości. Sypialnia na pierwszym piętrze, w której umieszczono Annę, pokój van Gogha, była prawie tak wielka jak jej nowojorskie mieszkanie.

Kiedy Anna podjechała bliżej, zobaczyła, że na wschodniej wieży łopocze chorągiew rodu z herbem, opuszczona do pół masztu. Zatrzymując samochód, pomyślała, że pewno zmarł któryś z licznych starych krewnych Victorii.

Masywne drewniane odrzwia otworzyły się, zanim Anna stanęła na najwyższym stopniu schodów. Modliła się w duchu, by Victoria była w domu i by Fenston nie wiedział, że ona jest w Anglii.

- Dzień dobry pani - wyrecytował kamerdyner. - Czym mogę służyć?

To ja, Andrews, chciała powiedzieć Anna, zaskoczona jego oficjalnym tonem. Tak przyjaźnie się zachowywał, kiedy tu była. Przybrała taki sam ton:

- Chcę się pilnie widzieć z lady Victorią.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparł Andrews - ale zobaczę, czy jaśnie pani nie jest zajęta.

Może zechciałaby pani tu poczekać, a ja tymczasem zapytam.

Co on miał na myśli, mówiąc: „to niemożliwe, ale zobaczę, czy jaśnie pani...”?

Czekając w holu, Anna spojrzała na portret Catherine, lady Wentworth, pędzla Gainsborough. Pamiętała każdy obraz w tym domu, ale jej wzrok powędrował do ulubionego u szczytu schodów - „Pani Siddons jako Porcja” Romneya. Obróciła się ku wejściu do pokoju porannego, gdzie powitało ją malowidło Stubbsa „Akteon, zwycięzca derby”, ulubiony koń sir Harry’ego Wentwortha - nadal bezpieczny na swoim padoku. Jeżeli Victoria posłucha jej rady, będzie mogła przynajmniej uratować resztę kolekcji.

Kamerdyner wrócił tym samym godnym krokiem.

- Jaśnie pani przyjmie panią w salonie - oznajmił. Lekko się skłonił, po czym poprowadził Annę korytarzem.

Anna usiłowała się skupić na swoim sześciorokowym planie, ale najpierw musiała wytłumaczyć, dlaczego spóźniła się na spotkanie dwie doby, choć na pewno Victoria śledziła wydarzenia wtorkowe i może być zdziwiona, że Anna żyje.

Kiedy Anna weszła do salonu, ujrzała Victorię, która z pochyloną głową, spowita w żalobną czerń, siedziała na sofie, a czekoladowy labrador drzemał u jej stóp. Nie pamiętała, by Victoria miała psa, i zdziwiła się, że Victoria się nie podrywa i nie wita jej na swój serdeczny sposób. Victoria podniosła głowę i Annie zaparło oddech, kiedy Arabella Wentworth spojrzała na nią lodowatym wzrokiem. W ułamku sekundy Anna zrozumiała, dlaczego flagę z herbem opuszczono do połowy masztu. Milczała, oswajając się z myślą, że więcej nie zobaczy Victorii i że teraz będzie musiała przekonać jej siostrę, której nigdy przedtem nie spotkała. Nie pamiętała nawet jej imienia. Kobieta, która była lustrzanym odbiciem Victorii, nie wstała ani nie wyciągnęła ręki na powitanie.

- Czy napije się pani herbaty, doktor Petrescu? - zapytała Arabella głosem, który zabrzmiał tak, jakby miała nadzieję, że odpowiedź będzie przecząca.

- Nie, dziękuję - odparła Anna, nadal stojąc. - Czy mogę zapytać, jak Victoria umarła?

- Myślałam, że pani już wie - rzuciła sucho Arabella.

- Nie mam pojęcia, co pani ma na myśli - rzekła Anna.

- Więc dlaczego pani tu jest, jeśli nie po to, żeby zabrać resztę rodzinnych sreber? - spytała Arabella.

- Przyjechałam, aby ostrzec Wiktorię, żeby nie pozwoliła im wziąć van Gogha, zanim będę miała szansę...

- Zabrali obraz we wtorek - rzekła Arabella i na moment zamilkła. - Nie mieli nawet tyle taktu, żeby poczekać, aż odbędzie się pogrzeb.

- Próbowałam zadzwonić, ale nie udostępniono mi jej numeru. Gdybym tylko się dodzwoniła - Anna wymamrotała coś nieskładnie, a potem dodała: - A teraz jest za późno.

- Za późno na co? - zainteresowała się Arabella.

- Wysłałam Victorii moje sprawozdanie z zaleceniem, żeby...

- Tak, czytałam pani sprawozdanie - rzekła Arabella - ale ma pani rację, teraz jest za późno. Mój nowy prawnik już mnie uprzedził, że upłyną lata, zanim sprawa spadku i jego obciążeń zostanie rozstrzygnięta, a do tego czasu wszystko stracimy.

- To dlatego nie chciałam, żebyś pojechała do Anglii i spotkała się osobiście z Victorią!

- Nie bardzo rozumiem - odezwała się Arabella, przyglądając się

Annie z uwagą.

- Fenston wyrzucił mnie we wtorek z pracy - wyjaśniła Anna - za to, że wysłałam Victorii kopię sprawozdania.

- Victoria czytała pani sprawozdanie - powiedziała cicho Arabella. - Mam list, potwierdzający, że zamierzała postąpić według pani rady, ale to było przed jej okrutną śmiercią.

- Jak umarła? - spytała łagodnie Anna.

- Została zamordowana w podły i tchórzliwy sposób - oznajmiła Arabella. Zawiesiła głos, po czym, patrząc w twarz Annie, dodała: - Nie wątpię, że pan Fenston będzie w stanie podać pani szczegóły.

Anna spuściła głowę, nie wiedząc, co rzec; jej sześciopunktowy plan legł w gruzach. Fenston pobił je obie.

- Droga Victoria była taka ufna i, obawiam się, naiwna - ciągnęła Arabella | ale żadna ludzka istota nie zasługuje na to, co ją spotkało, a co dopiero ktoś tak dobroduszny jak moja siostra.

- Tak mi przykro - powiedziała Anna. - Nie wiedziałam. Musi mi pani uwierzyć. Nie miałam pojęcia.

Arabella spojrzała przez okno na trawnik i przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Odwróciła się, drżąc, do Anny.

- Wierzę pani | powiedziała w końcu. - Początkowo myślałam, że to pani jest odpowiedzialna za tę szatańską farsę. - Znowu zamilkła. - Widzę, że się myliłam. Ale niestety, jest już za późno. Teraz nic nie możemy zrobić.

- Wcale nie jestem taka pewna - oświadczyła Anna; w jej oczach malowała się determinacja. - Ale jeżeli mam coś zrobić, muszę panią prosić, żeby mi pani zaufała, tak jak Victoria.

- Co pani przez to rozumie? - spytała Arabella.

- Proszę dać mi szansę udowodnienia - rzekła Anna - że nie jestem odpowiedzialna za śmierć pani siostry.

- Ale jak ma pani nadzieję to zrobić?

- Odzyskując obraz van Gogha.

- Przecież już pani powiedziałam, że obraz zabrano.

- Wiem - przyznała Anna - ale musi być jeszcze w Anglii, bo Fenston wysłał po niego niejakiego Leapmana. - Anna spojrzała na zegarek. - Wyląduje na Heathrow za kilka godzin.

- Ale gdyby nawet udało się pani dostać obraz w swoje ręce, to w jaki sposób to rozwiąże problem?

Anna przedstawiła Arabelli swój plan i z zadowoleniem zauważyła, że jej słuchaczka od czasu do czasu potakująco kiwa głową. Na koniec Anna powiedziała:

- Potrzebuję pani poparcia, bo inaczej mogłabym trafić do więzienia.

Arabella przez pewien czas milczała, w końcu przemówiła:

- Jest pani odważną młodą kobietą i nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę ze swojej odwagi. Ale jeżeli nie waha się pani podjąć takiego ryzyka, ja też tego chcę i będę panią popierać do upadłego.

Anna się uśmiechnęła, słysząc te słowa.

- Czy może mi pani powiedzieć, kto zabrał obraz?

Arabella podniosła się z sofy i podeszła do biurka, a za nią podążył pies. Wzięła do ręki wizytówkę.

- Ruth Parish - przeczytała - z firmy Art Locations.

- Tak myślałam - rzekła Anna. - Wobec tego muszę natychmiast ruszać w drogę, bo zostało mi niewiele czasu do przyjazdu Leapmana.

Anna zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę, lecz Arabella nie zareagowała tym samym gestem. Po prostu objęła Annę i powiedziała:

- Zrobiłabym wszystko, żeby pomóc pani pomścić śmierć mojej siostry...

- Wszystko?

- Wszystko - powtórzyła Arabella.

- Kiedy runęła Wieża Północna, cała dokumentacja dotycząca pożyczki Victorii uległa zniszczeniu, łącznie z pierwotną umową. Jedyne egzemplarze są w pani rękach. Gdyby...

- Nie musi pani tego wyjaśniać - rzekła Arabella.

Anna się uśmiechnęła. Teraz nie ma do czynienia z Victorią.

Odwróciła się do wyjścia i dotarła do holu na długo przedtem, nim kamerdyner zdążył otworzyć drzwi.

Arabella patrzyła przez okno w salonie, jak samochód Anny rusza z podjazdu i znika w oddali. Zastanawiała się, czy kiedyś jeszcze ją zobaczy.

- Petrescu - powiedział głos - właśnie odjeżdża z Wentworth Hall. Kieruje się w stronę centralnego Londynu. Jadę za nią, będę cię informował.

23

Anna wyjechała z posiadłości Wentworthów i zawróciła w kierunku drogi M25, wypatrując drogowskazu do Heathrow. Spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej. Dochodziła druga po południu, więc już za późno na telefon do Tiny, która jest teraz w biurze na Wall Street. Ale musi załatwić inny telefon, jeżeli jej akcja ma się w ogóle powieść.

Przejeżdżając przez Wentworth, usiłowała sobie przypomnieć pub, do którego Victoria zabrała ją na kolację. Wtem dostrzegła znajomą chorągiew trzepoczącą na wietrze, też opuszczoną do pół masztu.

Skreśliła w dziedziniec pubu Wentworth Arms i zaparkowała samochód w pobliżu wejścia. Minęła recepcję i weszła do baru.

- Czy może mi pani rozmienić pięć dolarów? - zapytała kelnerkę. -

Muszę zatelefonować.

- Oczywiście, skarbie - odparła kelnerka. Otworzyła kasę i wręczyła

Annie dwie monety jednofuntowe.

Rozbój w biały dzień, chciała powiedzieć Anna, ale nie miała czasu na spory.

- Telefon jest zaraz za restauracją, na prawo.

Anna wykręciła numer, którego nigdy nie zapomni. Za ledwie po dwóch sygnałach odezwał się głos:

- Dzień dobry, dom aukcyjny Sotheby.

Anna wrzuciła monetę do otworu i poprosiła o połączenie z Markiem Poltimore'em.

- Już łączę.

- Mark Poltimore.

- Mark, tu Anna, Anna Petrescu.

- Anno, co za miła niespodzianka. Wszyscy martwiliśmy się o ciebie. Gdzie byłeś we wtorek?

- W Amsterdamie - powiedziała.

- Dzięki Bogu - rzekł Mark. - Okropna sprawa. A Fenston?

- Nie było go wtedy w budynku - odparła Anna - i dlatego dzwonię. On prosi o twoją opinię o obrazie van Gogha.

- Chodzi mu o potwierdzenie autentyczności czy o cenę? - spytał Mark. - Bo w sprawie proweniencji ty jesteś najwyższym sędzią.

- Proweniencja obrazu nie podlega dyskusji - rzekła Anna. - Chciałabym tylko mieć drugą opinię o jego wartości.

- Czy znamy ten obraz? - zagadnął Mark.

- „Autoportret z zabandażowanym uchem” - powiedziała Anna.

- Ten należący do Wentworthów? - spytał Mark. - Znam ich rodzinę od lat i nie miałem pojęcia, że chcą sprzedać ten obraz.

- Nie powiedziałam, że chcą - odparła Anna bez dalszych wyjaśnień.

- Czy możesz dostarczyć obraz, żebym go obejrzał? - zapytał Mark.

- Chętnie bym to zrobiła, ale nie dysponuję bezpiecznym środkiem transportu. Liczyłam na to, że będziesz mi mógł pomóc.

- A gdzie on teraz jest?

- W składzie celnym na Heathrow.

- To będzie łatwe - uznał Mark. - Z Heathrow codziennie odbieramy przesyłki. Czy odpowiada ci jutro po południu?

- Wolalabym dzisiaj, jeżeli to możliwe - rzekła Anna. - Wiesz, jaki jest mój szef.

- Poczekaj, tylko sprawdzę, czy już wyjechali.

Na linii zapanowała cisza, ale Anna słyszała, jak mocno bije jej serce. Wrzuciła do otworu następną monetę - absolutnie nie mogła sobie pozwolić na przerwanie połączenia. Mark podjął słuchawkę.

- Masz szczęście. Nasz przewoźnik zabiera stamtąd kilka przesyłek około czwartej. Czy to ci odpowiada?

- Jak najbardziej, ale czy mógłbyś jeszcze coś dla mnie zrobić i poprosić go, żeby zatelefonował do Ruth Parish w Art Locations tuż przed przyjazdem na miejsce?

- Oczywiście. A ile czasu będziemy mieć na wycenę obrazu?

- Czterdzieści osiem godzin.

- Anno, jeżeli kiedyś pomyślisz o sprzedaży „Autoportretu”, to czy najpierw zwrócisz się do nas?

- Oczywiście.

- Będę niecierpliwie czekał - rzekł Mark.

Anna odwiesiła słuchawkę, przerażona, że potrafi teraz tak sprawnie kłamać. Zrozumiała też, jak łatwo przychodziło Fenstonowi ją oszukiwać.

Odjechała sprzed pubu w przekonaniu, że teraz wszystko zależy od tego, czy Ruth Parish będzie w swoim biurze. Kiedy znalazła się na obwodnicy, wybrała pas wolniejszego ruchu i pogрузzyła się w rozważaniach o tym, co może się nie udać. Czy Ruth wie, że wyrzucono ją z pracy? Czy Fenston jej powiedział, że ona nie żyje? Czy Ruth skłonna będzie uznać jej autorytet, by podjąć tak poważną decyzję? Anna zdawała sobie sprawę, że jest tylko jeden sposób, aby się przekonać. Zastanawiała się nawet, czy nie zatelefonować do Ruth, ale doszła do wniosku, że jeżeli ją uprzedzi, da jej więcej czasu, by mogła sprawdzić wersję Anny. Jeżeli w ogóle ma mieć jakąś szansę, musi Ruth zaskoczyć.

Była tak pogrążona w myślach, że o mało nie przeoczyła zjazdu na Heathrow. Kiedy skręciła z drogi M25, przejechała obok tablic wskazujących dojazd do terminalu pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego, i skierowała się do magazynów towarowych tuż przy południowej obwodnicy.

Zajeżdżała na parking dla gości, na wprost Art Locations. Siedziała Przez dłuższą chwilę w samochodzie, usiłując się uspokoić. Dlaczego po prostu nie odjedzie? Nie musi się w nic angażować ani nawet myśleć o podjęciu takiego ryzyka. Ale przypomniawszy sobie o Victorii, o roli, jaką nieświadomie odegrała w jej śmierci.

- Do dzieła - powiedziała na głos. - Albo wiedzą, albo nie wiedzą, a jeżeli już dostali cynk, to za dwie minuty będziesz z powrotem w samochodzie. - Spojrzała do lustra. Czy coś po niej widać? - Dalej, ruszaj się!

- napomniała się bardziej stanowczo i w końcu otworzyła drzwi samochodu. Zaczepnęła tchu i przez płytę lotniska powędrowała do budynku.

Pchnęła drzwi wahadłowe i stanęła przed recepcjonistką, której nigdy jeszcze nie widziała. Niedobry początek.

- Czy jest Ruth? - spytała wesoło, jakby wpadała tu co dzień.

- Nie, jest na lunchu w Akademii Królewskiej i rozmawia o bliskiej wystawie Rembrandta.

Anna straciła nadzieję.

- Ale powinna lada chwila wrócić.

- Wobec tego poczekam - powiedziała Anna z uśmiechem.

Usiadła na krześle w recepcji. Sięgnęła po stary egzemplarz „Newsweeka” z Alem Gore’em na okładce i przerzuciła kartki. Złapała się na tym, że co chwilę spogląda na zegar nad biurkiem recepcjonistki, śledząc powolne ruchy minutowej wskazówki: 3:10, 3:15, 3:20. Ruth zjawiała się w drzwiach o trzeciej dwadzieścia dwie.

- Są jakieś wiadomości? - zapytała recepcjonistkę.

- Nie - odparła dziewczyna - ale jakaś pani czeka. Anna wstrzymała oddech, kiedy Ruth obracała się ku niej.

- Anna! - wykrzyknęła. - Jak się cieszę, że cię widzę! - Pierwsza przeszkoda wzięta. -

Zastanawiałam się, czy po tej tragedii w Nowym Jorku dalej będziesz się tym zajmować. - Druga przeszkoda wzięta. - Zwłaszcza że twój szef mi powiedział, że przyjdzie pan Leapman, aby osobiście odebrać obraz. - Trzecia przeszkoda wzięta. Nikt nie mówił Ruth, że Anna jest na liście zaginionych, uznanych za zmarłych.

- Jesteś jakaś blada - zauważyła Ruth. - Dobrze się czujesz?

- Tak, doskonale - rzekła Anna; potknęła się o czwartą przeszkodę, ale przynajmniej się nie przewróciła, nawet jeżeli ma jeszcze sześć przeszkód do pokonania.

- Gdzie byłaś jedenastego? - zapytała z troską Ruth. - Baliśmy się najgorszego. Zagadnęłabym pana Fenstona, ale on nigdy nie daje człowiekowi okazji, żeby go o coś spytać.

- Byłam w Amsterdamie w sprawie sprzedaży - odparła Anna - ale wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie Karl Leapman i poprosił, żebym tu przyleciała i jeszcze raz sprawdziła, czy wszystko jest gotowe, tak żeby po jego przybyciu można było od razu wnieść obraz do samolotu.

- Wszystko jest jak najbardziej gotowe - powiedziała Ruth z irytacją - ale zawiozę cię do magazynu, żebyś się sama przekonała. Poczekaj minutkę. Muszę sprawdzić, czy nie było jakichś telefonów i powiadomić sekretarkę, dokąd się wybieram.

Anna nerwowo chodziła tam i z powrotem i zastanawiała się, czy Ruth zatelefonuje do Nowego Jorku, żeby sprawdzić jej słowa. Ale dlaczego miałyby to robić? W przeszłości Ruth nigdy nie załatwiała spraw z kimś innym.

Ruth wróciła po dwóch minutach.

- Przed chwilą to przyszło pocztą elektroniczną - powiedziała, wręczając Annie kartkę z wiadomością; Anna upadła na duchu. - Potwierdzenie, że Leapman wylądował wieczorem około siódmej, siódmej trzydzieści. Oczekuje, że będziemy na niego czekać na pasie startowym, gotowi do załadowania obrazu, bo chciałby wystartować z powrotem w niespełną godzinę.

- To w stylu Leapmana - zauważyła Anna.

- Zatem lepiej się pośpieszmy - powiedziała Ruth i skierowała się do drzwi.

Anna przytaknęła, wyszła za nią z budynku i wskoczyła na siedzenie dla pasażera do range-rovera Ruth.

- Straszna historia z tą lady Victorią - rzekła Ruth, zawracając samochód i kierując się na południowy kraniec terminalu towarowego. -

Prasa rozpisyje się na ten temat: tajemniczy zabójca, gardło poderżnięte kuchennym nożem, ale policja jeszcze nikogo nie aresztowała.

Anna milczała. W głowie dźwięczały jej słowa „poderżnięte gardło” i „tajemniczy zabójca”. Czy to dlatego Arabella jej powiedziała, że jest odważną kobietą?

Ruth zahamowała przed jakimś betonowym budynkiem, który Anna odwiedziła kilka razy w przeszłości. Spojrzała na zegarek: trzecia czterdzieści.

Ruth machnęła specjalną przepustką strażnikowi, który natychmiast otworzył grube stalowe drzwi. Towarzyszył im obu, gdy szły długim, szarym betonowym korytarzem, w którym Anna zawsze się czuła jak w bunkrze. Zatrzymał się przed drugimi drzwiami zabezpieczającymi, tym razem z zamkiem cyfrowym. Ruth poczekała, aż strażnik się cofnie, a potem wprowadziła sześciocyfrowy kod. Otworzyła ciężkie drzwi, przez które weszli do kwadratowego pomieszczenia. Termometr na ścianie wskazywał temperaturę 20 stopni Celsjusza.

Pokój wypełniały drewniane półki zastawione obrazami, które czekały na wysyłkę w różne strony świata, wszystkie spakowane w charakterystyczne czerwone skrzynki Art Locations. Ruth zajrzała do

spisu, a potem przemierzyła pokój i omiotła wzrokiem rząd półek. Stuknęła palcem w skrzynkę z numerem 47, odbitym przez szablon na wszystkich czterech rogach.

Anna podeszła do Ruth, grając na zwłokę. Również sprawdziła w spisie: numer 47, Vincent van Gogh, „Autoportret z zabandażowanym uchem”, 24 na 18 cali.

- Wszystko w porządku - odezwała się Anna, kiedy w drzwiach zjawił się strażnik.

- Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pani - zwrócił się do Ruth Parish - ale przed budynkiem są dwaj strażnicy z domu aukcyjnego Sotheby i mówią, że polecono im zabrać obraz van Gogha do wyceny.

- Czy coś ci o tym wiadomo? - spytała Ruth, obracając się do Anny.

- A, tak - odparła Anna bez zmużenia oka - prezes kazał mi oddać obraz do wyceny dla celów ubezpieczeniowych przed wysyłką do Nowego Jorku. Będzie im potrzebny tylko na godzinę, a potem natychmiast odeślą go z powrotem.

- Pan Leapman nic o tym nie wspomniał - rzekła Ruth. - Nie było o tym ani słowa w wiadomości przesłanej pocztą elektroniczną.

- Szczerze mówiąc, ten Leapman to ignorant - powiedziała Anna. - On by nie odróżnił van Gogha od van Morrisona. - Zamilkła na chwilę. Zwykle nie ryzykowała, ale nie mogła pozwolić, żeby Ruth zatelefonowała do Fenstona, aby się upewnić. - Jeżeli masz wątpliwości, to zatelefonuj do Nowego Jorku i zamień słowo z Fenstonem - zasugerowała. -

To wyjaśni sprawę.

Anna czekała w napięciu, tymczasem Ruth namyślała się, co robić.

- Nie chcę znów wysłuchiwać reprimendy - odezwała się wreszcie. - Nie, dziękuję, wystarczy mi twoje słowo. Jeżeli oczywiście podpiszesz dokument zwolnienia obrazu.

- Ależ tak - zgodziła się Anna. - To przecież tylko mój fiducjarny obowiązek jako urzędnika banku - dodała z nadzieją, że zabrzmiało to odpowiednio pompatycznie.

- I wytłumaczysz też zmianę planu panu Leapmanowi?

- To nie będzie konieczne - odparła Anna. - Obraz zostanie zwrócony na długo przed jego przylotem.

Na twarzy Ruth odmalowała się ulga. Zwróciła się do strażnika i powiedziała:

- To numer czterdziesty siódmy.

Obie towarzyszyły strażnikowi, kiedy zdejmował skrzynkę z półki i zanosił ją do zabezpieczonego furgonu domu aukcyjnego Sotheby.

- Proszę tu podpisać - rzekł kierowca.

Anna podeszła do niego i podpisała dokument.

- Kiedy przywieziecie obraz z powrotem? - spytała Ruth kierowcę.

- Nic nie wiem o...

- Poprosiłam Marka Poltimore'a o zwrot obrazu w ciągu dwóch godzin - wpadła mu w słowo Anna.

- Lepiej, żeby wrócił, zanim Leapman wylądaje - odezwała się Ruth - bo nie chciałabym mieć do czynienia z tym człowiekiem.

- Byłabyś spokojniejsza, gdybym pojechała razem z nimi do Sotheby'ego? - spytała niewinnie Anna. - Dopilnowałabym, żeby było szybciej.

- Mogłabyś to zrobić? - zagadnęła Ruth.

- W tej sytuacji to rozsądne - odparła Anna, wdrapała się do szoferki i usiadła między dwoma



mężczyznami.

Ruth im pomachała, kiedy furgonetka pomknęła przez wyjazd na obwodnicę i włączyła się w popołudniowy ruch pojazdów zdążających do Londynu.

24

Prywatny odrzutowiec Bryce'a Fenstona Gulfstream V wylądował na Heathrow o siódmej dwadzieścia dwie wieczorem. Na płycie lotniska stała Ruth, oczekując przedstawiciela banku. Uprzedziła już kontrolę celną i podała wszystkie istotne szczegóły, tak by formalności zostały załatwione z chwilą powrotu Anny.

W ciągu ostatniej godziny Ruth coraz częściej spoglądała w stronę głównej bramy, modląc się w duchu, żeby furgon się pojawił. Telefonowała już do domu aukcyjnego i pracowniczka działu impresjonistów zapewniła ją, że obraz przywieziono. Ale to było ponad dwie godziny temu. Może powinna zatelefonować do Stanów Zjednoczonych, żeby jeszcze raz się upewnić, ale dlaczego nie wierzyć komuś, kto należy do jej najsolidniejszych klientów? Zwróciła znowu uwagę na lądujący odrzutowiec i postanowiła nic nie mówić. Przecież Anna na pewno się pojawi za kilka minut.

Drzwi samolotu się otworzyły i na ziemię opuszczono schody. Stewardesa usunęła się na bok, przepuszczając jedyne go pasażera. Karl Leapman stanął na płycie lotniska i przywitał się z Ruth uściskiem ręki, po czym wsiadł wraz z nią do samochodu portu lotniczego, który ruszył w krótką podróż do odrębnego saloniku. Nie zadał sobie trudu, by się przedstawić, po prostu uznał, że Ruth wie, kim jest.

- Jakież problemy? - zagadnął.

- Nic podobnego - odparła pewnym głosem Ruth; tymczasem kierowca zatrzymał samochód przed budynkiem dla VIP-ów. - Wykonaliśmy wasze instrukcje co do joty, mimo tragicznej śmierci lady Victorii.

- Taak - rzekł Leapman, wysiadając z samochodu. - Bank wyśle wieniec na jej pogrzeb. - I bez jednej chwili milczenia dodał: - Czy wszystko jest gotowe do szybkiego załadunku?

- Owszem - odparła Ruth. - Przystąpimy do załadunku, kiedy kapitan skończy tankować benzynę. Nie powinno to potrwać dłużej niż godzinę. Potem ruszy pan w drogę.

- Cieszę się, że to słyszę - rzucił Leapman, przechodząc przez drzwi.

- Mamy wyznaczony czas odlotu o ósmej trzydzieści i nie chciałbym się spóźnić.

- To może lepiej, żebym pana zostawiła i dopilnowała załadunku.

Ale zgłoszę się, jak obraz będzie już bezpieczny na pokładzie samolotu.

Leapman skinął głową i opadł na kolejny skórzany fotel. Ruth odwróciła się do wyjścia.

- Co panu podać do picia? - spytał barman.

- Whisky z lodem - rzekł Leapman, rzucając okiem na krótki spis dań kolacyjnych.

Ruth, już przy drzwiach, odwróciła się i powiedziała:

- Kiedy wróci Anna, proszę jej powiedzieć, że będę przy stanowisku celnym załatwiać formalności.

- Anna? - krzyknął Leapman, zrywając się na równe nogi.

- Tak, była tu przez prawie całe popołudnie.

- I co robiła? - pytał Leapman, podchodząc blisko do Ruth.

- Sprawdzala manifest ładunkowy - Ruth starała się mówić spokojnie - i pilnowała, żeby polecenia pana Fenstona zostały wykonane.

- Jakie polecenia? - burknął Leapman.
- Wysłania obrazu do domu aukcyjnego Sotheby do wyceny dla celów ubezpieczenia.
- Prezes nie wydał takiego polecenia - powiedział Leapman.
- Ale Sotheby przysłał swój furgon, a doktor Petrescu potwierdziła zlecenie.
- Petrescu została zwolniona z pracy trzy dni temu. Proszę połączyć mnie z domem aukcyjnym Sotheby. W tej chwili.

Ruth podbiegła do telefonu i wykręciła główny numer.

- Z kim ona tam się kontaktuje?
- Z Markiem Poltimore'em - odparła Ruth, podając Leapmanowi słuchawkę.
- Poltimore? - warknął, kiedy usłyszał nazwę domu aukcyjnego, a potem sobie uświadomił, że zwrócił się do automatycznej sekretarki. Rzucił słuchawkę. - Czy ma pani jego domowy numer?
- Nie - odpowiedziała Ruth. - Ale mam numer komórkowy.

- To niech pani dzwoni.

Ruth szybko odnalazła numer Marka i wykręciła go.

- Mark? - zapytała. Leapman wyrwał jej słuchawkę.
- Poltimore?
- Przy telefonie.
- Nazywam się Leapman. Jestem...
- Wiem, kim pan jest, proszę pana - rzekł Mark.
- To dobrze, bo rozumiem, że w pańskich rękach jest nasz obraz van Gogha.
- Owszem, był - odparł Mark - do chwili, kiedy doktor Petrescu, wasz dyrektor działu sztuki, poinformowała nas, zanim zdążyliśmy obejrzeć obraz, że zmienił pan zdanie i zażądał, żeby płótno od razu odesłać na Heathrow do natychmiastowego odtransportowania do Nowego Jorku.
- I państwo się do tego zastosowali? - Leapman z każdym słowem podnosił głos.
- Nie mieliśmy wyboru, proszę pana. W końcu to jej nazwisko figurowało na manifeście ładunkowym.

25

- Cześć, tu Vincent.
- Cześć. Czy to prawda, co słyszałam?
- Co słyszałaś?
- Ze ukradłaś obraz van Gogha.
- Czy policja została zawiadomiona?
- Nie, on nie może ryzykować, bo nasze akcje wciąż spadają, a obraz nie jest ubezpieczony.
- To co zrobi?
- Wysła kogoś do Londynu, żeby cię namierzył, ale nie mogę się dowiedzieć, kto to jest.
- Może nie będzie mnie w Londynie, jak ten ktoś tu się zjawi.
- Gdzie będziesz?
- Jadę do domu.
- Obraz jest bezpieczny?
- Jeszcze jak!
- To dobrze. Ale jeszcze coś musisz wiedzieć.
- Co takiego?

- Fenston będzie dziś po południu na twoim pogrzebie.

Połączenie zostało przerwane. Pięćdziesiąt dwie sekundy.

Anna odłożyła słuchawkę, zmartwiona, że naraża Tinę na niebezpieczeństwo. Co by zrobił Fenston, gdyby się dowiedział, dlaczego zawsze jej się udaje być o krok przed nim?

Podeszła do stanowiska odlotów.

- Czy ma pani bagaż do odprawy? - spytała ją kobieta siedząca za ladą.

Anna wyjęła z wózka czerwoną skrzynkę i postawiła ją na wadze. Potem umieściła obok walizkę.

- Ma pani dużą nadwagę - powiedziała kobieta. - Obawiam się, że trzeba będzie dopłacić trzydzieści dwa funty. - Anna wyjęła pieniądze z portfela, a tymczasem kobieta przyczepiła kartkę z oznaczeniem do jej walizki i przykleiła wielką nalepkę z napisem OSTROŻNIE do czerwonej skrzynki. - Wyjście numer czterdzieści trzy - oznajmiła, wręczając Annie bilet. - Pasażerowie będą wpuszczani na pokład za około pół godziny. Życzę dobrego lotu.

Anna pomaszerowała w stronę wyjścia czterdziestego trzeciego.

Ten, kogo Fenston wysłała do Londynu, żeby ją wytropić, wylądował, jak jej tu już dawno nie będzie. Ale Anna wiedziała, że wystarczy dokładnie przeczytać jej sprawozdanie, by się dowiedzieć, dokąd obraz w końcu trafi. Ona musi tam dotrzeć przed człowiekiem Fenstona. Ale najpierw powinna zatelefonować do kogoś, z kim nie rozmawiała od ponad dziesięciu lat, i uprzedzić go o swoim przyjeździe. Pojechała ruchomymi schodami na pierwsze piętro i stanęła w długiej kolejce osób sprawdzanych przez ochronę.

- Idzie do wyjścia numer czterdzieści trzy - powiedział głos - i odleci samolotem British Airways lot dwieście siedemdziesiąt dwa do Bukaresztu o ósmej czterdzieści cztery...

Fenston wcisnął się między dostojników, kiedy prezydent Bush i burmistrz Giuliani wymieniali uściski dłoni z grupką wybrańców, którzy uczestniczyli w ostatnim nabożeństwie w Strefie Zero.

Kręcił się przy nich, dopóki śmigłowiec prezydenta nie odleciał, wtedy dołączył do pozostałych żałobników. Zajął miejsce z tyłu tłumu i słuchał, jak wyczytywano nazwiska. Po każdym rozbrzmiewało jedno uderzenie dzwonu.

Greg Abbot.

Fenston obrzucił wzrokiem tłum.

Kelly Gullickson.

Przyjrzał się twarzom krewnych i przyjaciół, zgromadzonych, żeby uczcić pamięć tych, których kochali.

Anna Petrescu.

Fenston wiedział, że matka Petrescu mieszka w Bukareszcie i nie przyjedzie na nabożeństwo. Przyjrzał się uważniej obcym, którzy stali ściśnięci obok siebie, i ogarnęła go ciekawość, który z nich to stryj George z Danville w stanie Illinois.

Rebeka Rangere.

Przeniósł wzrok na Tinę. Oczy miała pełne łez, z pewnością nie oplakiwała Petrescu.

Brulio Real Polanco.

Kapłan pochylił głowę. Odmówił modlitwę, a potem zamknął Biblię i uczynił znak krzyża.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego - rzekł.

- Amen - odpowiedział chór głosów.

Tina spojrzała na Fenstona; nie uronił ani jednej łzy, przestępował tylko z nogi na nogę - znak, że się nudził. Podczas gdy inni gromadzili się w małych grupkach, by wspominać, wyrazić żal i złożyć uszanowanie, Fenston odszedł, nikomu nie okazując współczucia. Nikt też do niego nie podszedł, kiedy kroczył zdecydowanie w stronę czekającego samochodu.

Tina stała w grupce żałobników, jednak nie spuszczała wzroku z szefa. Szofer otworzył mu tylne drzwi. Fenston wszedł do samochodu i usiadł obok kobiety, której Tina nigdy wcześniej nie widziała. Żadne z nich nie otworzyło ust, dopóki szofer nie wrócił na swoje miejsce i naciśnięciem guzika na desce rozdzielczej nie uruchomił dymnej szyby, która go odcięła od pasażerów. Samochód od razu skręcił na szosę i włączył się w sznur pojazdów. Tina stała i patrzyła, póki prezes nie znikł jej z oczu. Miała nadzieję, że Anna wkrótce zadzwoni - tyle ma jej do powiedzenia, a teraz musi się dowiedzieć, kim była kobieta, która czekała w samochodzie. Czy rozmawiali o Annie? Czy nie naraziła przyjaciółki na niepotrzebne niebezpieczeństwo? Gdzie jest obraz van Gogha?

Kobieta siedząca obok Fenstona miała na sobie szary garnitur. Anonimowość była jej największym atutem. Nigdy nie odwiedziła Fenstona ani w jego biurze, ani w mieszkaniu, chociaż znała go prawie dwadzieścia lat. Pierwszy raz zetknęła się z Nicu Munteanu, kiedy występował w roli rekietera prezydenta Nicolae Ceausescu.

Głównym obowiązkiem Fenstona za panowania Ceausescu było wpłacanie dużych sum pieniędzy na niezliczone konta bankowe na całym świecie - łapówek dla wiernych popleczników dyktatora. Kiedy przestawali być lojalni, kobieta, która siedziała teraz koło Fenstona, eliminowała ich, a potem on dokonywał redystrybucji zamrożonych aktywów. Specjalnością Fenstona było pranie brudnych pieniędzy, przekazywanych do miejsc tak odległych jak Cook Islands i tak bliskich jak Szwajcaria. Kobieta natomiast specjalizowała się w pozbywaniu się ciał - jej narzędziem pracy był nóż kuchenny, dostępny w każdym sklepie żelaznym we wszystkich miastach i, w odróżnieniu od broni palnej, nie wymagający zezwolenia.

Oboje wiedzieli, bez przerośni, gdzie ciała są pogrzebane. W 1985 roku Ceausescu postanowił wysłać swojego osobistego bankiera do Nowego Jorku, żeby otworzył tam dla niego zagraniczną filię. Przez następne cztery lata Fenston nie miał kontaktu z kobietą, która teraz siedziała obok niego, aż do 1989 roku, kiedy Ceausescu został przez swoich rodaków aresztowany, osądzony i w końcu stracony w pierwszym dniu świąt Bożego Narodzenia. Wśród tych, którzy uniknęli podobnego losu, znajdowała się Olga Krantz. Przekroczyła ona siedem granic, nim dotarła do Meksyku, skąd wśliznęła się do Stanów Zjednoczonych, a tam wtopiła w rzeszę nielegalnych imigrantów, którzy nie zgłaszali się po zasiłek dla bezrobotnych i żyli z pieniędzy wypłacanych im przez pozbawionych skrupułów pracodawców. Obecnie siedziała przy swoim pracodawcy.

Fenston był jednym z niewielu żyjących ludzi, którzy wiedzieli, kim Krantz naprawdę jest. Najpierw oglądał ją w telewizji, kiedy miała czternaście lat i reprezentowała Rumunię na międzynarodowych zawodach gimnastycznych przeciw drużynie Związku Radzieckiego.

Krantz zdobyła drugie miejsce za koleżanką ze swojej drużyny, Marą Moldoveanu, i prasa już pisała o nich jako o złotej i srebrnej medalistce na przyszłej olimpiadzie. Niestety, żadna nie pojechała do Moskwy. Moldoveanu zginęła w tragicznych, niespodziewanych okolicznościach - spadła z równoważni, próbując wykonać podwójne salto, i skręciła kark. Krantz była wtedy jedyną obecną osobą w sali gimnastycznej. Ślubowała, że zdobędzie złoty medal dla uczczenia koleżanki.

Koniec kariery Krantz był o wiele mniej dramatyczny. Naciągnęła ścięgno podczas rozgrzewki

przed ćwiczeniami wolnymi kilka dni przed nominacją do zespołu olimpijskiego. Wiedziała, że nie będzie mieć drugiej szansy. Jak to bywa ze sportowcami, którzy nie znajdują się w ścisłej czołówce, jej nazwisko prędko zniknęło z nagłówek gazet. Fenston myślał, że nigdy więcej o niej nie usłyszy, ale pewnego ranka zobaczył ją, jak wychodziła z biura Ceausescu. Niska, muskularna kobieta wyglądała trochę starzej, ale nadal miała zwinne ruchy, a jej stalowoszarych oczu nie sposób było zapomnieć.

Rzucił kilka odpowiednio dobranych pytań i dowiedział się, że Krantz jest teraz szefową osobistej ochrony prezydenta. Do jej szczególnych obowiązków należało łamanie kości tym, którzy przeciwstawiali się dyktatorowi lub jego żonie.

Jak wszyscy gimnastycy, Krantz chciała brylować w swojej dyscyplinie. Opanowawszy w stopniu doskonałym wszystkie układy ćwiczeń obowiązkowych - łamanie rąk, nóg i karków - przeszła do ćwiczeń dowolnych - „nożownictwa” - w której to konkurencji nikt nie mógł jej odebrać złotego medalu. Godziny pełnego poświęcenia treningu nie poszły na marne. Kiedy inni chodzili w sobotnie popołudnia na mecze piłkarskie albo do kina, Krantz spędzała czas w rzeźni na peryferiach Bukaresztu. Podczas weekendów podrzynała gardła owieczkom i cielętom. Jej rekord olimpijski wynosił czterdzieści dwie sztuki w ciągu godziny. Nikt z rzeźników nie doszedł do finału.

Ceausescu dobrze jej płacił. Fenston płacił lepiej. Warunki zatrudnienia Krantz były proste. Musiała być do dyspozycji dzień i noc i nie pracować dla nikogo innego. W ciągu dwunastu lat jej wynagrodzenie wzrosło z dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów do miliona. Ona nie prowadziła nędznej egzystencji, jak większość nielegalnych imigrantów.

Fenston wyjął z aktówki tekturową teczkę i bez słowa podał ją Krantz. Otworzyła ją i obejrzała pięć ostatnich fotografii Anny Petrescu.

- Gdzie ona jest w tej chwili? - Krantz wciąż mówiła ze środkowoeuropejskim akcentem.
- W Londynie - odparł Fenston i podał jej drugą teczkę. Otworzyła ją i wyjęła tylko jedną kolorową fotografię.
- Kto to jest? - spytała.
- On jest ważniejszy od dziewczyny - odparł Fenston.
- Jak to możliwe? - zapytała, przyglądając się uważnie fotografii.
- Bo jest niezastąpiony - wyjaśnił Fenston. - Inaczej niż Petrescu. Ale pamiętaj, nie zabijaj dziewczyny, dopóki cię nie zaprowadzi do obrazu.
- A jeśli tego nie zrobi?
- Zrobi to - zapewnił Fenston.
- Ile dostanę za uprowadzenie mężczyzny, który już stracił ucho? - dowiadywała się Krantz.
- Milion dolarów. Połowa z góry, druga połowa w dniu, kiedy mi go dostarczysz, zdrowego i całego.
- A za dziewczynę?
- Taka sama stawka, ale tylko wtedy, jak drugi raz będę na jej pogrzebie. - Fenston zastukał w szybę; szofer zjechał na bok i zatrzymał się przy krawężniku. - Przy okazji - rzekł Fenston - już poleciłem Leapmanowi, żeby umieścił gotówkę tam gdzie zwykle.

Krantz skinęła głową, otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i przepadła w tłumie.

- Do widzenia, Sam - powiedział Jack, kiedy jego telefon komórkowy zagrał kilka taktów piosenki „Danny Boy”. Pozwolił mu grać, dopóki nie znalazł się z powrotem na Pięćdziesiątej Czwartej Wschodniej Ulicy, bo nie chciał, żeby Sam słyszał rozmowę. Nacisnął zielony guzik, kierując się w stronę Piątej Alei. - Co masz dla mnie, Joe? - zapytał.

- Petrescu wylądowała na Gatwick - odrzekł Joe. - Wypożyczyła samochód i pojechała prosto do Wentworth Hall.

- Jak długo tam była?

- Trzydzieści minut, nie dłużej. Kiedy wyszła, wpadła do miejscowego pubu, żeby stamtąd zatelefonować, a potem pojechała na Heathrow, gdzie się spotkała z Ruth Parish w biurze Art Locations.

Jack słuchał, nie przerywając.

- Około czwartej podjechał furgon Sotheby'ego i zabrał czerwoną skrzynkę...

- Jakiej wielkości?

- Mniej więcej trzy stopy na dwie.

- Nietrudno zgadnąć, co było w środku - rzekł Jack. - I gdzie pojechał furgon?

- Zawieźli obraz do ich biura na West Endzie.

- A Petrescu?

- Zabrała się z nimi. Kiedy furgon zajeżdżał na Bond Street, dwaj portierzy zabrali obraz, ona też weszła do budynku.

- Jak prędko stamtąd wyszła?

- Po dwudziestu minutach. Była sama, z tym, że niosła czerwoną skrzynkę. Wezwała taksówkę, wstawiła obraz do tyłu i znikła.

- Jak to znikła? - spytał gniewnie Jack.

- Nie mamy w tej chwili wielu wolnych agentów - oznajmił Joe. - Większość naszych chłopaków pracuje dzień i noc nad rozpoznaniem grup terrorystycznych, które mogły być zamieszane we wtorkowe ataki.

- Rozumiem - powiedział spokojniej Jack.

- Ale kilka godzin później ją odnaleźliśmy.

- Gdzie? - spytał Jack.

- Na lotnisku Gatwick. Uważasz - rzekł Joe - atrakcyjna blondynka z czerwoną skrzynką wyróżnia się w tłumie.

- Agent Roberts by jej nie zauważył - powiedział Jack, przywołując taksówkę.

- Agent Roberts?

- Kiedy indziej ci opowiem - rzekł Jack, sadowiając się w taksówce. - No i gdzie się wybrała tym razem?

- Do Bukaresztu.

- Dlaczego miałyby wieźć bezcenne płótno van Gogha do Bukaresztu?

- Na polecenie Fenstona, jak przypuszczam - zasugerował Joe. - W końcu to jego rodzinne miasto, zresztą jej też, i trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do ukrycia obrazu.

- To po co Fenston wysłał Leapmana do Londynu, jeżeli nie po obraz?

- To zasłona dymna - rzekł Joe - co by też tłumaczyło, dlaczego Fenston był na jej pogrzebie, kiedy dobrze wie, że ona żyje i dalej dla niego pracuje.

- Jest jeszcze inna możliwość, którą musimy rozważyć - powiedział Jack.
- Jaka, szefie?
- Że ona już nie pracuje dla niego i ukradła obraz.
- Po co miałyby ryzykować? - zdziwił się Joe. - Przecież on by jej nie odpuścił.
- Nie wiem, ale mam tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. - Jack dotknął czerwonego guzika telefonu i podał taksówkarzowi adres na West Side.

Fenston wyłączył magnetofon i zmarszczył brwi. Obydwaj odsłuchiwali taśmę trzeci raz.

- Kiedy wywalisz tę sukę? - zapytał Leapman.

- Nie teraz, kiedy jest jedyną osobą, która może nas doprowadzić do obrazu - odparł Fenston.

Leapman się zachmurzył.

- A czy wyłapałeś z ich rozmowy jedyne ważne słowo? - zapytał.

Fenston uniósł brwi.

- "Jadę" - podpowiedział Leapman.

Fenston nadal nic nie mówił.

- Gdyby użyła słowa „wracam” - „wracam do domu” - oznaczałoby to Nowy Jork.

- Ale powiedziała „jadę” - rzekł Fenston - czyli to musi być Bukareszt.

Jack usadowił się z tyłu taksówki i spróbował odgadnąć, co teraz zrobi Petrescu. Wciąż nie potrafił rozstrzygnąć, czy jest zawodową przestępczynią, czy kompletną amatorką. I jaką rolę odgrywa w tym Tina?

Czy możliwe, żeby oni wszyscy, Fenston, Leapman, Petrescu i Forster, współdziałali ze sobą? A jeżeli tak, do dlaczego Leapman spędził tylko kilka godzin w Londynie i zaraz wrócił do Nowego Jorku? Bo z pewnością nie spotkał się z Petrescu ani nie zabrał obrazu do Nowego Jorku.

Jeżeli jednak Petrescu działa na własną rękę, to z pewnością zdaje sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, nim Fenston ją dopadnie. Chociaż, Jack musiał to przyznać, Petrescu jest teraz na własnym terenie i zdaje się nie mieć pojęcia o tym, jakie jej grozi niebezpieczeństwo.

Lecz Jack nadal nie pojmował, dlaczego Petrescu miałyby kraść obraz wart wiele milionów, skoro nie mogła liczyć na to, że się pozbędzie tak znanego dzieła sztuki bez wiedzy kogoś z jej dawnych kolegów. Świat sztuki jest mały, a garstka ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na wydatek tego rzędu, jeszcze mniejsza. I nawet gdyby jej się udało, co by zrobiła z pieniędzmi? FBI w ciągu kilku godzin wpadłoby na trop takiej dużej sumy, gdziekolwiek by ją ukryła, szczególnie po wtorkowych wydarzeniach. To wszystko po prostu nie trzyma się kupy.

Jeżeli jednak Petrescu doprowadzi swój zuchwały czyn do oczywistego końca, to Fenstona czeka niemiła niespodzianka, a wtedy bez wątpienia zareaguje w typowy dla niego sposób.

Taksówka skręciła do Central Parku, tymczasem Jack wciąż próbował coś zrozumieć z tego, co się wydarzyło w ostatnich dniach. Zastanawiał się nawet, czy po jedenastym września nie odbiorą mu sprawy Fenstona, ale Macy się upierał, że nie wszyscy jego agenci mogą ścigać terrorystów, bo w tym czasie inni przestępcy byłiby bezkarni.

Jack bez trudu uzyskał nakaz rewizji w mieszkaniu Anny, która znajdowała się na liście zaginionych. W końcu trzeba się skontaktować z krewnymi i przyjaciółmi, żeby sprawdzić, czy się do nich zgłosiła. Istnieje także niewielka szansa, przekonywał Jack sędziego, że Anna mogła się zamknąć w mieszkaniu, by ochłonać po przeżytych koszmarze. Sędzia podpisał nakaz, nie zadając wielu pytań.

- Mam nadzieję, że pan ją znajdzie. - To zdanie sędziego powtarzał kilka razy tego dnia.

Sam się rozpląkał, gdy usłyszał imię Anny. Powiedział Jackowi, że zrobi wszystko, żeby mu pomóc; zaprowadził go do jej mieszkania i nawet otworzył drzwi.

Jack chodził po małym, schludnie utrzymanym mieszkaniu, a Sam został w korytarzu. Jack nie dowiedział się dużo więcej niż to, co było mu wiadome. Notes z adresami podawał znany numer jej stryja w Danville, a na kopercie widniał adres jej matki w Bukareszcie. Chyba jedyną niespodzianką był wiszący w korytarzu mały rysunek Picassa podpisany ołówkiem przez artystę. Jack przyjrzał się bliżej matadorowi i bykowi i upewnił się, że nie jest to reprodukcja. Nie wierzył, by ukradła rysunek, a potem powiesiła w korytarzu, żeby wszyscy go podziwiali. A może to premia od Fenstona za pomoc w uzyskaniu van Gogha? Jeżeli tak, to tłumaczyłoby to jej obecne zamiary. A potem Jack wszedł do sypialni i znalazł tam dowód, że Tina była tutaj wieczorem jedenastego września. Przy łóżku Anny leżał zegarek. Wskazywał ósmą czterdzieści sześć.

Jack wrócił do głównego pokoju i obejrzał fotografię stojącą w rogu biurczka: była na niej Anna z rodzicami. Otworzył szufladkę, gdzie znalazł plik listów, których nie umiał przeczytać. Większość podpisana była „Mama”, ale znalazł też kilka od kogoś imieniem Anton. Ciekaw był, czy to krewny, czy przyjaciel. Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie i nie potrafił opędzić się od myśli, że gdyby je zobaczyła jego matka, zaprosiłaby Annę, żeby skosztowała irlandzkiej potrawy jej roboty - baraniny z warzywami.

- Cholera! - zaklął Jack tak głośno, że taksówkarz go usłyszał.

- Jakiś problem? - zapytał.

- Zapomniałem zatelefonować do matki.

- No to ma pan poważny kłopot - rzekł taksówkarz. - Dobrze wiem, też jestem Irlandczykiem.

Do diabła, czy to aż tak się rzuca w oczy? - pomyślał Jack. No cóż, powinien zadzwonić do matki i zawiadomić ją, że nie zdoła dotrzeć na kolację z baraniną po irlandzku, by jak zwykle z rodzicami celebrować naturalną wyższość gaelickiej rasy nad innymi stworzeniami boskimi. Był jedynakiem, co nie polepszało sprawy. Musi pamiętać, żeby zatelefonować do matki z Londynu.

Ojciec chciał, by Jack został prawnikiem, i oboje rodzice robili wszystko, żeby mu to umożliwić. Ojciec Jacka, który spędził dwadzieścia sześć lat w nowojorskiej komendzie policji, doszedł do wniosku, że jedynymi ludźmi zarabiającymi na zbrodni są prawnicy i przestępcy, więc uważał, że syn powinien zdecydować, kim ma zostać.

Nie bacząc na zagadkową radę ojca, Jack wstąpił do FBI w kilka dni po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Stanu Columbia. Ojciec co sobota narzekał, że syn nie został adwokatem, a matka się dopytywała, czy obdarzy ją kiedyś wnukiem.

Jack lubił swoją pracę we wszystkich jej odmianach, począwszy od pierwszego momentu, kiedy przybył do Quantico\* na praktykę, przez pobyt w nowojorskim biurze FBI, aż po awans na starszego oficera śledczego. Tylko on był zaskoczony, kiedy jako pierwszego z rówieśników przedstawiono go do awansu. Nawet ojciec, acz niechętnie, złożył mu gratulacje, a potem mu wytknął:

- To tylko dowodzi, że byłbyś cholernie dobrym adwokatem.

Macy też wyraźnie dawał do zrozumienia, że liczy, iż Jack zajmie jego miejsce, kiedy przeniosą go z powrotem do Waszyngtonu. Ale przedtem Jack musi wsadzić do więzienia człowieka, przez którego te projekty pozostawały w sferze czystej fantazji. Jack musiał przyznać, że na razie nie udało mu się nawet zahaczyć Fenstona rękawicą, a teraz jest zmuszony polegać na amatorce jako tej, która zada mu nokautujący cios.

Otrząsnął się z zadumy i zatelefonował do sekretarki.



- Sally, zarezerwuj mi miejsce w najbliższym samolocie do Londynu, z połączeniem do Bukaresztu. Jadę do domu się spakować.

- Muszę cię uprzedzić - powiedziała sekretarka - że wszystkie miejsca w samolotach startujących z lotniska Kennedego są wyprzedane do końca przyszłego tygodnia.

- Sally, po prostu wsadź mnie do samolotu do Londynu, mogę nawet siedzieć koło pilota.

Zasady były proste. Krantz co dzień kradła nowy telefon komórkowy. Dzwoniła do prezesa raz, a kiedy rozmowa była skończona, pozbywała się aparatu. Dzięki temu nikt nie mógłby jej namierzyć.

Fenston siedział przy biurku, kiedy czerwone światelko zamigotało na aparacie do rozmów prywatnych. Podniósł słuchawkę.

- Gdzie ona jest?

- Bukareszt - odpowiedział Fenston jednym słowem i odłożył słuchawkę.

Krantz wrzuciła skradziony dziś telefon do Tamizy i przywołała taksówkę.

- Gatwick - poleciała kierowcy.

Kiedy Jack wysiadł z samolotu na Heathrow, zdziwił się na widok Toma Crasantiego, który czekał na niego na pasie startowym. Za plecami starego przyjaciela Jack ujrzał zaparkowany samochód z włączonym silnikiem, drugi agent trzymał otwarte tylne drzwi.

Żaden z nich się nie odezwał, dopóki nie zamknięto drzwi i samochód nie ruszył.

- Gdzie jest Petrescu? - brzmiało pierwsze pytanie Jacka.

- Wylądowała w Bukareszcie.

- A obraz?

- Przewiozła go przez cło na wózku bagażowym.

- Ta kobieta ma styl.

- Owszem - przyznał Tom - ale może nie ma pojęcia, z czym przyjdzie się jej zmierzyć.

- Podejrzewam, że niedługo się dowie - rzekł Jack - bo jedno jest pewne: jeżeli istotnie ukradła obraz, to nie będę jedynym człowiekiem, który jej poszukuje.

- Zatem będziesz musiał tego drugiego też mieć na oku - powiedział Tom.

- Racja - przytaknął Jack. - Ale pod warunkiem że dotrę do Bukaresztu, zanim ona poleci dalej.

- Więc nie ma czasu do stracenia - rzekł Tom, po czym dodał: - Czeka tu na ciebie śmigłowiec, który zabierze cię do Gatwick, gdzie opóźnili lot do Bukaresztu o pół godziny.

- Jak tego dokonałeś? - spytał Jack.

- Śmigłowiec jest nasz, wstrzymanie lotu to tutejsza sprawa. Ambasador zadzwonił do ministerstwa spraw zagranicznych. Nie wiem, co powiedział - przyznał Tom, kiedy zatrzymali się obok śmigłowca - ale masz tylko pół godziny.

- Dzięki za wszystko - rzekł Jack. Wysiadł z samochodu i pośpieszył do śmigłowca.

- I nie zapominaj - zawołał Tom, usiłując przekrzyczeć warkot obracających się łopat - że nie mamy przedstawicielstwa w Bukareszcie i będziesz musiał sobie radzić sam!

Anna wkroczyła do hali bukareszteńskiego lotniska międzynarodowego Otopeni, pchając wózek z drewnianą skrzynką, dużą walizką i laptopem. Zatrzymała się na widok śpieszącego ku niej mężczyzny.

Przyjrzała się mu podejrzliwie. Był krępy, łysiejący, miał rumianą twarz i gęste czarne wąsy. Na pewno przekroczył sześćdziesiątkę. Nosił przyciasne ubranie, co wskazywało, że kiedyś był szczuplejszy. Podszedł do Anny.

- Jestem Sergei - oznajmił w swoim ojczystym języku. - Anton mi powiedział, że pani telefonowała i prosiła, żeby po panią przyjechać. On już zarezerwował dla pani pokój w małym hotelu w śródmieściu. - Mężczyzna przejął od Anny wózek i potoczył go w stronę czekającej taksówki. Otworzył tylne drzwi żółtego mercedesa, który miał na liczniku czterysta pięćdziesiąt kilometrów, i czekał, aż Anna wsiądzie, po czym załadował jej bagaże i usiadł za kierownicą.

Anna spoglądała przez okno taksówki i myślała o tym, jak bardzo Bukareszt się zmienił od jej urodzenia - teraz było to kwitnące, pulsujące życiem miasto, upominające się o swoje miejsce przy europejskim stole. Zamiast dominujących zaledwie dekadę temu komunistycznych fasad, szarych i ponurych, powstały nowoczesne biurowce i modne centrum handlowe.

Sergei zatrzymał samochód przed hotelikiem ukrytym w wąskiej uliczce. Wyjął z bagażnika czerwoną skrzynkę, natomiast Anna zabrała pozostały bagaż i skierowała się do hotelu.

- Przede wszystkim chciałabym odwiedzić moją matkę - powiedziała, kiedy się zameldowała w hotelu.

Sergei spojrzał na zegarek.

- Przyjadę po panią około dziewiątej. Zdąży się pani przespać kilka godzin.

- Dziękuję - powiedziała Anna.

Patrzył, jak wchodzi do windy ze swoją czerwoną skrzynką.

Jack pierwszy raz zauważył ją, kiedy stał w kolejce pasażerów wchodzących na pokład samolotu. Podstawowe przykazanie przy prowadzeniu obserwacji mówi: ociągaj się na wypadek, gdyby cię śledzono. Trik polega na tym, by prześladowca się nie połapał, że o nim wiesz. Zachowuj się naturalnie, nigdy nie oglądaj się za siebie. Niełatwe.

Instruktor jego grupy w Quantico każdego wieczoru po zajęciach wykonywał rundkę wywiadowczą, śledząc jednego z nowicjuszy w drodze do domu. Ten, kto go zgubił, otrzymywał wyróżnienie. Jack był o jedno oczko lepszy. Nie dość że zgubił instruktora, to jeszcze sam wykonał taką rundę; szedł za instruktorem do domu i nie został zauważony.

Wszedł po schodkach do samolotu. Nie obejrzał się do tyłu.

Kiedy kilka minut po dziewiątej Anna wyszła z hotelu, zobaczyła Sergeia, który stał przy swoim starym mercedesie i na nią czekał.

- Dzień dobry - powiedziała, kiedy otworzył jej tylne drzwi samochodu.

- Dzień dobry. Czy nadal chce pani odwiedzić matkę?

- Tak - odparta Anna. - Ona mieszka...

Mężczyzna machnął ręką na znak, że dobrze wie, dokąd jechać.

Anna uśmiechnęła się z zadowoleniem, kiedy przejeżdżali przez centrum miasta koło wspaniałej fontanny, która byłaby ozdobą murawy w Wersalu. Ale kiedy Sergei dotarł na peryferie, obraz prędko się zmienił z kolorowego na czarno-biały. Gdy wjechali w zaniedbane osiedle Berceni, Anna zdała sobie sprawę, że nowy rząd czeka jeszcze długa droga, zanim zrealizuje program dobrobytu dla wszystkich, obiecany wyborcom po upadku Ceausescu. Na przestrzeni kilku kilometrów objawił się Annie świat zapamiętany z dzieciństwa. Wielu jej rodaków miało zgnębione twarze i wyglądało staro

na swoje lata. Tylko dzieci grające w piłkę na ulicach zdawały się nie wiedzieć o degradacji otoczenia. Annę bulwersowało, że po śmierci ojca w czasie powstania matka się uparła, że zostanie tu, gdzie się urodziła. Tyle razy próbowała ją przekonać, żeby przyjechała do niej do Ameryki, ale matka była nieugięta.

W 1987 roku Annę zaprosił do Illinois stryj, którego nie znała. Przysłał jej nawet dwieście dolarów na podróż. Ojciec kazał jej jechać, i to szybko, tylko matka przewidziała, że dziewczyna nie wróci do kraju. Anna kupiła bilet w jedną stronę, a stryj obiecał, że opłaci jej podróż, gdyby chciała wrócić do ojczyzny.

Anna miała wtedy siedemnaście lat i pokochała Amerykę, jeszcze zanim statek dobił do brzegu. Kilka tygodni później Ceausescu zaczął ostro rozprawiać się z każdym, kto śmiał się przeciwstawić jego reżimowi. Ojciec napisał Annie, że powrót do kraju mógłby być dla niej niebezpieczny.

To był jego ostatni list. Trzy tygodnie później dołączył do rebeliantów i nigdy więcej go nie widziano.

Anna bardzo tęskniła do matki i wielokrotnie ją błagała, by przyjechała do Illinois. Jednak zawsze dostawała taką samą odpowiedź: „To jest mój kraj, tu się urodziłam i tu umrę. Jestem za stara, żeby zaczynać nowe życie”. Anna protestowała. Matka miała tylko pięćdziesiąt jeden lat, ale to było pięćdziesiąt jeden upartych rumuńskich lat, więc Anna w końcu musiała się pogodzić z tym, że nic nie zmieni jej zdania. Miesiąc później stryj George zapisał Annę do miejscowej szkoły. Podczas gdy opór społeczeństwa w Rumunii trwał, Anna skończyła szkołę, a następnie podjęła studia na Uniwersytecie Stanu Pensylwania w dziedzinie, w której nie istniały bariery językowe, i uzyskała doktorat.

Doktor Petrescu nadal co miesiąc pisywała do matki, przy czym miała świadomość, że większość listów do niej nie dociera, bo w nieregularnie napływającej korespondencji znajdowała pytania, na które już wcześniej udzieliła matce odpowiedzi.

Kiedy Anna ukończyła studia i podjęła pracę w domu aukcyjnym Sotheby, od razu otworzyła matce osobne konto bankowe w Bukareszcie, na które pierwszego dnia każdego miesiąca przekazywała czterysta dolarów. Chociaż wolałaby...

- Poczekam na panią - odezwał się Sergei, kiedy taksówka w końcu się zatrzymała przed zniszczonym blokiem na Piata Resitei.

- Dziękuję - rzekła Anna, przyglądając się osiedlu, gdzie się urodziła i gdzie nadal mieszkała jej matka. Mogła się tylko zastanawiać, na co mama wydaje pieniądze. Weszła na zarośniętą chwastami ścieżkę, która kiedyś wydawała jej się bardzo szeroka, bo nie mogła przez nią przeskoczyć.

Dzieci grające w piłkę na ulicy patrzyły podejrzliwie na obcą kobietę w szykownym lnianym zakiecie, dzinsach z modnymi pęknięciami i w fantazyjnych tenisówkach, wędrującą zniszczoną, wyboistą dróżką.

One też miały dziurawe dzinsy. Winda nie reagowała mimo naciskania guzika - więc nic się nie zmieniło - i dlatego, jak Anna sobie przypominała, najbardziej poszukiwanymi mieszkaniami były te na niskich piętrach. Nie rozumiała, dlaczego matka wiele lat temu się nie przeprowadziła. Wysłała jej aż nadto pieniędzy, żeby mogła sobie znaleźć wygodne mieszkanie po drugiej stronie miasta. W miarę jak pokonywała kolejne piętra, ogarniało ją coraz większe poczucie winy. Zapomniała, że tu jest tak strasznie, ale podobnie jak w wypadku dzieci, które grały w piłkę na ulicy, był to kiedyś jedyny świat, jaki znała.

Kiedy wreszcie dotarła na szesnaste piętro, przystanęła, by zaczerpnąć oddechu. Nic dziwnego,

że matka tak rzadko opuszczała mieszkanie. Powyżej mieszkali sześćdziesięciolatkowie, którzy w ogóle nie wychodzili z domu. Anna chwilę się wahała, zanim zastukała do drzwi, które nie były malowane od czasu, kiedy ostatnio przed nimi stała.

Po chwili wąta, siwa kobieta, od stóp do głów spowita w czerń, uchyliła drzwi i zerknęła przez wąską szparę. Matka i córka patrzyły na siebie, aż nagle Elsa Petrescu otworzyła drzwi na całą szerokość, objęła córkę i głosem tak starczym jak jej wygląd wykrzyknęła:

- Anna, Anna, Anna!

Obydwie wybuchnęły płaczem.

Stara kobieta nie puszczała ręki Anny, prowadząc ją w głąb mieszkania, gdzie się urodziła. Było idealnie czyste i Anna wszystko pamiętała, bo nic się nie zmieniło. Sofa i fotele, które zostawiła babcia, rodzinne fotografie, wszystkie białe-czarne i bez ramek, wiadro na węgiel bez węgla, dywan tak wytarty, że nie sposób było odgadnąć jego dawny wzór. Tylko wspaniały obraz, który zdobił skądinąd puste ściany, był nowy. Podziwiając portret ojca, Anna przypomniała sobie, gdzie się narodziła jej miłość do sztuki.

- Anno, Anno, tyle mam pytań - rzekła matka, wciąż ściskając jej rękę. - Od czego zacząć?

Słońce zachodziło, nim Anna odpowiedziała na każde pytanie matki, a potem jeszcze raz poprosiła:

- Mamo, jedź ze mną do Ameryki.

- Nie - odrzekła twardo matka. - Wszyscy moi przyjaciele, wszystkie moje wspomnienia są związane z tym miejscem. Jestem za stara, żeby zaczynać nowe życie.

- Ale dlaczego nie przeniesiesz się do innej dzielnicy? Mogłabym ci znaleźć coś na niższym...

- Tutaj wyszłam za mąż - powiedziała matka cicho - tu się urodziłaś, tu żyłam ponad trzydzieści lat z twoim ukochanym ojcem i tu umrę, kiedy Bóg powoła mnie do siebie. - Uśmiechnęła się do córki. - A kto by się opiekował grobem twojego ojca? - spytała takim tonem, jakby nigdy nie zadawała tego pytania. Spojrzała córce w oczy. - Wiesz, on był taki szczęśliwy, że zamieszkałaś w Ameryce z jego bratem - zamilkła na chwilę - i teraz widzę, że miał rację. Anna rozejrzała się wokół.

- Ale dlaczego nie wydałaś choć trochę tych pieniędzy, które ci co miesiąc wysyłam?

- Wydałam, ale nie na siebie - przyznała matka - bo mnie nic nie potrzeba.

- Więc na co? - spytała Anna.

- Na Antona.

- Antona?

- Tak - potwierdziła matka. - Czy wiesz, że wypuszczono go z więzienia?

- Wiem - odparła Anna. - Napisał do mnie niedługo po tym, jak aresztowano Ceausescu, i spytał, czy mam zdjęcie ojca, bo chciałby je pożyczyć. - Anna się uśmiechnęła, spoglądając na portret ojca.

- Uchwycił podobieństwo - zauważyła matka.

- Tak, rzeczywiście - uznała Anna.

- Przyjęli go z powrotem do akademii. Uczy teraz perspektywy. Gdybyś za niego wyszła, byłabyś żoną profesora.

- Czy nadal maluje? - zagadnęła, unikając następnego, spodziewanego pytania matki.

- Tak, ale jego główne zajęcie to nauczanie studentów w akademii. W Rumunii artysta nie zarobi na swoje utrzymanie - zauważyła ze smutkiem matka. - Wiesz, z takim talentem Anton też powinien być wyjechać do Ameryki.

Anna znowuspojrzała na wspaniały portret ojca. Matka miała rację; z takim talentem zrobiłby

furore w Nowym Jorku.

- Ale co on robi z tymi pieniędzmi? - spytała.

- Kupuje płótno, farby, pędzle i wszystkie inne materiały, na które nie stać studentów, więc widzisz, że twoja hojność nie idzie na marne. - Chwilę milczała. - Czy Anton był twoją pierwszą miłością?

Annę zaskoczyło, że pod wpływem słów matki oblała się rumieńcem.

- Tak - przyznała. - I chyba ja jego też.

- Teraz jest żonaty. Mają synka, ma na imię Peter. - Matka znowu zamilkła. - A czy ty masz sympatię?

- Nie, mam.

- Czy dlatego przyjechałaś do kraju? Czy uciekasz od kogoś, czy od czegoś?

- Dlaczego tak myślisz? - spytała Anna nieśmiało.

- Bo widzę w twoich oczach smutek i lęk - odparła matka, patrząc badawczo na córkę. - Jako dziecko nigdy tego nie umiałaś ukryć.

- Mam trochę kłopotów - przyznała Anna - ale to minie z czasem. - Uśmiechnęła się. - Prawdę mówiąc, spodziewam się, że Anton pomoże mi uporać się z jednym i mam nadzieję spotkać się z nim w akademii. Czy chcesz, żebym mu coś od ciebie przekazała?

Matka milczała. Zapadła niepostrzeżenie w drzemkę. Anna poprawiła pled na jej kolanach i pocałowała ją w czoło.

- Wrócę tu jutro rano, mam - szepnęła.

Wymknęła się cicho z pokoju. Kiedy wyszła z zaśmieconej klatki schodowej, ucieszyła się na widok starego żółtego mercedesa zaparkowanego przy krawężniku.

28

Wróciła do hotelu, wzięła krótki prysznic, przebrała się i ze swoim nowo pozyskanym szoferem pojechała do akademii sztuki na Piata Universitatii.

Mimo upływu lat budynek akademii nie utracił nic ze swojej elegancji ani uroku i kiedy Anna wstępowała schodami ku masywnym rzeźbionym drzwiom, ogarnęły ją wspomnienia o jej pierwszym zauroczeniu światem wielkich dzieł sztuki znajdujących się w galeriach, o których wtedy myślała, że nigdy ich nie zobaczy. Zgłosiła się do recepcji i zapytała, gdzie odbywa się wykład profesora Teodorescu.

- W amfiteatralnej sali wykładowej na piętrze - poinformowała ją dziewczyna - ale już się zaczął.

Anna podziękowała studentce i bez dalszych pytań ruszyła szerokimi marmurowymi schodami na drugie piętro. Przystanąła, żeby spojrzeć na afisz obwieszczający:

Profesor Anton Teodorescu

Dziś o 7 wieczorem?

Nie potrzebowała strzałki, by pójść we właściwym kierunku.

Ostrożnie otworzyła drzwi i z zadowoleniem stwierdziła, że sala wykładowa tonie w mroku. Podeszła w górę schodami z boku sali i usiadła z tyłu.

Ekran wypełniała fotografia „Guerniki”. Anton tłumaczył, że olbrzymie płótno zostało namalowane w 1937 roku podczas hiszpańskiej wojny domowej, kiedy Picasso był u szczytu swoich możliwości twórczych. Potem mówił, że przedstawienie bombardowania i spowodowanej przez niego masakry zajęło malarzowi trzy tygodnie i niewątpliwie w jego dziele znalazła wyraz jego nienawiść do hiszpańskiego dyktatora Franco. Studenci słuchali uważnie, kilku notowało. Brawurowy występ Antona przypomniał Annie, dlaczego się w nim podkochiwała przed laty, kiedy nie tylko straciła cnotę z artystą, ale nawiązała romans ze sztuką na całe życie.

Kiedy Anton skończył wykład, studenci nagrodzili go entuzjastycznymi brawami. Widać Anton nie stracił umiejętności motywowania i pielęgnowania entuzjazmu młodych do przedmiotu, który wybrali.

Anna obserwowała człowieka, który był jej pierwszą miłością, kiedy zbierał przezrocza i wkładał je do starej teczki. Wysoki i chudy, z szopą kręconych ciemnych włosów, w starej brązowej sztruksowej marynarce i koszuli rozpiętej pod szyją wyglądał jak wieczny student. Nie mogła nie zauważyć, że trochę przytył, ale nie odbierało mu to atrakcyjności. Kiedy ostatni słuchacz opuścił salę, Anna zbliżyła się do katedry.

Anton rzucił spojrzenie sponad półokrągłych szkieł, najwyraźniej spodziewając się pytania od studentki. Kiedy zobaczył Annę, nic nie powiedział, tylko patrzył.

- Anna! - wykrzyknął w końcu. - Dzięki Bogu, że nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś wśród słuchaczy, bo pewno wiesz o Picassie więcej niż ja.

Anna pocałowała go w oba policzki i powiedziała ze śmiechem:

- Nie straciłeś nic ze swojego uroku ani umiejętności prawienia komplementów.

Anton uniósł ręce, udając, że się poddaje, i szeroko się uśmiechnął.

- Czy Sergei przyjechał po ciebie na lotnisko?

- Tak, dziękuję - rzekła Anna. - Gdzie go poznałeś?

- W więzieniu - przyznał Anton. - Miał szczęście, że przetrwał rządy Ceausescu. A czy odwiedziłaś twoją anielskiej dobroci matkę?

- Tak - odparła. - Nadal mieszka w warunkach nie lepszych niż więzienne.

- Zgadzasz się i nie myśl, że nie próbowałem coś na to poradzić. Ale przynajmniej dzięki twoim dolarom i jej hojności moi najlepsi studenci mogą...

- Wiem - rzekła Anna. - Mama mi powiedziała.

- Nawet sobie nie wyobrażasz - rzekł Anton. - Chodź, pokażę ci efekty twoich inwestycji.

Anton wziął Annę za rękę jak za studenckich czasów i poprowadził ją schodami w dół, do długiego korytarza, gdzie na ścianach wisiały obrazy wykonane w różnych technikach.

- To są nagrodzone tegoroczne prace studentów - oznajmił, wskazując obrazy gestem dumnego ojca. - Każda z nich została namalowana na płótnie zakupionym za twoje pieniądze. Mamy nawet nagrodę imienia Petrescu. - Zastanowił się chwilę. - Byłoby rzeczą właściwą, gdybyś to ty wybrała zwycięzcę. Stanowiłoby to nie tylko dla mnie, ale i dla mojego studenta prawdziwy zaszczyt.

- Pochlebiasz mi. - Anna uśmiechnęła się, zagłębiając się w korytarz, gdzie na ścianach widniały długie rzędy obrazów.

Powoli chodziła tam i z powrotem i od czasu do czasu przystawała, by bliżej się przyjrzeć jakiemuś płótnu. Widać, że Anton nauczył swoich studentów, jak ważna jest umiejętność rysowania, i dopiero potem pozwolił im stosować inne techniki. Lubił powtarzać: „Nie sięgaj po pędzel, jeżeli nie potrafisz wpierw posługiwać się ołówkiem”. Jednak rozległość tematów i śmiałość wizji świadczyła o tym, że zostawiał im również swobodę wyrazu. Niektóre prace nie były specjalnie udane, ale inne świadczyły o sporym talencie. W końcu Anna przystanąła przed olejem zatytułowanym „Wolność”, ukazującym słońce wschodzące nad Bukaresztem.

- Znam pewnego dżentelmena, któremu ten obraz by się spodobał - powiedziała.

- Widzę, że wciąż masz doskonałe oko - rzekł Anton z uśmiechem. - Autorka tego obrazu, Danuta Sekalska, to nasza najlepsza studentka w tym roku. Zaproszono ją do londyńskiej szkoły sztuk pięknych Slade, gdzie mogłaby kontynuować studia, jeżeli zgromadzimy odpowiednie środki na pokrycie jej wydatków. - Spojrzał na zegarek. - Masz czas, żeby się czegoś napić?

- Oczywiście - odparła Anna. - Przyznam się, że chcę cię prosić o przysługę. - I po chwili dodała: - A nawet dwie.

Anton znów wziął ją za rękę i powiodł z powrotem korytarzem do jadalni dla personelu akademii. Kiedy weszli do pokoju profesorskiego, powitał ich gwar rozbawionych głosów wykładowców, siedzących w grupkach i przerzucających się żartami. Nie pili nic mocniejszego od kawy. Zdawali się nie zwracać uwagi na to, iż umeblowanie, filiżanki, spodeczki, a przypuszczalnie nawet ciasteczka nie znalazłyby uznania u szanującego się włóczęgi, który by odwiedził schronisko Armii Zbawienia w Bronksie.

Anton nalał dwie filiżanki kawy.

- Czarna, jeżeli pamiętam. Niezupełnie klasy Starbucks - zażartował - ale powoli i do tego dojdziemy. - Ścigały ich zaciekawione spojrzenia, kiedy Anton prowadził swoją dawną studentkę na miejsce koło kominka. Usiadł naprzeciw niej. - No więc co mógłbym dla ciebie zrobić, Anno? Bo niewątpliwie jestem twoim dłużnikiem.

- Chodzi o moją matkę - powiedziała cicho. - Potrzebna mi twoja pomoc. Nie mogę jej skłonić, żeby wydała na siebie chociaż centa. Przydałby się jej nowy dywan, kanapa, telewizor i nawet telefon, nie mówiąc już o tym, że frontowe drzwi aż się proszą o odrobinę farby.

- Myślisz, że nie próbowałem? - rzekł Anton. - A jak myślisz, po kim ty odziedziczyłaś upór? Nawet proponowałem, żeby się wprowadziła do nas. Nie mieszkamy w pałacu, ale jednak w nieporównanie lepszych warunkach niż ta jej nora. - Anton upił duży ryk kawy. - Ale obiecuję, że spróbuję jeszcze raz, bardziej zdecydowanie.

- Dziękuję. - Anna milczała, kiedy Anton skręcał sobie papierosa. - Widzę, że cię nie przekonałam, żebyś rzucił palenie.

- Brak mi uroków wielkiego miasta - rzucił ze śmiechem. Zapalił papierosa i zapytał: - A ta druga przysługa?

- Będziesz musiał się nad tym głęboko zastanowić - rzekła Anna spokojnym tonem.

Anton odstawił filiżankę z kawą, głęboko się zaciągnął i wysłuchał w skupieniu wyjaśnień Anny.

- Czy rozmawiałaś o tym z matką?

- Nie - przyznała. - Myślę, że lepiej, żeby nie wiedziała, dlaczego naprawdę przyjechałam do Bukaresztu.

- Ile mam czasu?

- Trzy, może cztery dni. To zależy od tego, jak mi się powiedzie, kiedy stąd wyjadę - dodała bez wyjaśnienia.

- A gdyby mnie przyłapali?

- Wtedy pewno wróciłbyś do więzienia - przyznała Anna.

- A ty?

- Płótno by odstawiono do Nowego Jorku i użyto przeciwko mnie jako dowodu. Gdybyś potrzebował więcej pieniędzy na...

- Nie, mam jeszcze ponad osiem tysięcy dolarów twojej matki, więc...

- Osiem tysięcy?

- Dolar w Rumunii jest wiele wart.

- Czy mogę cię przekupić?

- Przekupić?

- Jeżeli podejmiesz się tego zadania, pokryję koszty wysłania twojej studentki do Londynu.

Anton namyślał się chwilę.

- Wrócisz za trzy dni? - zapytał, gasząc papierosa.

- Najwyżej za cztery - odparła Anna.

- Więc miejmy nadzieję, że okażę się tak dobry, jak myślisz.

- Tu Vincent

- Gdzie jesteś?

- Z wizytą u mamy.

- To nie siedź tam za długo.

- Dlaczego?

- Myśliwy wie, gdzie jesteś.

- To się boję, że znów mnie zgubi.

- Nawet nie wiem, czy to mężczyzna.

- Skąd ten pomysł?

- Jak byłam na twoim pogrzebie, widziałam, jak Fenston rozmawia w samochodzie z kobietą.

- To jeszcze nie dowodzi, że...

- Wiem, ale niepokoi mnie, że nigdy jej przedtem nie widziałam.

- To może być jedna z dziewczyn Fenstona.

- Ona nie jest niczyją dziewczyną.

- Opisz ją.

- Mała, szczupła, czarnowłosa.

- Tam, gdzie jadę, będzie dużo podobnych ludzi.

- Zabierasz ze sobą obraz?

- Nie, schowałam go tam, gdzie nikt go nie wypatrzy.

Przerwano połączenie.



- Gdzie nikt go nie wypatrzy - powtórzył Leapman, nacisnąwszy wyłącznik.
- Nie wypatrzy? - powtórzył Fenston. - Wobec tego musi być jeszcze w skrzynce.
- Zgadza się, ale dokąd ona się teraz wybiera?
- Do kraju, gdzie ludzie są mali, szczupli i czarnowłosi.
- To Japonia - rzucił Leapman.
- Skąd ta pewność? - zapytał Fenston.
- To wynika z jej sprawozdania. Będzie próbowała sprzedać twój obraz jednemu człowiekowi,

który nie potrafi oprzeć się pokusie.

- Nakamurze - rzekł Fenston.

-

16 września

29

Jack zameldował się w hotelu ambitnie prezentowanym w migającym neonie jako International. Noc upłynęła mu głównie na włączaniu grzejnika, bo było za zimno, albo wyłączaniu go, bo za głośno szumiał. Wstał tuż po szóstej i zrezygnował ze śniadania, ponieważ bał się, że będzie tej klasy co grzejnik.

Nie zauważył tamtej kobiety, kiedy wchodził na pokład samolotu, więc albo popełnił błąd, albo ona jest profesjonalistką. Jednak nie miał już wątpliwości, że Anna działa na własną rękę, co by znaczyło, że Fenston wkrótce wyśle kogoś, by odzyskał obraz. Ale co Petrescu zamierza i czy nie zdaje sobie sprawy, na jakie się naraża niebezpieczeństwo? Jack uznał, że najpewniej zdoła dogonić Annę, kiedy pojedzie odwiedzić matkę. Tym razem to on będzie na nią czekał. Zastanawiał się, czy kobieta, którą widział, kiedy stał w kolejce do samolotu, wpadła na taki sam pomysł i czy jest psem Fenstona, czy też pracuje dla kogoś innego.

Recepcjonista w hotelu zaoferował mu mapę turystyczną, która kolorowo przedstawiała ładne partie śródmiejskie, ale nie peryferie, więc pomaszerował do kiosku i kupił przewodnik zatytułowany: „Wszystko co należy wiedzieć o Bukareszcie”. Nie znalazł tam ani jednego zdania na temat dzielnicy Berceni, gdzie mieszkała matka Anny, chociaż autorzy byli na tyle łaskawi, że pokazali Piata Resitei na większym, rozkładanym planie. Za pomocą zapalki przyłożonej do skali znajdującej się u dołu z lewej strony Jack obliczył, że miejsce urodzenia Anny znajduje się w odległości sześciu mil na północ od hotelu.

Postanowił, że pierwsze trzy mile przejdzie na piechotę, po pierwsze dlatego, że chciał się rozruszać, a po drugie w ten sposób łatwiej się zorientuje, czy jest śledzony.

Wyszedł z hotelu o siódmej trzydzięci i rażno ruszył przed siebie.

Anna też spędziła bezsenność noc; trudno jej było zasnąć z czerwoną skrzynką pod łóżkiem. Zaczynała mieć wątpliwości, czy może narażać Antona na niepotrzebne ryzyko i żądać pomocy w przeprowadzeniu i swojego planu, chociaż chodziło tylko o kilka dni. Uzgodnili, że spotkają się w akademii o ósmej rano, godzinie, której istnienia żaden szanujący się student nawet sobie nie wyobrażał.

Kiedy wyszła z hotelu, pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to stary mercedes Sergeia zaparkowany obok wejścia. Ciekawe, pomyślała, jak długo na nią czeka. Sergei wyskoczył z

samochodu.

- Dzień dobry - powitał Annę i umieścił czerwoną skrzynkę w bagażniku.
  - Dzień dobry - odparła. - Chcę pojechać do akademii i tam zostawić skrzynkę.
- Sergei skinął głową i otworzył Annie tylne drzwi.

W drodze do Piata Universitatii Anna się dowiedziała, że Sergei ma żonę, że są małżeństwem od trzydziestu lat i że dochowali się syna, który służy w wojsku. Anna chciała go zapytać, czy spotkał kiedyś jej ojca, ale w tej chwili spostrzegła czekającego przed akademią Antona; był niespokojny i kręcił się nerwowo.

Sergei zatrzymał samochód, wysiadł i wyjął skrzynkę z bagażnika.

- To jest to? - spytał Anton, obrzucając podejrzliwym spojrzeniem czerwoną skrzynkę.

Anna potakująco skinęła głową. Anton podążył za Sergeiem, który wniósł skrzynkę po schodach. Otworzył frontowe drzwi i obaj weszli do środka.

Anna spoglądała to na zegarek, to na schody wiodące do akademii. Anton i Sergei zostawili ją tylko na kilka minut, ale ani przez chwilę nie czuła, że jest sama. Czy pies gończy Fenstona teraz ją obserwuje? Czy wywęszył, gdzie jest obraz? Obydwaj mężczyźni pojawili się z inną drewnianą skrzynką. Chociaż była tej wielkości co tamta, na gładkich drewnianych listwach nie widniały żadne znaki. Sergei umieścił nową skrzynkę w bagażniku, zatrzasnął pokrywę i usiadł za kierownicą.

- Dziękuję ci - powiedziała Anna i ucałowała Antona w oba policzki.

- Nie zmrużę oka, dopóki nie wrócisz - wybąkał Anton.

- Będę z powrotem za trzy, góra cztery dni - obiecała. - Wtedy wezmę od ciebie obraz i nikt o niczym się nie dowie. - Wsiadła do samochodu.

Kiedy Sergei ruszył, popatrzyła przez tylną szybę na samotną postać Antona, który z zatroskaną miną stał u stóp schodów akademii. Czy sprosta zadaniu? - pomyślała.

Jack nie oglądał się za siebie, ale kiedy uszedł pierwszą milę, zboczył do dużego supermarketu i ukrył się za słupem. Czekał, aż kobieta przejdzie obok. Ale się nie pokazała. Amator by przemaszerował koło sklepu i nie powstrzymałby się przed zerknięciem do środka, a może nawet by tam wszedł. Jack nie tkwił w sklepie długo, bo wiedział, że wzbudziłoby to jej podejrzania. Kupił bagietkę z jajkiem na boczku i wyszedł z powrotem na ulicę. Pałaszując śniadanie, zastanawiał się, dlaczego następują mu na pięty. Kogo ta kobieta reprezentuje? Jakie ma zadanie? Czy liczy na to, że on doprowadzi ją do Anny, czy też został wybrany jako obiekt kontrinwigilacji - niewypowiedziany lęk każdego agenta FBI - a może po prostu cierpi na paranoję?

Gdy wydostał się poza centrum miasta, przystanął, by przestudiować mapę. Postanowił, że zatrzyma taksówkę, gdyż wątpił, czy złapie jakąś w dzielnicy Berceni, kiedy może będzie się musiał szybko ulotnić. Poza tym, wskazując do taksówki, może łatwiej zgubić ogon, bo kiedy wyjadą ze śródmieścia, żółta taksówka będzie bardziej widoczna. Sprawdził jeszcze raz mapę, na następnym rogu skręcił w lewo i nie obejrzał się za siebie, ani nawet nie spojrzął w wielką szklaną tafłę okna wystawowego. Jeżeli ona jest zawodowcem, to by go to zdradziło. Przywołał taksówkę.

Anna poprosiła swojego kierowcę - tak w myślach nazywała teraz Sergeia - żeby ją zawiózł do tego samego bloku, gdzie wczoraj. Chętnie by zatelefonowała i uprzedziła matkę o swojej wizycie, ale nie było to możliwe, ponieważ Elsa Petrescu nie uznawała telefonów. Są jak windy, kiedyś powiedziała córce: kiedy się popsują, nikt ich nie naprawi, a poza tym kosztują. Anna wiedziała, że

matka wstaje o szóstej, żeby wszystko w swoim idealnie czystym mieszkaniu po raz trzeci odkurzyć i wyblyszczyc.

Kiedy Sergei zaparkował u wylotu porośniętej zielskiem dróżki przy Piata Resitei, Anna powiedziała mu, że spędzi u matki około godziny, a potem chce pojechać na lotnisko Otopeni. Sergei skinął głową.

Taksówka podjechała. Jack okrążył ją, podszedł do kierowcy i gestem poprosił, żeby opuścił szybę.

- Czy mówi pan po angielsku?

- Trochę - powiedział niepewnie taksówkarz.

Jack rozłożył mapę i wskazał Piata Resitei, a potem zajął miejsce za kierowcą. Taksówkarz skrzywił się niedowierzająco i spojrział na Jacka, żeby się upewnić. Jack potwierdzająco skinął głową. Taksówkarz wzruszył ramionami i skierował samochód tam, gdzie nigdy żaden turysta się nie wybierał.

Taksówka wśliznęła się na środkowy pas i obaj spojrzeli we wsteczne lusterko. Jechała za nimi inna taksówka. Pasażera nie było widać, ale przecież ona by nie usiadła z przodu. Czy ją zgubił, czy też jedzie w jednej z trzech taksówek, które teraz widział we wstecznym lusterku? Jest zawodowcem, znajduje się w jednej z tych taksówek i chyba dobrze wie, dokąd on się udaje.

Wiedział, że każde większe miasto ma swoje zaniedbane dzielnice, ale nie spodziewał się czegoś takiego jak Berceni, z jej ponurymi, wielopiętrowymi blokami z betonu, które straszyły na każdym rogu zrujnowanego slumsu. Nawet tutejsze graffiti nie spodobałyby się w Harlemie.

Samochód już zwalniał, kiedy Jack spostrzegł innego żółtego mercedesa, zaparkowanego tuż przed nimi, na uliczce, na której od lat nie widziano dwu taksówek w jednym roku.

- Jedź pan dalej - nakazał ostro, ale taksówka nadal zwalniała. Jack klepnął taksówkarza w ramię i gorączkowo machnął ręką, żeby jechał.

- Ale to jest ten adres - upierał się taksówkarz.

- Jedź pan! - krzyknął Jack.

Zdziwiony taksówkarz wzruszył ramionami i przyśpieszył, mijając stojący samochód.

- Niech pan skręci za rogiem - rzekł Jack, wskazując na lewo.

Taksówkarz skinął głową. Widać było, że jego zdziwienie sięgnęło zenitu. Czekał na następne polecenie.

- Proszę zawrócić - powiedział wolno Jack - i zatrzymać się na końcu ulicy.

Taksówkarz wykonał nowe polecenie, bez przerwy oglądając się na Jacka. Wyraz bezbrzeżnego zdumienia nie opuszczał jego twarzy.

Kiedy samochód stanął, Jack wysiadł i powoli podszedł do narożnika, przeklinając swój błąd. Zastanawiał się, gdzie może być tamta kobieta, bo ona najwyraźniej ustrzegła się takiej pomyłki. Powinien przewidzieć, że Anna już tutaj jest i że może się tu dostać jedynie taksówką.

Podniósł oczy na szary betonowy blok, dokąd Anna poszła odwiedzić matkę, i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie będzie narzekał na swoje ciasne, z jedną tylko sypialnią, mieszkanie w West Side. Musiał czekać czterdzieści minut, zanim Anna wyszła z budynku. Stał nieruchomo, kiedy wędrowała dróżką do czekającego mercedesa.

Wskoczył z powrotem do taksówki i pomagając sobie gorączkowym gestem, polecił:

- Niech pan jedzie za nimi, ale proszę trzymać się z dala, póki nie będzie większego ruchu.

Nie był nawet pewien, czy kierowca go rozumiał. Wyjechali z bocznej drogi i choć Jack cały

czas klepał kierowcę w ramię i kazał mu zachowywać dystans, to dwie żółte taksówki wyglądały jak wielbłądy na pustyni, kiedy tak jechały przez opustoszałe ulice. Jack znów zaklął, świadom, że jest spalony. Do tej pory byle amator by go zauważył.

- Anno, czy wiesz, że ktoś cię śledzi? - spytał Sergei, gdy ruszyli.

- Nie, ale to mnie nie dziwi - odparła Anna. Teraz, kiedy Sergei potwierdził jej obawy, ogarnęły ją mdłości. - Czy widziałeś tego człowieka? - spytała.

- Tylko przelotnie - odparł. - To mężczyzna około trzydziestki, szczupły, ciemnowłosy, niewiele więcej mogę o nim powiedzieć.

Więc Tina nie miała racji, twierdząc, że tropi mnie kobieta, pomyślała Anna.

- Jest zawodowcem - dodał Sergei.

- Dlaczego tak myślisz? - spytała Anna z niepokojem.

- Nie obejrzał się, kiedy przejeżdżał koło mnie w taksówce - odrzekł. - Ale nie mogę powiedzieć, czy on reprezentuje prawo, czy bezprawie.

Annę przeszedł dreszcz.

Sergei spojrzał we wsteczne lusterko.

- I jestem przekonany - oznajmił - że dalej siedzi nam na ogonie, ale się nie oglądaj, bo wtedy się zorientuje, że go zauważyliśmy.

- Dziękuję - rzekła Anna.

- Czy nadal chcesz jechać na lotnisko?

- Nie mam wyboru - odparła.

- Mógłbym go zgubić, ale wtedy się połapie, że go wypatrzyłaś.

- Nie ma sensu - powiedziała. - On i tak wie, dokąd się wybieram.

Jack zawsze miał przy sobie paszport, portfel i kartę kredytową na wszelki wypadek. Teraz zaklął, kiedy zobaczył znak wskazujący lotnisko, i przypomniał sobie swoją rozpakowaną walizkę w pokoju hotelowym.

Trzy czy cztery inne taksówki też się kierowały w stronę lotniska Otopeni. Jack się zastanawiał, w której z nich może być ta kobieta, czy też już jest na lotnisku i czy zarezerwowała bilet na ten sam samolot, co Anna Petrescu.

Anna wręczyła Sergeiowi dwudziestodolarowy banknot wcześniej, zanim dojechali do lotniska, i powiedziała mu, kiedy przyleci z powrotem.

- Czy możesz po mnie przyjechać? - zapytała.

- Oczywiście - obiecał Sergei. Zatrzymał samochód przed terminalem międzynarodowym.

- Czy on siedzi nam jeszcze na karku? - spytała Anna.

- Tak - odparł i wysiadł z samochodu.

Pojawił się bagażowy, który pomógł Annie umieścić skrzynkę i walizkę na wózku.

- Będę tutaj, kiedy wrócisz - zapewnił Sergei Annę, zanim zniknęła w wejściu do terminalu.

Taksówka Jacka z piskiem opon zahamowała za żółtym mercedesem. Jack wyskoczył i podbiegł do okna kierowcy, wymachując dziesięciodolarowym banknotem. Sergei wolno opuścił szybę i wziął oferowany banknot. Jack się uśmiechnął.

- Czy pan wie, dokąd się wybiera pańska pasażerka? - zapytał.

- Tak - odparł Sergei, muskając wąsa.

Jack wyjął następną dziesięciodolarówkę, którą Sergei z zadowoleniem schował do kieszeni.

- Wiec gdzie? - nalegał Jack.

- Za granicę - rzekł Sergei, wrzucił pierwszy bieg i odjechał.

Jack zaklął, wrócił pędem do swojej taksówki, zapłacił za kurs - trzy dolary - i prędko się skierował do terminalu. W środku przystanął na moment, rozglądając się na wszystkie strony. Po chwili spostrzegł Annę, jak odchodzi od stanowiska odprawy i zmierza w stronę ruchomych schodów. Nie poruszył się, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Gdy znalazł się na szczycie schodów, Anna już była w kawiarni. Usiadła w odległym kącie, skąd mogła obserwować wszystko i, co ważniejsze, wszystkich. Nie dość, że jego śledzono, to teraz osoba, którą on śledzi, też na niego czatuje. Opanowała rolę narzędzia, więc mogła zidentyfikować swój obiekt. Jack się bał, że to się może skończyć jako studium przypadku w Quantico pod hasłem „Jak nie tropić podejrzanego”.

Wrócił na parter i sprawdził tablicę odlotów. Tego dnia z Bukaresztu odlatywały tylko samoloty do Moskwy, Hongkongu, New Delhi, Londynu i Berlina.

Jack wykluczył Moskwę, ponieważ samolot miał odlecieć za czterdzieści minut, a Anna nadal siedziała w kawiarni. Odloty samolotów do New Delhi i Berlina zaplanowane były dopiero w godzinach wieczornych, a Hongkong też wydał się Jackowi mało prawdopodobny, chociaż samolot odlatywał za niecałe dwie godziny, natomiast ten do Londynu - piętnaście minut później. To musi być Londyn, uznał Jack, jednak nie mógł ryzykować. Postanowił, że kupi dwa bilety - do Hongkongu i do Londynu. Jeżeli Anna się nie pokaże przy wyjściu dla pasażerów podróżujących do Hongkongu, to on wsiądzie do samolotu lecącego na Heathrow. Zastanawiał się, czy kobieta, która śledzi Annę, bierze pod uwagę te same możliwości, chociaż coś mu mówiło, że tamta już zna port docelowy Anny.

Jack kupił dwa bilety, dwa razy tłumaczył, że nie ma żadnego bagażu, a potem skierował się prosto do wyjścia numer 33, by prowadzić obserwację z punktu stałego. Kiedy dotarł na miejsce, usiadł między pasażerami czekającymi przed wyjściem 31 na lot do Moskwy. Zastanawiał się nawet, czy powrócić do hotelu, spakować bagaże, zapłacić rachunek i przyjechać z powrotem na lotnisko, ale po chwili odrzucił tę myśl, bo skoro ma do wyboru utratę bagażu albo zgubienie Anny, to wniosek nasuwa się sam.

Zadzwoił z telefonu komórkowego do kierownika hotelu i nie wdając się w szczegóły, wyjaśnił, co ma zrobić. Wyobrażał sobie jego zdziwienie, gdy poprosił o spakowanie swoich bagaży i zostawienie ich w recepcji. Jednak kiedy zaproponował, żeby dopisać kwotę dwudziestu dolarów do rachunku, kierownik powiedział:

- Osobiście tego dopilnuję, proszę pana.

Jack zaczął się już zastanawiać, czy Anna nie przyjechała na lotnisko by zmylić trop, a tymczasem zamierza wrócić do Bukaresztu i zabrać czerwoną skrzynkę. Nie mógł się zachować mniej profesjonalnie, goniąc za jej kierowcą. Ale jeżeli ona się zorientowała, że ktoś ją śledzi to gdyby była amatorką powinna jak najszybciej postarać się zgubić prześladowcę. Tylko zawodowiec mógłby wykonypować taki chytry plan, żeby się uwolnić od tropiciela, który siedzi mu na karku. Czy możliwe, że Anna jest zawodowcem, nadal pracuje u Fenstona? A w takim razie czy to on, Jack, jest tropioną zwierzyną?

Pasażerowie już wchodzili na pokład samolotu do Moskwy, kiedy zjawiała się Anna Swobodnie zajęła miejsce między pasażerami czekającymi na ot 017 linii Cathay Pacific do Hongkongu. Kiedy

usiadła, Jack wymknął się do hali, starał się nie rzucić w oczy, czekając na ostatnie wezwanie na samolot do Hongkongu. Czterdzieści minut później po raz trzeci jechał ruchomymi schodami w górę.

Wszyscy troje weszli na pokład boeinga 747 lecącego do Hongkongu każde w innym czasie. Jedno do pierwszej klasy, drugie do klasy biznes, trzecie do turystycznej.

17 września

30

- Milady, przepraszam, że przeszkadzam, ale z kancelarii Simpson and Simpson dostarczono wielkie pudło dokumentów i nie wiem, gdzie je umieścić.

Arabella odłożyła na bok pióro i podniosła głowę znad sekretarzyka.

- Andrews, czy pamiętasz czasy, kiedy ja byłam dzieckiem, a ty młodszym kamerdynerem?

- Pamiętam, milady - powiedział Andrews głosem, w którym brzmiała nuta zdziwienia.

- I jak w każde święta Bożego Narodzenia bawiliśmy się w grę, która się nazywała „Polowanie na paczkę”?

- Tak jest, milady.

- W któreś święta schowałeś pudełko czekoladek. Razem z Victorią szukałyśmy go przez całe popołudnie, ale nie znalazłyśmy!

- Tak, milady. Lady Victoria posądziła mnie potem, że zjadłem czekoladki, i wybuchnęła płaczem.

- Ale ty mimo to nie chciałeś jej powiedzieć, gdzie one są.

- Zgadza się, milady, ale muszę wyznać, że pani ojciec obiecał mi sześć pensów, jeżeli nie powiem, gdzie je ukryłem.

- Dlaczego to zrobił? - spytała Arabella.

- Jego lordowska mość chciał spędzić spokojne świąteczne popołudnie przy kieliszku porto i cygarze, zadowolony, że obie jesteście bardzo zajęte.

- Ale my nigdy nie znalazłyśmy tych czekoladek - rzekła Arabella.

- A ja nigdy nie dostałem obiecanych sześciu pensów - powiedział Andrews.

- Czy teraz możesz sobie przypomnieć, gdzie ukryłeś te czekoladki? Andrews się zamyślił, a po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Tak, milady - rzekł. - I o ile wiem, one wciąż tam są.

- To dobrze, bo chciałabym, żebyś to pudło, które przysłał Simpson and Simpson, ulokował w tym samym miejscu.

- Jak milady sobie życzy - rzekł Andrews, usiłując przybrać taką minę, jakby rozumiał, o co chodzi jego pani.

- I pamiętaj, Andrews, że gdybym próbowała je znaleźć w przyszłe święta Bożego Narodzenia, masz mi nie mówić, gdzie jest.

- A czy tym razem dostanę sześć pensów, milady?

- Dostaniesz szylinga - obiecała Arabella - ale tylko wtedy, jeżeli nikt inny go nie znajdzie.

Anna zajęła miejsce w klasie turystycznej, w głębi przy oknie. Jeżeli mężczyzna, którego Fenston wysłał, by ją znaleźć, jest, jak podejrzewała, w samolocie, to przynajmniej teraz wiedziała, z kim musi się zmierzyć. Próbowała dojść do tego, w jaki sposób odkrył, że ona będzie w Bukareszcie.

Skąd znał adres jej matki i czy wiedział, że jej następnym przystankiem będzie Tokio?

Mężczyźnie, który podbiegł do taksówki Sergeia i stukał w szybę - co obserwowała, stojąc przy stanowisku odprawy - nie chodziło o kurs, chociaż Sergei najwyraźniej tak sądził. Zastanawiała się, czy to telefony do Tiny ją zdradziły. Miała pewność, że przyjaciółka nigdy by jej nie wydała. Jednak Leapman mógł się posunąć do założenia podsłuchu na jej telefonie, zresztą był zdolny do gorszych rzeczy.

Podczas dwu ostatnich rozmów telefonicznych Anna specjalnie podała dwie informacje, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje, i widać zostały przechwycone. Powiedziała „jadę do domu” i „tam, gdzie się wybieram, będzie mnóstwo podobnych ludzi”. Następnym razem podsunie fałszywy trop, by skierować człowieka Fenstona w odwrotnym od wybranego przez nią kierunku.

Jack siedział w klasie biznesowej, popijając dietetyczną colę i próbując coś zrozumieć z wydarzeń dwóch ostatnich dni. Jeżeli jesteś zdany na siebie, bądź przygotowany na najgorszy scenariusz, powtarzał do znudzenia jego instruktor każdemu nowemu adeptowi.

Usiłował myśleć logicznie. Śledził kobietę, która ukradła obraz wart sześćdziesiąt milionów dolarów, ale czy zostawiła go w Bukareszcie, czy przełożyła go do nowej skrzynki z zamiarem sprzedaży komuś w Hongkongu? Potem zwrócił myśli ku drugiej osobie, która śledziła Annę. To było łatwiejsze do wytłumaczenia. Jeżeli Petrescu ukradła obraz, ta kobieta to szpicel Fenstona, wynajęty po to, żeby ją śledzić i dowiedzieć się, gdzie jest arcydzieło. Ale dlaczego ona zawsze wie, dokąd uda się Anna, i czy zdaje sobie sprawę, że on jej depta po piętach? Jakie dostała instrukcje na wypadek, gdyby zlokalizowała obraz? Jack czuł, że tylko wtedy się zrehabilituje, jeżeli wysforuje się o krok przed obie kobiety i jakimś sposobem utrzyma tę pozycję.

Skonstatował, że sam wpada w pułapkę, przed którą regularnie przestrzegał swoich podwładnych. Nie daj się zwieść, że podejrzany jest niewinny. Sędziowie przysięgli zdecydują o tym za ciebie. Zawsze powinieneś zakładać, że są winni, i rzadko, bardzo rzadko, spodziewać się niespodzianki: Nie przypominał sobie, by jego instruktor mówił o tym, co robić, jeżeli osoba podejrzana ci się podoba. Chociaż w podręczniku szkoleniowym FBI znajdowała się dyrektywa: „W żadnym wypadku nie wolno agentowi nawiązywać bliskich stosunków z osobą objętą śledztwem”. W 1999 roku podręcznik został uaktualniony zgodnie z zaleceniem Kongresu i przed „osobą” dodano słowa „płci męskiej lub żeńskiej”.

Jack wciąż zachodził w głowę, co Anna zamierza zrobić z obrazem van Gogha. Jeżeli zamyśla sprzedać go w Hongkongu, to gdzie zdeponuje tak wielką sumę i jak ma nadzieję skorzystać ze swoich łupów? Nie wierzył, że będzie chciała do końca życia mieszkać w Bukareszcie.

Ale nagle sobie przypomniał, że odwiedziła Wentworth Hall.

Krantz siedziała sama w pierwszej klasie. Zawsze wybierała pierwszą klasę, bo dzięki temu mogła wsiąść ostatnia do samolotu i wysiąść pierwsza, zwłaszcza gdy wiedziała, dokąd zmierza ofiara, na którą polowała.

Ale teraz zdawała sobie sprawę, że jeszcze ktoś śledzi Petrescu, i dlatego musiała zachować większą niż zwykle czujność. W końcu nie mogła sobie pozwolić na to, żeby zabić Petrescu na oczach publiczności, nawet jednoosobowej.

Krantz zachodziła w głowę, kim jest ten wysoki, ciemnowłosa mężczyzna i komu podlega. Czy Fenston wysłał jeszcze kogoś, żeby miał na nią oko, czy też mężczyzna jest agentem jakiegoś obcego państwa? A jeżeli tak, to jakiego? Z pewnością Rumunii albo Stanów Zjednoczonych. Jest niewątpliwie zawodowcem, bo nie zauważyła go ani przed, ani po jego rażącej wpadce z żółtymi

taksówkami. Przypuszczała, że jest Amerykaninem. Liczyła na to, bo gdyby musiała go zabić, zarobiłaby premię.

Krantz nie odprężyła się podczas długiego lotu do Hongkongu. Jej instruktor w Moskwie lubił powtarzać, że koncentracja zwykle słabnie czwartego dnia. Jutro.

18 września

31

- Pasażerowie udający się dalej...

- Właśnie tego mi potrzeba - mruknął pod nosem Jack.

- Czego panu potrzeba? - zagadnęła troskliwa stewardesa.

- Tranzytu.

- Jakie jest pańskie docelowe miejsce przeznaczenia?

- Nie mam pojęcia - rzekł Jack. - A jaki mam wybór? Stewardesa się roześmiała.

- Czy chce pan lecieć dalej na wschód? - spytała.

- To miałoby sens.

- Wobec tego to musi być Tokio, Manila, Sydney albo Auckland.

- Dziękuję - powiedział Jack. Pomyślał sobie, że można zwariować, a głośno dodał: - Jeżeli zdecyduję się spędzić noc w Hongkongu, muszę przejść przez kontrolę paszportową, a jeżeli wybiorę tranzyt...

- Kiedy pan wysiądzie - powiedziała stewardesa, nadal pragnąc mu dogodzić - zobaczy pan wyraźne napisy kierujące po odbiór bagażu albo do strefy tranzytu. Czy pański bagaż nadano docelowo, czy pan go odbiera?

- Nie mam żadnego bagażu - przyznał Jack.

Stewardesa skinęła głową, uśmiechnęła się i odeszła, by się zająć mniej zwariowanymi pasażerami.

Jack uświadomił sobie, że kiedy wysiądzie z samolotu, musi się pośpieszyć, by znaleźć niewidoczny punkt obserwacyjny, z którego zobaczy, co robi Anna, i będzie niewidoczny dla jej „admiratorki”.

Anna z roztargnieniem patrzyła w szybę, kiedy samolot płynnie schodził do lądowania na lotnisku Chek Lap Kok.

Nigdy nie zapomni swojego pierwszego lądowania w Hongkongu przed kilku laty. Zrazu wyglądało to całkiem normalnie, lecz nagle, w ostatnim momencie, bez uprzedzenia, pilot mocno przechylił samolot i obrał kurs prosto na wzgórze. Potem obniżał samolot między wysokościami, ku przerażeniu pasażerów, którzy doświadczyli tego pierwszy raz, by w końcu grzmotnąć o krótki pas startowy lotniska Kowloon, tak jakby brał udział w przesłuchaniu do roli w filmie wojennym z 1944 roku. Kiedy samolot się zatrzymał, kilku pasażerów zaczęło klaskać. Anna się cieszyła, że nowe lotnisko oszczędzi jej tamtego przeżycia.

Spojrzała na zegarek. Wprawdzie samolot był opóźniony o dwadzieścia minut, ale następne połączenie miała dopiero za dwie godziny. Postanowiła, że wykorzysta wolny czas na kupno przewodnika po Tokio, mieście, którego nigdy jeszcze nie odwiedziła.

Kiedy samolot zatrzymał się przed terminalem, Anna zaczęła się powoli posuwać do przodu,



czekając, aż inni pasażerowie ściągną bagaże ze schowków nad głowami. Rozejrzała się wokół, niepewna, czy człowiek Fenstona obserwuje każdy jej ruch. Usiłowała zachować spokój, choć w rzeczywistości tętno skakało jej powyżej stu uderzeń na minutę, ilekroć jakiś mężczyzna spojrzał w jej stronę. Była pewna, że ten facet już wysiadł i teraz na nią czatuje. Może nawet wie, dokąd ona się wybiera. Anna już obmyśliła, jaką przemyci fałszywą wiadomość podczas rozmowy z Tiną, tak żeby człowieka Fenstona odciągnąć w całkiem inną stronę.

Wyszła z samolotu i rozejrzała się za jakimś znakiem. Na końcu długiego korytarza widniała strzałka kierująca pasażerów w tranzyt na lewo. Dołączyła do garstki osób udających się do innych miejsc, natomiast większość pasażerów zwróciła się na prawo.

Kiedy znalazła się w strefie tranzytu, powitało ją błyszczące neonami miasto o połowę młodsze niż Swatch, czyhające na uwięzionych klientów i na ich walutę. Anna chodziła od sklepu do sklepu, podziwiając najnowszą modę, sprzęt elektryczny, telefony komórkowe i biżuterię. Wprawdzie widziała parę rzeczy, nad którymi by się zastanawiała w normalnych okolicznościach, jednak teraz z braku pieniędzy mogła odwiedzić tylko sklep z książkami, który eksponował międzynarodową prasę i wszystkie najnowsze bestsellery - w kilku językach. Skierowała się prosto do działu podróży, gdzie ujrzała rzędy słowników geograficznych tak odległych krajów, jak Azerbejdżan i Zanzibar.

Zatrzymała wzrok na części poświęconej Japonii, gdzie znajdowała się cała półka o Tokio. Wybrała przewodnik po Japonii, wydany przez Lonely Planet, oraz miniprzewodnik Berlitz'a po Tokio i zaczęła je przeglądać.

Jack wśliznął się do sklepu elektrycznego naprzeciwko, skąd miał niczym niezakłócony widok na swą ofiarę. Z tej odległości mógł tylko dostrzec, że Anna stoi pod dużym, wielokolorowym napisem „Podróże”. Chętnie podszedłby bliżej, by zobaczyć, co to za książka, której stronice Anna przerzuca z tak wielkim skupieniem, ale nie mógł ryzykować.

Zaczął liczyć półki, żeby ustalić, jaki kraj tak bez reszty pochłonął jej uwagę.

- Czy mogłabym panu pomóc? - zagadnęła go młoda sprzedawczyni.

- Tylko wtedy, gdyby dysponowała pani lornetką - odrzekł Jack, nie odrywając oczu od Anny.

- Nawet kilkoma - powiedziała dziewczyna. - Czy mogę panu polecić ten model? To specjalna oferta tygodnia, z ceną obniżoną z pięćdziesięciu do sześćdziesięciu dolarów, aż do wyczerpania zapasów.

Jack się obejrzał, tymczasem dziewczyna zdjęła lornetkę z półki za sobą i położyła ją na ladzie.

- Dziękuję - rzekł Jack. Podniósł lornetkę, przyłożył do oczu i spojrzał na Annę.

Wciąż przeglądała tę sarnę książkę, jednak Jack nie mógł odczytać tytułu.

- Chciałbym zobaczyć najnowszy model - powiedział, odkładając ofertę specjalną na ladę. -

Taki, z którego można odczytać znak drogowy z odległości stu metrów.

Sprzedawczyni schyliła się, otworzyła gablotkę i wyjęła inną lornetkę.

- To Leica, lornetka najwyższej klasy, 12x50 - zapewniła go. - Przez nią odczyta pan etykietkę na

kawie, którą podają w kawiarni naprzeciwko.

Jack nastawił ostrość na księgarnię. Anna odłożyła pierwszą książkę i wyjęła drugą, stojącą obok tamtej. Musiał przyznać rację sprzedawczyni, lornetka rzeczywiście była fantastyczna. Mógł teraz odcyfrować słowo „Japonia”, a nawet litery napisu TOKIO widniejącego nad półką, która tak bardzo zainteresowała Annę. Anna zamknęła książkę, uśmiechnęła się i skierowała do lady. Stojąc w kolejce, wzięła też „Herald Tribune”.

- Dobra jest ta lornetka, prawda? - zapytała sprzedawczyni.

- Bardzo dobra - zgodził się Jack, odkładając lornetkę na ladę - ale boję się, że jest dla mnie za droga. Dziękuję. - Po tych słowach wyszedł ze sklepu.

- Dziwne - powiedziała dziewczyna do drugiej ekspedientki. - Przecież nie mówiłam mu, ile kosztuje.

Anna dotarła do przodu kolejki i płaciła za przewodniki, natomiast Jack pośpieszył w przeciwnym kierunku. Ustawił się w innej kolejce w drugim końcu hali.

Kiedy nadeszła jego kolej, poprosił o bilet do Tokio.

- Tak, proszę pana. Który lot: Cathay Pacific czy Japan Airlines?

- Kiedy odlatują? - spytał Jack.

- Samolot Japan Airlines będzie zaraz zabierał pasażerów na pokład, bo leci za czterdzieści minut. Lot trzysta jeden Cathay Pacific odlatuje według rozkładu za półtorej godziny.

- Proszę bilet na samolot Japan Airlines - rzekł Jack. - Klasa biznes.

- Ile pan ma bagaży?

- Tylko bagaż ręczny.

Dziewczyna wydrukowała bilet, sprawdziła paszport Jacka i powiedziała:

- Proszę się udać do wyjścia numer siedemdziesiąt jeden, za chwilę pasażerowie będą wpuszczani na pokład.

Jack powędrował z powrotem w stronę kawiarni. Anna siedziała przy barku pochłonięta czytaniem książki, którą niedawno nabyła. Bardzo się starał, by go nie spostrzegła, bo teraz, jak był pewien, zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana. Spędził kilka minut na zakupach w sklepach, do których normalnie nie wchodził, jednak teraz musiał - z powodu tej kobiety siedzącej na wysokim stołku w kawiarni. Kupił torbę podróżną nadającą się na bagaż pokładowy, a ponadto dżinsy, cztery koszule, cztery pary skarpetek, cztery pary majtek, dwa krawaty (specjalna oferta), opakowanie maszynek do golenia, krem do golenia, płyn po goleniu, szczoteczkę i pastę do zębów. Pokręcił się trochę w drogerii, czekając, czy Anna ruszy się z miejsca.

- Ostatni raz wzywamy pasażerów Japan Airlines lot numer czterysta szesnaście do Tokio. Proszę natychmiast się zgłosić do wyjścia numer siedemdziesiąt jeden.

Anna przewróciła kolejną stronicę książki, z czego Jack wywnioskował, że musi lecieć godzinę później samolotem Cathay Pacific. Tym razem będzie na nią czekał. Szarpnął torbę podróżną i ruszył w stronę wyjścia siedemdziesiątego pierwszego. Był jednym z ostatnich pasażerów, którzy weszli na pokład samolotu.

Anna spojrzała na zegarek, zamówiła następną kawę i zajęła się „Herald Tribune”. W gazecie było pełno artykułów o wydarzeniach po jedenastym września, opublikowano też relację z nabożeństwa żałobnego w Waszyngtonie z uczestnictwem prezydenta. Czyjej rodzina i przyjaciele wciąż myślą, że nie żyje, bądź że jest zaginiona? Czy wiadomość, że widziano ją w Londynie, już przeniknęła do Nowego Jorku? Najwyraźniej Fenston chce, by wszyscy uważali, że zginęła, przynajmniej dopóty dopóki nie położy łapy na obrazie van Gogha. To wszystko się zmieni w Tokio, o ile... Pod wpływem impulsu podniosła wzrok i zobaczyła młodego człowieka o gęstej ciemnej czuprynie, który się w nią wpatrywał. Prędko odwrócił oczy. Anna zeskoczyła z wysokiego stołka i podeszła prosto do młodzieńca.

- Czy pan mnie przypadkiem nie śledzi? - zapytała.

Mężczyzna spojrzął na nią z osłupieniem.

- Non, non, mademoiselle, mais peut-etre voulez-vous prendre un verre avec moi?

- Po raz pierwszy wzywamy pasażerów...

Dwoje innych oczu obserwowało Annę, kiedy przeproszała Francuza, płaciła rachunek i wolno podążała do wyjścia numer 69.

Dopiero kiedy Anna weszła na pokład samolotu, Krantz spuściła ją z oczu.

Krantz należała do ostatnich pasażerów, którzy wsiadali do samolotu odlatującego do Tokio. Znalazłszy się w środku, skierowała się na lewo i zajęła jak zwykle miejsce w pierwszym rzędzie przy oknie. Wiedziała, że Anna siedzi z tyłu w klasie turystycznej, ale nie miała pojęcia, gdzie się podziewa Amerykanin. Czy się spóźnił na samolot, czy wałęsa się po Hongkongu w poszukiwaniu Petrescu?

32

Samolot Jacka wylądował na międzynarodowym lotnisku Narita w Tokio z trzydziestominutowym opóźnieniem, ale Jack się nie niepokoił, ponieważ miał godzinę przewagi nad obiema kobietami, które teraz znajdowały się na wysokości około dziesięciu tysięcy metrów nad Pacyfikiem. Kiedy przeszedł przez odprawę celną, skierował się do informacji i spytał, o której wylądaje samolot linii Cathay Pacific. Okazało się, że za czterdzieści kilka minut.

Odwrócił się ku wyjściu dla pasażerów przybywających, a potem próbował odgadnąć, w którą stronę skieruje się Petrescu, kiedy przejdzie przez kontrolę celną. Jaki wybierze środek transportu, żeby się dostać do miasta: taksówkę, kolej czy autobus? Będzie się musiała zdecydować po przebyciu zaledwie kilkudziesięciu kroków. Jeżeli nadal ma skrzynkę, to z pewnością weźmie taksówkę. Jack sprawdził wszelkie możliwe wyjścia na zewnątrz, po czym wymienił pięćset dolarów na pięćdziesiąt trzy tysiące osiemset sześćdziesiąt osiem jenów w stoisku Banku Tokijskiego. Włożył do portfela banknoty o wysokim nominale i wrócił do hali przylotów, przyglądając się ludziom, którzy się gromadzili, czekając na ostatnie lądujące samoloty. Spojrzał w górę. Ponad nim, po lewej stronie, znajdowało się półpiętro górujące nad halą. Wszedł po schodach i rozejrzał się. Wprawdzie było tam ciasno, jednak uznał, że miejsce jest idealne. Przy ścianie znajdowały się dwie budki telefoniczne i kiedy stanął za drugą z nich, mógł niepostrzeżenie obserwować przybywających pasażerów. Spojrzał na tablicę przylotów. Lot CX 301 był oczekiwany za dwadzieścia minut.

Dość czasu na wykonanie ostatniego zadania.

Jack wyszedł z lotniska i stanął w kolejce do taksówek, nad którą czuwał mężczyzna w jasnoniebieskim ubraniu i białych rękawiczkach, który nie tylko nadzorował taksówki, ale także dyrygował pasażerami.

Gdy Jack dotarł do przodu, wsiadł do charakterystycznej zielonej toyoty i polecił zdziwionemu kierowcy zaparkować samochód po drugiej stronie ulicy.

- Proszę tu na mnie czekać - dodał, kładąc swoją nową torbę na tylnym siedzeniu. - Powiniennem wrócić za trzydzieści, najpóźniej czterdzieści minut. - Wyjął z portfela banknot o nominale pięciu tysięcy jenów. - Proszę nie wyłączać licznika.

Taksówkarz skinął głową, ale miał zdziwioną minę.

Jack wrócił na lotnisko i dowiedział się, że samolot linii Cathay Pacific właśnie wylądował. Poszedł na półpiętro i ustawił się za drugą budką telefoniczną. Czekał, aż w drzwiach pokaże się pierwszy pasażer ze znajomą zielono-białą przywieszką Cathay Pacific na walizkach. Już dawno nie

czekał na lotnisku na dziewczynę, a co dopiero na dwie. Ale czy uda mu się rozpoznać partnerkę tej randki w ciemno?

Na tablicy informacyjnej zmienił się napis. Pasażerowie samolotu Cathay Pacific, lot CX 301, byli teraz w hali bagażowej. Jack się skoncentrował. Nie musiał długo czekać. Pierwsza w drzwiach ukazała się Krantz - musiała, miała robotę do wykonania. Skierowała się w stronę tłumku niewiele wyższych od niej tuziemców, z przejściem oczekujących przyjezdnych. Wtopiła się w grupę i dopiero wtedy odważyła się odwrócić. Od czasu do czasu cierpliwy tłum falował powolnym ruchem, kiedy część ludzi odchodziła, a na ich miejsce przybywali następni. Krantz poruszała się z prądem, żeby nikomu się nie rzucać w oczy. Jednak krótko ostrzyżone jasne włosy, które wyróżniały ją spośród czarnowłosych Japończyków, ułatwiały Jackowi zadanie. Jeżeli kobieta ruszy śladem Anny, Jack będzie wiedział, z kim prowadzi grę.

Nie spuszczał oka ze szczupłej, niskiej, muskularnej, ostrzyżonej na jeża blondynki, lecz zarazem co chwilę się odwracał, obserwując nowych przybyszy, którzy teraz wylaniali się w przejściu, zbici w małe grupki; kilku z zielono-białymi przywieszkami przy bagażach. Jack ostrożnie zrobił krok do przodu, modląc się, żeby niska kobieta nie spojrzała w górę, ale ona zawzięcie śledziła wzrokiem wychodzących pasażerów.

Też musiała się zorientować, że Anna ma tylko trzy wyjścia do wyboru, bo ustawiła się strategicznie w miejscu, skąd mogła wyruszyć niezależnie od wybranego przez tamtą kierunku.

Jack wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, powoli wyjął najnowszy telefon komórkowy marki Samsung, otworzył go i wycelował prosto w tłum poniżej. Przez moment nie mógł jej dostrzec, lecz nagle starszy mężczyzna wysunął się do przodu, by powitać swojego gościa, i odsłonił ją na ułamek sekundy. Pstryk, i znów zniknęła. Jack co chwilę przenosił uwagę na nowych pasażerów, którzy wciąż napływali do hali. Kiedy się znowu odwrócił, matka się schyliła, żeby podnieść dziecko, i kobieta znów została odsłonięta - pstryk - i tak samo nagle zniknęła w tłumie. Jack się obrócił i ujrzał Annę, która się pojawiła w wahadłowych drzwiach. Zamknął wieczko aparatu, licząc, że jedna z dwu fotografii wystarczy technikom, by zidentyfikować nieznajomą.

Nie tylko Jack patrzył na smukłą jasnowłosą Amerykankę, która wkroczyła do hali przylotów, pchając wózek z walizką i drewnianą skrzynką. Jack cofnął się za budkę, gdy Petrescu stanęła i spojrzała w górę. Sprawdziała tablice wskazujące wyjścia na zewnątrz. Zwróciła się w prawo. Do taksówek.

Wiedział, że będzie musiała stać w długiej kolejce, zanim wsiądzie do taksówki, więc odczekał, aż obie kobiety opuszczą lotnisko, i dopiero wtedy zszedł z półpiętra. Kiedy znalazł się na dole, wybrał okrężną drogę do swojej taksówki. Powędrował na drugi koniec hali, a potem wyszedł na chodnik. Dał nura za stojący autobus, kierując się na podziemny parking, a potem posuwał się wzdłuż drugiego rzędu samochodów i wyszedł wyjściem z przeciwnej strony. Z ulgą skonstatował, że zielona toyota wciąż czeka z włączonym silnikiem i tykającym licznikiem. Usiadł z tyłu i powiedział kierowcy:

- Widzi pan tę podobną do strzygi, krótko ostrzyżoną blondynkę, siódmą w kolejce do taksówek? Chcę, żeby pan za nią jechał, ale ona nie może o tym wiedzieć.

Jack spojrzał na Petrescu, która była piąta w kolejce. Kiedy dotarła na jej czoło, nie wsiadła do czekającej taksówki, tylko się odwróciła i wolno powędrowała na koniec. Spryciara, pomyślał Jack. Czekał, jak zareaguje Strzyga. Klepnął kierowcę w ramię i kazał mu się nie ruszać, kiedy Strzyga usiadła z tyłu taksówki, która odjechała i zniknęła za rogiem. Jack wiedział, że taksówka zatrzyma się

tuż za zakrętem w oczekiwaniu na Petrescu. W końcu Anna znowu znalazła się na przedzie kolejki. Jack klepnął w ramię kierowcę i powiedział:

- Proszę jechać za tą kobietą, niezbyt blisko, ale tak, żeby jej nie zgubić.
- Ale to inna kobieta - powiedział taksówkarz.
- Wiem - rzekł Jack. - Zmiana planu.

Taksówkarz był wyraźnie zakłopotany. Japończycy nie rozumieją „zmiany planu”.

Kiedy taksówka z Petrescu przejechała obok nich i skręciła na autostradę, Jack ujrzał, jak identyczny samochód wyłania się z bocznej drogi i wślizguje się za nią. Przynajmniej teraz występował w roli ścigającego, a nie ściganego.

Pierwszy raz był zadowolony z cieszących się złą sławą zatorów i niekończących się korków ulicznych, które wszyscy jadący z lotniska Narita do centrum miasta traktują jako rzecz normalną. Mógł się trzymać z dała, nie tracąc z oczu żadnej z dwu taksówek.

Godzinę później taksówka Petrescu zatrzymała się przed hotelem Seiyo w dzielnicy Ginza. Chłopiec hotelowy podszedł, żeby wziąć bagaż Anny, ale kiedy zobaczył drewnianą skrzynkę, gestem wezwał kolegę, by mu pomógł. Kiedy Petrescu z chłopcem zniknęła w drzwiach hotelu, Jack odczekał dłuższą chwilę, zanim ruszył jej śladem. Strzyga nie czekała. Zdażyła się już zacząć w kącie w głębi holu, skąd miała widok na schody i windy, a sama była niewidoczna dla personelu recepcji.

Kiedy Jack ją spostrzegł, natychmiast się wycofał przez wahadłowe drzwi na dziedziniec. Podbiegł do niego chłopiec hotelowy.

- Czy potrzebuje pan taksówki? - zapytał.
- Nie, dziękuję - rzekł Jack i, wskazując na szklane drzwi po drugiej stronie dziedzińca, zagadnął:  
- Co tam jest?

- Hotelowa siłownia, proszę pana - odparł chłopiec.

Jack kiwnął głową, obszedł w koło dziedziniec i wszedł do budynku. Skierował się do recepcji.

- Który numer pokoju, proszę pana? - spytał go młody człowiek w hotelowym dresie.
- Nie pamiętam - rzekł Jack.
- Nazwisko?
- Petrescu.

- A, tak, doktor Petrescu - rzekł młody człowiek, spoglądając na ekran monitora - pokój sto osiemnasty. Czy będzie panu potrzebna szafka?

- Później - odparł Jack. - Kiedy żona dołączy do mnie.

Zajął miejsce przy oknie, skąd miał widok na dziedziniec i czekał, aż Anna wyjdzie. Odnotował, że przed hotelem zawsze stoi kilka taksówek, więc nie powinien mieć kłopotu z dalszą obserwacją Anny. Gdyby jednak się zjawiała bez skrzynki, to nie wątpił, że Strzyga, nadal tkwiąca w holu, opracuje plan, jak ją opróżnić.

Jack, który cierpliwie siedział przy oknie, w pewnej chwili otworzył wieczko komórki i wybrał numer Toma w Londynie. Starał się nie myśleć, która tam może być godzina.

- Gdzie jesteś? - spytał Tom, kiedy w jego komórce rozbrzysł napis:  
„Dobry gliniarz”.

- W Tokio.

- Co Petrescu tam robi?

- Nie jestem pewien, ale nie zdziwiłbym się, gdyby próbowała sprzedać rzadki obraz znanemu

kolekcjonerowi.

- Czy się dowiedziałeś, kim jest ta druga zainteresowana strona?

- Nie - odrzekł Jack - ale udało mi się zrobić jej dwa zdjęcia na lotnisku.

- Dobra robota - pochwalił go Tom.

- Wysyłam ci je teraz - powiedział Jack. Wprowadził kod do komórki i kilka chwil później wizerunki pojawiły się na ekranie Toma.

- Są trochę zamazane - brzmiała odpowiedź Toma - ale jestem pewien, że nasi technicy je oczyszczą i sprawdzą, kim ona jest. Jeszcze jakieś wiadomości?

- Jest niska, szczupła, ma krótko ostrzyżone blond włosy i ramiona pływaczki.

- Coś jeszcze? - dopytywał się Tom, który wszystko notował.

- Tak, kiedy przejrzyte fotki bandziorów amerykańskich, zajrzyjcie do Europy Wschodniej. Czuję, że ona może być Rosjanką albo Ukrainką.

- Albo nawet Rumunką? - podsunął Tom.

- O Boże, co ze mnie za idiota - rzekł Jack.

- Wystarczająco bystry, żeby pstryknąć dwie fotografie. Nikt inny nie zdołał tego zrobić, a dzięki nim może dokonamy przełomu w tym śledztwie.

- Z radością upajałbym się odrobiną sławy - przyznał Jack - ale niestety, one dwie wiedzą o moim istnieniu.

- Wobec tego muszę szybko wykryć, kim ona jest. Skontaktuję się z tobą, jak tylko chłopaki w podziemiu coś wyniuchają.

Tina nacisnęła przełącznik pod biurkiem. Mały ekran na rogu rozblęsnął. Fenston rozmawiał przez telefon. Przełączyła się na jego prywatną linię i słuchała.

- Miał pan rację - odezwał się głos. - Ona jest w Japonii.

- Więc przypuszczalnie spotka się z Nakamurą. Jego zamiary masz w swojej teczce. Nie zapominaj, że odebranie obrazu jest o wiele ważniejsze od usunięcia Petrescu.

Fenston odłożył słuchawkę.

Tina była przekonana, że to był głos kobiety, którą widziała w samochodzie prezesa. Musi ostrzec Annę. Do pokoju wszedł Leapman.

33

Anna wzięła prysznic i wysuszyła ręcznikiem włosy, a potem przez otwarte drzwi łazienki zerknęła na zegar cyfrowy w rogu ekranu telewizora. Parę minut po dwunastej. O tej porze japońscy biznesmeni wyruszają do klubów na lunch. Nie wypada teraz niepokoić pana Nakamury. Wytarła się do sucha i włożyła na siebie biały frotowy szlafrok, który wisiał na drzwiach łazienki, po czym usiadła na brzegu łóżka, otworzyła laptopa i napisała szybko słowo MIDAS. Było to hasło dające jej dostęp do pliku na temat najbogatszych kolekcjonerów sztuki na całym świecie, takich jak Gates, Cohen, Lauder, Magnier, Nakamura, Rales, Wynn. Kliknięciem otworzyła nowe okno i przeczytała: „Takashi Nakamura, przemysłowiec. Uniwersytet Tokijski 1966-1970, licencjat w dziedzinie nauk ścisłych, UCLA 1971-1973, magisterium z ekonomii. W 1974 r. rozpoczął pracę w koncernie Maruha Steel, od 1989 członek zarządu, od 1997 dyrektor generalny, od 2001 prezes spółki”.

Przeszła na dół strony do danych na temat koncernu Maruha Steel. Zeszłoroczny bilans wykazywał obroty sięgające prawie trzech miliardów dolarów, zysk zaś wyniósł ponad czterysta milionów. Takashi Nakamura był właścicielem ponad dwudziestu dwóch procent akcji, a magazyn

„Forbes” plasował go na dziewiątym miejscu wśród najbogatszych ludzi świata. Miał żonę i troje dzieci - syna i dwie córki. W rubryce dotyczącej zainteresowań widniały jedynie dwa słowa: golf i sztuka. Ani słowa na temat wysokiego rankingu Japończyka wśród golfistów czy też jego cennej kolekcji impresjonistów, uważanej za jeden z najwspanialszych zbiorów prywatnych.

W ciągu minionych lat Nakamura kilkakrotnie oświadczał, że obrazy te są własnością firmy. Christie, co prawda, nigdy takich spraw nie ujawnia, ale w świecie sztuki jest tajemnicą poliszynela, że w 1987 roku Nakamura przegrał licytację o „Słoneczniki” van Gogha, a pokonał go stary przyjaciel i rywal Yasuo Goto, prezes firmy ubezpieczeniowej Yasuda Fire and Marine Insurance, który kupił obraz za 39 921 750 dolarów.

Od czasu opuszczenia Sotheby’ego Anna niewiele mogła dodać do charakterystyki Nakamury. „Lekcja tańca u Mme Minette”, obraz Degasa, który kupiła w jego imieniu, okazał się bardzo dobrą inwestycją, toteż Anna miała nadzieję, że Nakamura ją zapamiętał. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że z takim człowiekiem jak on jej plan powinien się powieść.

Rozpakowała walizkę, po czym wyjęła z niej elegancki błękitny kostium ze spódnicą sięgającą tuż za kolano, kremową bluzkę i skórzane granatowe pantofle na niskim obcasie. Zero makijażu, żadnej biżuterii. Rozprasowując żelazkiem zagniecenia, rozmyślała o japońskim biznesmenie, którego spotkała tylko raz, i zastanawiała się, czy zwrócił na nią uwagę, czy też nie. Potem ubrała się i przejrzała w lustrze. Świetnie. Japoński biznesmen tak właśnie wyobraża sobie pracownicę funkcyjną Sotheby’ego.

Odszukała w komputerze prywatny numer Nakamury, usiadła na brzegu łóżka, sięgnęła po telefon, wzięła głęboki oddech i wykręciła osiem cyfr.

- Hai, Shacho-Shitso desu - odezwał się wysoki głos.
- Dzień dobry, mówi Anna Petrescu. Pan Nakamura zna mnie z Sotheby’ego.
- Czy pani chce się umówić na rozmowę?
- E, nie. Chciałabym po prostu zamienić teraz z panem Nakamura kilka słów.
- Proszę chwileczkę poczekać. Sprawdzę, czy pan prezes może odebrać telefon.

Czy można się spodziewać, że zapamiętał ją po tym jednym spotkaniu?

\_ Pani doktor Petrescu, jak to miło, że pani dzwoni. Mam nadzieję, że u pani wszystko dobrze?

- Owszem, dziękuję, Nakamura San.
- Czy jest pani w Tokio? Bo jeśli się nie mylę, w Nowym Jorku jest już po północy.
- Tak, jestem w Tokio, i zastanawiam się, czy mógłby się pan ze mną spotkać.
- Nie było pani na liście kandydatów, ale już panią na niej umieściłem. Mam wolne pół godziny o czwartej po południu. Czy to pani odpowiada?
- Owszem, tak.
- Czy pani wie, gdzie jest moje biuro?
- Tak, mam adres.
- A gdzie się pani zatrzymała?
- W Seiyo.
- Nie jest to ulubiony hotel ludzi z Sotheby’ego, którzy, o ile dobrze pamiętam, na ogół zatrzymują się w Imperialu.

Anna poczuła, że zasycha jej w ustach.

- Moje biuro znajduje się w odległości dwudziestu minut od hotelu.
- Czekam na panią o godzinie czwartej. Do zobaczenia, doktor Petrescu.

Anna odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała nieruchomo, starając się przypomnieć sobie dokładnie słowa swego rozmówcy. Co miała na myśli sekretarka, pytając: „Czy pani chce się umówić na rozmowę?”, i dlaczego Nakamura powiedział: „Nie było pani na liście kandydatów, ale już panią na niej umieściłem”? Czyżby spodziewał się jej telefonu?

Jack pochylił się do przodu, by niczego nie przeoczyć. Z foyer wyszło dwóch chłopców hotelowych. Nieśli oni tę samą drewnianą skrzynkę, którą Anna wymieniła z Antonem Teodorescu w Bukareszcie. Jeden z nich powiedział coś do kierowcy pierwszej w szeregu taksówki, na co ten wyskoczył na ulicę i ostrożnie umieścił skrzynkę w bagażniku.

Jack powoli uniósł się ze swego miejsca i zatrzymał nieopodal okna, starając się nie rzucać w oczy. Niecierpliwie czekał, co też dalej się wydarzy, zdając sobie sprawę z tego, że może to być następny fałszywy alarm. Na postoju stały cztery taksówki. Jack zerknął w stronę wejścia do fitness klubu i obliczył, że w drugiej taksówce może znaleźć się w ciągu dwudziestu sekund.

Przeniósł wzrok na wahadłowe drzwi, zastanawiając się, czy za chwilę nie dostrzeże w nich Petrescu. Tymczasem w wyjściu zamiast niej pojawiła się Strzyga, która szybko wyminęła portiera i zniknęła na ulicy. Jack doskonale wiedział, że Strzyga nie może ryzykować, by ktoś ją zapamiętał, i nie wsiądzie do taksówki pod hotelem. On zaś musi podjąć to ryzyko.

Przeniósł ponownie wzrok na wejście do hotelu, przekonany, że Strzyga siedzi sobie teraz w taksówce, której on nie widzi, i spokojnie czeka na nich oboje.

Kilka sekund później pojawiła się Petrescu. Ubrana była tak, jakby miała uczestniczyć w zebraniu zarządu dużej firmy. Portier zaprowadził ją do pierwszej taksówki i otworzył przed nią tylne drzwi. Taksówka ruszyła, włączając się w popołudniowy ruch.

Jack zajął miejsce na tylnym siedzeniu drugiej taksówki tak szybko, że portier nie zdążył spełnić swojej powinności.

- Proszę jechać za tym samochodem - polecił kierowcy, wskazując mu zieloną toyotę. - Jeśli go nie zgubimy, zarobi pan podwójnie.

Kierowca wcisnął pedał gazu.

- Ale proszę się nie rzucać w oczy - dodał Jack, doskonale wiedząc, że w jednym z licznych poprzedzających ich zielonych aut siedzi Strzyga.

Taksówka z Petrescu skręciła w lewo, oddalając się od Ginzy, modnej dzielnicy handlowej, i kierując się na północ, w stronę prestiżowego centrum biznesu Marunouchi. Jack poczuł, że ogarnia go podniecenie. Czyżby Petrescu jechała na spotkanie z potencjalnym kupcem?

Na następnych światłach zielona taksówka skręciła w lewo, a Jack powtórzył z napięciem:

- Proszę jej nie zgubić.

Kierowca zmienił pas, uplasował się za Petrescu w odległości trzech samochodów i ten dystans utrzymywał. Na następnym skrzyżowaniu obie taksówki stanęły na czerwonych światłach. W taksówce Petrescu mrugał prawy kierunkowskaz, a gdy zapaliło się zielone światło, skręciło za nią kilka innych pojazdów. Jack był pewien, że w jednym z nich siedziała Strzyga. Gdy wjechali na trzypasmową jezdnię, dostrzegli zawieszony w górze strumień zapalonych na zielono świateł. Z ust Jacka wymknęło się przekleństwo. Lepsze są czerwone światła - gdy trzeba utrzymać kontakt z celem, hamowanie i ruszanie bardzo się przydaje.

Wszyscy minęli gładko pierwsze i drugie skrzyżowanie, lecz przed trzecim światło zmieniło się na żółte i w rezultacie taksówka Jacka przejechała na drugą stronę ostatnia. Gdy mijali ogrody Pałacu



Cesarzkiego, Jack z uznaniem poklepał kierowcę po ramieniu, a potem pochylił się do przodu, modląc się w duchu o zieloną falę.

Taksówka Petrescu zdążyła wjechać na skrzyżowanie, przed nimi jednak zapaliło się żółte światło.

- Dalej, dalej! - zawołał Jack, widząc, że dwie poprzedzające ich taksówki podążają śladem Anny, lecz zamiast nacisnąć na gaz i przeniknąć na drugą stronę, kierowca łagodnie zahamował.

Jack zagotował się ze złości, lecz zamknął usta, gdy zauważył, że obok nich zatrzymuje się samochód policyjny.

Utkwił wzrok przed sobą. Zielona toyota stanęła na następnym skrzyżowaniu, nie wszystko więc było stracone. Światła zmieniały się sukcesywnie, w odstępach kilkusekundowych. Jack marzył, by samochód policyjny skręcił w prawo, tak aby mogli odzyskać utraconą pozycję, ten jednak uparcie jechał obok. Jack patrzył, jak zielona taksówka z Anną skręca w lewo w aleję Eitaidori, i wstrzymał oddech, modląc się ponownie, by zielone światło nadal się paliło. Niestety, zielone światło przeszło w żółte, a jadący przed nimi kierowca zahamował, niewątpliwie spostrzegłszy wóz policyjny. Gdy po minucie - najdłuższej w życiu Jacka - wyczekiwane światło zabłysło ponownie, jego kierowca skręcił w lewo, a przed ich oczami znów pojawiła się zielona fala. Nie dość, że stracili Petrescu z oczu, to Jacka dręczyła dodatkowo myśl, że Strzyga na pewno siedzi jej na karku.

Odwrócił głowę i przeklął samochód patrolowy w chwili, gdy ten skręcił w prawo i odjechał.

Krantz nie spuszczała z oczu zielonej taksówki, która zjechała na lewy pas i zatrzymała się przed nowoczesnym białym budynkiem z marmuru w Otemachi. Umieszczona nad wejściem tablica informowała, że jest to Maruha Steel Company - po angielsku, a także po japońsku, zgodnie z obowiązującym w Tokio obyczajem.

Krantz poprosiła kierowcę o zatrzymanie samochodu dopiero za budynkiem. Potem odwróciła się i przez tylną szybę obserwowała, jak Anna wysiada, a kierowca otwiera bagażnik. Anna dołączyła do niego w chwili, gdy ze schodów do taksówki zbiegł portier. Krantz zauważyła jeszcze, że obaj mężczyźni nieśli po schodach drewnianą skrzynkę.

Gdy zniknęli we wnętrzu gmachu, Krantz uściła rachunek, wysiadła i ukryła się w cieniu dużego domu towarowego. Nigdy nie prosiła taksówkarza, by na nią czekał, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. W ten sposób minimalizowała ryzyko, że ktoś ją zapamięta. Musiała działać szybko, na wypadek, gdyby Petrescu niespodziewanie opuściła gmach.

W myślach powtórzyła szybko swój plan. Przede wszystkim musi odzyskać obraz, a gdy już tego dokona, może Petrescu zabić. Ponieważ jednak dopiero przed chwilą wysiadła z samolotu, nie miała przy sobie żadnej broni. Z zadowoleniem stwierdziła, że Amerykanin już jej nie zagraża. Ciekawe, przemknęło jej przez głowę pytanie, czy nadal krąży po ulicach Hongkongu w poszukiwaniu Petrescu, obrazu, czy też jednego i drugiego?

Teraz można było domniemywać, że płótno dotarło do celu - w teczce, którą otrzymała od Fenstona, znalazła całą stronę informacji na temat Nakamury. Jeśli Petrescu opuści budynek koncernu ze skrzynką, będzie to oznaczało, że jej plan spalił na panewce, a to z kolei znacznie by Krantz ułatwiło przeprowadzenie obu jej zamiarów. Jeśli zaś Petrescu opuści budynek, niosąc tylko swoją prywatną teczkę, trzeba będzie szybko podjąć decyzję. Krantz rozejrzała się, sprawdzając, ile na tej ulicy jest taksówek. W ciągu następnych paru minut pojawiło się ich kilka, a połowa była niezajęta.

Z budynku koncernu Maruna wyszedł taksówkarz i wszedł do swojej toyoty. Krantz czekała na

pojawienie się Petrescu, gdy jednak zielona taksówka ruszyła w poszukiwaniu następnego klienta, Krantz uznała, że zapewne przyjdzie jej poczekać dłużej.

Zerknęła w prawo, a potem w lewo ciągu budynków po przeciwnej stronie, przesuając powoli wzrokiem po wystawach markowych sklepów, których nie znosiła, aż nagle jej uwagę przykuła firma, o której kiedyś czytała i którą zawsze chciała zobaczyć: nie Gucci, nie Burberry, nie Calvin Klein, lecz sklep z narzędziami tnącymi Nozaki, wciśnięty wstydliwie między przybyłych tu niedawno sąsiadów.

Wejście do tego sklepu przyciągało ją niczym magnes. Przeszła przez ulicę, nie spuszczać jednak wzroku z Maruha Steel Company - wszak Petrescu może w każdej chwili opuścić ten budynek. Podejrzewała jednak, że spotkanie Anny z Nakamurą trochę potrwa. W końcu nawet człowiek jego pokroju nie wydaje tak dużych sum bez zadawania pytań.

Gdy dotarła już do celu, stanęła i wbiła wzrok w wystawę niczym dziecko, które zobaczyło choinkę trzy miesiące przed świętami. Pęsety, gilotynki, nożyczki dla leworęcznych, scyzoryki szwajcarskie, nożyce krawieckie, maczeta marki Victorinox o ostrzu długim na czterdzieści centymetrów - wszystkie te przedmioty wyglądały wspaniale, ale bladły w cieniu rytualnego miecza samurajskiego, pochodzącego z mniej więcej 1783 roku. Krantz poczuła, że urodziła się w niewłaściwych czasach.

Gdy weszła do sklepu, jej oczom ukazały się rzędy noży kuchennych, dzięki którym pan Takai, potomek samuraja, zyskał sławę. Właściciel tego interesu stał w kącie w głębi sali, gdzie ostrzył noże powierzone mu przez klientów. Krantz natychmiast rozpoznała w nim mistrza, który dla niej był odpowiednikiem Brada Pitta. Bardzo chętnie uścisnęłaby mu dłoń, gdyby nie świadomość, że tym razem musi z tej przyjemności zrezygnować.

Cały czas obserwując wejście do koncernu Maruha, zaczęła oglądać ręcznie kute japońskie utensylia - ostre niczym brzytwa i zwodniczo lekkie. Na grzbiecie każdego ostrza została wybita nazwa NOZAKI, jak gdyby producent, podobnie jak Cartier, chciał podkreślić, że bardzo trudno go podrobić.

Krantz już dawno temu pogodziła się z faktem, że nie wolno jej ryzykować przewożenia ulubionej śmiertelnej broni na pokładzie samolotu, toteż nie miała wyboru i w każdym kraju, w którym Fenston miał do załatwienia jakieś porachunki, musiała zaopatrzyć się w broń pochodzenia miejscowego.

Przystąpiła do powolnego procesu wyboru narzędzia, przysłuchując się serenadzie w wykonaniu suzumushi, barwnych świerszczy umieszczonych w malutkich bambusowych klatkach pod sufitem. Co chwila zerknęła na gmach po przeciwnej stronie ulicy, Petrescu jednak się nie pojawiała. Krantz bardzo starannie oceniała towar, sprawdzając różne kategorie noży - do owoców, do krojenia warzyw, chleba, mięsa - pod względem wagi, wyważenia i wielkości ostrza. Ona szukała takiego, które nie byłoby dłuższe niż dwadzieścia centymetrów i nie krótsze niż dziesięć.

Po kilku minutach lista noży zawęziła się do trzech, a w końcu Krantz zdecydowała się na nagradzany medalami model GS5 - nóż o ostrzu długości czternastu centymetrów, którym można pokroić stek równie łatwo jak melona.

Podala nóż sprzedawcy, który się uśmiechnął - Krantz zwróciła uwagę na jego cienką szyję - i zawinął go w ryżowy papier. Należność uściła jenami. Płacąc dolarami, zwróciłaby na siebie uwagę, a karty kredytowej nie posiadała. Potem obdarzyła ostatnim spojrzeniem pana Takai i niechętnie opuściła lokal, powracając na swe miejsce w cieniu po przeciwnej stronie ulicy.

Czekając na pojawienie się Petrescu, zdjęła papier ze swego nowego nabytku, po czym wsunęła go w specjalnie uszyty futerał ukryty pod dżinsami. Świetnie, uznała. Siedzi jak rewolwer w kaburze.

34

Recepcjonistka nie potrafiła ukryć zdumienia na widok portiera niosącego drewnianą skrzynkę i aż zakryła usta dłonią, co jak na Japończyka jest gestem niezwykle spontanicznym.

Anna niczego nie wyjaśniła, podała jedynie swe nazwisko. Recepcjonistka przejrzała listę kandydatek wyznaczonych na dzisiejsze popołudnie i przy nazwisku „Petrescu” postawiła znaczek.

- W tej chwili pan Nakamura przeprowadza rozmowę kwalifikacyjną - oznajmiła - ale za chwilę będzie wolny.

- A czego dotyczy ta rozmowa? - zapytała Anna.

- Nie mam pojęcia - odparła recepcjonistka, tym razem zdumiona faktem, że kandydat może w ogóle zadać takie pytanie.

Anna usiadła i utkwiała wzrok w skrzynce, która stała oparta o ścianę, po czym uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, jak za chwilę poprosi swego rozmówcę o wyłożenie na stół sześćdziesięciu milionów dolarów.

Punktualność jest obsesją Japończyków, toteż nie była zaskoczona, gdy dwie minuty przed czwartą do recepcji weszła elegancko ubrana kobieta, skłoniła się i poprosiła Annę, by szła za nią. Ona również spojrzała na drewnianą skrzynkę, lecz jej jedyną reakcją były słowa:

- Czy chce pani, żeby to zanieść do gabinetu pana prezesa?

- Owszem, bardzo proszę - odrzekła Anna, nadal niczego nie dodając.

Ruszyła za sekretarką długim korytarzem. Po drodze minęły kilka drzwi, na których nie było żadnych tabliczek z nazwiskami, tytułami czy funkcjami. Gdy doszły do pokoju na końcu korytarza, sekretarka cicho zapukała, uchyliła drzwi i oznajmiła:

- Pani doktor Petrescu.

Takashi Nakamura podniósł się z biurka i ruszył w kierunku Anny, która z okrzykiem otworzyła usta. Jednak jej zdumienie wywołał nie ten niski, szczupły i ciemnowłosy mężczyzna, sprawiający wrażenie człowieka ubierającego się w Paryżu czy Mediolanie, lecz jego gabinet. Pomieszczenie to miało kształt kwadratu, a jedną z jego ścian stanowiła wielka szyba. Anna patrzyła na emanujący spokojem ogród, na wijący się zakolami strumyk z przerzuconym przezeń drewnianym mostkiem, na rosnące nad jego brzegiem wierzby, których gałęzie opadały kaskadą na poręczce.

Ścianę za biurkiem prezesa zdobiło wspaniałe płótno przedstawiające tę samą scenerię. Anna zamknęła usta i przeniosła wzrok na gospodarza.

Ten uśmiechnął się z zadowoleniem, wyraźnie zachwycony, że będący w jego posiadaniu Monet wywiera aż takie wrażenie, po czym zadał Annie pytanie, które wcale nie pozwoliło jej ochłonać:

- Jak się pani udało przeżyć jedenastego września, skoro pani biuro, jeśli dobrze pamiętam, znajdowało się w Wieży Północnej?

- Miałam wiele szczęścia - odparła Anna już spokojnie - choć obawiam się, że niektórzy z moich kolegów...

Pan Nakamura podniósł rękę i powiedział:

- Przepraszam, to z mojej strony nietaktowne. Jeśli pani pozwoli, zaczniemy naszą rozmowę od sprawdzenia pani niezwyklej pamięci fotograficznej. Czy mogłaby mi pani podać pochodzenie wszystkich trzech obrazów w tym pokoju? Jeśli łaska, zaczniemy od Moneta.

- „Wierzby w Vetheuil”. Ich poprzednim właścicielem był niejaki pan Clark z Sangton w stanie Ohio. Obraz ten dostał się w ręce pani Clark w wyniku podziału mienia po rozwodzie. Rozstanie z panią Clark, trzecią żoną pana Clarka, oznaczało, że musiał on pożegnać się, niestety, ze swym trzecim Monetem. Dom aukcyjny Christie sprzedał płótno za dwadzieścia sześć milionów dolarów, nie miałam jednak pojęcia, że to pan je kupił.

Na twarzy gospodarza znów pojawił się pełen zadowolenia uśmiech, Anna zaś przeniosła wzrok na sąsiednią ścianę i zamilkła.

- Przez jakiś czas zastanawiałam się, gdzie ten obraz wylądował - powiedziała w końcu. - To Renoir, oczywiście. „Madame Duprez z dziećmi”, znany także jako „Lekcja czytania”. Został on sprzedany w Paryżu przed Rogera Dupreza, którego dziadek nabył go od samego artysty w 1868 roku. Nie mogę wiedzieć, ile pan za niego zapłacił.

Przeniósł wzrok na ostatnie dzieło sztuki.

- To łatwe - oświadczyła z uśmiechem. - Jest to jedna z późniejszych wysłanych na Salon prac Maneta, powstała najprawdopodobniej w 1871 roku... - urwała, marszcząc czoło - zatytułowana „Kolacja w kawiarni Guerbois”. Na pewno pan zauważył, że kochanka malarza siedzi w rogu po prawej stronie i patrzy wprost na niego.

- A kto był poprzednim właścicielem?

- Lady Charlotte Churchill, która po śmierci męża musiała sprzedać ten obraz, żeby pokryć koszty pogrzebu.

Nakamura skłonił się przed nią.

- Stanowisko jest pani.

- Stanowisko, Nakamura San? - spytała Anna, zaskoczona.

- Nie przyszła pani tutaj w sprawie posady dyrektora mojej fundacji?

- Nie - odparła Anna, do której nagle dotarło znaczenie słów recepcjonistki. - Bardzo mi pochlebia, Nakamura San, że w ogóle rozważał pan moją kandydaturę, ale przyjechałam do pana w zupełnie innej sprawie.

Prezes pokiwał głową, tym razem wyraźnie zawiedziony, po czym popatrzył na drewnianą skrzynkę.

- Mały prezent. - Anna uśmiechnęła się.

- No cóż, nie mogę go obejrzeć, dopóki pani tu jest, żeby pani nie obrazić. - Anna słyszała o tym obyczaju, toteż kiwnęła głową. - Proszę usiąść, młoda damo. Anna uśmiechnęła się.

- Wobec tego jaki jest cel pani wizyty? - zapytał gospodarz, odchylając się w fotelu i patrząc na nią uważnie.

- Wydaje mi się, że mam obraz, któremu się pan nie oprze.

- Tak dobry jak pastel Degasa? - zapytał Nakamura, któremu humor wyraźnie się poprawił.

- Och, tak - odparła, może nieco zbyt entuzjastycznie.

- Autor?

- Van Gogh.

Uśmiech gospodarza był nieprzenikniony. Nie sposób było się domyślić, czy oferta go zainteresowała.

- Tytuł?

- „Autoportret z zabandażowanym uchem”.

- I ze słynną japońską grafiką na ścianie za artystą, o ile pamięć mnie nie myli - oświadczył

Nakamura.

- „Pejzaż z gejszami” - uściśliła Anna - wyrażający fascynację van Gogha kulturą japońską.

- Powinna pani mieć na imię Ewa - oświadczył Nakamura. - A teraz moja kolej. - Anna przybrała zaskoczoną minę, lecz milczała. - Zakładam, że chodzi o „Autoportret” z kolekcji Wentworthów, zakupiony przez piątego markiza?

- Earla.

- Baria. Hm, ciekawe, czy kiedykolwiek nauczę się tych angielskich tytułów. Earl brzmi w moich uszach jak amerykańskie imię.

- Pierwotny właściciel? - zapytała Anna.

- Doktor Gachet, przyjaciel i wielbiciel van Gogha.

- A rok?

- 1889 - odparł - kiedy to van Gogh mieszkał w Arles, razem z Paulem Gauguinem.

- A ile doktor Gachet zapłacił za ten obraz? - zapytała Anna, zdając sobie sprawę, że niewiele osób odważyłoby się narazić siedzącemu naprzeciwko niej Japończykowi.

- Uważa się, że van Gogh sprzedał tylko jeden obraz w całym swoim życiu: „Czerwoną winnicę”. Niemniej doktor Gachet był nie tylko jego bliskim przyjacielem, lecz także dobroczyńcą i mecenasem. Po otrzymaniu tego płótna napisał do van Gogha list, do którego dołączył czek na sześćset franków.

- Osiemset - rzekła Anna, po czym otworzyła teczkę i wręczyła panu Nakamura kopię listu. - Mój klient jest w posiadaniu oryginału - zapewniła.

Japończyk przeczytał napisany po francusku list, nie prosząc o pomoc w tłumaczeniu. Potem podniósł głowę i z uśmiechem spytał:

- Jaką kwotę ma pani na myśli?

- Sześćdziesiąt milionów dolarów - odparła bez zająknięcia.

Po nieprzeniknionej twarzy Nakamury przemknął jakby cień zdumienia.

- Dlaczego tak uznane arcydzieło ma tak zaniżoną cenę? - zapytał po namyśle. - Sprzedaż jest na pewno obwarowana jakimiś warunkami.

- Nie może być ujawniona - wyjaśniła Anna.

- Taki mam obyczaj, o czym pani dobrze wie.

- Nie odsprzeda pan obrazu przez co najmniej dziesięć lat.

- Ja obrazy kupuję. Sprzedaję stal.

- W tym samym okresie płótno nie może być eksponowane w żadnej publicznej galerii.

- Kogo pani chroni, młoda damo? - zapytał niespodziewanie Nakamura. - Bryce’a Fenstona czy Victorię Wentworth?

Anna zamilkła. Wreszcie zrozumiała, co miał kiedyś na myśli prezes Sotheby ego, mówiąc, że niedocenywanie tego człowieka może okazać się bardzo groźne.

- To impertynencja z mojej strony, to pytanie - odezwał się Nakamura. - Przepraszam - dodał, wstając z miejsca. - Jeśli pani pozwoli, chciałbym się do rana zastanowić nad tą propozycją. - Skłonił się nisko, dając jej tym samym do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

- Oczywiście, Nakamura San - odrzekła Anna, oddając ukłon.

- Proszę darować sobie to „San”, doktor Petrescu. Jeśli chodzi o pani dziedzinę, to ja pani nie dorównam.

Chciała go poprosić, by zwracał się do niej per „Anno”, powiedzieć, że na jego dziedzinie ona w

ogóle się nie zna, ale zabrakło jej odwagi. Nakamura zbliżył się do niej i popatrzył na drewnianą skrzynkę.

- Bardzo mnie ciekawi, co tam znajdę. Może umówilibyśmy się na jutro, doktor Petrescu, kiedy już przemyślę pani propozycję.

- Dziękuję panu.

- Czy odpowiada pani dziesiąta? O dziewiątej czterdzieści wyślę po panią kierowcę.

Anna skłoniła się na pożegnanie, a gospodarz zrewanżował jej się tym samym. Potem odprowadził ją do drzwi, a gdy je otwierał, dodał:

- Wielka szkoda, że nie ubiega się pani o to stanowisko.

Krantz nadal stała w cieniu domu towarowego, gdy Petrescu opuściła gmach koncernu. Spotkanie na pewno przebiegło pomyślnie, ponieważ na Petrescu czekała limuzyna z szoferem, który otworzył przed nią tylne drzwi, a co ważniejsze, nie miała ze sobą drewnianej skrzynki. Krantz musiała teraz wybrać. Była pewna, że Petrescu spędzi noc w hotelu, obraz natomiast nadal znajduje się w tym budynku. Decyzja była prosta.

Anna usiadła wygodnie w samochodzie prezesa i po raz pierwszy od wielu dni odetchnęła, przekonana, że jeśli nawet Nakamura nie zgodzi się na sześćdziesiąt milionów, to i tak zaproponuje jej dobrą cenę. Bo czy w innym razie dawałby do jej dyspozycji swoją limuzynę i zapraszał na spotkanie następnego dnia?

Po kilkunastu minutach wysiadła pod hotelem Seiyo, gdzie udała się prosto do recepcji po klucz, a potem ruszyła w stronę windy. Gdyby skręciła w prawo, a nie w lewo, minęłaby po drodze sfrustrowanego Amerykanina.

Jack zawiesił na niej wzrok, gdy wsiadała do pustej windy. Była sama. Ani śladu skrzynki, ani śladu Strzygi, co chyba było jeszcze bardziej wymowne. Strzyga zapewne postanowiła pilnować obrazu, a nie kurierki. Jack musiał szybko się zdecydować, co począć, jeśli za chwilę Petrescu pojawi się na dole z bagażami i wyruszy na lotnisko. On sam tym razem się nie rozpakował.

Krantz niemal przez godzinę stała na ulicy, przesuając się w cieniu wraz ze słońcem, aż wreszcie zauważyła, że limuzyna z powrotem parkuje przed koncernem. Parę minut później na szczycie schodów ukazała się sekretarka w towarzystwie mężczyzny w czerwonym uniformie, który niósł drewnianą skrzynkę. Kierowca otworzył klapę bagażnika, a portier umieścił w nim przywieziony przez Petrescu obraz. Potem kierowca wysłuchał sekretarki, która przekazała mu instrukcje od szefa. Oznajmiła, że prezes musi wieczorem zadzwonić do kilku osób w Ameryce i Wielkiej Brytanii, toteż zanocuje w mieszkaniu służbowym na terenie firmy. Obejrzał już obraz i polecił, by zawieziono go do jego domu na wsi.

Krantz zlustrowała wzrokiem ulicę. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę, i to jedynie wtedy, gdy na skrzyżowaniu zapalą się czerwone światła. Dzięki Bogu, pomyślała, że jezdnia jest jednokierunkowa. Do tej pory ustaliła, że zielone światło na końcu ulicy utrzymuje się przez czterdzieści pięć sekund. W tym czasie, jak wyliczyła, skrzyżowanie przejeżdża około trzynastu samochodów. Wynurzyła się z cienia i ukradkiem ruszyła chodnikiem, świadoma, że niczym kot zaryzykuje zaraz jednym ze swych dziewięciu istnień.

Czarna limuzyna prezesa ruszyła spod budynku i włączyła się w ruch uliczny. Na skrzyżowaniu

palilo się zielone światło, lecz przed limuzyną jechało piętnaście samochodów. Krantz stanęła dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie, jej zdaniem, limuzyna powinna się zatrzymać. Gdy światło zmieniło się na czerwone, wolnym krokiem ruszyła w stronę czarnego samochodu - w końcu miała do dyspozycji aż czterdzieści pięć sekund. Kiedy od celu dzielił ją tylko jeden krok, opadła na prawe ramię i wtoczyła się pod pojazd. Tam obiema rękami chwyciła się mocno ramy i rozciągnięta niczym orzeł, podźwignęła się do góry. Czasami opłaca się mieć metr pięćdziesiąt wzrostu i ważyć niecałe pięćdziesiąt kilogramów. Gdy na skrzyżowaniu zapaliło się zielone światło i kierowca ruszył, Krantz jakby zapadła się pod ziemię.

Pewnego razu, kiedy trzeba było przez rumuńskie wzgórza uciekać przed rebeliantami, przysłała się niczym rzep od spodu do ramy dwutonowej ciężarówki i w ten sposób pokonała kawał wyboistej drogi. Wytrzymała w tej pozycji pięćdziesiąt jeden minut, a gdy słońce wreszcie zaszło, wyczerpana opadła na ziemię. Pozostałe dwadzieścia kilometrów, dzielące ją od bezpiecznego miejsca, przebyła pieszo.

Limuzyna Nakamury jechała przez miasto w nierównym tempie. Dopiero po dwudziestu minutach kierowca zjechał z szosy i ruszył w stronę wzgórz. Kilka minut później znowu skręcił, tym razem w znacznie mniej uczęszczaną oraz węższą drogę. Krantz trzymała się podwozia ostatkiem sił, wiedziała jednak, że każda minuta w tej kryjówce to jej zysk. Limuzyna zatrzymała się na skrzyżowaniu, potem skręciła ostro w lewo i podążała dalej szeroką, nierówną drogą gruntową. Gdy przystanęli na następnym skrzyżowaniu, Krantz uważnie nasłuchiwała. Kierowca limuzyny przepuszczał właśnie ciężarówkę.

Krantz ostrożnie uwolniła prawą rękę, niemal zupełnie pozbawioną czucia, wyciągnęła ukryty pod dzinsami nóż, obróciła się na bok i wbiła ostrze w prawą tylną oponę. Powtórzyła tę czynność kilkakrotnie aż usłyszała głośny syk uchodzącego powietrza. Gdy samochód ruszył, opuściła się na ziemię i leżała nieruchomo, nasłuchując cichnącego warkotu silnika. Kiedy ten wreszcie zamarł, przetoczyła się na pobocze drogi i patrzyła na pnącą się pod górę limuzynę. Podniosła się dopiero wtedy, gdy samochód zniknął jej kompletnie z oczu.

Najpierw wykonała serię ćwiczeń rozciągających. Nie śpieszyła się. Wiedziała, że po drugiej stronie wzniesienia limuzyna będzie na nią czekać. Kiedy już odzyskała jako tako formę, ruszyła powolnym truchtem w kierunku grzbietu wzgórz. Po chwili dostrzegła w oddali wspaniałą, dominującą wśród górzystego krajobrazu rezydencję.

Ze szczytu wzniesienia dostrzegła stojący kawałek dalej samochód, którego kierowca, przyklękawszy na jedno kolano, przyglądał się uszkodzonej oponie. Krantz zlustrowała uważnie drogę, która najwyraźniej stanowiła własność prywatną i wiodła wyłącznie do posiadłości Nakamury. Kiedy zbliżała się do samochodu, kierowca podniósł głowę i uśmiechnął się. Odwzajemniła mu się tym samym i przystanęła u jego boku. Gdy kierowca otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, błyskawicznym ruchem uniosła lewą nogę i zadała mu cios w szyję, a potem w krocze. Patrzyła, jak mężczyzna osuwa się na ziemię - niczym kukielka, którą pozbawiono sznurków.

Przez moment zastanawiała się, czyby mu nie poderżnąć gardła, ale skoro udało jej się zdobyć obraz, to po co zawracać sobie głowę? I tak dziś wieczorem będzie miała przyjemność odebrania komuś życia. A poza tym za tego tutaj jej nie płacą.

Znów spojrzała przed siebie, po czym obejrzała się przez ramię - droga nadal była pusta. Podbiegła do kierownicy i wyjęła ze stacyjki kluczyk, a potem wróciła do bagażnika. Gdy klapa uniosła się do góry, oczy Krantz zatrzymały się na drewnianej skrzynce. Powstrzymała uśmiech;

najpierw należy się upewnić, czy istotnie zarobiła pierwszy milion.

Z samochodowego zestawu narzędzi wyjęła duży śrubokręt i wsunęła go w szczelinę widoczną w prawym górnym rogu skrzynki. Jednym gwałtownym ruchem zerwała pokrywę, pod którą dostrzegła swe trofeum owinięte w folię bąbelkową. Rozdzierała ją gołymi rękami. Gdy folia została usunięta, jej oczom ukazał się nagrodzony obraz Danuty Sekalskiej zatytułowany „Wolność”.

Jack spędził następną godzinę, przenosząc wzrok z drzwi wejściowych, w których mogła stać Strzyga, na windę, z której mogła wysiąść Petrescu. Żadna z kobiet się nie pojawiła. Dopiero gdy minęła następna godzina, Jack nabrał przekonania, że Anna spędzi w tym hotelu noc. Znużonym krokiem zbliżył się do recepcji i zapytał, czy może dostać pokój.

- Pana nazwisko, sir? - odezwał się recepcjonista.

- Fitzgerald - odparł Jack.

- Czy mogę prosić o paszport?

- Oczywiście. - Jack sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał recepcjoniście paszport.

- Ile dni chce pan u nas zostać, panie Fitzgerald?

Jack bardzo chciał odpowiedzieć na to pytanie, ale nie potrafił.

19 września

35

Następnego dnia Anna z samego rana zadzwoniła do Wentworth Hall.

- To będzie bardzo zacięta walka - ostrzegła Arabella, gdy usłyszała najnowsze wiadomości.

- Co to znaczy? - zapytała Anna.

- Fenston złożył wniosek o ogłoszenie upadłości Wentworth Hall, dając mi czternaście dni na spłatę zadłużenia. W przeciwnym razie wystawi posiadłość na licytację. Miejmy więc nadzieję, że Nakamura o niczym się nie dowie, bo jeśli tak się stanie, bardzo to osłabi twoją pozycję przetargową. On może nawet się rozmyślić.

- Umówiłam się z nim na dziesiątą rano - rzekła Anna. - Zadzwonię do pani, kiedy tylko będę coś wiedziała, ale proszę się liczyć z tym, że może to być środek nocy.

- Pora jest nieważna - odparła Arabella. - I tak nie zasnę.

Anna odłożyła słuchawkę i zaczęła przypominać sobie strategię przygotowaną na spotkanie z Nakamura. W gruncie rzeczy od dwunastu godzin o niczym innym nie myślała.

Arabellę na pewno zadowoli kwota umożliwiająca jej spłatę kredytu w Fenston Finance i tym samym gwarantująca zabezpieczenie posiadłości przed przejęciem przez innych wierzycieli, umożliwiająca poza tym uregulowanie wszelkich podatków. Anna oszacowała, że na ten cel wystarczy około pięćdziesięciu milionów. Postanowiła, że przystanie na tę kwotę, bo to da jej szansę powrotu do Nowego Jorku, pozbycia się określenia „zaginiona” i odnowienia znajomości z obiema pętlami w Central Parku. Kto wie, czy nawet nie poprosi Nakamury o podanie szczegółów dotyczących owego stanowiska, o które się nie ubiegała.

Tak długo leżała w wannie, analizując swe podejście do spotkania z Nakamura, aż woda jej ostygła - na taki luksus pozwalała sobie jedynie w weekendy. Z uśmiechem wyobraziła sobie, jak Japończyk otwiera prezent. Każdy prawdziwy kolekcjoner odkrywa nowego mistrza z takim samym dreszczem rozkoszy, z jakim płaci krocie za dzieło mistrza już uznanego. Nakamura na pewno doceni



odważną fakturę oraz wielki talent drzemiący w „Wolności”, i włączy to płótno do swej prywatnej kolekcji. Trudno o lepszy wyraz najwyższej aprobaty.

Długo zastanawiała się, w co się ubrać na drugie spotkanie z Japończykiem. Zdecydowała się w końcu na beżową lnianą sukienkę za kolana, dodała do tego szeroki pasek z brązowej skóry i zwyczajny złoty łańcuszek. W Nowym Jorku taki strój uznano by za skromny, w Tokio zaś mógł uchodzić za niemal wyzywający. Wczoraj Anna ubrała się na premierę, dziś na ostatni występ.

Po raz trzeci tego ranka otworzyła torebkę, by sprawdzić, czy znajduje się tam kopia listu doktora Gacheta do van Gogha, a także zwykła jednostronicowa umowa, stosowana przez uznanych marszandów. Po uzgodnieniu ceny Anna miała zamiar poprosić Nakamurę o zadatek w wysokości dziesięciu procent - jako potwierdzenie działania w dobrej wierze. Zadatek ten w całości podlegałby zwrotowi, gdyby Nakamura po obejrzeniu arcydzieła uznał, że go nie satysfakcjonuje. Anna jednak czuła, że gdy tylko ujrzy oryginał...

Spojrzała na zegarek. Spotkanie ma się odbyć o dziesiątej, a dwadzieścia minut wcześniej ma przyjechać limuzyna. Ona powinna czekać na kierowcę w foyer. Japończycy szybko tracą zaufanie do ludzi, którzy nie są słowni.

Zjechała windą na dół i podeszła do recepcji.

- Niedługo mam zamiar opuścić hotel - oznajmiła - więc proszę o przygotowanie rachunku.

- Oczywiście, doktor Petrescu - odparł recepcjonista. - Czy korzystała pani z barku?

Anna namyślała się przez chwilę. ~ Tak, wypiałam dwie wody Evian.

- Dziękuję pani - rzekł recepcjonista, wklepując informację do komputera, podczas gdy do Anny podbiegł chłopiec hotelowy.

- Kierowca na panią czeka - oświadczył, po czym zaprowadził ją do samochodu.

Gdy Anna ukazała się w drzwiach, Jack siedział już w taksówce. Obiecał sobie, że po raz drugi jej nie zgubi. W końcu czeka na nią także Strzyga, która poza tym doskonale wie, dokąd Anna się udaje.

Krantz również spędziła noc w centrum Tokio, lecz w przeciwieństwie do Anny, nie w łóżku hotelowym. Przespała się w kabinie dźwigu zawieszanej kilkadziesiąt metrów ponad miastem. Była pewna, że w takim miejscu nikt jej nie będzie szukał. Gdy nad Pałacem Cesarskim wzeszło słońce, ogarnęła wzrokiem Tokio, a potem zerknęła na zegarek. 5:56. Pora się ewakuować, jeśli chce stąd zniknąć niezauważona.

Kiedy już znalazła się na dole, wmieszała się w zmierzający do metra tłum urzędników oraz innych ludzi udających się do pracy

Wysiadła siedem przystanków dalej, na stacji Ginza, i szybko ruszyła w stronę hotelu Seiyo. Tam ukradkiem wśliznęła się do foyer. Była tu już stałym gościem, który jednak nigdy ani się nie zameldował, ani nie zanocował.

Zaszyła się w kącie holu, skąd znakomicie mogła obserwować obie windy, ją zaś mógł zauważyć jedynie wyjątkowo spostrzegawczy kelner. Wiedziała, że poczeka długo, ale w końcu cierpliwości można się nauczyć tylko podczas praktyki - podobnie jak każdej innej umiejętności.

Szofer zamknął za nią drzwi. Anna nigdy nie zapominała twarzy, toteż nie umknęło jej uwagi, że przyjechał po nią inny kierowca. Ruszył, nie mówiąc do niej ani słowa. W drodze Anna odzyskiwała stopniowo pewność siebie i pod gmach koncernu zajechała już opanowana.

Gdy szofer po raz drugi otworzył tylne drzwi, Anna zauważyła czekającą w holu sekretarkę Nakamury. Sześćdziesiąt milionów dolarów i ani centa mniej, wyszeptala do siebie, pokonując schody. Szklane drzwi otworzyły się, a sekretarka nisko się skłoniła.

- Dzień dobry, pani doktor. Nakamura San już czeka.

Anna odpowiedziała sekretarce uśmiechem i ruszyła za nią długim korytarzem pełnym anonimowych pokoi. Sekretarka delikatnie zapukała w drzwi gabinetu prezesa, po czym je otworzyła i zapowiedziała gościa.

Gabinet po raz drugi wywarł na niej niesamowite wrażenie, lecz tym razem Anna pamiętała o tym, by nie otwierać ust. Nakamura wstał z fotela i skłonił się przed nią. Odwzajemniła jego ukłon, po czym zajęła wskazane przez gospodarza miejsce naprzeciwko biurka. Usiadł, a Anna spostrzegła, że wczorajszy uśmiech na twarzy gospodarza zastąpiła posępna mina. A może to tylko taki dyplomatyczny wybieg?

- Doktor Petrescu - zaczął Nakamura, otwierając leżącą przed nim teczkę - wydaje mi się, że wczoraj była pani ze mną nie do końca szczerą.

Anna poczuła, że wysycha jej w ustach. Nakamura przeglądał jakieś papiery, po czym zdjął okulary i spojrzał jej prosto w oczy. Usiłowała zachować kamienną twarz.

- Nie powiedziała mi pani, na przykład, że nie pracuje już dla Fenston Finance, ani też nie raczyła napomknąć, że została pani niedawno usunięta z zarządu za postępowanie nielicujące z godnością urzędnika bankowego.

Anna starała się oddychać równo.

- Ukryła pani też przede mną smutną nowinę, że lady Victoria została zamordowana, i to w momencie, gdy wysokość jej zadłużenia w pani banku - włożył na nos okulary - przekroczyła trzydzieści milionów dolarów. Zapomniała pani również wspomnieć o takim drobnym fakcie, że nowojorska policja mylnie uważa panią za zaginioną albo nawet martwą. Jednak chyba najbardziej obciążającym panią oskarżeniem jest ukrycie przede mną faktu, że obraz, który próbuje mi pani sprzedać, jest, jak to mówią policjanci, towarem trefnym. - Nakamura zamknął teczkę, zdjął okulary i ponownie spojrzał Annie w oczy. - Ale być może istnieje jakieś proste wytłumaczenie owego nagiego ataku amnezji?

Anna miała ochotę zerwać się na równe nogi i uciec, gdzie pieprz rośnie, nie mogła się jednak ruszyć. Ojciec zawsze mówił jej, że jeśli wpadniesz, to się do wszystkiego przyznaj. Toteż niczego już nie ukrywała. Wyjawiała nawet Nakamurze, gdzie obraz został ukryty.

Gdy skończyła, Japończyk dobrą chwilę milczał. Ona zaś siedziała i czekała, aż po raz drugi w odstępie ponad zaledwie tygodnia zostanie bezceremonialnie wyprowadzona z firmy.

- Teraz już rozumiem, dlaczego nie chce pani, żeby w ciągu co najmniej dziesięciu lat obraz nie był sprzedany ani pokazany na wystawie. Muszę jednak spytać, w jaki sposób zamierza pani rozwiązać tę nierozwiązywalną sprawę z dawnym szefem. Dla mnie jest rzeczą oczywistą, że pan Fenston byłby bardziej zainteresowany zatrzymaniem takiej cennej rzeczy niż spłatą długu.

- Ależ o to właśnie chodzi - odparła Anna. - Kiedy tylko dług zostanie spłacony, Wentworth Estate może sprzedać obraz, komu zechce.

Gospodarz pokiwał głową.

- Załóżmy, że przyjmuję pani wersję wydarzeń i że nadal jestem zainteresowany kupnem „Autoportretu”. W tej sytuacji jednak muszę postawić swoje warunki.

Teraz z kolei Anna potaknęła.

- Po pierwsze, obraz musi zostać zakupiony bezpośrednio od lady Arabelli, i to dopiero po upewnieniu się, że jest on jej własnością.

- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekła Anna.

- Po drugie, oczekiwałem, że autentyczność obrazu zostanie poświadczona przez Muzeum van Gogha w Amsterdamie.

- Z tym nie powinnam mieć problemu.

- Wobec tego mój trzeci warunek może stanowić dla pani problem - oznajmił Nakamura. - Chodzi tu o cenę, jaką jestem skłonny zapłacić za to płótno, skoro teraz to ja, by użyć tego prostackiego, choć stosownego amerykańskiego określenia, trzymam ster.

Anna z rezerwą pokiwała głową.

- Jeśli, powtarzam, jeśli jest pani w stanie spełnić dwa pierwsze warunki, z przyjemnością zaproponuję za należący do kolekcji Wentworthów „Autoportret z zabandażowanym uchem” van Gogha pięćdziesiąt milionów dolarów, które według moich obliczeń nie tylko umożliwią lady Arabelli uregulowanie zadłużenia, lecz także opłacenie wszelkich podatków.

- Ale na rynku ten obraz jest wart siedemdziesiąt, a może nawet osiemdziesiąt milionów - zaprotestowała Anna.

- Ten rynek wydaje się jednak bardzo zawężony, skoro do licytacji stają tylko ja i Bryce Fenston - odparł Nakamura. - Przepraszam - dodał natychmiast. - Ale też poinformowano mnie, że pan Fenston niedawno złożył wniosek o ogłoszenie upadłości pani klientki. O ile znam Amerykanów, procedura ta może ciągnąć się latami, a moi londyńscy prawnicy potwierdzają, że lady Arabelli kompletnie nie stać na ponoszenie niebotycznych kosztów, które przy tak długim procesie są nie do uniknięcia.

Anna wciągnęła powietrze w płuca.

- Jeśli, powtarzam, jeśli - gdy to powiedziała, Nakamura łaskawie się uśmiechnął - zaakceptuję pańskie warunki, w zamian chciałabym pana prosić o gest dobrej woli.

- Co pani ma na myśli?

- U adwokata lady Arabelli w Londynie złożę pan w depozycie dziesięć procent, to jest pięć milionów dolarów, które zostaną panu zwrócone, jeśli zrezygnuje pan z zakupu oryginału.

Nakamura pokręcił głową.

- Nie, doktor Petrescu. Nie jestem w stanie zaakceptować pani propozycji odnośnie gestu dobrej woli.

Anna poczuła się przybita.

- Niemniej jestem skłonny zdeponować pięć milionów u mojego londyńskiego adwokata, a pozostałą część przelać w momencie zawarcia ostatecznej umowy.

- Dziękuję - odrzekła Anna, nie mogąc powstrzymać westchnienia ulgi.

- Skoro już przyjąłem pani warunki - ciągnął Nakamura - oczekiwałem jakiegoś gestu dobrej woli z pani strony. - Podniósł się, zdenerwowana Anna również wstała. - Jeśli ubijemy ten interes, poważnie się pani zastanowi nad przyjęciem stanowiska dyrektora mojej fundacji.

Anna uśmiechnęła się, lecz nie ukloniła. Wyciągnęła tylko rękę.

- Używając innego prostackiego, lecz stosownego amerykańskiego wyrażenia, umowa stoi.

Odwróciła się w stronę drzwi.

- I jeszcze jedno, zanim pani wyjdzie - wtrącił Nakamura, podnosząc ze stołu kopertę. Anna popatrzyła na niego, usiłując ukryć lęk. -

Czy byłaby pani tak uprzejma i przekazała ten list pani Danucie Sekalskiej? To wielki talent. Miejmy nadzieję, że będzie miał warunki się rozwinąć.

Anna uśmiechała się, a prezes towarzyszył jej aż do limuzyny. W drodze rozmawiali o tragicznych wydarzeniach w Nowym Jorku, o dalekosiężnych konsekwencjach, jakie ten atak może mieć dla Ameryki. Nakamura jednak ani słowem nie napomknął, dlaczego jego kierowca leży w szpitalu, lecząc poważne obrażenia ciała, a także swą zranioną dumę.

Ale przecież Japończycy nadal uważają, że niektóre tajemnice są bezpieczne tylko we własnym domu.

W obcych miastach Jack rzadko kontaktował się z ambasadą. Urzędnicy zawsze zadawali mu zbyt wiele pytań, a on nie miał ochoty na nie odpowiadać. Tokio nie stanowiło pod tym względem wyjątku, niemniej Jack tym razem sam pragnął uzyskać parę informacji i nawet wiedział, do kogo ma się w tej sprawie zwrócić.

Pewien oszust, którego wsadził za kratki na wiele lat, udzielił mu kiedyś dobrej rady: ilekroć będziesz za granicą potrzebował informacji, wynajmij pokój w dobrym hotelu. Nie zasięgaj jednak języka u menedżera, nie zwracaj sobie także głowy recepcjonistą, zwróć się natomiast do głównego portiera. On w ten właśnie sposób zarabia na życie; jego pensja ma znaczenie drugorzędne.

Za pięćdziesiąt dolarów Jack dowiedział się o Takashim Nakamuraze wszystkiego, czego chciał, nawet tego, że jako golfista miał handicap czternaście.

Krantz widziała, jak Petrescu opuszcza budynek koncernu i zajmuje miejsce w limuzynie. Szybko zatrzymała taksówkę i kazała się zawieźć w okolice hotelu Seiyo. Jeśli Petrescu ma zamiar opuścić Tokio, i tak będzie potrzebowała chwili na zabranie bagażu i uregulowanie rachunku.

Gdy kierowca wysadził Annę przed hotelem, myślała już tylko o wyjeździe. Wzięła klucz z recepcji i schodami pobiegła do swego pokoju na pierwszym piętrze. Tam usiadła na brzegu łóżka i najpierw zadzwoniła do Arabelli.

Głos tej ostatniej zdradzał, że nie spała.

- Istna Porcja! - Tymi słowami Arabella skomentowała usłyszane wiadomości.

Ciekawe, która Porcja, pomyślała Anna. Nemezis Szajloka, czy żona Brutusa?

Rozpięła złoty łańcuszek, zrzuciła buty i szybko pozbyła się sukienki, po czym ubrała się w mniej wytworny komplet: T-shirt, dżinsy i tenisówki. Pokój musiała opuścić w południe, toteż miała czas, by zadzwonić w jeszcze jedno miejsce.

Musi podrzucić trop.

W słuchawce rozległ się kilkakrotny sygnał, zanim wreszcie zaspany głos zapytał:

- Kto mówi?

- Vincent.

- Boże, która to godzina? Chyba zasnęłam.

- Możesz dalej spać, tylko mnie posłuchaj.

- Sprzedałaś obraz.

- Skąd wiesz?

- Za ile?

- Wystarczy.

- Gratulacje. Co zamierzasz?
  - Jadę po niego.
  - A gdzie on jest?
  - Tam gdzie zawsze. Śpij spokojnie.
- Połączenie zostało przerwane.

Tina z uśmiechem zapadała w sen. Tym razem Fenston zostanie pobity swoją własną bronią.

- O mój Boże! - powiedziała nagle, otwierając oczy. - Nie ostrzegłam jej, że prześladowca jest kobietą i że wie o jej pobycie w Tokio.

36

Fenston wyciągnął rękę, po omacku szukając w pościeli telefonu.

- Kto, do cholery, wydzwania o tej porze?
- Vincent właśnie się odezwała.
- Skąd tym razem? - zapytał Fenston, szeroko otwierając oczy.
- Z Tokio.
- A więc spotkała się z Nakamurą.
- Na pewno - odparł Leapman. - I twierdzi, że sprzedała obraz.
- Nie można sprzedać czegoś, czego się nie jest właścicielem - oświadczył Fenston, zapalając lampkę przy łóżku. - Mówiła, dokąd jedzie?
- Po obraz.
- Jakież wskazówki, gdzie on może być?
- „Tam gdzie zawsze” - zacytował Leapman.
- A więc w Londynie - uznał Fenston.
- Skąd ta pewność? - zapytał Leapman.
- Bo gdyby zabrała obraz do Bukaresztu, to dlaczego nie przewiozłaby go też do Tokio? Nie, zostawiła obraz w Londynie - oznajmił Fenston twardo. - „Tam gdzie zawsze”.
- Nie byłbym tego taki pewien - zauważył Leapman.
- Więc, twoim zdaniem, gdzie on jest?
- W Bukareszcie, tam gdzie zawsze był, w czerwonej skrzynce.
- Nie, skrzynka była tylko przynętą.
- To czy wobec tego możemy mieć nadzieję, że kiedykolwiek go znajdziemy? - zapytał Leapman.
- Teraz to już proste - odparł Fenston. - Skoro Petrescu uważa, że sprzedała obraz Nakamurze, musi go najpierw dostać w swoje ręce. Tym razem jednak skończy trochę jak van Gogh, bo będzie czekała na nią Krantz. Ale przedtem muszę gdzieś zadzwonić. - Odłożył z trzaskiem słuchawkę, zanim Leapman zdążył się odezwać.

Anna opuściła hotel tuż po dwunastej. Na lotnisko udała się pociągiem, bo nie mogła sobie pozwolić na luksus wzięcia taksówki. Założyła, że gdy wsiądzie do pociągu, będzie ją śledził ten sam człowiek co dotychczas, a chciała maksymalnie ułatwić mu zadanie. Na dodatek ten ktoś już wie, jaki będzie jej następny krok.

Nie miała pojęcia jedynie o tym, że jej prześladowca siedzi osiem rzędów za nią.

Krantz otworzyła gazetę „Shinbui Times”, gotowa w każdej chwili podnieść ją wyżej, gdyby Petrescu zaczęła się rozglądać. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Najwyższy czas zadzwonić. Krantz wystukała numer i odczekała dziesięć sygnałów. Po dziesiątym sygnale telefon został odebrany, Krantz jednak się nie odezwała.

- Londyn - rzucił Fenston, po czym na linii zapadła głucha cisza.

Krantz wyrzuciła telefon za okno i patrzyła, jak ląduje on na szynach przed zbliżającym się pociągiem.

Gdy pociąg dotarł do lotniska, Anna wyskoczyła na peron i udała się do stanowiska British Airways. Zapytała, ile kosztuje bilet w klasie turystycznej do Londynu, choć wcale nie miała zamiaru go kupować. Przy sobie miała tylko trzydzieści pięć dolarów, ale o tym Fenston akurat nie mógł wiedzieć.

Spojrzała na tablicę odlotów - te dwa samoloty, które ją interesowały, odlatywały w odstępie półtorej godziny. Ruszyła powoli w kierunku wyjścia 9IB, robiąc, co w jej mocy, by tropiciel jej nie zgubił. W drodze do celu zatrzymywała się przed wystawami, toteż dotarła do wyjścia tuż przed rozpoczęciem wpuszczania pasażerów na pokład. W poczekalni bardzo starannie wybrała miejsce - usiadła tuż obok małego dziecka. „Pasażerowie mający miejsca w rzędach...”. Dziecko nagle krzyknęło i zerwało się z miejsca, a udręczona matka pobięła za nim.

Tylko chwila nieuwagi, a już ją stracił z oczu. Wsiadła do samolotu, czy opuściła poczekalnię? Być może domyśliła się, że ciągną się za nią dwa ogony. Jack z góry lustrował wzrokiem poczekalnię. Na pokład samolotu wpuszczano teraz pasażerów klasy biznes, po Annie zaś nie było śladu.

Przyjrzał się uważnie wszystkim pozostałym osobom w poczekalni. Za nic w świecie nie zwróciłby uwagi na tę drugą kobietę, gdyby nie dotknęła włosów - na jej głowie zamiast blond języka widniała czarna peruka. Ona także miała zaskoczoną minę.

Krantz zawahała się, gdy na pokład samolotu zaproszono pasażerów pierwszej klasy. Przeszła przez poczekalnię do damskiej toalety znajdującej się tuż za krzeselkiem, na którym wcześniej siedziała Petrescu. Po kilkunastu sekundach wróciła na swoje miejsce. Kiedy wezwano pozostałych pasażerów, wstała i jako jedna z ostatnich weszła do rękawa.

Jack patrzył na nią, jak znika w korytarzu wiodącym na pokład samolotu. Skąd ta kobieta ma pewność, że Anna leci do Londynu? Czyżby znowu coś przeoczył?

Począł na zamknięcie bramki, z bólem serca myśląc o tym, że obie kobiety najwyraźniej lecą do Londynu. Nie przestawał go jednak niepokoić fakt, że w zachowaniu Anny od chwili opuszczenia hotelu zauważył coś dziwnego - poruszała się tak, jak gdyby tym razem chciała, aby ktoś ją śledził.

Jack odczekał jeszcze chwilę, aż ostatni z pracowników British Airways spakował swój dobytek i opuścił stanowisko. Miał właśnie zejść na dół i kupić bilet na następny samolot do Londynu, gdy otworzyły się drzwi męskiej toalety.

Do poczekalni weszła Anna.

- Proszę mnie połączyć z panem Nakamurą.

- Kogo mam zaanonsować?

- Bryce Fenston, prezes Fenston Finance.

- Zaraz sprawdzę, czy pan Nakamura jest wolny, proszę pana.

- Na pewno będzie wolny - oświadczył Fenston.

Na linii zapadła cisza. Dopiero po dobrej chwili Fenston usłyszał inny głos:

- Dzień dobry. Tu Takashi Nakamura, czym mogę panu służyć?

- Dzwonię, żeby pana ostrzec...

- Ostrzec mnie? - przerwał Nakamura.

- Dowiedziałem się, że Petrescu próbowała sprzedać panu van Gogha.

- Owszem - odparł Nakamura.

- Ile zażądała? - zapytał Fenston.

- Próbowwała zedrzeć ze mnie skórę.

- I tym by się skończyło, gdyby nierozważnie zgodził się pan na jego zakup - odparł Fenston. -

Ten obraz należy do mnie.

- Nie miałem o tym pojęcia. Myślałem, że...

- To źle pan myślał. Zapewne nie wiedział pan także, że Petrescu już nie pracuje w tym banku.

~ Doktor Petrescu tego akurat nie ukrywała...

- A czy przyznała się, że została wyrzucona?

- Owszem.

- A czy wyjaśniła dlaczego?

- Ze wszystkimi szczegółami.

- I nadal miał pan ochotę ubić z nią interes?

- Tak. W gruncie rzeczy próbuję ją namówić, żeby zechciała zasiąść w zarządzie mojej firmy jako dyrektor naszej fundacji.

- Mimo faktu, że musiałem ją zwolnić za zachowanie niegodne urzędnika banku?

- Nie każdego banku, panie Fenston. Pana banku.

- Proszę nie łapać mnie za słówka.

- Jak pan chce - odparł Nakamura. - Proszę wobec tego przyjąć do wiadomości, że jeśli doktor Petrescu podejmie pracę w mojej firmie, szybko się zorientuje, że my nie aprobujemy polityki ograbiania klientów ze spadku, zwłaszcza gdy tymi klientami są starsze panie.

- W takim razie co ma pan do powiedzenia o członkach zarządu, którzy wyprowadzają z banku środki rzędu stu milionów dolarów?

- Z radością słyszę, że według pana ten obraz jest wart aż tyle, bo jego właścicielka...

- Ja jestem właścicielem! - krzyknął Fenston. - W świetle prawa stanu Nowy Jork.

- Które w Tokio jednak nie obowiązuje.

- A czy pana firma ma oddziały w Nowym Jorku?

- Wreszcie coś nas łączy - powiedział Nakamura.

- W takim razie, jeśli okaże się pan na tyle nierozsądny, żeby kupić obraz, nic mnie nie powstrzyma przed doręczeniem panu pozwu w Nowym Jorku.

- A kto w tym pozwie będzie występował jako powód? - zapytał Nakamura.

- Do czego pan zmierza? - Fenston podniósł głos.

- Tylko do tego, że moi nowojorscy prawnicy zechcą wiedzieć, przeciwko komu występują. Czy przeciwko Bryce'owi Fenstonowi, prezesowi Fenston Finance, czy Nicu Munteanu, człowiekowi, który prał pieniądze Ceausescu, nieżyjącemu już dyktatorowi rumuńskiemu?

- Nie groź mi, Nakamura, bo...
- Skręcisz kark mojemu kierowcy?
- Następnym razem to nie będzie kierowca.

Po długiej chwili ciszy Nakamura odpowiedział:

- Wobec tego może powinienem jeszcze raz zastanowić się, czy na prawdę warto płacić aż tyle za van Gogha.
- To rozsądna decyzja.
- Dziękuję, panie Fenston. Przekonał mnie pan, że to, co pierwotnie planowałem, chyba nie jest najmądrzejszym posunięciem.
- Wiedziałem, że pan się w końcu opamięta - powiedział Fenston po czym się rozłączył.

Kiedy godzinę później Anna zajmowała miejsce w samolocie do Bukaresztu, była pewna, że udało jej się zgubić wysłannika Fenstona. Telefon do Tiny miał wyrobić w jej prześladowcach przekonanie, że wraca po obraz do Londynu, „tam gdzie zawsze” był, choć Fenston i Leapman nie uważali tej wskazówki za jednoznaczną i niewątpliwie spierali się o jej znaczenie.

Może trochę przesadziła, spędzając tyle czasu przy stanowisku British Airways, a potem, mimo że nie miała biletu, w poczekalni przy wyjściu 91B. Ten mały chłopczyk okazał się zrzędzeniem losu, choć była ogromnie zaskoczona, że na zwykłe uszczyplenie w łydkę zareagował wręcz opętanym wrzaskiem.

W istocie martwiła się jedynie o Tinę. Jutro o tej porze Fenston i Leapman już będą mieli pewność, że Anna przekazała im fałszywą informację, najwyraźniej odkrywszy, że jej rozmowy z Tiną są podsłuchiwane. Obawiała się, że utrata pracy może się okazać najmniejszym z problemów przyjaciółki.

Gdy samolot oderwał się od japońskiej ziemi, myśli Anny popłynęły do Antona. Miała nadzieję, że te trzy dni mu wystarczą.

Oto posłaniec Fenstona ściga ją aleją. Na jej dalekim końcu widnieje wysoki, wyszczerbiony mur zwieńczony kolczastym drutem. Anna wie, że nie ma wyjścia. Odwraca się i patrzy w twarz swojego napastnika, który zatrzymuje się parę kroków przed nią. Niski, szpetny mężczyzna wyciąga z kabury pistolet, wyszczerza w uśmiechu zęby i celuje wprost w jej serce. Ona odskakuje, czując, że kula drasnęła ją w ramię...

- Jeśli państwo chcą przestawić zegarki, to informuję, że w Bukareszcie jest teraz trzecia dwadzieścia po południu.

Anna ocknęła się i otworzyła oczy.

- Jaki mamy dzisiaj dzień? - zapytała przechodzącego stewarda.

- Czwartek dwudziestego września, proszę pani.

-

20 września

37

Przetarta oczy i nastawiła zegarek na właściwą godzinę.

Dotrzymała danej Antonowi obietnicy, że wróci w ciągu czterech dni. Obecnie jej największym problemem jest przewiezienie tego obrazu do Londynu, ale jednocześnie...

- Proszę państwa, kapitan włączył napis „Zapiąć pasy”. Na lotnisku w Bukareszcie wylądujemy



mniej więcej za dwadzieścia minut.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, jak tropiciel Fenstona wysiada w Hongkongu i ze zdumieniem stwierdza, że tym razem nie widzi jej w sklepie wolnoctwowym. Czy polecą dalej do Londynu, czy też zaryzykuje i wybierze się do stolicy Rumunii? Być może nawet dotrze do Bukaresztu w chwili, gdy ona będzie startowała do Londynu...

Gdy wychodziła na chodnik przed terminalem, z radością zauważyła roześmianego Sergeia, stojącego przy swoim żółtym mercedesie. Otworzył przed nią tylne drzwi. Jedyńm problemem Anny było w tej chwili to, że pieniędzy ledwo starczało jej na taksówkę.

- Dokąd? - spytał.

- Najpierw muszę wpaść do akademii - wyjaśniła.

Chętnie opowiedziałaby Sergeiowi o tym, co przeżyła, ale pomyślała, że nie zna go na tyle dobrze, by aż tak ryzykować. Nie ufała ludziom, i to uczucie bardzo ją męczyło.

Sergei wysadził ją u stóp schodów w miejscu, w którym rozstała się z Antonem, jadąc na lotnisko. Już nie musiała prosić go, by na nią czekał. Student siedzący za biurkiem recepcyjnym poinformował Annę, że wykład profesora Teodorescu na temat autorstwa rozpocznie się za chwilę.

Ruszyła na piętro, i weszła do sali wykładowej za parą studentów w chwili, gdy światła zostały przyciemnione. Wsunęła się na miejsce przy końcu drugiego rzędu, ciesząc się z czekających ją kilku minut ucieczki od rzeczywistości.

- Przyjęte a rzeczywiste autorstwo dzieła sztuki - zaczął Anton, przeczesując ręką włosy w tak charakterystyczny sposób, że studenci naśladowali go za plecami - jest najczęstszą przyczyną sporów i dyskusji wśród ekspertów. Dlaczego? Bo jest to temat smakowity, otwarty i rzadko daje się rozstrzygnąć. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że niektóre z najbardziej popularnych w świecie galerii wystawiają płótna niestworzone przez malarzy, których nazwiska wypisane są na ramie. Nie można oczywiście wykluczyć, że sam mistrz namalował główną postać na przykład Matkę Boską czy Chrystusa, po czym polecił czeladnikowi wypełnienie tła. Musimy się wobec tego zastanowić, czy kilka malowideł przedstawiających ten sam temat to dzieło jednego mistrza, czy też istnieje możliwość, że jedno z nich, a może nawet więcej, to robota jego najzdolniejszych uczniów, którzy jeszcze kilkaset lat później błędnie brani są za samego mistrza.

Słyszac passus o najzdolniejszych uczniach, Anna uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie o liście, który miała przekazać Danucie Sekalskiej.

- Przyjrzyjmy się teraz paru przykładom - ciągnął Anton - i zastanówmy się, czy możemy w nich dostrzec rękę zwykłego śmiertelnika. Pierwszy z tych obrazów znajduje się obecnie w zbiorach muzeum Fricka w Nowym Jorku. - Na ekranie za katedrą rozbłysł slajd. - Słyszę, jak krzycycie:

„Rembrandt!”, a tymczasem rozpoczęty w 1974 roku program badań nad Rembrandtem wykazał zupełnie coś innego. Ustalono mianowicie, że „Jeździec polski” wyszedł spod pędzla co najmniej dwóch artystów, z których jednym mógł - powtarzam: mógł - być sam Rembrandt. Metropolitan Museum, znajdujące się kilka przecznic od Fricka, po drugiej stronie Piątej Alei, nie kryło zaniepokojenia, gdy ci sami wybitni badacze uznali, że dwa portrety „Rodziny Berestejnow”, zakupione przez muzeum w 1929 roku, nie zostały stworzone przez wielkiego mistrza.

Nie przejmujcie się jednak zbytnio problemami owych dwóch dużych instytucji, ponieważ w londyńskiej Kolekcji Wallace'a z dwunastu obrazów przypisywanych Rembrandtowi tylko jeden - „Tytus, syn artysty” - został uznany za oryginalny.

Annę wykład ten tak zaabsorbował, że zaczęła robić notatki.

- Drugim malarzem, o którym chciałbym z wami porozmawiać jest wielki mistrz hiszpański, Goya. Muzeum Prado w Madrycie znalazło się w bardzo kłopotliwej sytuacji, gdy Juan Jose Junquera, uznawany za autorytet, jeśli chodzi o spuściznę Goi, zauważył, że kompozycje zwane niekiedy czarnymi malowidłami, do których zalicza się tak koszmarnie wizje jak „Szatan pożerający swoje dzieci”, nie mogły wyjść spod pędzla Goi, ponieważ pokój, którego ściany zdobiły w formie malowideł ściennych, został ukończony dopiero po śmierci artysty. Wybitny krytyk australijski Robert Hughes w swej książce o Goi sugeruje, że są one dziełem syna mistrza.

A teraz wróć do impresjonistów. Badacze nie potwierdzili autentyczności kilku płócien Maneta, Moneta, Matisse'a i van Gogha, znajdujących się w salach wystawowych wiodących światowych galerii sztuki. Na przykład autentyczność „Słoneczników” van Gogha, które na licytacji w domu aukcyjnym Christie zostały sprzedane za niespełna czterdzieści milionów dolarów, musi jeszcze zostać potwierdzona przez Louisa van Tilborgha z Muzeum van Gogha w Amsterdamie.

Gdy Anton odwrócił się w stronę sali, by pokazać następny slajd, jego oczy spoczęły na Annie. Uśmiechnęła się, on zaś zastąpił obraz van Gogha dziełem Rafaela, co wywołało na sali wybuch śmiechu.

- Jak widzicie, ja także potrafię błędnie przypisać obraz artyście. - Śmiech przeszedł w oklaski. Potem jednak ku zdumieniu Anny Anton znowu się odwrócił i zatrzymał na niej wzrok. - To wielkie miasto - ciągnął, nie zerkając już w notatki - stworzyło swojego własnego badacza w dziedzinie autorstwa dzieł sztuki, który obecnie pracuje w Nowym Jorku. Kilka lat temu, kiedy jeszcze byliśmy studentami, odbywaliśmy długie nocne dyskusje na temat tego właśnie obrazu. - Rafael ponownie zagościł na ekranie. - Po wykładzie szliśmy do naszego ulubionego miejsca - znów zawiesił wzrok na Annie - do Koskies, gdzie podobno wielu z was, o ile mi wiadomo, nadal się umawia. Zawsze spotykaliśmy się o dziewiątej, po wieczornym wykładzie. - Ponownie skupił uwagę na widocznym na ścianie obrazie. - To jest portret znany jako „Madonna z goździkami”, nabyty niedawno przez National Gallery w Londynie. Opinie badaczy prac Rafaela są w tej materii podzielone, lecz wielu daje do myślenia fakt, że rzekomo ten sam malarz stworzył tak wiele dzieł o identycznej tematyce. Niektórzy utrzymują wręcz, że ten portret pochodzi ze „szkoły Rafaela” lub powstał „według Rafaela”.

Anton przeniósł wzrok na salę i zobaczył, że miejsce na skraju drugiego rzędu jest już puste.

Anna weszła do Koskies kilka minut przed zasugerowaną przez Antona porą. Tylko wyjątkowo uważny student byłby w stanie zauważyć, że wykładowca odszedł na chwilę od tematu, by poinformować ją, gdzie się mają spotkać. W oczach Antona Anna dostrzegła strach. Tego rodzaju spojrzenie rozumieją tylko ci, którym przyszło żyć w państwie policyjnym.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Od jej studenckich czasów prawie nic się tu nie zmieniło. Te same plastikowe stoliki, identyczne plastikowe krzesła, i zapewne to samo plastikowe wino, którego nikt nie chciał importować. Niezbyt interesujące miejsce na spotkanie profesora znawcy perspektywy i agentki sztuki z Nowego Jorku.

Anna zamówiła dwa kieliszki lokalnego czerwonego wina. Nadal pamiętała czasy, kiedy to wieczór spędzony w Koskies uważała za wspaniały. Omawiała wówczas z przyjaciółmi zalety Constantina Brancusiego i U2, Toma Cruise'a, Johna Lennona, a w drodze do domu ssała miętową gumę do żucia, by matka nie odkryła, że piła i paliła. Ojciec jednak Zawsze wszystkiego się domyśla - puszczał do niej oko i gestem wskazywał, w którym pokoju matka właśnie przebywa.

Przypomniała sobie także, jak ona i Anton po raz pierwszy się kochali. Było wtedy tak zimno, że

nie zdjęli nawet płaszczy, a kiedy było już po wszystkim, zastanawiała się, czy naprawdę miałaby ochotę to powtórzyć. Nikt chyba jeszcze nie wytłumaczył temu Antonowi, że kobieta potrzebuje trochę więcej czasu, by osiągnąć orgazm.

Podniosła głowę i stwierdziła, że w jej stronę zmierza wysoki mężczyzna. Przez parę sekund nie była pewna, czy to on. Zbliżający się do niej człowiek miał na sobie zbyt obszerny wojskowy płaszcz, szyję opatuloną wełnianym szalikiem, a na głowie futrzaną czapkę z nausznikami. Przemknęło jej przez myśl, że mógłby to być idealny strój na nowojorską zimą.

Anton zajął krzesło naprzeciwko niej i zdjął tylko czapkę. Wiedział, że jedyny działający grzejnik znajduje się po przeciwnej stronie sali.

- Masz ten obraz? - zapytała Anna, nie będąc w stanie dłużej poskromić ciekawości.

- Tak - odparł Anton. - To płótno było w mojej pracowni przez cały czas twojej nieobecności, a nawet najmniej spostrzegawczy ze studentów by zauważył, że coś takiego jest do mnie niepodobne - dodał, po czym upił łyk wina. - Przyznam jednak, że chętnie się tego cholernego faceta pozbędę. Za mniejsze rzeczy wsadzali mnie za kratki, a poza tym od czterech dni nie zmrużyłem oka. Nawet moja żona podejrzewa, że dzieje się coś niedobrego.

- Bardzo cię przepraszam - rzekła Anna, podczas gdy Anton zaczął robić skręta. - Nie powinnam cię tak narażać, a co gorsza, muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

Na twarzy Antona pojawił się niepokój, niemniej w milczeniu czekał na następne słowa Anny.

- Mówiłeś mi, że ukryłeś w domu osiem tysięcy dolarów mojej matki.

- Owszem. Większość Rumunów chowa gotówkę pod materacem na spadek, gdyby w środku nocy doszło do zmiany rządu - wyjaśnił Anton, zapalając papierosa.

- Muszę pożyczyć trochę tych pieniędzy - oznajmiła Anna. - Oddam, kiedy wrócę do Nowego Jorku.

- To twoje pieniądze, Anno. Możesz wziąć wszystko co do centa.

- Nie, to są pieniądze mojej matki, ale nic jej nie mów, bo pomyśli, że mam kłopoty finansowe i zacznę wyprzedawać meble.

Anton nie roześmiał się.

- Chyba jednak masz kłopoty finansowe, prawda? - zauważył.

- Skoro mam ten obraz, to już nie.

- Czy chcesz, żebym go potrzymał jeszcze jeden dzień? - zapytał, podnosząc do ust kieliszek.

- Nie, dziękuję. Gdybym go u ciebie zostawiła, żadne z nas tej nocy by nie spało. Myślę, że najwyższa pora uwolnić cię od tego dzieła.

Anna wstała, nie tknąwszy wina. Anton opróżnił swój kieliszek, zgasił papierosa i rzucił na stół kilka monet. Potem włożył czapkę i ruszył za Anną. Nie potrafiła zapomnieć chwili, kiedy po raz pierwszy wyszli razem z Koskies.

Zanim przyłączyła się do Antona, który szeptał coś na ucho Sergeiowi, rozejrzała się po ulicy.

- Czy masz czas odwiedzić matkę? - zapytał Anton, a Sergei otworzył tylne drzwi taksówki.

- Nie wtedy, kiedy ktoś mnie śledzi.

- Nikogo nie zauważyłem - zaproponował Anton.

- Tego kogoś nie widać, ale się go czuje. - Zastanawiała się przez chwilę. - A już miałam wrażenie, że się go pozbyłam.

- Nie udało się - mruknął Sergei, wrzucając pierwszy bieg.

Przez resztę drogi do mieszkania Antona żadne z nich się nie odezwało. Gdy Sergei dotarł na

miejsce, Anna wyskoczyła z samochodu i pośpieszyła za Antonem. Poprowadził ją szybko na strych domu. Odniosła wrażenie, że z pokoju niżej dobiegły ją dźwięki Sibeliusa, wiedziała jednak, że Anton nie chce, by spotkała się z jego żoną.

Weszli do pomieszczenia zagraconego płótnami. Jej wzrok natychmiast przykuł wizerunek van Gogha z zabandażowanym lewym uchem. Uśmiechnęła się. Obraz był oprawiony w znaną jej skądinąd ramę i leżał wewnątrz otwartej czerwonej skrzynki.

- Cudownie! - oświadczyła. - Teraz tylko muszę dopilnować, żeby dostał się we właściwe ręce.

Anton milczał, a gdy Anna odwróciła się, zauważyła, jak ukląkł w kącie pokoju, podniósł deskę podłogową, sięgnął do skrytki i wyjął z niej grubą kopertę, którą wsunął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Potem wrócił do czerwonej skrzynki, umieścił pokrywę na miejscu i przybił ją gwoździami. Anna nie miała wątpliwości, że chce jak najszybciej pozbyć się tego arcydzieła. Gdy ostatni gwóźdź znalazł się na swoim miejscu, Anton podniósł skrzynię i bez słowa sprowadził Annę na dół.

Otworzyła przed nim drzwi, by wypuścić go na ulicę. Ucieszyła się, gdy zobaczyła, że Sergei czeka na nią przy otwartym bagażniku. Anton umieścił w nim czerwoną skrzynkę i zatarł ręce gestem oznaczającym, jak bardzo jest szczęśliwy, że uwalnia się od tego dzieła. Sergei zamknął kłapę bagażnika i wrócił na swoje miejsce za kierownicą.

Anton wyjął z kieszeni grubą kopertę i wręczył ją Annie.

- Dziękuję - powiedziała, podając mu inną kopertę, jednak nie do niego zaadresowaną.

Spojrzał na nazwisko, uśmiechnął się i odezwał:

- Na pewno ją dostarczę. I mam nadzieję - dodał - że twój zamysł się powiedzie, bez względu na to, co planujesz.

Ucałował ją w oba policzki, po czym zniknął w domu.

- Gdzie dziś spędzasz noc? - zapytał Sergei, gdy Anna zajęła miejsce obok niego.

Anna udzieliła mu odpowiedzi.

21 września

38

Gdy się obudziła, Sergei siedział na masce mercedesa i palił papierosa. Anna przeciągnęła się, zamrugła powiekami i przetrzała oczy. Po raz pierwszy w życiu spała na tylnym siedzeniu samochodu. Uznała, że jest to znaczny postęp w porównaniu z komfortem skrzyni furgonetki, w której spędziła noc w drodze do granicy kanadyjskiej, gdzie na dodatek nikt jej nie pilnował.

Wysiadła i rozprostowała nogi, po czym stwierdziła, że czerwona skrzynka jest na miejscu.

- Dzień dobry - powitał ją Sergei. - Dobrze spałaś? Roześmiała się.

- Chyba lepiej niż ty.

- Po dwudziestu latach w wojsku sen staje się luksusem - odparł Sergei. - Ale zapraszam na śniadanie.

Otworzył drzwi i spod siedzenia kierowcy wyjął metalowe pudełko. Gdy je otworzył, Anna zobaczyła dwie bułki, jajko na twardo, kawałek sera, dwa pomidory, pomarańczę oraz termos z kawą.

- Skąd to wszystko masz? - zapytała, obierając pomarańczę.

- To wczorajsza kolacja - odrzekł - przygotowana przez moją drogą żonę.

- Jak wyjaśnisz, dlaczego nie wróciłeś na noc? - zapytała.

- Powiem prawdę - odparł Sergei. - Że spędziłem noc z piękną kobietą. - Anna zaczerwieniła się. - Ale chyba jestem za stary, żeby mi uwierzyła - dodał. - To co teraz robimy? Napadamy na bank?

- Tylko jeśli znasz taki, w którym mieliby pięćdziesiąt milionów dolarów w bilonie - rzekła roześmiana. - Bo jeśli nie, to muszę - wskazała głową skrzynkę - nadać to na najbliższy samolot do Londynu, a więc muszę sprawdzić, kiedy otwierają terminal towarowy.

- Wtedy kiedy pojawia się pierwszy pracownik - odparł Sergei, obierając jajko ze skorupki - czyli zazwyczaj około siódmej - dodał, po czym podał jajko Annie.

Odgryzła kawałek białka, i powiedziała:

- Wobec tego chciałabym tam być o siódmej. Muszę być pewna, że skrzynka znajdzie się w samolocie. - Zerknęła na zegarek. - Jedźmy

- Chyba jednak nie.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała niespokojnie.

- Kiedy taka kobieta jak ty spędza noc w samochodzie, a nie w hotelu, to musi być jakiś powód. Mam wrażenie, że to on. - Wskazał ręką skrzynkę. - Chyba nie byłoby rozsądne, żeby cię widziano bladym świtem, jak nadajesz to czerwone pudło.

Anna wbiła w niego wzrok, lecz milczała.

- Czy w tym pudle jest być może coś takiego, co wolałabyś ukryć przed władzami? - Urwał, lecz Anna nie odpowiadała. - Tak właśnie podejrzewałem - ciągnął. - Wiesz, kiedy byłem w wojsku pułkownikiem i chciałem zrobić coś dyskretnie, zawsze wysługiwałem się kapralem. W ten sposób nie wzbudzałem niczyjgo zainteresowania. Myślę, że dziś ja powinienem odegrać rolę takiego kaprala.

- A jeśli wpadniesz?

- To przynajmniej robiąc coś interesującego. Czy myślisz, że to taka wielka przyjemność być taksówkarzem, kiedy się dowodziło całym pułkiem? Nie martw się o mnie, piękna pani. Znam jednego czy dwóch gości z komory celnej. Dostaną w łapę odpowiednią sumkę i nie będą zadawać wielu pytań.

Anna otworzyła neseser, sięgnęła do koperty od Antona, po czym podała Sergeiowi pięć dwudziestodolarowych banknotów.

- Nie, nie, droga pani! - zawołał, wyrzucając ramiona w górę. - Nie mamy zamiaru przekupić szefa policji, tylko dwóch chłopaczków - wyjaśnił, wyjmując z jej ręki jeden banknot. - Poza tym mogę ich jeszcze kiedyś potrzebować, a więc nie chcę, żeby ich oczekiwania były nieproporcjonalne do przydatności.

Anna roześmiała się.

- Postaraj się podpisać manifest niewyraźnie, Sergei.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Rozumiem, ale też i nie rozumiem - rzekł z namysłem. - Czekał tu, nikomu się nie pokazuj. I daj mi bilet.

Anna ponownie otworzyła torbę, schowała banknoty do koperty, po czym wyjęła bilet na samolot i wręczyła go Sergeiowi.

On zaś zajął miejsce za kierownicą, zapalił silnik i pomachał jej na pożegnanie..

Patrzyła, jak samochód znika za rogiem, a wraz z nim obraz, jej bagaż, bilet do Londynu i dwadzieścia dolarów. Jej zaś jako zastaw pozostała jedynie bułka z serem i pomidorem oraz termos zimnej kawy.

Fenston odebrał telefon po dziesiątym dzwonku.

- Właśnie wylądowałam w Bukareszcie - powiedziała. - Ta czerwona skrzynka, której pan szukał, została nadana na samolot do Londynu, który wylądowuje na Heathrow około czwartej po południu.

- A dziewczyna?

- Nie wiem, jakie ma plany, ale kiedy się dowiem...

- Tylko zostaw ciało w Bukareszcie. Połączenie zostało przerwane.

Krantz opuściła budynek lotniska, umieściła niedawno nabyty telefon komórkowy pod przednim kołem ciężarówki z naczepą i poczekała, aż kierowca ruszy. Dopiero wtedy wróciła na terminal.

Zerknęła na tablicę odlotów. Tym razem nie zakładała, że Petrescu poleci do Londynu - w końcu rano odlatuje także samolot do Nowego Jorku. Jeśli Petrescu ma na niego bilet, trzeba będzie ją zabić tu, na miejscu. Na tym lotnisku nie będzie to pierwsze tego rodzaju wydarzenie.

Krantz wcisnęła się w kąt za dużym automatem z napojami i czekała. Z tego miejsca widziała wszystkie samochody wysadzające pasażerów. Interesowała ją tylko jedna taksówka, i tylko jedna pasażerka. Petrescu nie oszuka jej po raz drugi, ponieważ tym razem postanowiła się zabezpieczyć.

Po trzydziestu minutach Anna zaczęła się niepokoić, po czterdziestu - martwić, a po pięćdziesięciu - panikować. Gdy od chwili odjazdu mercedesa upłynęła godzina, zaczęła się nawet zastanawiać, czy Sergei przypadkiem nie pracuje dla Fenstona. Kilka minut później stary żółty samochód, prowadzony przez jeszcze starszego kierowcę, wytoczył się zza zakrętu.

Sergei uśmiechnął się i zahamował.

- Odetchnął z ulgą - zauważył, wysiadając, by otworzyć przed nią drzwi po stronie pasażera i wręczyć jej bilet.

- Och nie, nie - odparła zawstydzona.

Sergei ponownie się uśmiechnął.

- Przesyłka została nadana do Londynu i poleci tym samym samolotem co ty - wyjaśnił, zajmując swoje miejsce za kierownicą.

- Dobrze M rzekła Anna. - Wobec tego może i na mnie pora.

- Zgoda - odparł, przekręcając klucz w stacyjce. - Ale musisz uważać, bo ten Amerykanin już na ciebie czeka.

- Jego nie interesuję ja, tylko ta przesyłka.

- Ale widział, jak niosę ją do terminalu towarowego. Za kolejne dwadzieścia dolarów dowie się, dokąd ta paczka leci.

- Już mnie to nie obchodzi - rzekła Anna, nie wyjaśniając swojej odpowiedzi.

Sergei wyglądał na zaskoczonego, lecz o nic nie zapytał, bo właśnie wjeżdżał na szosę wiodącą do lotniska.

- Tyle ci jestem winna! - powiedziała Anna.

- Cztery dolary, plus wytworny posiłek. W sumie pięć.

Anna otworzyła torbę wyjęła z koperty pieniądze, zostawiwszy w niej pięćset dolarów, i zakleiała ją. Gdy Sergei zatrzymał się na postoju pod głównym terminalem, podała mu kopertę.

- Pięć dolarów - oznajmiła.

- Dziękuję, proszę pani - odparł.

- Mam na imię Anna - oświadczyła, po czym ucałowała go w policzek i wysiadła.

Gdyby się odwróciła, zobaczyłaby w oczach starego żołnierza łzy. Czy powinien był powiedzieć Annie, że pułkownik Sergei Slatinaru stał u boku jej ojca, kiedy dokonywano na nim egzekucji?

Kiedy Tina wysiadła z windy, zauważyła Leapmana opuszczającego jej gabinet. Wśliznęła się cicho do toalety. Serce biło jej gorączkowo, gdy zastanawiała się nad konsekwencjami tej wizyty. Czy Leapman odkrył, że jest w stanie podsłuchać każdą rozmowę telefoniczną szefa i jednocześnie obserwować, co dzieje się w jego gabinecie? I czy odgadł, co gorsza, że przez ostatni rok wysyłała do siebie pocztą elektroniczną tajne dokumenty?

Gdy wreszcie wyszła na korytarz i zmierzała powoli do swego gabinetu, usiłowała zachować spokój. Jednego była pewna: Leapman nie zostawił żadnego śladu swej bytności w tym pokoju.

Usiadła przy biurku i włączyła ekran. Zrobiło jej się słabo. Leapman siedział w gabinecie Fenstona i coś do niego mówił. Prezes słuchał go uważnie.

Jack widział, jak Anna pocałowała kierowcę w policzek, i nie potrafił zapomnieć o tym, że jest to ten sam człowiek, który wyciągnął od niego dwadzieścia dolarów - bez pokwitowania. Jack analizował także fakt, że oni obaj przez całą noc czuwali, podczas gdy Anna spała. Jeśli on, Jack, na moment przysnął, budził się natychmiast przerażony, że Strzyga mogła w tym czasie ukraść obraz, choć nie widział jej od chwili, kiedy wsiadła do samolotu lecącego do Londynu. Ciekaw był, gdzie teraz bawi. Podejrzymywał, że gdzieś niedaleko.

Z każdą mijającą godziną nabierał pewności, że miał do czynienia nie ze zwykłym taksówkarzem, lecz człowiekiem, który gotów był dla Anny ryzykować życie. Człowiek ten zapewne nie zdawał sobie nawet sprawy ze znaczenia zawartości skrzynki. Taksówkarza i Annę coś na pewno łączy.

Jack wiedział, że byłoby stratą czasu próbować przekupić taksówkarza, o czym już raz dobitnie się przekonał, lecz na szczęście szef terminalu towarowego wezwał go gestem do kantorka i nawet skopiował odpowiednią stronę manifestu. Skrzynka miała polecieć najbliższym samolotem do Londynu. Już jest w luku bagażowym, zapewnij Jacka jego informator. Jack uznał, że całkiem korzystnie ulokował swe pięćdziesiąt dolarów, mimo że nie był w stanie odczytać podpisu na dokumencie przewozowym.

Ale czy Anna poleci tym samym samolotem? Jack miał twardy orzech do zgryzienia. Jeśli van Gogh znajduje się w czerwonej skrzynce mającej wkrótce odlecieć do Londynu, to co w takim razie było w pudle, które Petrescu zawiozła do Japonii i dostarczyła Nakamura? Nie miał wyjścia - mógł tylko czekać, by się przekonać, czy Petrescu pojawi się na lotnisku.

Sergei patrzył, jak Anna wchodzi do wnętrza terminalu, ciągnąc za sobą swą walizkę. Później zadzwoni do Antona i mu powie, że dowiózł ją bezpiecznie na miejsce.

Anna odwróciła się, by mu pomachać, toteż dopóki nie usłyszał trzaśnięcia drzwi mercedesa, nie zauważył, że ktoś do niego wsiadł. Spojrzał w lusterko wsteczne.

- Dokąd, proszę pani?

- Na stare lotnisko g odparła pasażerka.

- Nie wiedziałem, że jest nadal czynne - ośmielił się zauważyć, lecz kobieta nie odpowiedziała.

Niektórzy pasażerowie tak się zachowują.

Gdy dotarli do drugiej wysepki, Sergei zjechał w bok. Jeszcze raz popatrzył w lusterko. W tej

kobiecie było coś znajomego - czyżby już kiedyś była jego pasażerką? Na skrzyżowaniu skręcił w lewo w starą drogę na lotnisko. Była pusta. Sergei się nie mylił - nie odleciał stąd żaden samolot od listopada 1989 roku, kiedy to Ceausescu próbował z tego lotniska uciec. Ponownie spojrzął w lusterko, usiłując utrzymać stałą prędkość, i nagle go olśniło. Już dokładnie wiedział, gdzie ostatnio widział tę kobietę. Miała wtedy dłuższe włosy, jasne, i chociaż od tamtej pory minęło już dziesięć lat, jej oczy się nie zmieniły. Były to oczy, które nic nie wyrażały, kiedy zabijała, oczy, które przewiercały cię na wylot, kiedy umierałeś.

Jego pluton został otoczony na granicy z Bułgarią. Zostali szybko zgarnięci i zaprowadzeni do najbliższego obozu jenieckiego. Nadal słyszał krzyk swych najmłodszych ochotników - niektórzy dopiero co skończyli szkołę. Kiedy już wyznali jej wszystko, co wiedzieli, albo nie powiedzieli nic, wtedy ona, patrząc im w oczy, podrzynała im gardła. Gdy była pewna, że ofiara nie żyje, jednym szybkim ruchem noża odcinała jej głowę i rzucała ją na środek zatłoczonej celi. Nawet najbardziej zatwardziali z jej oprawców odwracali wtedy oczy.

Ona zaś przed wyjściem toczyła wzrokiem po tych, którzy przeżyli, i co wieczór żegnała ich tymi samymi słowami:

- Jeszcze nie postanowiłam, na którego z was wypadnie jutro.

Z jego ludzi przeżyło tylko trzech” to jedynie dlatego, że pochwycono nowych jeńców, wyposażonych w świeższe informacje. Lecz przez trzydzieści siedem bezsennych nocy pułkownik Sergei Slatinaru mógł się tylko zastanawiać, kiedy nadejdzie jego kolej. Ostatnią ofiarą tej kobiety był ojciec Anny, jeden z najdzielniejszych ludzi, jakich znał, który jeśli już musiał wcześniej umrzeć, zasłużył na to, by zginąć, walcząc z wrogiem, a nie z rąk rzeźnika.

Gdy zostali w końcu repatriowani, jednym z jego głównych zadań jako oficera dowodzącego było powiadomienie matki Anny, w jaki sposób kapitan Petrescu stracił życie. Skłamał wtedy, zapewniając wdowę, że jej mąż zginął śmiercią żołnierza, na polu bitwy. Dlaczego miałby ją obarczać całym tym koszmarem? A potem zadzwonił Anton z informacją, że skontaktowała się z nim córka kapitana Petrescu. Przyjeżdża wkrótce do Bukaresztu i czy mógłby zatem... Anton to kolejna osoba, z którą nie podzielił się swą tajemnicą.

Gdy tylko działania wojenne się skończyły, na temat Krantz zahuczało. Siedzi w więzieniu, uciekła do Ameryki, została zabita. Sergei modlił się, by żyła, bo to on właśnie chciał ją zabić. Obawiał się jednak, że Krantz nigdy nie pokaże się w Rumunii, bo wielu z jego dawnych towarzyszy by ją rozpoznało i ustawiło się w kolejce, by zyskać przywilej poderżnięcia jej gardła. Tymczasem ona tu wróciła. Dlaczego? Co takiego jest w tej skrzyni, że aż tak zaryzykowała?

Sergei zwolnił, gdy dotarł do kawałka jałowej ziemi. Niegdyś był to pas startowy, który teraz porastały chwasty i zdobiły dziury. Przytrzymując prawą ręką kierownicę, lewą powoli sięgnął pod siedzenie po broń, której nie używał od czasu egzekucji Ceausescu.

- Gdzie chce pani wysiąść? - zapytał, jakby byli na środku zatłoczonej ulicy, i zacisnął palce na rękojeści pistoletu.

Kobieta nie odpowiedziała. Sergei zerknął w lusterko, doskonale wiedząc, że gwałtowny ruch ją zaniepokoi. Miała nad nim przewagę - nie tylko siedziała za nim, lecz także obserwowała każdy jego ruch. Był przekonany, że w ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund jedno z nich straci życie.

Położył palec na spuście, wyjął broń spod fotela i zaczął bardzo powolnym ruchem unosić do góry ramię. Miał właśnie wcisnąć hamulec gdy ręka kobiety chwyciła go za włosy i jednym ruchem odchyliła jego głowę do tyłu. Noga Sergeia zsunęła się z pedału gazu samochód zatrzymał się na



pasie. Ręka z pistoletem uniosła się kawałek wyżej. - Dokąd ta dziewczyna leci? - zapytała, odwracając głowę Sergeia tak, by widzieć jego oczy.

- Jaka dziewczyna? - wykrztusił, czując na skórze, tuż pod jabłkiem Adama, ostrze noża.

- Nie baw się ze mną w gierki, staruszk. Dziewczyna, którą wysadziłeś na lotnisku.

- Tego mi nie powiedziała. - Podniósł broń następnym kawałeczkiem wyżej.

- Nie powiedziała, mimo że wszędzie ją woziliś? Dokąd ona leci? - krzyknęła, nacinając ostrzem skórę.

Ręka z bronią znów odrobinę się uniosła.

- Masz ostatnią szansę! - krzyknęła Krantz, nacinając skórę głębiej. Po szyi Sergeia popłynęła ciepła krew. - Dokąd... ona... leci?

- Nie wiem! - krzyknął, podniósł broń, wycelował w jej głowę i nacisnął spust.

Kula przeszła ramię Krantz i odrzuciła ją do tyłu, Krantz jednak nie wypuściła z ręki jego włosów. Sergei ponownie pociągnął za spust, jednak przerwa między strzałami wyniosła pełną sekundę. To wystarczyło, by Krantz jednym ruchem rozplątała mu gardło.

Ostatnim obrazem, jaki umysł Sergeia zarejestrował przed śmiercią, były zimne, szare oczy mordercy.

39

Kiedy zadzwonił telefon, Leapman już nie spał. Z drugiej jednak strony Leapman rzadko sypiał długo, chociaż wiedział, że tylko jeden człowiek odważy się go niepokoić o tak niehumanitarnej porze. Podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, prezesie - powiedział takim tonem, jakby siedział przy swoim biurku w Fenston Finance.

- Krantz zlokalizowała obraz.

- Gdzie on jest? - zapytał Leapman.

- Był w Bukareszcie, a teraz leci na Heathrow.

Leapman miał ochotę powiedzieć: „A nie mówiłem?”, lecz ograniczył się do pytania:

- Kiedy wyląduje?

- Tuż po czwartej, czasu londyńskiego.

- Podeślę kogoś, żeby go odebrał.

- I niech go wsadzą do najbliższego samolotu do Nowego Jorku.

- To gdzie jest Petrescu? - zapytał Leapman.

- Nie mam pojęcia - odparł Fenston - ale Krantz czeka na nią na lotnisku. Nie spodziewaj się więc, że przyleci tym samym samolotem.

Leapman usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Fenston nigdy się nie zegnał. Leapman wstał z łóżka, sięgnął po notes z telefonami i otworzył go na literze P. Zerknął na zegarek i zadzwonił na numer biurowy tej kobiety.

- Ruth Parish.

- Dzień dobry pani. Tu Karl Leapman.

- Dzień dobry - odparła Ruth z rezerwą.

- Znalezliśmy nasz obraz.

- Macie van Gogha? - zapytała.

- Nie, jeszcze nie, ale w tej sprawie dzwonię.

- Mogę jakoś pomóc?

- Obraz jest w luku bagażowym samolotu lecącego właśnie z Bukaresztu, który wylądował parę minut po czwartej tuż pod pani drzwiami. - Na chwilę zamilkł. - Proszę go odebrać.

- Oczywiście. Czyje nazwisko jest na manifeście?

- A kogo to, do cholery, interesuje? Obraz jest nasz, i znajduje się w waszej skrzyni. Tylko postarajcie się nie zawieruszyć go po raz drugi. - Odłożył słuchawkę na widełki, zanim Ruth zdążyła zaprotestować.

Ruth Parish wraz z czwórką pracowników czekała na płycie lotniska, gdy samolot z Bukaresztu podchodził do lądowania.

Kiedy po jakimś czasie maszyna uzyskała zgodę na rozładunek, mała kawalkada złożona z samochodu służb celnych, range-rovera Ruth i furgonetki z ochroniarzami Art Locations zaparkowała dwadzieścia metrów od luku bagażowego.

Gdyby Ruth podniosła głowę, w okienku, w tyle samolotu, dostrzegłaby uśmiechniętą twarz Anny.

Ruth tymczasem wysiadła z samochodu i stanęła przy celniku. Wcześniej poinformowała go, że chce przewieźć obraz z nadlatującego samolotu do innego, i wyprawić go w dalszą podróż. Celnik zastanawiał się, dlaczego Ruth Parish wybiera starszego rangą urzędnika do załatwienia tak banalnej sprawy, toteż demonstrował znudzoną minę do momentu, gdy w sekrecie zdradzono mu wartość tej przesyłki. Za trzy tygodnie miał dostać awans. Jeśli spieprzy taką prostą rzecz, może zapomnieć o dodatkowej srebrnej naszywce, a wszak obiecał żonie, że pod koniec miesiąca naszyje mu ją na rękawie marynarki. No i przepadnie też podwyżka.

Gdy luk w końcu się otworzył, oboje do niego się zbliżyli, lecz odezwał się tylko celnik:

- Macie na pokładzie czerwoną drewnianą skrzynkę - zwrócił się do głównego ładowacza, zerkając w swe notatki i podając mu jej wymiary. -

Po jej obu stronach przybite jest logo Art Locations, a we wszystkich czterech rogach liczba czterdzieści siedem. Tę skrzynkę macie wyjąć pierwszą.

Główny ładowacz przekazał instrukcje dwóm kolegom, którzy zniknęli w mroku luku. Gdy się z niego wyłonili, Anna zmierzała już w stronę stanowiska kontroli paszportowej.

- Zgadza się - rzekła Ruth, gdy dwaj bagażowicy ukazali się na krawędzi luku, niosąc czerwoną skrzynkę.

Celnik kiwnął głową. Podjechał wózek widłowy, sprawnie przejął skrzynkę i powoli opuścił ją na ziemię. Celnik sprawdził manifest, potem logo, a nawet wymalowane pistoletem czwórki i siódemki.

- Wszystko jest w porządku, proszę pani. Zechce pani tu podpisać...

Ruth podpisała formularz, nie zdołała jednak rozszyfrować podpisu na manifeście. Celnik nie spuszczał oczu z wózka widłowego, gdy ten przewoził przesyłkę do furgonetki Art Locations, do której wnieśli ją dwaj pracownicy Ruth.

- Będę jeszcze musiał pani potowarzyć - oznajmił celnik. - Wolno mi podpisać świadectwo odprawy celnej dopiero wtedy, kiedy przesyłka na moich oczach zostanie załadowana do właściwego samolotu.

- Oczywiście - odparła Ruth, która dozorowała tę procedurę dwa lub trzy razy dziennie.

Anna dotarła do miejsca odbioru bagażu w chwili, gdy furgonetka wyruszyła w krętą drogę z terminalu trzeciego do czwartego. W końcu kierowca zatrzymał się przy samolocie United Airlines,

lecącym do Nowego Jorku.

Na otwarcie luku bagażowego furgonetka czekała ponad godzinę. W tym czasie Ruth poznała z grubsza historię życia celnika, a nawet dowiedziała się, do której szkoły pośle on swe trzecie dziecko, jeśli awansuje. A potem obejrzała całą procedurę do końca. Otwarto tylne drzwi furgonetki, obraz umieszczono na wózku widłowym, podwieziono do luku i podniesiono do góry, a tam przejęły go dłonie dwóch bagażowych, po czym zniknął w trzewiach samolotu.

Celnik podpisał wszystkie trzy kopie dokumentów wysyłkowych i pożegnał się z Ruth, po czym udał się do swego biura. W normalnej sytuacji Ruth także wróciłaby do siebie, wypełniłaby odpowiednie formularze, sprawdziłaby pocztę i zakończyła pracę. Tego dnia jednak miała do czynienia z sytuacją wyjątkową. Siedziała w swoim w samochodzie i czekała, aż do samolotu zostaną załadowane bagaże pasażerów i obsługa zamknie luk. Nie ruszyła się nawet wtedy, gdy samolot zaczął kołować w stronę północnego pasa startowego. Dopiero gdy koła maszyny oderwały się od ziemi, zadzwoniła do Leapmana przebywającego w Nowym Jorku.

- Przesyłka w drodze - oznajmiła krótko.

Jack skonsternowany patrzył, jak Anna idzie do hali przylotów, wymienia dolary w Traveleksie i staje w długiej kolejce do taksówki. Od jakiegoś czasu samochód Jacka stał po drugiej stronie podjazdu. Jego walizki były w bagażniku, a kierowca nie gasił silnika, bo czekali tylko na to, aż ruszy taksówka z Anną.

- Dokąd, szefie? - zapytał szofer.

- Nie jestem pewien - odparł Jack - ale najpierw zasugerowałbym cargo.

Jack założył, że Anna uda się prosto do terminalu towarowego i odbierze paczkę, którą kierowca taksówki nadał w Bukareszcie

Okazało się, że nie miał racji. Zamiast skrócić w prawo, gdzie widniał wielki niebieski drogowskaz wskazujący kierunek do terminalu towarowego, samochód Anny skręcił w lewo i skierował się na zachód, w stronę M25.

- Ona nie jedzie do cargo, szefie, więc co pan teraz sugeruje? Gatwick?

- Co takiego może być w tym pudle? - zachodził w głowę Jack.

- Nie mam zielonego pojęcia, szefie.

- Ależ ja jestem głupi! - zauważył Jack.

- Aż takiej opinii bym nie zaryzykował, ale bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział, dokąd ta pani jedzie.

Jack roześmiał się.

- Chyba się okaże, że do Wentworth.

- Jasne, szefie.

Jack usiłował się odprężyć, ilekroć jednak zerkał za siebie, był gotowy przysiąc, że śledzi ich kolejna czarna taksówka. Z tyłu siedziała mroczna postać. Dlaczego ta kobieta nadal śledzi Annę, skoro obraz został w depozycie na lotnisku?

Gdy jego kierowca zjechał z szosy M25 w stronę Wentworth, taksówka, która zdaniem Jacka ich śledziła, pojechała dalej w kierunku Gatwick.

- Nie jest pan taki głupi, szefie, bo ona chyba naprawdę jedzie do Wentworth.

- Nie jestem głupi, ale cierpię na paranoję - wyznał Jack.

- Proszę się zdecydować, proszę pana - rzekł kierowca, gdy wioząca Annę taksówka przejechała

bramę Wentworth Hall i zniknęła na podjeździe. - Czy mam ją śledzić?

- Nie - odparł Jack. - Ale szukam na noc jakiegoś hoteliku. Mógłby pan mi coś zaproponować?

- Kiedy odbywają się u nas turnieje golfa, wielu klientów zawożę do Wentworth Arms. O tej porze roku powinien znaleźć się jakiś wolny pokój.

- No to sprawdźmy.

- Czemu nie, szefie.

Jack opadł na siedzenie, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

- Ambasada amerykańska.

- Z Tomem Crasantim proszę.

40

Gdy po operacji Krantz odzyskała przytomność, poczuła palący ból w prawym barku. Po chwili uniosła nieco głowę i zlustrowała wzrokiem mały surowy pokój o białych ścianach, zawierający jedynie najniezbędniejsze wyposażenie: łóżko, stolik, krzesło, prześcieradło, koc i basen. To może być tylko szpital, pomyślała, ale wcale nie prywatny. Światło wpada tu jedynie przez małe okno, umieszczone tak wysoko, że nawet go nie zakratowano. W tym pokoiku nie ma kwiatów, owoców ani kart z życzeniami od rodziny czy znajomych, a na drzwiach założono kraty. Poza tym po drugiej stronie stale stoi dwóch strażników.

Usiłowała odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń. Ujrzała w wyobraźni skierowaną w jej głowę broń taksówkarza - i tu wspomnienia się urywały. Zdążyła wówczas jedynie odrobinę się odsunąć, najwyżej ze trzy centymetry, toteż kula trafiła ją w ramię, zamiast w serce. Druga kula przeszła bokiem, lecz Krantz zyskała sekundę, podczas której zdołała poderżnąć taksówkarzowi gardło. Był z pewnością zawodowcem, może byłym policjantem albo wręcz żołnierzem. Zaraz potem jednak musiała stracić przytomność.

Jack wynajął pokój w Wentworth Arms, a na ósmą wieczór zamówił stolik w restauracji. Gdy wziął prysznic i się przebrał, z zadowoleniem pomyślał, że pozostaje mu już tylko czekanie na duży, soczysty stek.

Anna była bezpieczna w Wentworth Hall, Jack jednak nie mógł odetchnąć z ulgą, wiedząc, że Strzyga może się kręcić gdzieś niedaleko. Poprosił już Toma o to, by poinformował policję o istniejącym zagrożeniu, sam jednak nadal zachowywał czujność.

Zajął miejsce w holu, zamówił butelkę guinnessa i rozmyślał o Annie. Na długo przed wybiciem ósmej do holu wszedł Tom, rozejrzał się i ruszył w kierunku swego starego przyjaciela, siedzącego teraz przy kominku. Jack wstał, by się z nim przywitać, i przeprosił za to, że wyciągnął go do Wentworth, pozbawiając go wieczoru z Chloe i Hankiem.

- Jeśli w tym lokalu uda się zamówić porządnego toma collinsa, nie będę narzekał - odrzekł Tom.

Tom właśnie opowiadał przyjacielowi, jak to Hank zdobył pięćdziesiąt punktów w jakiejś grze, gdy podszedł do nich główny kelner, by przyjąć zamówienie. Obaj zdecydowali się na steki, Tom jednak, jako rasowy Teksańczyk, zauważył, że nie może się przyzwyczaić do angielskiej wersji tego dania, które tu do złudzenia przypomina kotlet jagnięcy.

- Poproszę panów - odezwał się kelner - gdy stolik będzie gotów.

- Dziękuję - odparł Jack, a Tom pochylił się i otworzył swój neseser. Wyjął z niego grubą teczkę, którą położył na stoliku. Rozmowa towarzyska nigdy nie była jego mocną stroną.

- Zaczniemy od ważnych rzeczy - powiedział Tom, otwierając teczkę. - Zidentyfikowaliśmy tę kobietę ze zdjęcia, które nam przesłałeś z Tokio.

Jack odstawił szklanę z piwem i skoncentrował się na zawartości teczki.

- Nazywa się Olga Krantz, a z Petrescu łączy ją jedna rzecz. - Co mianowicie? - zapytał Jack.

- Agencja także mylnie zakładała, że Krantz zginęła, a może nawet nie żyje. Jak widać z tej charakterystyki - dodał Tom, podając koledze arkusz papieru - straciliśmy z nią kontakt w 1989, kiedy to przestała być szefową osobistej ochrony Ceausescu. Teraz jesteśmy przekonani, że pracuje wyłącznie dla Fenstona.

\_ Cóż za porażająca logika - zauważył Jack, gdy kelner postawił na ich stoliku szklanę z tomem Collinsem i następną z guinnessem.

- Zmienisz zdanie, jeśli przyjrzyś się faktom - odezwał się Tom - i to krok po kroku - dodał, po czym sięgnął po swój trunek. - Uhm, niezłe. Przecież ona i Fenston w tym samym czasie pracowali dla Ceausescu.

- Zbieg okoliczności - oświadczył Jack. - Nie do obronienia w sądzie.

- A może tak, zwłaszcza kiedy poznasz zakres jej obowiązków.

- Wal.

- Jej zadaniem było eliminowanie każdego, kto mógłby zagrozić Ceausescu.

- To nadal są poszlaki.

- Chyba że się dowiesz, jaką metodą eliminowała ludzi.

- Nożem kuchennym? - zasugerował Jack, nie patrząc na leżący przed nim arkusz.

- Zgadłeś - oznajmił Tom.

- Co, obawiam się, oznacza, że w twoim logicznym łańcuchu jest jeszcze jedno niezaprzeczalne ogniwo.

- Mógłbyś jaśniej? - poprosił Tom.

- Na jej następną ofiarę wyznaczono Annę.

- Nie. W tym miejscu na szczęście cała logika się wali, bo dziś rano Krantz została w Bukareszcie zatrzymana.

- Co? - rzekł zdumiony Jack.

- Przez lokalną policję - dodał Tom.

- Wprost trudno mi uwierzyć, że pozwoliła im zbliżyć się na odległość mniejszą niż mila - skomentował Jack. - Ja traciłem ją z oczu nawet wtedy, kiedy wiedziałem, gdzie jest.

- Policjanci wcale nie ukrywali - wyjaśnił Jack - że była wtedy nieprzytomna.

- Podaj mi szczegóły - powiedział Jack ze zniecierpliwieniem.

- Najprawdopodobniej - bo kiedy opuszczałem ambasadę, meldunki nadal napływały - Krantz wdała się w kłótnię z taksówkarzem, przy którym znaleziono pięćset dolarów w gotówce. Taksówkarz miał rozplątane gardło, ona zaś skończyła z kulą w prawym barku. Nie wiemy jeszcze, o co im poszło, ale ponieważ taksówkarz został zabity dosłownie kilka minut przed twoim odlotem, pomyśleliśmy, że może mógłbyś rzucić na tę sprawę trochę światła.

- Krantz zapewne próbowała ustalić, którym samolotem Anna odleci, no bo przecież w Tokio bardzo się skompromitowała, ale od taksówkarza nigdy by nie wycisnęła takiej informacji. On chronił Annę niemal jak ojciec, a te pięćset dolarów to fałszywy trop. Krantz dla takich pieniędzy nie zabija, a poza tym ten taksówkarz woził Annę bez włączania licznika.

- No cóż, tak czy owak, Krantz teraz siedzi i nikomu nie zagraża, a jeżeli będziemy mieli

szczęście, spędzi resztę życia za kratkami. A to życie wcale nie musi być bardzo długie, bo z dobrze poinformowanych źródeł mamy informacje, że połowa mieszkańców Rumunii chętnie by ją zakatrupiła. - Tom zerknął do swej teczki. - A poza tym okazuje się, że nasz taksówkarz, niejaki pułkownik Sergei Slatinaru, był bohaterem ruchu oporu. - Tom pociągnął łyk ze szklanki, po czym dodał: - Nie ma już żadnego powodu, żebyś się niepokoił o Petrescu.

W tej chwili ponownie podszedł kelner, zapraszając ich do sali restauracyjnej.

- Podobnie jak większość Rumunów odetchnę dopiero wtedy, kiedy ta cała Krantz straci życie - oznajmił Jack. - Na razie martwię się o Annę.

- Annę? To jesteście po imieniu? - zapytał Tom, zajmując miejsce przy stoliku naprzeciwko Jacka.

- Prawie, choć kto wie... Z żadną z moich ostatnich przyjaciółek nie spędziłem tyle nocy co z nią.

- W takim razie może powinniśmy byli zaprosić doktor Petrescu na naszą ucztę?

- Daj spokój! - odrzekł Jack. - Ona zje kolację z lady Arabellą w Wentworth Hall, a my musimy się zadowolić Wentworth Arms.

Kelner postawił przed Tomem miskę zupy z ziemniaków i soczewicy, a Jackowi podał sałatkę cesarską.

- Czy dowiedziałeś się o Annie czegoś jeszcze?

- Nie za wiele - przyznał Tom - ale mogę ci powiedzieć, że z lotniska w Bukareszcie zadzwoniła do nowojorskiego wydziału policji i poprosiła, żeby usunęli jej nazwisko z listy zaginionych. Wyjaśniła, że odwiedzała w Rumunii matkę. Dzwoniła także do swojego wuja w Danville w stanie Illinois i do lady Arabelli Wentworth.

- Wobec tego jej spotkanie w Tokio musiało okazać się niewypałem - zauważył Jack.

- Wyjaśnij mi to, z łaski swojej - poprosił Tom.

- Anna umówiła się w Tokio z magnatem stalowym nazwiskiem Nakamura, który jest właścicielem jednej z największych w świecie kolekcji malarstwa impresjonistycznego. Tak przynajmniej mi powiedział szef obsługi w Seiyo. - Jack na chwilę zamilkł. - Najwyraźniej nie zdołała sprzedać Nakamuraze van Gogha, co by wyjaśniało, dlaczego odesłała ten obraz z powrotem do Londynu, a potem nawet zgodziła się na jego transfer do Nowego Jorku.

- Anna nie sprawia wrażenia osoby, która łatwo się poddaje - powiedział Tom, wyjmując z teczki kolejny arkusz papieru. - A przy okazji, poszukuje jej także firma Happy Hire. Utrzymują oni, że Anna pozostawiła wynajęty u nich pojazd na kanadyjskiej granicy. Samochód pozbawiony był przedniego błotnika, przedniego i tylnego zderzaka, no i żadne ze świateł prawidłowo nie działało.

- Nie jest to jakieś wielkie przestępstwo - zauważył Jack.

- Czyżbyś się w niej zadurzył? - zapytał Tom.

Jack nie odpowiedział, ponieważ stanął przy nim kelner.

- Dwa steki, jeden krwisty, jeden średnio wysmażony - oznajmił.

- Dla mnie krwisty - odezwał się Tom.

Kelner postawił oba talerze na stole, skłonił się i odszedł. Jack uśmiechnął się do Toma.

- Czy w sprawie Leapmana coś się wyjaśniło?

- Och, tak - odparł Tom. - O panu Leapmanie wiemy już bardzo dużo. - Położył na stole drugą teczkę. - Jest on obywatelem amerykańskim w drugim pokoleniu i studiował prawo na Columbii. Zupełnie jak ty - dodał z szerokim uśmiechem. - Potem pracował w kilku bankach, zawsze awansując dosyć szybko, a w końcu uwikłał się w przestępstwa giełdowe. Jego specjalnością była sprzedaż

akcji wdowom, które nie istniały. - Zastanowił się. - Akcje nie istniały, wdowy tak. - Jack roześmiał się. - Odsiedział dwuletni wyrok w zakładzie karnym w Rochester na północy stanu Nowy Jork, ma też dożywotni zakaz pracy w banku i wszelkich innych instytucjach finansowych.

- Ale jest u Fenstona prawą ręką?

- Może i jest prawą ręką Fenstona, ale nie w jego banku. Nazwisko Leapmana nie figuruje w księgach rachunkowych banku, nawet jako sprzątacza. Leapman płaci podatki od swojego jedyne oficjalnego dochodu, to znaczy czeku przysyłanego co miesiąc przez meksykańską ciotkę.

- No ale... - przerwał mu Jack.

- Zanim coś dodasz - wtrącił Tom - to się dowiedz, że mój departament nie ma ani środków, ani rezerw, żeby się przekonać, czy ta ciotka w ogóle istnieje.

- Jakieś rumuńskie powiązania? - zapytał Jack, krojąc stek.

- Nic nam o tym nie wiadomo - odrzekł Tom. - Wywodzi się z Bronksu, a nosi teraz garnitury od Brooks Brothers.

- Leapman może się okazać naszym najlepszym tropem - zasugerował Jack. - Gdyby tylko udało się go skłonić do złożenia zeznań...

- Wykluczone - przerwał Tom. - Odkąd wyszedł z więzienia, nie dostał nawet mandatu za nielegalne parkowanie, a obawiam się, że Fenstona boi się o wiele bardziej niż nas.

- Gdyby tylko Hoover żył... - powiedział Jack z uśmiechem.

Obaj unieśli kieliszki, po czym Tom zapytał:

- To kiedy lecisz do Stanów? Pytam tylko dlatego, żeby wiedzieć, kiedy mogę zająć się swoją codzienną pracą.

- Chyba jutro - odparł Jack. - Skoro Krantz trafiła za kratki, powinienem wracać do Nowego Jorku. Macy pewnie zechce się dowiedzieć, czy już coś ustaliłem na temat tego, co łączy Krantz z Fenstonem.

- A ustaliłeś coś?

Żaden z nich nie zauważył, że maitre d'hôtel został zagadnięty przez dwóch mężczyzn. Z pewnością nie chcieli zarezerwować stolika, bo gdyby tak było, zostawiliby w szatni płaszcze przeciwdeszczowe. Gdy maitre d'hôtel odpowiedział na ich pytanie, ruszyli pewnym krokiem na drugi koniec sali.

Gdy stanęli przy ich stoliku, Tom właśnie zamykał neseser, do którego włożył teczkę.

- Dobry wieczór panom - odezwał się ten wyższy. - Sierżant Frankham, a to jest mój kolega, posterunkowy Ross. Przepraszam, że przeszkadzam w kolacji, ale muszę zamienić z panem słowo - zakończył, dotykając ramienia Jacka.

- Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? - zapytał Jack, odkładając sztucę. - Zaparkowałem na podwójnej żółtej linii?

- Obawiam się, że sprawa jest nieco poważniejsza, sir - odrzekł sierżant - toteż muszę pana poprosić, aby udał się pan ze mną na komendę.

- Pod jakim zarzutem? - dopytywał się Jack.

- Byłoby chyba rozsądniej, gdybyśmy nie ciągnęli tej rozmowy w zatłoczonej restauracji.

- A kto pana upoważnił... - zaczął Tom.

- Uważam, że nie powinien się pan w to mieszać, sir.

- O tym to ja sam zdecyduję - odparł Tom, wyciągając z wewnętrznej kieszeni odznakę FBI.

Już miał stworzyć skórzany portfelik, gdy Jack dotknął jego łokcia i powiedział:

- Nie róbnmy sceny. Nie ma potrzeby wciągać w to biura.

- Do cholery, kim ci ludzie w swoim mniemaniu...

- Tom, uspokój się. Nie jesteśmy u siebie. Pójdę na posterunek i wszystko wyjaśnię.

Tom niechętnie schował swą odznakę do kieszeni i choć już się nie odezwał, wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, co myśli o zachowaniu policjantów. Kiedy Jack się podniósł, sierżant chwycił go za rękę i szybko założył mu kajdanki.

- No nie, czy to naprawdę jest konieczne?

- Tom, nie mieszaj się - poprosił Jack opanowanym tonem.

Tom niechętnie ruszył za Jackiem poprzez salę pełną gości, którzy z wystudiowanym spokojem rozmawiali i spożywali posiłek, jakby wokół nich nic niezwykłego się nie działo.

Gdy dotarli do frontowych drzwi, Tom zapytał:

- Czy chcesz, żebym pojechał z tobą na posterunek?

- Nie - odparł Jack - raczej zostań tutaj. I nie martw się. Myślę, że zdążę wypić z tobą kawę.

Po drugiej stronie korytarza stały dwie kobiety, które uważnie się w Jacka wpatrywały.

- Czy to on, proszę pani?

- Tak - potwierdziła jedna z kobiet.

Kiedy Tina usłyszała szelest otwieranych drzwi, szybko wyłączyła ekran. Nie podniosła głowy, ponieważ tylko jeden człowiek nie miał zwyczaju pukać przed wejściem do jej gabinetu.

- Chyba wie pani, że Petrescu wraca do Nowego Jorku?

- Słyszałam o tym - odrzekła, uderzając w klawiaturę.

- Ale słyszała pani również - ciągnął Leapman, opierając obie dłonie na jej biurku - że próbowała ukraść van Gogha?

- Tego z gabinetu szefa? - zapytała z głupia frant.

- Niech pani nie gra ze mną w jakieś gierki. Czy, pani zdaniem, nie wiem, że podsłuchuje pani jego rozmowy telefoniczne?

Tina przerwała pisanie i podniosła wzrok na Leapmana.

- Być może nadszedł czas, żeby pan Fenston się dowiedział o tym przycisku pod biurkiem, który umożliwia pani szpiegowanie go podczas prywatnych spotkań - ciągnął Leapman.

- Czy pan mi grozi, Leapman? - zapytała Tina. - Bo jeśli tak, to kto wie, czy nie będę musiała sama porozmawiać z szefem.

- A cóż takiego mogłaby mu pani powiedzieć, że miałbym się obawiać? - zapytał ironicznie.

- O cotygodniowych telefonach od niejakiego Pickforda. Może wtedy się dowiemy, kto tu istotnie w coś pogrywa.

Leapman wyprostował się, zabierając rękę z biurka Tiny.

- Jestem pewna, że pański kurator sądowy z ciekawością się dowie, że napastuje pan personel w banku, w którym pan nie pracuje, w którym nie ma pan gabinetu i który nie wypłaca panu wynagrodzenia.

Leapman postąpił krok do tyłu.

- A kiedy następnym razem zechce mnie pan odwiedzić, to proszę najpierw zapukać, tak jak każdy.

Leapman znowu cofnął się o krok, zawahał, po czym w milczeniu wyszedł na korytarz.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, rozdygotana Tina wpiła palce w podłokietniki swego krzesła.



Gdy samochód policyjny zatrzymał się przed posterunkiem policji, Jackowi zdjęto kajdanki. Siedzący przy biurku funkcjonariusz dopełnił formalności, a potem obaj policjanci zaprowadzili Jacka na dół do pokoju przesłuchań. Sierżant Frankham poprosił go o zajęcie miejsca po drugiej stronie stołu. Jack po raz pierwszy w życiu występował w roli przesłuchiwanego. Posterunkowy Ross stanął spokojnie w kącie.

Jack zastanawiał się, który z nich zacznie grać dobrego glinę.

Sierżant Frankham usiadł, położył na stole teczkę i wyjął z niej długi formularz.

- Nazwisko? - zapytał.

- Jack Fitzgerald Delaney - odparł Jack.

- Data urodzenia?

- Dwudziesty drugi listopada, sześćdziesiąty trzeci.

- Wykonywany zawód?

- Starszy oficer śledczy w FBI, oddział nowojorski. Sierżant odłożył pióro, podniósł głowę i zapytał:

- Ma pan jakiś dowód tożsamości?

Jack wyjął swą odznakę FBI oraz legitymację.

- Dziękuję panu - powiedział sierżant Frankham, obejrzawszy dokumenty. - Czy byłby pan łaskaw poczekać chwilkę? - Wstał i zwrócił się do swego towarzysza: - Dopilnujesz, żeby agentowi Delaneyowi przyniesiono kawę? To może trochę potrwać. - Gdy posterunkowy Ross otwierał drzwi, dodał: - I niech mu oddadzą krawat, pasek i sznurówki.

Okazało się, że sierżant Frankham się nie pomylił, ponieważ dopiero po upływie godziny otworzyły się ciężkie drzwi i do pokoju wszedł starszy mężczyzna o zniszczonej, pooranej zmarszczkami twarzy. Miał na sobie dobrze skrojony mundur ze srebrnym galonem na rękawie, epoletach i nad daszkiem czapki. Gdy ją zdjął, Jack ujrzał jego siwe włosy.

Mężczyzna zajął miejsce naprzeciwko Jacka.

- Dobry wieczór, panie Delaney. Nazywam się Renton i jestem nadinspektorem. A teraz, skoro już potwierdziliśmy pańską tożsamość, może zechce pan uprzejmie odpowiedzieć nam na kilka pytań.

- Jeśli tylko będę w stanie.

- Na pewno jest pan w stanie - zauważył nadinspektor. - Interesuje mnie tylko, czy pan zechce odpowiedzieć.

Jack nie zareagował.

- Otrzymaliśmy skargę z wiarygodnego zazwyczaj źródła, że przez ostatni tydzień śledził pan pewną panią bez jej wiedzy. W Anglii, na mocy ustawy o ochronie przed napastowaniem z 1997 roku, jest to wykroczenie, o czym pan z pewnością doskonale wie. Doktor Petrescu jest objęta śledztwem, którym od pewnego czasu zajmuje się moj oddział.

- Czy owo śledztwo ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią lady Victorii Wentworth?

- Owszem - odparł Jack.

- A czy doktor Petrescu jest podejrzana o zabójstwo?

- Nie - odparł Jack stanowczo. - Wręcz przeciwnie. W gruncie rzeczy obawialiśmy się, że może ona się stać następną ofiarą.

- Obawialiśmy się? - powtórzył nadinspektor.

- Tak - odparł Jack. - Na szczęście zabójczyni została zatrzymana w Bukareszcie.

- A pan nie był skłonny podzielić się z nami tą informacją? - ciągnął nadinspektor Renton. - Przecież musiał być pan świadom faktu, że w sprawie tego zabójstwa prowadzimy śledztwo.

- Bardzo mi przykro, sir - powiedział Jack - ale o tym dowiedziałem się dopiero przed kilkoma godzinami. Niemniej jestem pewien, że tę informację miało panu przekazać nasze londyńskie biuro.

- Uzyskałem ją od Toma Crasantiego, ale jak podejrzewam, tylko dzięki temu, że przymknęliśmy jego kolegę.

Jack nie skomentował tych słów.

- Pan Crasanti jednak zapewnił mnie - ciągnął Renton - że będzie pan nas informował na bieżąco o wszystkich faktach, jakie w przyszłości zaistnieją. - Jack nadal milczał, nadinspektor tymczasem podniósł się z miejsca. - Dobranoc, panie Delaney. Wyraziłem zgodę na pana natychmiastowe zwolnienie. Życzę miłej podróży do Ameryki.

- Dziękuję panu - powiedział Jack, gdy nadinspektor włożył czapkę i opuścił pokój.

Jack trochę mu współczuł. W końcu nowojorski wydział policji, nie mówiąc już o CIA, rzadko zadawały sobie trud, by informować FBI o swych poczynaniach.

Kilka minut później wrócił sierżant Frankham.

- Proszę ze mną, sir - powiedział. - Nasz samochód zawiezie pana do hotelu.

- Dziękuję - odparł Jack, kierując się za sierżantem na piętro do recepcji.

Siedzący przy biurku policjant skłonił głowę, gdy Jack opuszczał posterunek. Jack uścisnął rękę zawstydzonemu Frankhamowi, a potem wszedł do zaparkowanego pod drzwiami policyjnego wozu. Z tyłu siedział Tom.

- Jeszcze jeden przypadek na zajęcia z kadetami w Quantico - zauważył. - Tym razem dotyczący tego, jak wywołać poważny incydent dyplomatyczny podczas wizyty w kraju najstarszego sojusznika.

- Widać nadałem nowe znaczenie słowom „szczególne stosunki” - skomentował Jack.

- Niemniej potępiony uzyskał szansę odkupienia win - rzekł enigmatycznie Tom. - Obaj zostaliśmy zaproszeni na jutro rano na śniadanie w Wentworth Hall w towarzystwie lady Arabelli i doktor Petrescu. A tak przy okazji, Jack, już rozumiem, co chciałeś mi powiedzieć o tej Annie.

22 września

42

Parę minut po wpół do ósmej Jack wyszedł z Wentworth Arms i stwierdził, że na podjeździe czeka na niego samochód marki Rolls-Royce. Szofer otworzył przed nim tylne drzwi natychmiast, gdy go spostrzegł.

- Dzień dobry, sir - powiedział. - Lady Arabella prosiła, żebym panu przekazał, że oczekuje pana z niecierpliwością.

- Ja też - odparł Jack, wsiadając.

- Będziemy na miejscu za kilka minut - oznajmił szofer, opuszczając parking przed hotelem.

Jack odniósł wrażenie, że ponad połowę podróży trwała jazda długą alejką wiodącą od kutej żelaznej bramy do pałacu. Gdy rolls-royce wreszcie się zatrzymał, szofer wyskoczył zza kierownicy i otworzył tylne drzwi. Jack stanął na zwirowym podjeździe i podniósł głowę. Na szczycie schodów rezydencji stał kamerdyner, najwyraźniej go oczekując.

- Dzień dobry, sir - odezwał się. - Witamy w Wentworth Hall. Pozwoli pan łaskawie za mną.

Lady Arabella pana oczekuje.

- Wiarygodne zazwyczaj źródło - mruknął Jack, lecz kamerdyner, nawet jeśli go usłyszał, nie zareagował, tylko w dostojnym milczeniu poprowadził go do salonu.

- Pan Delaney, milady - zaanonsował kamerdyner, a dwa psy, machając ogonami, ruszyły mu na powitanie.

- Dzień dobry - rzekła Arabella. - Jesteśmy panu winni przeprosiny. Przecież to oczywiste, że pan nikogo nie prześladowuje.

Jack popatrzył na Annę, która sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej, a potem przeniósł wzrok na Toma, który szeroko się uśmiechał. Andrews ponownie stanął w drzwiach.

- Śniadanie gotowe, milady.

Kiedy ocknęła się po raz drugi, młody lekarz przystępował do zmiany opatrunku na jej ramieniu.

- Kiedy dojdę do siebie? - zapytała.

Lekarz sprawiał wrażenie zaskoczonego, gdy po raz pierwszy usłyszał jej głos - taki ostry, piskliwy tembr nie pasował do legendy otaczającej tę kobietę. W milczeniu przeciął nożyczkami bandaż.

- Za trzy, najwyżej cztery dni - odparł w końcu, przenosząc na nią wzrok. - Ale na pani miejscu nie śpieszyłbym się z opuszczaniem tego przybytku, ponieważ w chwili, kiedy podpiszę dokument stwierdzający poprawę stanu zdrowia, zostanie pani przewieziona do Jilavy, którą chyba pani świetnie zna z przeszłości, kiedy to służyła pani reżimowi.

Krantz wiedziała, że nigdy nie zapomni surowego, pełnego szcurów budynku o kamiennych ścianach, który co wieczór odwiedzała, aby przesłuchać nowo dostarczonych więźniów, a potem była odwożona do ciepłej, komfortowo urządzonej daczy pod miastem.

- Słyszałem, że więźniowie nie mogą się pani wprost doczekać po tak długim niewidzeniu - dodał lekarz. Pochylił się, podniósł do góry róg dużego tamponu na jej ramieniu i znieruchomiał. - To zaboli - ostrzegł, a potem jednym ruchem oderwał opatrunek.

Krantz nawet nie mrugnęła. Nie miała zamiaru dać mu satysfakcji. Lekarz przemył ranę jodyną, nałożył nowy opatrunek, po czym wprawnie zabandażował rękę i umieścił ją na temblaku.

- Ilu tu jest strażników? - zapytała od niechcenia.

- Sześciu, i wszyscy są uzbrojeni - odparł. - A jeśli myśli pani o ucieczce, to uprzedzam, że mają rozkaz najpierw strzelać, a dopiero potem wypełniać te wszystkie niepotrzebne dokumenty. Wystawiłem im nawet niepodpisane świadectwo zgonu.

Krantz nie zadawała więcej pytań.

Gdy lekarz opuścił celę, leżała, wpatrując się w sufit. Jeśli ma jakąś szansę ucieczki, to tylko póki jest w tym szpitalu. Z Jilavy nikt nie uciekł, nawet sam Ceausescu.

W ciągu kolejnych ośmiu godzin ustaliła, że strażników istotnie zawsze było sześciu, a zmieniali się co osiem godzin. Pierwsza zmiana kończyła dyżur o szóstej rano, druga - o drugiej po południu, a nocna zaczynała pracę o dwudziestej drugiej.

Podczas długiej bezsennej nocy Krantz odkryła, że strażnicy na tej zmianie uważali, że zostali stworzeni do wyższych celów. Jeden z nich był po prostu leniem i pół nocy przespał. Drugi ciągle wymykał się na papierosa na schody przeciwpożarowe - na terenie szpitala nie wolno było palić. Trzeci odgrywał uwodziciela i wydawało mu się, że pojawił się na ziemi tylko po to, by kobietom robić dobrze. Zawsze kręcił się w pobliżu którejś z pielęgniarek. Czwarty spędzał czas, głównie

narzekając, jak mało mu się płaci, oraz jak to jego żona potrafi jeszcze przed końcem tygodnia opróżnić mu kieszenie.

Krantz wiedziała, że jeśli będzie miała szansę, może rozwiązać jego problem. Pozostali dwaj strażnicy byli starsi i pamiętali ją aż za dobrze z dawnych czasów. Jeden z nich z chęcią poczęstowałby ją kulką, gdyby tylko uniosła głowę znad poduszki.

Ale nawet oni mają prawo do przerwy na jedzenie.

Jack zasiadł do śniadania złożonego z jajek na bekonie, ostro przyprawionych cynaderek, grzybów i pomidorów, a także grzanek z angielską marmoladą oraz kawy.

- Po takich przejściach musi pan być bardzo głodny - zauważyła Arabella.

- Gdyby nie Tom, musiałbym się zadowolić racjami więziennymi.

- Obawiam się, że to moja wina - powiedziała Anna. - Bo to ja na pana doniosłam - dodała z szerokim uśmiechem.

- Nieprawda - zaprotestował Tom. - Może pani podziękować Arabelli i za aresztowanie Jacka, i za jego uwolnienie.

- Nie chciałabym przypisywać sobie wszystkich zasług - oświadczyła Arabella, gładząc jednego z labradorów, które siedziały po jej obu stronach. - Owszem, przyczyniłam się do aresztowania Jacka, ale wy dostał go wasz ambasador.

- Nadal jednak nie rozumiem jednej rzeczy - odezwała się Anna - mimo że Tom zapoznał nas ze wszystkimi ciekawszymi szczegółami. Dlaczego śledził mnie pan aż do Wentworth, skoro się pan zorientował, że ja tego obrazu już nie mam?

- Ponieważ obawiałem się, że kobieta, która zamordowała taksówkarza, pojedzie za panią do Londynu.

- I zabije mnie w Londynie? - ciągnęła Anna spokojnie.

Jack kiwnął głową, lecz się nie odezwał.

- Dzięki Bogu, że nie miałam o tym pojęcia - oznajmiła Anna, odsuwając na bok talerz.

- Lecz wtedy ona już została zaaresztowana za zabicie Sergeia? - zapytała Arabella.

- Owszem - odparł Jack - ale o tym dowiedziałem się od Toma dopiero wczoraj wieczorem.

- A więc równocześnie FBI nie spuszczało ze mnie oka? - dociekała Anna, zwracając się do Jacka, który smarował właśnie masłem grzanek.

- Owszem, jakiś czas to trwało - przyznał Jack. - W pewnym momencie zaczęliśmy się nawet zastanawiać, czy nie jest pani wynajętą zabójczynią.

- Dlaczego? - zapytała Anna.

- Znawczyni sztuki to dobra fasada dla kobiety pracującej u Fenstona, zwłaszcza jeśli była ona lekkoatletką i dziwnym zbiegiem okoliczności urodziła się w Rumunii.

- A jak długo jestem obserwowana? - zapytała Anna

- Od dwóch miesięcy - oświadczył Jack, upijając łyk kawy. - Właściwie mieliśmy już zamknąć pani sprawę, kiedy nagle ukradła pani tego van Gogha.

- Wcale go nie ukradłam - zaprotestowała Anna ostro.

- Ona go w moim imieniu odzyskała - wtrąciła Arabella. - A co więcej, z moim błogosławieństwem.

- A czy nadal ma pani nadzieję, że Fenston zgodzi się na sprzedaż tego obrazu, żeby mogła pani spłacić dług? No bo gdyby się zgodził, byłby to precedens.

- Nie - odparła Arabella nieco za szybko. - To ostatnia rzecz, jakiej chcę.

Jack zrobił zaskoczoną minę.

- Przynajmniej do czasu, aż policja rozwiąże zagadkę morderstwa pani siostry - wtrąciła Anna.

- Wszyscy wiemy, kto zabił moją siostrę - rzekła Arabella ostrym tonem - a jeśli ta kobieta kiedykolwiek stanie na mojej drodze, z przyjemnością rozwalę jej głowę.

Oba psy postawiły uszy.

- Wiedzieć to nie znaczy udowodnić - przypomniał Jack.

- A więc Fenstonowi to morderstwo uszło na sucho - zauważyła Anna opanowanym tonem.

- Nie po raz pierwszy, jak podejrzewam - przyznał Jack. - Nasze biuro śledzi go już od pewnego czasu. Cztery... nie, już pięć zabójstw w różnych częściach świata nosi znak firmowy Krantz, ale dotąd nie udało nam się powiązać jej z Fenstonem.

- Krantz zabiła Victorię, no i Sergeia - powiedziała Anna.

- Niewątpliwie - przytaknął Jack.

- Pułkownik Sergei Slatinaru zaś był dowódcą pani ojca - dodał Tom - a także jego bliskim przyjacielem.

- Zrobię wszystko, żeby wam pomóc - oznajmiła Anna, bliska łez. - Naprawdę wszystko.

- Odnotowaliśmy niewielki przełom w śledztwie - przyznał Tom - choć nie mamy pewności, czy on nas do czegoś doprowadzi. Kiedy Krantz zawieziono do szpitala, żeby usunąć z jej ramienia kulę, znaleziono przy niej, oprócz noża i niewielkiej ilości gotówki, jakiś klucz.

- Który z pewnością pasuje do jakiegoś zamka w Rumunii? - zasugerowała Anna.

- Chyba nie - oznajmił Jack, delektując się grzybami. - Jest na nim wyryty napis: NYRC 13. Nie jest to jakiś wielki trop, ale gdyby udało się nam ustalić, co ten klucz otwiera, może, powtarzam: może pozwoliłoby nam to powiązać Krantz z Fenstonem.

- A więc chce pan, żebym pozostała w Anglii na czas trwania śledztwa? - zapytała Anna.

- Nie. Wolałbym, żeby wróciła pani do Nowego Jorku - odparł Jack.

-  
- Niech wszyscy się dowiedzą, że jest pani cała i bezpieczna. Proszę zachowywać się normalnie, nawet szukać pracy. Tylko niech pani nie daje Fenstonowi powodu do podejrzeń.

- Czy mam się kontaktować z moimi dawnymi kolegami z jego biura? - zapytała. - Bo sekretarka Fenstona, Tina, jest jedną z moich najbliższych przyjaciółek.

- Czy jest pani tego pewna? - odezwał się Jack, odkładając sztućce.

- Co pan ma na myśli? - zapytała Anna.

- Jak wyjaśniłaby pani fakt, że Fenston zawsze dokładnie znał miejsce pani pobytu, jeśli nie od Tiny?

- Nie wiem, ale jestem pewna, że Tina nienawidzi Fenstona tak jak ja.

- Potrafi pani to udowodnić? - zapytał Jack.

- Niepotrzebny mi żaden dowód - burknęła Anna.

- A mnie tak - rzekł Jack dobitnie.

- Niech pan uważa, Jack, bo jeśli pan się myli, jej życie także może być zagrożone.

- Skoro tak, to tym bardziej powinna pani wrócić do Nowego Jorku i jak najszybciej się z nią skontaktować - zauważył Tom, usiłując rozładować atmosferę.

Jack z aprobatą pokiwał głową.

- Mam bilet na samolot po południu - oznajmiła Anna.

- Ja też - odrzekł Jack. - Heathrow?

- Nie, Stansted.

- No cóż, wobec tego jedno z was musi zmienić lot - oświadczył Tom.

- Ja nie - zaprotestował Jack. - Nie mam zamiaru po raz drugi zostać aresztowany za śledzenie.

- Zanim podejmę decyzję w sprawie biletu - odezwała się Anna - chciałabym wiedzieć, czy przeciwko mnie nadal toczy się śledztwo. Bo jeśli tak, to pan może dalej mnie w najlepsze śledzić.

- Zamknąłem pani akta kilka dni temu - wyjaśnił Jack.

- A co pana do tego skłoniło? - zapytała Anna.

- Kiedy siostra lady Arabelli została zamordowana, miała pani wiarygodnego świadka dla potwierdzenia swego alibi.

- A kto nim był, jeśli mogę spytać?

- Ja - odparł Jack. - Skoro śledziłem panią w Central Parku, nie mogła pani być w Anglii.

- Pan biega w Central Parku?

- Codziennie rano robię pętlę - przyznał. - A w niedzielę okrążam jeziorko.

- Ja też! - Anna rozpromieniła się. - Nigdy sobie nie odpuszczam.

- Wiem. W ciągu minionych sześciu tygodni kilka razy panią przegoniłem.

Anna utkwiała w Jacku wzrok.

- Mężczyzna w szmaragdowym T-shircie. Niezły z pana biegacz.

- A pani wcale nie jest...

- Przepraszam, że przerywam wam to spotkanie klubu miłośników Central Parku - wtrącił Tom, odsuwając krzesło - ale powinienem wracać do pracy. Na biurku czeka na mnie stos dokumentów na temat jedenastego września, do których nawet nie zajrzałem. Dziękuję za śniadanie - dodał, zwracając się do Arabelli. - Bardzo mi przykro, że ambasador musiał zakłócić pani spokój o tak wczesnej porze.

- Co mi przypomina - odrzekła Arabella, wstając z krzesła - że muszę napisać kilka listów: z podziękowaniem do ambasadora i z przeprosinami do połowy sił policyjnych w Surrey.

- A co ja mam zrobić? - odezwał się Jack. - Zastanawiam się, czy nie pozwać do sądu Wentworth Estate, policji hrabstwa Surrey i Home Office, a Toma podać na mojego świadka.

- Nie ma mowy - zaprotestował Tom. - Nie mam zamiaru mieć w lady Arabelli wroga.

Jack uśmiechnął się.

- No cóż, wobec tego zadowolę się podwiezieniem do Wentworth Arms.

- To masz jak w banku - zapewnił go Tom.

- Skoro już wiem, że mogę się pana nie obawiać - rzekła Anna, podnosząc się ze swego miejsca - to gdzie się na Heathrow umówimy?

- Proszę się nie martwić - odparł Jack. - Znajdę panią.

43

Leapman wyruszył na lotnisko Kennedyego na godzinę przed lądowaniem samolotu, co wcale nie przeszkodziło Fenstonowi dzwonić do niego co dziesięć minut. W drodze powrotnej z lotniska na Wall Street, podczas której czerwona skrzynka leżała bezpiecznie zamknięta w bagażniku, Fenston dzwonił dwa razy częściej.

Przez cały ten czas krążył tam i z powrotem po gabinecie, a gdy zobaczył zatrzymującą się przed budynkiem limuzynę z Leapmanem, wybiegł na korytarz. Oprócz Leapmana z windy wysiedli Barry i kierowca. Obaj nieśli skrzynkę.

- Otwórzcie to - powiedział Fenston, jeszcze zanim przesyłka została wniesiona do gabinetu.

Fenston, Leapman i Tina patrzyli, jak Barry i kierowca zwalniają specjalne zaciski, a dopiero potem przystępują do wyciągania długich gwoździ wbitych w boki skrzyni. Gdy w końcu mężczyźni unieśli wieko i usunęli poliestrowe rogi zabezpieczające ramę, Barry wyjął ostrożnie obraz i oparł go o biurko szefa.

Fenston wyrwał się do przodu i gołymi rękami począł zrywać z malowidła folię pęcherzykową, aż wreszcie jego oczom ukazał się obraz, za który gotów był zabijać.

Odstąpił krok do tyłu i zachłysnął się powietrzem

Nikt w pokoju nie odważył się przemówić, nie usłyszawszy opinii szefa. Ten nagle wyrzucił z siebie podnieconym tonem:

– Jest jeszcze wspanialszy, niż oczekiwałem. Jakie świeże barwy jaka odważna faktura! To naprawdę arcydzieło!

Leapman postanowił wstrzymać się od komentarza.

- Wiem, gdzie powieszę mojego van Gogha - dodał Fenston.

Podniósł głowę i spojrzał na ścianę za biurkiem, której sporą przestrzeń zajmowała duża fotografia George'a W. Busha ściskającego dłoń Fenstonowi podczas ostatniej wizyty tego pierwszego w miejscu, gdzie stały wieże World Trade Center.

Anna nie mogła się doczekać powrotu do Stanów. Cieszyła ją też perspektywa siedmiogodzinnej podróży w towarzystwie Jacka. Żywiła nawet nadzieję, że Jack udzieli jej odpowiedzi na parę pytań. Na przykład, w jaki sposób zdobył adres jej matki, dlaczego nadal żywi podejrzenia wobec Tiny, i czy istnieje jakikolwiek dowód na to, że Krantz i Fenston w ogóle się spotkali?

Jack czekał na nią, gdy nadawała bagaż. Chwilę trwało, zanim poczuła się swobodnie w towarzystwie człowieka, który śledził ją przez minione dziewięć dni. Jednak gdy potem razem wchodzili na pokład samolotu, Jack już wiedział, że Anna kibicuje nowojorskim koszykarzom Knicksom, lubi spaghetti i Dustina Hoffmana, podczas gdy Anna ustaliła, że Jack także jest kibicem Knicksów, że jego ulubionym artystą współczesnym jest Fernando Botero i że nic w świecie nie jest w stanie zastąpić irlandzkiego gulaszu jego matki.

W samolocie Anna właśnie zadawała sobie pytanie, czy Jack lubi pulchne kobiety, gdy jego głowa opadła na jej ramię. Ponieważ poprzedniej nocy niewiele spał właśnie z jej powodu, uznała, że nie ma prawa narzekać. Delikatnie przesunęła głowę Jacka na jego fotel, nie chcąc go obudzić. Gdy zaczęła układać listę rzeczy, które musi zrobić tuż po powrocie do Nowego Jorku, głowa Jacka z powrotem wylądowała na jej ramieniu. Poddała się i próbowała zasnąć mimo tej niedogodności. Przeczytała kiedyś, że jedną siódmą ciężaru ciała człowieka stanowi jego głowa, i teraz w pełni się z tym zgodziła.

Obudziła się mniej więcej godzinę przed spodziewanym lądowaniem samolotu i stwierdziła, że Jack nadal śpi, tyle że teraz podparł głowę ręką. Zmęczona wyprostowała się i przyjęła od stewardesy kubek herbaty.

Jack nagle oprzytomniał.

- Czy na ogół już po pierwszej randce przesypiasz się z mężczyzną? - zapytał, szczerząc zęby.

- Tylko wtedy, kiedy zaprasza mnie na kolację - odparta.

- A więc teraz, skoro tak cudownie zmartwychwstałaś, co zamierzasz zrobić przede wszystkim?

- Zadzwoń do rodziny i przyjaciół i powiedz im, że żyję, a potem sprawdź, czy ktoś zechce mnie zatrudnić. A ty?

- Muszę zameldować się u szefa i zawiadomić go, że wcale nie jestem bliższy zdemaskowania Fenstona, niż byłem, co on skwituje jedną ze swoich ulubionych maksym: „Podkręć tempo” albo



„Dokręć śrubę”.

- To niesprawiedliwe - zauważyła Anna. - Skoro Krantz jest teraz za kratkami...

- Ale nie dzięki mnie - sprostował. - Złość szefa to jednak nic w porównaniu z gniewem mojej matki, której będę musiał jakoś wytłumaczyć, dlaczego nie zadzwoniłem do niej z Londynu, i przeprosić za nieobecność na jej irlandzkiej kolacji. Nie, moja jedyna nadzieja na odkupienie win to rozszyfrowanie skrótu NYRC. - Wsunął rękę do górnej kieszeni marynarki. - Po opuszczeniu Wentworth Arms pojechałem z Tomem do ambasady, a tam, dzięki nowoczesnej technologii, on był w stanie zrobić dokładną kopię tego klucza, mimo że oryginał nadal jest w Rumunii. - Wyjął z kieszeni faksymile i wręczył je Annie.

Obejrzała uważnie mały mosiężny kluczyk.

- NYRC 13. Masz jakiś pomysł?

- Tylko kilka oczywistych - odparł.

- New York Racing Club, New York Rowing Club, i co dalej?

- New York Racquet Club, ale jeśli przypomni ci się jeszcze coś, to mi powiedz, bo zamierzam spędzić resztę weekendu na próbach ustalenia, czy któryś z tych klubów wchodzi w grę. Muszę mieć jakieś konkrety na rozmowę z szefem.

- A może mógłbyś zwolnić trochę podczas jutrzejszego porannego biegu i wyjawić mi, czy coś ustaliłeś?

- Miałem nadzieję powiedzieć ci to dziś wieczorem przy kolacji.

- Przepraszam, Jack. Bardzo bym chciała, ale dziś jem kolację z Tiną.

- Ach tak - mruknął. - No to bądź ostrożna.

- Czy szósta jutro rano ci odpowiada? - zapytała, ignorując jego słowa.

- A więc muszę nastawić budzik na szóstą trzydzieści, jeśli mamy się spotkać gdzieś w połowie drogi, bo i tak cię dogonię.

- O tej porze będę już po prysznicu.

- Szkoda, że beze mnie.

- A przy okazji - dodała Anna - czy mogłabym cię prosić o przysługę?

Leapman wkroczył do gabinetu szefa bez pukania.

- Widziałeś to? - zapytał, kładąc na biurku egzemplarz „New York Timesa” i stukając palcem w artykuł zamieszczony w dziale międzynarodowym.

Fenston ze zmarszczonym czołem spojrzał na nagłówek - RUMUŃSKA POLICJA ZATRZYMUJE ZABÓJCZYNIĘ. Przeczytał krótki komunikat dwukrotnie, a dopiero potem się odezwał:

- Czy, twoim zdaniem, uda jej się uciec?

- Nie wykluczam tego - odparł Leapman. - Jest jeszcze jedna sprawa, nad którą trzeba by się zastanowić.

- Mianowicie?

- Ten van Gogh. Dobrze by było go ubezpieczyć. Pamiętasz, co się stało z Monetem.

- Nigdy nie ubezpieczam obrazów. Nie mam ochoty, żeby urząd podatkowy wiedział, ile warta jest moja kolekcja, a poza tym nic nigdy nie zdarza się dwa razy.

- Właśnie się zdarzyło - zauważył Leapman.

Fenston jęknął i przez chwilę milczał.

- Dobrze, ale tylko tego van Gogha - zgodził się po namyśle. - Ubezpiecz go u londyńskiego

Lloyda i dopilnuj, żeby wartość księgową wynosiła poniżej dwudziestu milionów.

- Dlaczego tak mało? - zdziwił się Leapman.

- Bo do szczęścia nie brakuje mi van Gogha o wartości księgowej stu milionów w chwili, kiedy mam nadzieję zdobyć resztę kolekcji Wentworthów.

Leapman pokiwał głową i odwrócił się, by odejść.

- A przy okazji - odezwał się Fenston, zerkając z powrotem na artykuł - czy zaniósłeś już Krantz do sejfu te pół miliona?

- Nie, miałem zamiar...

- To się nie spiesz. - Spojrzał na Leapmana i uśmiechnął się. - Poczekajmy, aż ucieknie.

Krantz leżała spokojnie w łóżku i czekała, aż o drugiej w nocy stawi się w szpitalu następna zmiana. Tylko dzięki zmieniającym się dyżurom potrafiła określić czas. Jeden ze strażników wrócił właśnie z przerwy na jedzenie, toteż, jak Krantz wyliczyła, do drugiej zostało około dwudziestu minut.

Czyli pora, by przystąpić do działania. Krantz zsunęła z siebie koc, położyła się na boku i podciągnęła kolana pod brodę, po czym wsunęła dwa palce w odbytnicę i powoli wyjęła z niej kondom. Potem rozwiązała supeł na końcu prezerwatywy i wyłuskała z jej środka ciasno zwiniętych banknotów studolarowych. Wyciągnęła z rolki dwa banknoty, ukryła pod temblakiem, po czym powtórzyła cały proces w odwrotną stronę.

Uznała, że do drugiej brakuje dziesięciu minut.

Pozostało jej tylko czekać.

Jack siedział na tylnym siedzeniu taksówki i wyglądał przez okno.

Szara chmura, pamiątka wydarzeń jedenastego września, nadal wisiała nad Manhattanem, chociaż przechodzący obok tego miejsca nowojorczyki już przestali z niedowierzaniem patrzeć w górę. Terroryzm stał się w końcu jeszcze jedną rzeczą, z którą najbardziej szalone miasto świata nauczyło się żyć.

Jack oparł się wygodnie i przypomniał sobie, że obiecał Annie coś załatwić. Zadzwoił pod numer, który mu podała. Telefon odebrał Sam. Jack wyjaśnił mu, że Anna żyje i ma się dobrze, że odwiedziła swoją matkę w Rumunii i że dziś wieczorem może się jej spodziewać.

Bardzo jest miło zacząć dzień od zrobienia komuś przyjemności, pomyślał. Z drugą rozmową jednak tak łatwo mu nie pójdzie. Zadzwoił do szefa, by poinformować go, że wrócił do Nowego Jorku. Dowiedział się od Dicka Macy'ego, że Krantz została przewieziona do szpitala w Bukareszcie na operację ramienia i że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jest strzeżona przez sześciu strażników.

- Byłbym spokojniejszy, gdyby siedziała zamknięta w więzieniu - nie ukrywał Jack.

- Mówiono mi, że w tej materii masz już pewne doświadczenie - zauważył Macy.

Jack otworzył usta, by odpowiedzieć, gdy Macy dodał:

- A może byś tak do końca tygodnia zrobił sobie wolne, co, Jack? Zasłużyłeś na to.

- Dziś jest sobota - przypomniał Jack szefowi.

- No to do zobaczenia w poniedziałek rano - rzekł Macy i się z nim pożegnał.

Jack postanowił wysłać Annie esemesa. „Sam wie, że wracasz. Czy to jeszcze jeden z twojej świty?”. Począł kilka minut na odpowiedź, skoro jednak nie nadeszła, zadzwonił do matki.

- Czy dziś wieczorem przyjdiesz na kolację? - zapytała ostrym tonem, a Jack niemal poczuł zapach gotującej się baraniny po irlandzku.

- A czy mógłbym nie przyjść, mamó?

- W zeszłym tygodniu cię nie było.

- Ach tak. Chciałem zadzwonić - odparł Jack - ale musiałem przebyć pół świata w pogoni za kobietą.

- To katoliczka? - zapytała matka natychmiast.

- Nie, mamó - odparł. - To rozwódka. Z jej trzech byłych mężów dwóch zmarło w tajemniczych okolicznościach. Aha, ma jeszcze pięcioro dzieci, nie wszystkie poczęte przez byłych mężów, ale na pewno ucieszy cię wiadomość, że tylko czwórka z tych dzieci zażywa narkotyki twarde. Piąte odsiaduje obecnie wyrok.

- Czy ona ma stałą pracę?

- Och, tak, świadczy usługi dla ludności. Obsługuje większość klientów w weekendy, ale zapewniła mnie, że zawsze znajdzie godzinę na irlandzki gulasz.

- A więc czym ona naprawdę się zajmuje? - drażyła matka.

Kradzież dzieł sztuki - odrzekł - Specjalizuje się w van Goghu i Picassie. Z każdego zlecenia ma potworne zyski

- To w stosunku do poprzednich twoich kobiet jakiś postęp - zauważyła matka.

- Tymczasem, mamó. Do zobaczenia wieczorem.

Jack rozłączył się i zauważył, że nadszedł esemes od Anny. Włączył szare komórki, Wywiadowco. R jest oczywiste. Jesteś dla mnie za powolny”

- A niech ją wszyscy diabli - mruknął Jack i zaczął wybierać numer do Toma, lecz po sygnale usłyszał tylko głos sekretarki: „Tu Tom Crasanti, nie mogę teraz odebrać telefonu, ale wkrótce oddzwonię. Proszę zostawić wiadomość”.

Nie nagrał się, ponieważ taksówka podjeżdżała już pod jego dom.

- Trzydzieści dwa dolary.

Wręczył taksówkarzowi cztery banknoty dziesięciodolarowe, nie poprosił o resztę i nie usłyszał nawet słowa „dziękuję”. W Nowym Jorku wszystko wracało do normy.

Wreszcie Krantz usłyszała, że w korytarzu zbiera się nocna zmiana. Wiedziała, że on za chwilę do niej przyjdzie. W końcu miał tylko przynieść jej szklanę wody, za co otrzymywał paczkę papierosów Silk Cut. Niezły interes, jak na niego.

Na ogół mijało kolejne dwadzieścia minut, zanim wymykał się na pierwszego podczas dyżuru papierosa. Był to sygnał dla jego kolegi, by przynieść jej kanapkę z serem, puszkę dietetycznej coli i kolejną paczkę Silk Cutów i zainkasować sto dolarów. Nawet Ritz nie kazałby sobie za taką usługę równie słono płacić. Ten facet jednak był równie głupi, co zachłanny, a Krantz liczyła na owo połączenie cech jego charakteru. Już ona mu pokaże, co naprawdę znaczą słowa Silk Cut.

Jack, jeszcze zanim wziął prysznic i się przebrał, zaczął wertować nowojorską książkę telefoniczną w poszukiwaniu skrótu NYRC. Odszukał trzy hasła, które sam wymyślił, nie mógł jednak zidentyfikować tego, które Anna nazwała „oczywistym”. Włączył laptopa i wpisał w Google’u słowa „new york racquet club”, w odpowiedzi zaś uzyskał krótką historię NYRC, kilka fotografii

eleganckiego budynku przy Park Avenue oraz zdjęcie obecnego prezesa, Dariusa T. Mablethorpe 'a III. Jack nie wątpił, że jeśli chce dostać się do środka, musi wyglądać jak członek klubu. Nie rób wstydu firmie.

W końcu rozpakował walizkę i wziął prysznic, po czym włożył na siebie ciemny garnitur w delikatne prążki, niebieską koszulę i krawat z emblematem Uniwersytetu Columbia. Potem wyszedł z domu i taksówką dotarł do Park Avenue 370. Chwilę stał na chodniku wpatrując się w budynek. Był pełen podziwu dla czterokondygnacyjnej budowli neorenesansowej, która przypominała mu o stylu palazzo, na przełomie wieków bardzo popularnym wśród Włochów zamieszkujących Nowy Jork. Wreszcie wszedł na schody wiodące do drzwi wejściowych. W umieszczonych w nich szybach widniały delikatnie wyryte litery NYRC. Portier pozdrowił Jacka słowami:

- Dzień dobry, sir - i otworzył przed nim drzwi takim gestem, jakby przybyły był dożywotnim członkiem klubu.

Jack wszedł do wytwornego holu, którego każdą wolną przestrzeń zdobiły ogromne portrety byłych prezesów ubranych w długie białe spodnie i błękitne blezery, z nieodłączną rakieta w dłoni. Jack zerknął na szerokie, biegnące łukiem schody, nad którymi także wisiał rząd portretów dawnych prezesów, jeszcze starszych. Tylko rakiety były takie same.

Jack podszedł do recepcyjnego biurka.

- Czy mogę w czymś panu pomóc? - zapytał młody człowiek.

- Obawiam się, że może to być trudne - odparł Jack.

- Mimo wszystko spróbuję.

Jack wyjął z kieszeni replikę klucza i położył ją na biurku.

- Widział pan to kiedyś? - zapytał.

Młody człowiek wziął do ręki klucz i przyjrzał mu się dokładnie, poświęcając dłuższą chwilę analizie liter, po czym rzekł:

- Nie, sir, chyba nie. To może być klucz do skrytki, ale nie naszej. -

Mężczyzna odwrócił się i z wiszącej za nim tablicy zdjął ciężki mosiężny klucz. Na uchwycie zostało wyryte nazwisko członka klubu, a na trzonku czerwonymi literami wypisano skrót NYRC.

- Ma pan jakiś pomysł? - zapytał Jack, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała rozpacz.

- Nie - padła odpowiedź. - Chyba że to było dawniej. Ja pracuję tutaj dopiero od jedenastu lat, ale może Abe coś by wiedział. On był tu już w czasach, kiedy więcej ludzi grało w racquetballa niż w tenisa.

- A dzentelmeni grali tylko w racquetballa - wtrącił starszy człowiek, który wyszedł z biura znajdującego się na tyłach recepcji. -

W czym mógłbym pomóc?

- Klucz - odparł młody człowiek. - Ten pan chce wiedzieć, czy widziałeś taki klucz - dodał, podając go przybyłemu.

Abe obejrzał klucz z każdej strony.

- Na pewno nie jest nasz - oświadczył - i nigdy nasz nie był, ale wiem, co oznacza R - dodał triumfalnym tonem. - To się zdarzyło prawie dwadzieścia lat temu, kiedy Dinkins był burmistrzem. - Urwał i przeniósł wzrok na Jacka. - Wszedł tutaj młody człowiek, który właściwie nie mówił po angielsku, i zapytał, czy to jest Klub Rumuński.

- Oczywiście - mruknął Jack. - Ależ jestem głupi.

- Pamiętam, jaki był zawiedziony - ciągnął Abe, ignorując cichą uwagę Jacka - kiedy się

dowiedział, że R oznacza „Racquet”, choć moim zdaniem, nie miał pojęcia, co to jest ta rakietka. Widzi pan, nie umiał czytać po angielsku, więc musiałem poszukać mu adresu. Pamiętam to wszystko tylko dlatego że klub znajdował się gdzieś na Lincoln - oznajmił, wymawiając z emfazą nazwę ulicy, a potem przeniósł wzrok na Jacka, który postanowił więcej mu nie przerywać. - Imię mam po nim nie? - wyjaśnił Abe, a Jack uśmiechnął się i kiwnął głową. - Chyba gdzieś w Queens, choć gdzie dokładnie, nie pamiętam.

Jack schował klucz do kieszeni, podziękował Abemu i ruszył w stronę wyjścia, pozbawiając starszego pana szansy podzielenia się kolejnymi wspomnieniami.

Tina siedziała przy biurku, pisząc przemówienie. Była sobota, lecz Fenston nawet jej nie podziękował za przyście do pracy w taki dzień.

„Od bankowców należy oczekiwać nieustannego przestrzegania norm wykraczających daleko poza wymagane prawem minimum”.

Stowarzyszenie Bankowców Nowego Jorku poprosiło Fenstona o wygłoszenie programowego przemówienia na dorocznej kolacji organizowanej w hotelu Sherry Netherland.

Fenston był zaskoczony, ale i zachwycony nadejściem zaproszenia, choć z drugiej strony od pewnego czasu o nie zabiegał.

Komisja nie była jednomyślna.

Fenston postanowił wyrzucić dobre wrażenie na swych kolegach z kręgów finansowych, i podyktował Tinie już kilka projektów przemówienia.

„Klienci powinni móc zawsze polegać na naszym niezależnym osądzie, ufać, że będziemy działać w ich najlepiej pojętym interesie, nie zaś w naszym własnym”.

Tina zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie pisze scenariusza serialu komediowego o bankowcach, w którym Fenston chce zagrać główną rolę. A jaką rolę odegra Leapman w tej moralnej przypowieści? Ile odcinków przetrwa Victoria Wentworth?

„Musimy nieustannie pamiętać o tym, że jesteśmy strażnikami powierzonych nam przez klientów kapitałów - zwłaszcza jeśli są właścicielami van Gogha, chciała wtrącić Tina - nigdy nie tracąc z pola widzenia ich oczekiwań jako inwestorów”.

Kontynuując notowanie bezwstydnego przemówienia Fenstona, Tina myślami popłynęła w stronę Anny. Rozmawiała z nią dziś rano, tuż przed wyjściem do biura. Anna chciała opowiedzieć o nowym mężczyźnie w jej życiu, którego poznała w niezwykłych okolicznościach. Umówiły się wieczorem na kolację, ponieważ Tina również miała dla Anny pewne wiadomości.

„I nigdy nie zapominajmy o tym, że jeśli choćby jeden z nas potraktuje te normy swobodniej, to reszta poniesie tego konsekwencje

Gdy Tina zaczęła pisać następną stronę, przez myśli przemknęło jej pytanie, jak długo jeszcze zdoła się utrzymać na stanowisku osobistej asystentki Fenstona. Odkąd wyrzuciła Leapmana ze swego gabinetu, nie padło między nimi ani jedno uprzejme słowo. Czy zostanie zwolniona na kilka dni przed zebraniem dowodów wystarczających do tego, by ulokować Fenstona na resztę życia w niewielkim pomieszczeniu utrzymywanym przez podatnika?

„Pozwolę sobie skończyć to wystąpienie stwierdzeniem, że moim jedynym celem w życiu było zawsze służyć i odwdziżyć się społeczności, która pozwoliła mi stać się częścią amerykańskiego marzenia”.

Pomyślała, że nie będzie sobie zwracała głowy kopiowaniem tego dokumentu.

Na jej aparacie zabłyśło światelko, toteż szybko podniosła słuchawkę.

- Tak, panie prezesie?

- Czy skończyłaś przemówienie na kolację bankierów?

- Tak, panie prezesie - powtórzyła.

- Jest dobre, prawda? - powiedział Fenston.

- Jest niezwykle - odparła Tina.

Jack zatrzymał taksówkę, by udać się na Lincoln Street w dzielnicy Queens. Kierowca sprawdził adres w swej mocno zużytej księdze, nie wyłączając licznika. Przebyli mniej więcej połowę drogi do lotniska, gdy taksówka zatrzymała się na rogu ulic Lincoln i Harry. Jack rozejrzał się wokół i pomyślał, że jego strój, który starannie wybrał na wizytę w Park Avenue, w Queens wygląda nieco osobliwie.

Wszedł do sklepu monopolowego znajdującego się na rogu Harry Street.

- Szukam Klubu Rumuńskiego - zwrócił się do stojącej za ladą ekspedientki.

- Zamknęli go lata temu - oznajmiła. - Teraz jest tam dom noclegowy - dodała, przyglądając mu się uważnie - ale chyba nie zechciałby pan w nim zanoćować.

- A zna pani numer?

- Nie, ale to jest w połowie ulicy, po drugiej stronie.

Jack podziękował ekspedientce, wrócił na Lincoln Street i przeszedł na właściwą stronę. Próbował ustalić, w którym miejscu może być połowa ulicy, gdy spostrzegł tabliczkę z napisem: „Pokoje do wynajęcia”. Spojrzał na kilka schodków biegnących w dół do wejścia, a nad nim jeszcze bardziej wyblakłą tabliczkę. Napis NYRC, rok założenia 1919, był prawie nieczytelny.

Zbiegł na dół i pchnął skrzypiące drzwi. Hol był obskurny, słabo oświetlony, powietrze przesycone gryzącym zapachem zastalego dymu z papierosów. Na wprost drzwi stało małe, zapyziałe biurko, a za biurkiem siedział stary mężczyzna pogrążony w lekturze „New York Timesa”, niemal całkiem ukryty za gazetą i otoczony chmurą dymu z papierosów.

- Szukam pokoju na jedną noc - oznajmił Jack takim tonem jakby to była prawda.

Mężczyzna spojrział na niego z niedowierzaniem i przymrużył oczy jakby się zastanawiał, czy na ulicy nie czeka na tego gościa jakaś panna

- Siedem dolarów - oznajmił, po czym dodał: - Z góry.

- Chciałbym też przechować cenne rzeczy - powiedział Jack

- Zapłaci pan dolara więcej. Z góry - powtórzył mężczyzna, machając papierosem.

Jack wręczył mu osiem dolarów i otrzymał klucz.

- Pierwsze piętro, numer trzy, a skrytki są na końcu korytarza - wyjaśnił mężczyzna, podając Jackowi drugi klucz, po czym powrócił do lektury gazety, nie wyjmując papierosa z ust.

Jack ruszył powoli korytarzem w stronę ściany z sejfami, które mimo wieku wyglądały dość solidnie. Niełatwo by się było do nich włamać, nawet gdyby ktoś pomyślał, że może mu się to opłacić. Jack otworzył swój sejf i zerknął do środka. Miał ze dwadzieścia centymetrów szerokości i ponad pół metra głębokości. Potem spojrział w kierunku recepcji. Mężczyzna przewrócił stronę, trzymając papierosa w ustach.

Jack przeszedł dwa kroki dalej, z wewnętrznej kieszeni wyjął odlew klucza i, rzucając jeszcze jedno spojrzenie w stronę recepcji, otworzył sejf numer trzystaście. Zerknął do środka i usiłował zachować spokój, choć serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Wyjął z sejfu jeden banknot i ukrył go w

portfelu, a potem zamknął sejf i schował klucz z powrotem do kieszeni.

Stary człowiek znów przewrócił stronę. Gdy Jack wychodził na ulicę, sprawdzał właśnie typy na dzisiejsze gonitwy.

Jack musiał pokonać aż jedenaście przecznic, zanim znalazł wolną taksówkę, nie próbował jednak dzwonić do Dicka Macy'ego przed powrotem do swego mieszkania. Tam otworzył drzwi, wbiegł do kuchni i umieścił banknot na stole. Dopiero teraz uświadomił sobie wymiary pustego sejfu i zaczął kalkulować, ile studolarowych banknotów upchnięto w tej trzynastce. Zanim zadzwonił do Macy'ego, zaznaczył wymiary sejfu na kuchennym stole, a do pomocy w liczeniu użył kilku książek w wydaniu kieszonkowym, liczących po pięćset stron.

- Zdaje się, że do końca tygodnia dałem ci wolne - powiedział Macy, gdy usłyszał jego głos.
- Znalazłem sejf, który można otworzyć kluczem z napisem NYRC 13.
- Co było w środku?
- Nie jestem pewien - odparł Jack - ale powiedziałbym, że około dwóch milionów dolarów.
- Odwołuję cię z urlopu - oświadczył Macy.

23 września

44

- Dobre wieści - rzekł lekarz trzeciego dnia, gdy zdejmował jej temblak.

- Rana jest prawie wyleczona, więc powiem naczelnikowi, że jutro można panią przewieźć do Jilavy.

Te słowa przesądziły o decyzji Krantz. Gdy lekarz zmienił jej opatrunek i w milczeniu opuścił celę, pozostała w łóżku, analizując szczegółowo swój plan. Od trzeciej do dziewiątej głęboko spała.

- Nie było z nią żadnych problemów - usłyszała słowa jednego ze strażników, który o dziesiątej przekazywał klucze nocnej zmianie.

Krantz trwała nieporuszona przez następne cztery godziny, wiedząc, że od dwóch starszych strażników za paczkę papierosów czy banknot studolarowy oprócz uśmiechu nic nie uzyska. Oni nie mogą się doczekać jej pogrzebu.

Teraz Krantz czuwała.

Anna wyruszyła na swój poranny bieg tuż przed szóstą. Sam wyskoczył zza biurka, by otworzyć jej drzwi - od dnia jej powrotu jego twarzy nie opuszczał szeroki uśmiech.

Zastanawiała się, w którym miejscu Jack ją dogoni. Musiała przyznać, że odkąd się wczoraj rozstali, nie przestawała prawie o nim myśleć. Żywiła też nadzieję, że ich związek może przekroczyć granice znajomości zawodowej.

- Uważaj - ostrzegła ją Tina podczas kolacji. - Kiedy już dostanie to, co chce, pójdzie dalej. Taki facet niekoniecznie szuka seksu.

Szkoda, pomyślała wówczas.

- Fenston nie może się nacieszyć tym van Goghkiem - zapewniła ją Tina. - Powiesił go w najbardziej eksponowanym miejscu, czyli na ścianie za biurkiem.

W gruncie rzeczy Tina chętnie mówiła o wszystkim, co Fenston i Leapman wyprawiali przez ostatnie dziesięć dni. Niemniej dwie godziny później, gdy opuszczały restaurację, Anna - mimo delikatnego sondowania, aluzji i trafnych pytań - wcale nie była bliższa ustalenia dlaczego Fenston

ma nad jej przyjaciółką taką władzę.

Przypomniała sobie, że ostatnio biegła po Central Parku rankiem jedenastego września. Ciemnoszara chmura wreszcie się przerzedziła niemniej o tym dniu przypominało kilka innych okropnych rzeczy a wśród nich te dwa słowa na ustach wszystkich ludzi: Strefa Zero Przestała myśleć o okropnościach owego dnia, gdy w pobliżu Bramy Artystów spostrzegła biegnącego Jacka.

- Długo czekasz, Wywiadowco? - zapytała, wymijając go i kierując się w stronę stawu.

- Nie - odparł i natychmiast się z nią zrównał. - Już dwa razy obiegłem park, więc teraz mam sesję relaksową.

- Nie za wcześnie na odpoczynek? - zapytała Anna, przyśpieszając. Wiedziała, że długo takiej szybkości nie utrzyma, i rzeczywiście już po kilku sekundach Jack deptał jej po piętach.

- Nieźle - zauważył - ale jak długo zniesiesz takie tempo?

- Wydawało mi się, że to jest problem mężczyzn - powiedziała, nadal biegnąc szybko. Uznała, że jeśli chce pokonać Jacka, musi go czymś rozproszyć. Teraz, pomyślała, gdy ich oczom ukazał się Frick.

- Wymień pięciu artystów wystawianych w tym muzeum - zażądała, mając nadzieję, że jego brak wiedzy zrekompensuje jej brak szybkości.

- Bellini, Mary Cassatt, Renoir, Rembrandt i dwóch Holbeinów: More i Cromwell.

- Tak, ale który Cromwell? - zapytała, dysząc.

- Thomas, nie Oliver - odparł Jack.

- Nieźle, Wywiadowco - pochwaliła go.

- Możesz zrzucić za to winę na mojego ojca - odparł. - Kiedy w niedzielę szedł na patrol, matka ciągała mnie po galeriach albo po muzeach. Wydawało mi się wtedy, że to strata czasu, aż w końcu się zakochałem.

- W kim się zakochałeś? - zapytała, gdy wbiegali na Wzgórze Pielgrzyma.

- W Rossettim, a właściwie w jego kochance, Jane Burden.

- Niektórzy naukowcy mają wątpliwości, czy on z nią sypiał - oznajmiła Anna. - A jej mąż, William Morris, tak bardzo podziwiał Rossettiego, że ich zdaniem, chyba by nie protestował.

- Głupi.

- Dalej się kochasz w Jane?

- Nie, od tamtej pory wiele się zmieniło. Poszedłem w nowoczesność i zacząłem interesować się kobietami, którym pierś wyrasta często gdzieś za uchem.

- Musiałeś spędzać dużo czasu w MoMie\*.

- Mam za sobą kilka randek w ciemno, ale mama tego nie pochwała.

- A z kim, według niej, powinieneś się umawiać?

- Ona jest staroświecka, a więc z każdą kobietą imieniem Mary, która na dodatek jest dziewicą. Ale pracuję nad mamą.

- Czy pracujesz nad czymś jeszcze?

- Co masz na myśli?

- Na przykład co oznacza R - powiedziała Anna, ledwo dysząc.

- Może ty mi powiesz - odparł Jack.

- Postawiłabym na Rumunię - rzekła, akcentując słowa.

- Powinnaś była wstąpić do FBI - zauważył Jack, zwalniając.

- Przecież ty już to rozpracowałeś - powiedziała.



- Nie - zaproteutował. - Zrobił to dla mnie facet imieniem Abe.

- I?

- I oboje mieliście rację.

- A więc gdzie jest Klub Rumuński?

- W nędznym miejscu w Queens.

- A co znalazłeś w skrytce?

- Tego nie mogę być absolutnie pewien.

- Nie baw się ze mną, Wywiadowco, tylko mów, co było w skrytce.

- Około dwóch milionów dolarów.

- Dwóch milionów? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- No cóż, może nie aż tyle, ale wystarczyło, żeby mój szef rzucił wszystko, obstawił budynek glinami i odwołał mnie z urlopu.

- Kim może być osoba, która trzyma dwa miliony dolarów w sejfie w Queens? - zapytała Anna.

- To ktoś, kto nie może zaryzykować otwarcia rachunku w żadnym kraju.

- Krantz - powiedziała Anna.

- Teraz twoja kolej. Jak się udała kolacja z Tiną?

- Myślałam, że o to nie zapytasz - odrzekła Anna i przebiegła następne sto metrów, zanim dodała:

- Fenston uważa, że ostatni nabytek do jego kolekcji jest wspaniały. Ale co ważniejsze, kiedy Tina przyniosła mu dziś rano kawę, zauważyła na biurku „New York Timesa”, otwartego na stronie siedemnastej.

- Nie czytał więc kolumn sportowych.

- Nie, międzynarodowe - oznajmiła, wyciągając z kieszeni artykuł i podając go Jackowi.

- To sztuczka, żeby się przekonać, czy podczas czytania potrafię ci dotrzymać kroku?

- Nie, to sztuczka, żeby się przekonać, czy potrafisz czytać, Wywiadowco. A poza tym zawsze mogę zwolnić, bo wiem, że kiedyś nie byłeś w stanie dotrzymać mi kroku.

Jack przeczytał tytuł, gdy zaczęli biec wzdłuż jeziora, a potem niemal się zatrzymał. Odezwał się dopiero po długiej chwili:

- Sprytna ta twoja Tina.

- Jest coraz sprytniejsza - potwierdziła Anna. - Weszła kiedyś do Fenstona i usłyszała jak zapytał Leapmana: „Masz jeszcze ten drugi klucz?”. Nie wiedziała wtedy, co to znaczy, ale...

- Cofam wszystko, co o niej powiedziałem - wtrącił Jack. - Ona gra po naszej stronie.

- Nie, Wywiadowco, ona gra po mojej stronie - oświadczyła Anna i jak zwykle przyśpieszyła, bo dotarli już do Pól Truskawkowych. Jack nie odstępował jej na krok.

- Tu się z tobą pożegnaj - oznajmiła Anna, gdy z powrotem znaleźli się przy Bramie Artystów. Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się: jedenaście minut i czterdzieści osiem sekund.

- Późne śniadanie?

- Przykro mi, nie mogę - odpowiedziała. - Spotykam się ze starym przyjacielem z Christiego. Próbuję ustalić, czy mają jakiś wakat.

- Kolacja?

- Mam bilety na Rauschenberga w Whitney. Jeśli chcesz mnie zobaczyć, Wywiadowco, będę tam około szóstej.

Zanim zdążył odpowiedzieć, była już daleko.

Leapman wybrał na tę wyprawę niedzielę, ponieważ był to jedyny dzień tygodnia, w którym Fenston nie chadzał do biura, chociaż tej niedzieli już trzykrotnie do niego dzwonił.

Siedział sam w mieszkaniu, jedząc lunch z mikrofalówki i powtarzając w myślach starannie opracowany plan, aż w końcu nabrał przekonania, że wszystko pójdzie dobrze. Od jutra, absolutnie codziennie, będzie jadał kolacje w restauracji i nie będzie musiał czekać na Fenstona.

Gdy wymiół talerz do czysta, wrócił do sypialni i rozebrał się do spodenek. W szufladzie komody trzymał strój sportowy, przygotowany z myślą o tej wyprawie. Włożył na siebie T-shirt, szorty i szary rozciągnięty dres - nastolatki nie uwierzyliby, że ich rodzice takie niegdyś nosili - a w końcu białe skarpetki i także buty. Nie przejrzał się w lustrze. Przeszedł na drugą stronę pokoju, opadł na kolana i sięgnął pod łóżko po dużą sportową torbę, z której wystawał trzonek rakiety do squasha. Teraz Leapman był już w pełni wyekwipowany. Do szczęścia brakowało mu tylko klucza i paczki papierosów.

Powędrował do kuchni, otworzył szufladę, w której leżał karton kupionych na lotnisku Marlboro, i wyjął z niego paczkę. Sam nie palił. Ostatnim elementem tego beznamietnego rytuału było wsunięcie ręki pod szufladę i wyciągnięcie klucza, taśmą umocowanego do jej dna. Teraz Leapman miał już wszystko, czego potrzebował.

Zamknął mieszkanie na dwa zamki i zbiegł do piwnicy. Tam otworzył tylne drzwi i schodami wyszedł na ulicę.

Przypadkowy przechodzień wziąłby go za człowieka idącego do klubu zagrać w squasha. Leapman nigdy w życiu w tę grę nie grał. Pokonał piechotą odcinek do pierwszego skrzyżowania i dopiero tam zatrzymał taksówkę. Rytuał był zawsze taki sam.

Podał szoferowi adres domu, z którego do najbliższego klubu było co najmniej pięć mil. Usiadł na tylnym siedzeniu i z ulgą stwierdził, że kierowca nie jest zbyt rozmowny, bo musiał się skoncentrować. Dziś wykona zlecenie z drobną modyfikacją, co zresztą planował od dziesięciu lat. Po raz ostatni wykonuje jakiegokolwiek zadanie dla Fenstona. Ten człowiek wysługiwał się nim dzień po dniu przez dziesięć lat. Dziś już go nie wykorzysta. Nigdy więcej.

Zerknął na ulice przesuwane się za oknem samochodu. Odbywał tę podróż raz, czasami dwa razy w roku, i zostawiał w NYRC duże sumy, zwykle kilka dni po tym, gdy Krantz wypełniła swe kolejne zlecenie. W tym czasie w skrytce numer trzynastcie domu noclegowego przy Lincoln Street Leapman umieścił ponad pięć milionów dolarów. Wiedział, że to zawsze będzie podróż w jedną stronę - chyba że Krantz popełni błąd.

Gdy przeczytał w „Timesie”, że Olga Krantz została postrzelona w ramię - szkoda, że nie zastrzelona! - i aresztowana, ujrzał w tym swą szansę. Fenston nazwałby to okazją. W końcu Krantz jest jedyną osobą, która wie, ile gotówki znajduje się w tej skrytce, on zaś jest jedyną drugą osobą posiadającą klucz.

- Gdzie to ma być dokładnie? - zapytał kierowca.

Leapman zerknął na ulicę.

- Jeszcze dwie przecznice - odparł - i stanie pan na rogu. - Wyjął z torby raketę i położył ją na siedzeniu.

- Dwadzieścia trzy dolary - wymamrotał kierowca, zatrzymując się pod sklepem monopolowym.

Leapman podał mu przez kratę trzy banknoty dziesięciodolarowe.

- Wróć za pięć minut. Jeśli pan poczeka, zarobi pan kolejną pięćdziesiątkę.

- Poczekam - odparł taksówkarz bez wahania.

Leapman chwycił pustą torbę gimnastyczną i wysiadł, zostawiając raketę na siedzeniu. Przeszedł na drugą stronę ulicy, stwierdzając z zadowoleniem, że chodnik jest pełen robiących zakupy ludzi. To z tego powodu zawsze wybierał niedzielne popołudnie. Nigdy by nie zaryzykował wyjścia do Queens wieczorem. Tu za pustą torbę mogą człowieka zadźgać.

Przyśpieszył kroku. Gdy dotarł pod numer 61 przystanął na moment i sprawdził, czy ktoś go nie obserwuje. A niby dlaczego ktoś miałby się nim zainteresować? Zszedł kilka stopni w dół w stronę wejścia z napisem N YRC i pchnął drzwi, których nikt nigdy nie zamykał.

Siedzący za biurkiem recepcjonista podniósł na niego wzrok a gdy go rozpoznał, kiwnął głową - był to chyba najbardziej energiczny ruch jaki wykonał tego dnia - po czym wrócił do lektury strony z gonitwami. Leapman położył na biurku paczkę Marlboro, wiedząc, że papierosy znikną, zanim się odwróci. Każdy człowiek ma swoją cenę.

Zerknął w głąb korytarza oświetlonego jedynie czterdziestowatową żarówką bez osłony. Czasami zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest jedynym człowiekiem, który przekracza granicę wytyczoną przez to biurko.

Mimo mroku panującego w korytarzu bardzo dobrze wiedział, gdzie znajduje się ta skrytka. Numer na drzwiczkach był ledwo czytelny - w ciągu lat zblakł, tak jak wszystko tutaj. Leapman obejrzał się za siebie - w półmroku już żarzył się jeden z podarowanych recepcjoniście papierosów.

Wyjął klucz z kieszeni dresu, wsunął go do zamka, przekręcił i otworzył drzwiczki. Podniósł torbę, a potem zerknął w stronę starszego mężczyzny. Kompletny brak zainteresowania. W niecałą minutę opróżnił skrytkę, napełnił torbę i zasunął zamek błyskawiczny.

Potem zamknął drzwiczki i po raz ostatni przekręcił klucz w zamku. W końcu podniósł torbę i zaskoczony nieco jej ciężarem ruszył w drogę powrotną. Położył klucz na biurku.

- Już nie będę go potrzebował - powiedział staremu człowiekowi, którego ta zmiana w trybie dnia nie wytrąciła z równowagi na tyle, by zechciał przerwać obstawianie typów na torze w Belmont w gonitwie o czwartej po południu. Od dwunastu lat czekał na wielką wygraną, a nawet nie przyszło mu do głowy sprawdzić, czy nie ma jej przypadkiem parę kroków od recepcji.

Leapman ruszył w stronę drzwi, pokonał schodki w górę i wyszedł na Lincoln Street. Na ulicy ponownie przystanął i rozejrzał się wokoło. Czuł się bezpieczny. Ściskając kurczowo rączkę torby, szybko ruszył w stronę rogu, stwierdziwszy z ulgą, że taksówka dalej czeka.

Zdażył pokonać zaledwie około dwudziestu metrów, kiedy jakby spod ziemi wyrosło wokół kilkunastu mężczyzn ubranych w dżinsy i błękitne nylonowe kurtki z wydrukowanymi na plecach żółtymi literami FBI. Mężczyźni ci biegli w jego stronę z każdego możliwego miejsca. Chwilę później z obu końców ulicy, mimo że była jednokierunkowa, wjechały dwa samochody i z piskiem hamulców zatrzymały się ukośnie przy podejrzanym. Tym razem przechodnie przystawali i istotnie patrzyli na mężczyznę w dresie, który niósł sportową torbę. Gdy kierowca taksówki zauważył, co się dzieje, pospiesznie wcisnął pedał gazu, rezygnując z pięćdziesięciu dolarów.

- Poinformuj go o jego prawach - powiedział Joe, gdy jego kolega zakładał ręce Leapmana do tyłu i zakuwał je w kajdanki, a inny funkcjonariusz przejmował opiekę nad sportową torbą.

- Ma pan prawo nie odpowiadać na pytania - zaczął oficer, a Leapman uprzejmie go posłuchał.

Zatrzymany został pouczone o przysługujących mu uprawnieniach - nie po raz pierwszy - po czym doprowadzono go do jednego z samochodów i bezceremonialnie wepchnięto na tylne siedzenie, gdzie czekał na niego agent Delaney.

Anna stała w muzeum Whitney przed obrazem Rauschenberga zatytułowanym „Satelita”, gdy w kieszeni jej zakietu zawibrował telefon komórkowy. Wyświetlacz poinformował ją, że próbuje się z nią skontaktować Wywiadowca.

- Cześć - powiedziała.

- Pomyliłem się.

- W jakiej sprawie się pomyliłeś? - zapytała.

- Tam było więcej niż dwa miliony.

Krantz słuchała, jak zegar na pobliskiej wieży kościelnej wybija drugą. Leżała nadal nieruchomo, lecz psychicznie przygotowywała się do akcji.

Po kilku chwilach w zamku obrócił się ze zgrzytem ciężki klucz, a potem drzwi się otworzyły i zamknęły. Krantz nie poruszyła się, tak jak sobie założyła. Strażnik podszedł do łóżka powolnym krokiem, na stoliku postawił szklankę wody, wziął paczkę papierosów Silk Cut i bez słowa opuścił celę. Drzwi zatrzasnęły się, w zamku zazgrzytał klucz.

Krantz nawet nie drgnęła, zaciskając w jednej dłoni banknot studolarowy, w drugiej zaś nożyczki.

Po upływie kolejnych dwudziestu minut w zamku znowu zachrobotał klucz i drzwi otworzyły się po raz drugi. Potem cicho się zamknęły. Strażnik trochę szybszym krokiem niż jego poprzednik zbliżył się do łóżka, zostawił na stoliku kanapkę z serem, dietetyczną colę oraz paczkę Silk Cutów, po czym wyczekująco spojrzał na więźniarkę.

Spod koca wysunęła się malutka pięść, której palce powoli się rozprostowały, ukazując banknot. Twarz strażnika rozjaśnił uśmiech. Kiedy się pochylił, by odebrać swoje sto dolarów, banknot wysliznął się z dłoni Krantz i upadł na podłogę.

Uśmiechnięty strażnik kucnął, by go podnieść, lecz zanim zdążył się wyprostować, Krantz siedziała już na brzegu łóżka. W chwili gdy strażnik miał schować pieniądze do kieszeni, jedną ręką chwyciła go za gęste czarne włosy, drugą zaś wprawnym ruchem poderżnęła mu gardło. Nożyczki lekarskie nie są może najlepsze do takich celów ale tylko takie narzędzie udało jej się zdobyć.

Strażnik osunął się na podłogę i leżał w kałuży krwi, ściskając w dłoni banknot. Krantz wyskoczyła z łóżka, z pędu kluczy funkcjonariusza pośpiesznie odłączyła ten właściwy, podbiegła do drzwi i zamknęła je. Odsunęła nieco łóżko od ściany i spojrzała w górę na malutkie otwarte okno.

Zaraz się okaże, czy nie zaryzykowała o jeden raz za dużo.

Biegiem przebyła trzy kroki dzielące ją od drzwi, odbiła się od materaca, wskoczyła na oparcie łóżka, jakby to była jedna z poręczy gimnastycznych, podciągnęła się na ręce i zrobiła stójkę, po czym, obracając się niczym tyczkarz, przerzuciła nogi przez otwarte okno.

Przez chwilę tkwiła zawieszona między dwoma światami. Potem zaczęła poruszać biodrami, usiłując przepchnąć je na drugą stronę, wyrzucając jednocześnie ręce do przodu, by w otwór zmieściły się ramiona. W końcu zawisła na zewnątrz, trzymając się palcami parapetu. Nigdy nie patrz w dół, nigdy się nie wahaj. Puściła parapet i spadła dwie kondygnacje w dół, lądując na grządce kwiatów, i przeokoziółkowała, jak gdyby kończyła ćwiczenie na drążku efektywnym saltem.

Szybko podniosła się na nogi i puściła pędem w stronę otaczającego szpital wysokiego ogrodzenia z siatki. Zrobiła to w chwili, gdy palacz otworzył drzwi jej celi, szukając swego kolegi.

Kilka sekund później zawył alarm, a na terenie szpitala zrobiło się jasno jak na meczu rozgrywanym przy świetle elektrycznym. Krantz dzieliło od celu zaledwie kilka metrów, gdy

usłyszała szczekające psy. Nigdy się nie oglądaj, tracisz tylko czas.

Wskoczyła na ogrodzenie w momencie, gdy dopadł do niego pierwszy pies. Nieszczęsne zwierzę mogło tylko ujadaniem wyrazić swój hałaśliwy protest, gdy przypominająca małą postać z ręcznie wspięła się na górę, pokonała drut kolczasty i szybko ześliznęła się na drugą stronę. Wkrótce potem do płotu dotarło trzech strażników, lecz żaden nie miał odwagi pójść w ślady uciekinierki.

Jeden z nich natomiast wyciągnął broń i wycelował w biegnącą zygzakiem postać. Odrobinę chybił, lecz zanim nacisnął spust po raz drugi, Krantz zniknęła w lesie..

Młody lekarz ukląkł w kałuży krwi tuż obok martwego strażnika, szukając narzędzia zbrodni.

Dostrzegł pod łóżkiem nożyczki, chwycił je i szybko schował do kieszeni marynarki. Kiedy podniósł głowę, zauważył palacza, który z niedowierzaniem patrzył na ustawione w dziwnej pozycji łóżko i otwarte okno. A potem przypomniał sobie, że ta kobieta startowała w gimnastyce na olimpiadzie.

24 września

46

Jedną z złotych zasad Anny zalecała, by po obudzeniu najpierw się umyć, ubrać, zjeść śniadanie i przeczytać „New York Timesa”, a dopiero potem włączyć telefon komórkowy. Ale ponieważ w ciągu ostatnich dwóch tygodni Anna złamała wszystkie swoje złote zasady, dziś włączyła komórkę, zanim jeszcze wstała z łóżka. No i dowiedziała się, że Wywiadowca prosi o telefon, że dzwoniła Tina, lecz nie zostawiła wiadomości, a Japończyk nagrał tylko cztery słowa: „Pilne, proszę zadzwonić. Nakamura”.

Anna zmarszczyła czoło i przed telefonem do Nakamury postanowiła wziąć zimny prysznic. Gdy strumienie wody spływały po jej skórze, zastanawiała się nad treścią nagrania Japończyka. Słowo „pilne” zawsze skłaniało ją do podejrzewania najgorszego - należała do tych, dla których szklanka jest raczej w połowie pusta, a nie pełna.

Gdy wychodziła z łazienki, była już zupełnie rozbudzona. Serce biło jej tak szybko, jakby właśnie skończyła poranny bieg. Usiadła na brzegu łóżka i próbowała się uspokoić.

Kiedy stwierdziła, że jej serce bije mniej więcej w normalnym rytmie, wykręciła tokijski numer.

- Hai, Shacho-Shitso desu - odezwała się recepcjonistka.

- Z panem Nakamurą proszę.

- Kogo mam zaanonsować?

- Annę Petrescu.

- Ach tak, prezes oczekuje pani telefonu. Serce Anny znów zabiło szybciej.

- Dzień dobry, doktor Petrescu.

- Dzień dobry panu - rzekła Anna, żałując, że nie widzi twarzy swego rozmówcy, bo wtedy szybciej mogłaby się zorientować, co jej grozi.

- Niedawno odbyłem bardzo nieprzyjemną rozmowę z pani byłym szefem, Bryce'em Fenstonem - ciągnął Nakamura. - Obawiam się - tu Anna wstrzymała oddech - że ta rozmowa skłoniła mnie do zmiany opinii. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje - o tym człowieku. Ale nie w tej sprawie zadzwoniłem. Po prostu chciałem panią zawiadomić, że obecnie kosztuje mnie pani około pięciuset dolarów dziennie, ponieważ, zgodnie z pani sugestią, zdeponowałem u moich londyńskich prawników pięć milionów dolarów. W związku z tym chciałbym jak najszybciej zobaczyć van

Gogha.

- Mogłabym przylecieć do Tokio w ciągu kilku dni - zapewniła go - najpierw jednak musiałabym wpaść do Londynu i wziąć obraz

- To może nie będzie konieczne - oznajmił Nakamura. - We wtorek mam w Londynie spotkanie z Corus Steel i chętnie przyleciałbym dzień wcześniej, gdyby to nie kolidowało z planami lady Arabelli.

- Jestem pewna, że to dobry pomysł - odrzekła Anna. - Muszę skontaktować się z Arabellą, a potem zadzwonię do pana sekretarki i potwierdzę szczegóły. Z lotniska do Wentworth Hall podróż trwa tylko pół godziny.

- Świetnie - ucieszył się Japończyk. - A więc jutro wieczorem spotkamy się we troje. - Zamilkł na moment. - A przy okazji, Anno, czy zastanawiała się pani nad przyjęciem posady dyrektora mojej fundacji? Bo pan Fenston przekonał mnie jedynie o tym, że jest pani warta tych pięciuset dolarów dziennie.

Fenston czytał artykuł już po raz trzeci, lecz uśmiech nie opuszczał jego twarzy. Nie mógł się doczekać, aż podzieli się wiadomością z Leapmanem, choć ten pewnie przeglądał dziś gazetę. Fenston zerknął na stojący na biurku zegar: dochodziła dziesiąta. Leapman nigdy się nie spóźniał.

Gdzie on się podziewa?

Tina niedawno go powiadomiła, że w poczekalni siedzi pan Jackson, broker ubezpieczeniowy z londyńskiego oddziału Lloyda, a z portierni właśnie nadeszła informacja, że na górę jedzie Chris Savage z Christiego.

- Kiedy Savage do nas dotrze - powiedział Fenston - proszę przysłać do mnie obu, a potem poprosić do nas Leapmana.

- Jeszcze go dziś nie widziałam - odrzekła Tina.

- No to niech przyjdzie, jak tylko się pojawi - polecił Fenston.

Po raz kolejny przeczytał tytuł artykułu: „Ucieczka nożowniczeki”, i uśmiech po raz kolejny rozjaśnił jego twarz.

Rozległo się pukanie do drzwi, a chwilę potem Tina wprowadziła do gabinetu obu gości.

- Pan Jackson i pan Savage - oznajmiła.

Patrząc na ich stroje, nietrudno było się domyślić, który z nich jest brokerem ubezpieczeniowym, a który spędził życie w świecie sztuki. Fenston wyszedł zza biurka i uściśnął dłoń niskiemu, łysiejącemu mężczyźnie w granatowym garniturze w prążki, który przedstawił się jako Bill Jackson. Na jego niebieskim krawacie widniał herb rodowy. Fenston skinął głową Savage'owi, którego w ciągu minionych lat kilkakrotnie spotkał w Christiem. Savage miał na szyi charakterystyczną dla tego domu aukcyjnego szeroką muchę.

- Chciałbym wyjaśnić już na początku - zaczął Fenston - że mam zamiar ubezpieczyć tylko jeden obraz - wskazał na van Gogha - na dwadzieścia milionów dolarów.

- Mimo faktu, że na licytacji można uzyskać za niego sumę pięciokrotnie wyższą? - zapytał Savage, odwracając się, by po raz pierwszy obejrzeć płótno.

- To by oczywiście oznaczało znacznie mniejszą składkę - wtrącił Jackson. - Zakładając, że nasze chłopaki od zabezpieczeń uznają, że obraz jest odpowiednio chroniony.

- Proszę się nie ruszać, panie Jackson. Zaraz przekona się pan na własne oczy, czy obraz jest odpowiednio zabezpieczony.

Fenston podszedł do drzwi, wystukał sześciocyfrowy kod na klawiaturze obok wyłącznika światła i opuścił gabinet. Gdy zamknęły się za nim drzwi, z sufitu opadła się metalowa krata, która osiem sekund później opadła na podłogę, blokując dostęp do van Gogha. Jednocześnie rozległo się tak przenikliwe wycie alarmu, że nawet Quasimodo mógłby uznać, że pora zmienić zawód, gdyby przyszło mu to znosić.

Jackson zakrył dłońmi uszy i odwrócił się, stwierdzając, że druga krata odgradziła go od jedynych drzwi w pokoju. Podszedł więc do okna i spojrzał w dół na karzełki przesuwające się po chodniku. Kilka sekund później alarm ucichł, a metalowe kraty zaczęły się podnosić. Fenston wrócił do gabinetu - wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Imponujące - mruknął Jackson, nadal słysząc w głowie przeraźliwy dźwięk alarmu. - Niemniej muszę zadać panu kilka pytań - dodał. - Ile osób zna hasło?

- Tylko dwie - odparł Fenston. - Mój zastępca oraz ja. A poza tym co tydzień zmieniam kod.

- A to okno - ciągnął Jackson. - Czy można je jakoś otworzyć?

- Nie, to jest okno z kuloodpornymi szybami zespolonymi, a gdyby nawet komuś udało się je stłuc, i tak od ziemi dzielą go trzydzieści dwa piętra.

- A ten alarm...

- Jest podłączony bezpośrednio do Abbott Security - odparł Fenston. - Mają biuro w tym budynku i gwarantują, że dotrą na miejsce w ciągu dwóch minut.

- Jestem pod wrażeniem - oznajmił Jackson. - W takim razie uważam, że składka może zostać obniżona do jednego procenta, a w praktyce oznacza to około dwustu tysięcy dolarów rocznie. - Uśmiechnął się. - Szkoda tylko, że Norwegowie nie okazali się tak przewidujący jak pan, panie Fenston. Wtedy może nie musielibyśmy płacić aż tyle za „Krzyk”.

- Ale czy możecie także zagwarantować dyskrecję w tej materii? - zapytał Fenston.

- Ależ oczywiście - zapewnił Jackson. - Ubezpieczamy połowę skarbów tego świata, i nie odgadłby pan, kim są nasi klienci, nawet gdyby się pan włamał do naszej siedziby w Londynie. Wszystkie nazwiska są zaszyfrowane.

- To mnie uspokaja - orzekł Fenston. - Wobec tego pozostaje nam tylko wypełnić stosowne formularze.

- Możemy to zrobić - odparł Jackson - gdy tylko pan Savage potwierdzi, że obraz jest wart dwadzieścia milionów.

- To nie powinno być zbyt trudne - zauważył Fenston, kierując swą uwagę na Chrisa Savage'a, który skrupulatnie badał płótno. - Przecież pan Savage już nas zapewnił, że van Gogh z kolekcji Wentworthów jest wart prawie sto milionów.

- Van Gogh z kolekcji Wentworthów jest bez wątpienia tyle wart - odrzekł Chris Savage - ale ten na pewno nie. - Zawiesił głos, a potem stanął twarzą w twarz z Fenstonem. - W tym dziele sztuki oryginalna jest jedynie rama.

- Co pan mówi? - zapytał Fenston, patrząc na swój ukochany obraz z taką miną, jakby mu ktoś powiedział, że jego jedyne dziecko pochodzi z nieprawego łoża.

- Mówię to, co mówię - odparł Savage. - Rama jest oryginalna, ale sam obraz jest falsyfikatem.

- Falsyfikatem? - powtórzył Fenston słabym głosem. - Przecież przywieziono go z Wentworth Hall.

- Rama może i pochodzi z Wentworth Hall - tłumaczył Savage - ale zapewniam pana, że płótno stamtąd nie pochodzi.

- Skąd ta pewność, skoro nie przeprowadził pan żadnych badań?  
- Nie muszę przeprowadzać żadnych badań - odparł Savage dobitnie.

- Dlaczego nie? - warknął Fenston.

- Bo obandażowane jest niewłaściwe ucho - odparł Savage bez wahania.

- Nieprawda. - Fenston nie spuszczał oczu z obrazu. - Każde dziecko wie, że van Gogh obciął sobie lewe ucho.

- Ale nie każde dziecko wie, że van Gogh malował ten autoportret, patrząc w lustro, i dlatego na oryginale zabandażowane jest ucho prawe.

Fenston opadł na fotel za biurkiem, tyłem do obrazu. Savage znowu zbliżył się do płótna i zaczął je studiować jeszcze bardziej szczegółowo.

- Zaskakuje mnie - odezwał się po chwili - że mimo iż obraz niewątpliwie jest falsyfikatem, ktoś zadał sobie trud umieszczenia go w prawdziwej ramie.

Twarz Fenstona zapłonęła gniewem.

- Muszę także przyznać - ciągnął Savage - że tę wersję skopiował całkiem dobry malarz. - Zamilkł, po czym oświadczył: - No więc mógł bym ubezpieczyć ten obraz na dziesięć tysięcy, i może... - zawahał się - na następne dziesięć tysięcy ramę, lecz w tym wypadku składka w wysokości dwustu tysięcy wydaje się nieco przesadzona. - Fenston nadal milczał. - Bardzo mi przykro, że jestem zwiastunem tak niedobrych wieści.

- Zbliżając się do końca swego przemówienia, stanął twarzą do Fenstona. - Mogę jedynie żywić nadzieję, że nie rozstał się pan z tak dużą sumą, a jeśli tak się stało, to na pewno wie pan, kto jest odpowiedzialny za to wyrafinowane oszustwo.

- Daj mi tu Leapmana! - wrzasnął Fenston na całe gardło, ściągając w ten sposób do gabinetu Tinę.

- Właśnie przyszedł - oświadczyła. - Zaraz mu powiem, że chce się pan z nim widzieć.

Broker z Lloyd'a i ekspert z Christiego zrozumieli, że nie jest to odpowiedni moment, by rozsiąść się w fotelu i czekać na podanie kawy. Dyskretnie się wycofali, a do gabinetu pośpiesznie wszedł Leapman.

- To falsyfikat! - krzyknął Fenston.

Leapman przez jakiś czas patrzył na obraz i dopiero potem się odezwał: - A więc obaj wiemy, kto za tym stoi.

- Petrescu - rzekł Fenston z najwyższym obrzydzeniem.

- Nie wspominając o współniczce, która dostarczała jej informacji od dnia, w którym ją pan wylał.

- Masz rację - mruknął Fenston, a zwracając się w stronę otwartych drzwi, znowu wrzasnął na całe gardło: - Tina!

Sekretarka znów wbiegła do gabinetu.

- Widzisz ten obraz? - ciągnął Fenston, nie będąc w stanie się odwrócić i popatrzeć na swą wątpliwą zdobycz.

Tina w milczeniu skinęła głową.

- Chcę, żebyś go zapakowała i natychmiast odesłała to gównu do Wentworth Hall, razem z żądaniem wypłaty...

- Trzydziestu dwóch milionów, ośmiuset dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy dolarów - usłużnie odpowiedział Leapman.



- A kiedy to zrobisz - kontynuował Fenston - masz spakować swoje rzeczy i zniknąć z tego biura w ciągu dziesięciu minut. Wywalam cię z pracy, ty wredna suko.

Tina zaczęła dygotać, a Fenston wstał zza biurka i spojrzał na nią z góry.

- Przed wyjściem chcę ci zlecić jeszcze jedno.

Tina zamarła.

- Powiedz tej swojej przyjaciółce Petrescu, że nie wykreśliłem jej nazwiska z listy osób zaginionych, które podczas ataku najprawdopodobniej zginęły.

47

Anna doszła do wniosku, że jej lunch z Kenem Wheatleyem mógł mieć znaczenie przyjemniejszy przebieg. Zastępca prezesa domu aukcyjnego Christie nie ukrywał, że ów nieszczęsny incydent, który skłonił ją do rezygnacji z pracy w Sothebys, nie jest uważany przez jej kolegów ze świata sztuki za epizod należący do przeszłości. Nie pomagało jej także za chowanie Bryce'a Fenstona, który głosił wszem i wobec, że zwolnił ją z posady za zachowanie nielicujące z godnością urzędnika bankowego Wheatley przyznawał, że Fenstonem nikt się specjalnie nie przejmuje niemniej domy aukcyjne nie mogą pozwolić sobie na to, by zlekceważyć tak cennego klienta jak on, co w istocie oznacza, że jej powrót do pracy w domu aukcyjnym stoi na razie pod znakiem zapytania.

Słowa Wheatleya tylko wzmogły w Annie determinację, by pomóc Jackowi w skazaniu Fenstona. Przecież ten człowiek kompletnie nie liczy się z tym, że niszczy innym życie.

Na koniec Ken eufemistycznie oświadczył, że w tej chwili nie ma nic dla kogoś z jej kwalifikacjami i doświadczeniem, obiecał jednak pozostawać z nią w kontakcie.

Po wyjściu z restauracji Anna zatrzymała taksówkę. Może następne spotkanie okaże się bardziej owocne?

- Federal Plaza dwadzieścia sześć - rzekła do taksówkarza.

Jack stał w holu swego nowojorskiego biura, czekając na Annę przed umówioną godziną. Nie zdziwił się, kiedy zobaczył ją dwie minuty przed czasem. Gdy Anna pokonywała kilkanaście schodków wiodących w dół, do wejścia numer dwadzieścia sześć, obserwowało ją uważnie trzech strażników. Podała jednemu z nich nazwisko, a on zażądał dowodu tożsamości. Anna wyjęła z torebki prawo jazdy. Strażnik uważnie je obejrzał, a potem odhaczył jej nazwisko w swoim notatniku.

Jack otworzył przed nią drzwi.

- Nie tak wyobrażałam sobie pierwszą randkę - zauważyła, wchodząc do środka.

- Ani ja - próbował ją uspokoić Jack - ale szef chciał, żebyś zrozumiała, jak ważne jest dla niego to spotkanie.

- A co, teraz ja mam zostać aresztowana? - zapytała.

- Nie, ale on ma nadzieję, że zechcesz nam pomoc.

- No to chodźmy i chwycimy tego byka za rogi.

- To jedno z ulubionych powiedzonek twojego ojca - zauważył Jack.

- Skąd wiesz? Czy i jemu założyłeś kartotekę?

- Nie - odparł Jack ze śmiechem, wsiadając z nią do windy. - To jest jedna z rzeczy, które powiedziałaś mi w samolocie podczas naszej pierwszej wspólnej nocy.

Jack dowiózł Annę na dziewiętnaste piętro. Tam, na korytarzu, czekał na nich Dick Macy.

- Jak to miło, doktor Petrescu, że zgodziła się pani tu przyjechać - rzekł na powitanie, jak gdyby Anna miała jakikolwiek wybór.

Anna nie skomentowała jego słów. Dick Macy zaprowadził ją do swego gabinetu, a tam wskazał wygodny fotel po drugiej stronie biurka.

- Chociaż jest to spotkanie nieoficjalne - zaczął - chciałbym podkreślić, że nasze biuro uważa pani pomoc za niezmiernie ważną.

- Do czego jest wam potrzebna moja pomoc? - zapytała Anna. - Myślałam, że aresztowaliście już Leapmana i umieściliście go za kratkami.

- Dziś rano wypuściliśmy go - oznajmił Macy.

- Wypuściliście? Czy te dwa miliony to za mało?

- To więcej niż dosyć - odparł Macy - i dlatego ja się w to włączyłem. Moją specjalnością jest załatwianie łagodniejszych wyroków w zamian za współpracę, a dziś rano tuż po dziewiątej Leapman podpisał umowę z prokuratorem federalnym dystryktu południowego, że jeśli będzie z nami w pełni współpracował, pójdzie siedzieć tylko na pięć lat.

- Ale to nadal nie tłumaczy, dlaczego go wypuściliście.

- Leapman twierdzi, że może nam dostarczyć dowodu na bezpośredni związek finansowy między Krantz a Fenstonem, lecz w tym celu musi wrócić do ich biura na Wall Street i dostać się do odpowiednich dokumentów, wśród których są numerowane konta w szwajcarskich bankach, a także nielegalne przelewy na różne konta bankowe w całym świecie.

- On może pana oszukiwać - zauważyła Anna. - Przecież większość dokumentów, które mogłyby zdemaskować Fenstona, zginęła podczas ataku na Wieżę Północną.

- To prawda - potwierdził Dick Macy - ale nie ukrywałem przed Leapmanem, że jeśli nas oszuka, to może się spodziewać tylko tego, że spędzi resztę życia w Sing-Sing.

- To go nieźle zmotywuje - przyznała Anna.

- Leapman zgodził się też wystąpić jako świadek oskarżenia - wtrącił Jack - gdyby doszło do procesu.

- No to bądźmy wdzięczni losowi, że Krantz siedzi, bo w przeciwnym razie wasz główny świadek nawet nie dotarłby do sądu.

Macy spojrzał na Jacka, nie będąc w stanie ukryć zaskoczenia.

- Nie czytała pani dzisiejszego „New York Timesa”? - zapytał, przenosząc wzrok na Annę.

- Nie - odparła, nie mając pojęcia, o czym Macy mówi.

Dick Macy otworzył teczkę, wyjął z niej wycinek prasowy i podał go Annie.

Olga Krantz, znana jako zabójczym nożowniczką z powodu roli kata, którą odegrała w czasach brutalnego reżimu Ceausescu, wczoraj w nocy uciekła ze szpitala pod specjalnym nadzorem w Bukareszcie. Władze podejrzewają że Krantz wydostała się na zewnątrz, wyskakując przez okienko znajdujące się wysoko w ścianie celi. Jednego ze strzegących ją policjantów znaleziono później z...

- Przez resztę życia będę się oglądała za siebie - rzekła Anna, jeszcze za nim dotarła do końca artykułu.

- Może nie - pocieszył ją Jack. - Krantz nie będzie się śpieszyła z powrotem do Ameryki, zwłaszcza teraz, gdy trafiła na listę najbardziej poszukiwanej dziewiątki FBI. Ona również zdaje sobie sprawę, że na każde przejście graniczne, a także do Interpolu, wysłaliśmy jej szczegółową

charakterystykę. Jeśli ktoś ją zatrzyma i zrobi jej rewizję, będzie musiała wyjaśnić, skąd się wzięła w prawym ramieniu ta rana po kuli.

- Ale to nie powstrzyma Fenstona przed szukaniem zemsty.

- A cóż go to obchodzi? - zapytał Jack. - Teraz, kiedy już ma van Gogha, przestałaś być dla niego ważna.

- Ale on nie ma van Gogha - oznajmiła Anna, pochylając głowę.

- Nie rozumiem. - Jack popatrzył na nią pytająco.

- Tuż przed wyjściem na to spotkanie odebrałam telefon od Tiny. Ostrzegła mnie, że Fenston wezwał eksperta z Christiego, żeby dokonał wyceny obrazu w celach ubezpieczeniowych. Nigdy dotąd tego nie robił.

- Ale dlaczego miałyby to stwarzać jakiś problem? - dążył Jack.

Anna podniosła głowę.

- Bo ten obraz to falsyfikat.

- Falsyfikat? - spytali obaj mężczyźni chórem.

- Tak, dlatego właśnie musiałam lecieć do Bukaresztu. Tam jeden z moich starych przyjaciół, znakomity zresztą portrecista, zrobił mi kopię „Autoportretu”.

- To by wyjaśniało obecność tamtego rysunku w twoim mieszkaniu

- zauważył Jack.

- Byłeś w moim mieszkaniu? - zapytała.

- Wtedy kiedy wydawało mi się, że twojemu życiu coś zagraża - wytłumaczył Jack spokojnie.

- Ale... - zaczęła Anna.

- To by także wyjaśniało - wtrącił Macy - dlaczego wysłała pani tę czerwoną skrzynkę z powrotem do Londynu, dopuszczając do tego, żeby została przejęta przez Art Locations i dostarczona Fenstonowi w Nowym Jorku.

Anna kiwnęła głową.

- Chyba jednak zdawałaś sobie sprawę, że w końcu zostaniesz zdemaskowana? - dociekał Jack.

- W końcu tak - przyznała. - I w tym właśnie rzecz. Najpierw potrzebowałam trochę czasu, żeby sprzedać oryginał, zanim Fenston odkryje, co zamierzam.

- A więc kiedy twój przyjaciel Anton pracował nad falsyfikatem, ty poleciałaś do Tokio i próbowałaś sprzedać oryginał Nakamura.

Anna znów kiwnęła głową.

- I udało się? - zapytał Macy.

- Tak - odparła. - Nakamura zgodził się kupić oryginalny portret za pięćdziesiąt milionów dolarów, co aż nadto wystarczy Arabelli na spłacenie długów siostry zaciągniętych w Fenston Finance, pozwalając jej jednocześnie na zachowanie reszty majątku.

- Teraz jednak Fenston, skoro już wie, że jest w posiadaniu falsyfikatu, na pewno skontaktuje się z Nakamura i poinformuje go o twoich planach.

- Już to zrobił - oświadczyła.

- A więc wracamy do punktu wyjścia - zasugerował Macy.

- Nie - odrzekła Anna z uśmiechem. - Nakamura właśnie złożył pięć milionów dolarów w swojej londyńskiej kancelarii i zgodził się wypłacić resztę po obejrzeniu oryginału.

- Czy ma pani dosyć czasu? - zapytał Macy.

- Dziś wieczorem lecę do Londynu - oznajmiła - a jutro wieczorem Nakamura ma zamiar spotkać

się z nami w Wentworth Hall.

- To będzie bardzo zacięta walka - zauważył Jack.

- Jeśli Leapman dostarczy towar, to nie - wtrącił Dick Macy. - Nie zapominaj, co zaplanował na dzisiejszy wieczór.

- Czy mogłabym się dowiedzieć, co knujecie? - zapytała Anna.

- Nie - odparł Jack stanowczo. - Ty leć do Anglii i zamknij tamtą sprawę, a my będziemy robić swoje.

- Czy to obejmuje pilnowanie Tiny? - zapytała Anna spokojnym głosem.

- A dlaczego mielibyśmy jej pilnować? - zdziwił się Jack.

- Dziś rano została wyrzucona z pracy.

- Z jakiego powodu? - zapytał Macy.

- Bo Fenston odkrył, że kiedy ja przemierzałam świat, Tina informowała mnie o jego kombinacjach. Obawiam się, że z mojego powodu jej życie może być w niebezpieczeństwie.

- Pomyliłem się co do Tiny - przyznał Jack, a patrząc na Annę, dodał: - Przepraszam. Dalej jednak nie pojmuję, dlaczego w ogóle zgodziła się pracować u tego Fenstona.

- Mam wrażenie, że dziś wieczorem się tego dowiem - powiedziała Anna. - Przed moim wyjazdem na lotnisko spotykamy się na drinka.

- Jeśli znajdziesz chwilę czasu przed startem samolotu, zadzwoń do mnie. Nie mogę się doczekać wyjaśnienia tej niezwyklej tajemnicy.

Anna kiwnęła głową.

- Zanim pani stąd wyjdzie, doktor Petrescu, chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną tajemnicę - oznajmił Macy.

Anna przeniosła wzrok na szefa Jacka.

- Skoro Fenston jest w posiadaniu falsyfikatu, to gdzie znajduje się oryginał?

- W Wentworth Hall - odrzekła. - Kiedy odzyskałam ten obraz od Sotheby'ego, taksówką zawiozłam go prosto do Arabelli. A wyniosłam z jej rezydencji czerwoną skrzynkę i oryginalną ramę.

- I zabrałaś tę ramę do Bukaresztu, żeby twój przyjaciel Anton oprawił w nią swój falsyfikat. Miałaś nadzieję, że dzięki tej ramie Fenston uwierzy, że zdobył prawdziwego van Gogha.

- I tak by się stało, gdyby nie postanowił go ubezpieczyć. Zapadło milczenie, które w końcu przerwał Dick Macy:

- Przeprowadziła pani całe to oszustwo na oczach Jacka.

- Jakoś się udało - zgodziła się z uśmiechem.

- Niech mi więc będzie wolno zapytać, pani doktor - ciągnął Macy - gdzie znajdował się van Gogh, kiedy dwóch moich najbardziej doświadczonych agentów jadło w Wentworth Hall śniadanie z panią oraz lady Arabellą?

- Powołaj się na piątą poprawkę - poradził jej Jack błagalnym tonem.

- W sypialni van Gogha - odparła Anna. - Tuż nad nimi, w pokoju na piętrze.

- To rzeczywiście bardzo blisko! - rzekł z westchnieniem Macy.

Krantz odczekała dziesięć sygnałów, po czym usłyszała odgłos odbierania telefonu i pytający głos:

- Gdzie jesteś?
  - Za rosyjską granicą - odpowiedziała.
  - To dobrze, bo nie możesz wrócić do Ameryki, póki piszą o tobie w „New York Timesie”.
  - Że nie wspomnę już o liście FBI - dodała.
  - Piętnaście minut sławy - orzekł Fenston. - Ale mam dla ciebie nowe zlecenie.
  - Gdzie? - zapytała.
  - Wentworth Hall.
  - Po raz drugi? Nie mogę chyba ryzykować...
  - Nawet jeśli podwoję ci honorarium?
  - Za duże ryzyko.
  - Może zmienisz zdanie, kiedy usłyszysz, czyje gardło miałabyś tym razem poderżnąć.
  - Zamieniam się w słuch - powiedziała, a gdy Fenston ujawnił jej nazwisko kolejnej ofiary, zapytała tylko: - I zapłaci mi pan za to dwa miliony dolarów?
  - Trzy jeśli za jednym zamachem uda ci się zabić Petrescu. Ona ma tam zanocować.
- Krantz wahała się.
- Cztery, jeśli pierwsze gardło poderżniesz na jej oczach - dodał Fenston.
- Zapadła długa chwila ciszy.
- Dwa miliony z góry - powiedziała wreszcie Krantz.
  - Tam gdzie zwykle?
  - Nie - odparła i podyktowała mu numerowane konto w Moskwie.

Fenston odłożył słuchawkę i przez interkom wezwał Leapmana.

- Chodź do mnie, i to już.

Czekając na pojawienie się swego podwładnego, zaczął notować sobie tematy, które chciał z nim omówić: van Gogh, pieniądze, majątek Wentworth, Petrescu. Nadal zajęty był pisanem, gdy rozległo się pukanie.

- Uciekła - oznajmił Fenston w chwili, gdy Leapman zamknął drzwi.

- A więc w „New York Timesie” piszą prawdę - odezwał się Leapman, starając się nie sprawiać wrażenia zbyt przejętego tą rozmową.

- Owszem. Nie wiedzą tylko, że ona jedzie właśnie do Moskwy.

- Ma zamiar wrócić do Nowego Jorku?

- Nie w tej chwili - wyjaśnił Fenston. - Nie może ryzykować, kiedy wszystkie służby są postawione w stan najwyższej gotowości.

- To ma sens - przytaknął Leapman, starając się ukryć uczucie ulgi.

- Tymczasem dałem jej następne zlecenie - ciągnął Fenston.

- Kto tym razem?

Leapman z niedowierzaniem słuchał przemowy Fenstona, który wyjawiał mu, kim będzie następna ofiara Krantz i dlaczego nożowniczką nie będzie w stanie odciąć temu komuś lewego ucha.

- Czy ten oszust został odesłany do Wentworth Hall? - zapytał w końcu Fenston, podczas gdy Leapman patrzył na powiększone zdjęcie szefa ściskającego rękę George'a W. Busha po jego ostatniej wizycie w miejscu, gdzie stały wieże WTC. Zdjęcie to wróciło na swe honorowe miejsce na ścianie za biurkiem Fenstona.

- Tak. Art Locations zabrała falsyfikat dziś po południu - wyjaśnił Leapman - a jutro dostarczy go

do Wentworth Hall. Zamieniłem także parę słów z naszym prawnikiem w Londynie. Sędzia ma rozpatrzyć za zamkniętymi drzwiami ewentualne wydanie nakazu zajęcia majątku w środę, a więc jeśli do tego czasu ona nie odda oryginału, cały majątek Wentworth automatycznie staje się twoją własnością, i możemy zaczynać wyprzedaż reszty kolekcji, aż do zlikwidowania długu. Weź pod uwagę, że to może potrwać lata.

- Jeśli jutro wieczorem Krantz wykona swoją robotę, ten dług nigdy nie zostanie spłacony - oświadczył Fenston. - I dlatego cię tu wezwałem.

Chcę, żebyś przy najbliższej sposobności wystawił na aukcję resztę kolekcji Wentworthów. Podziel obrazy równo między Christiego, Sotheby'ego, Philhpsa i Bonhamsa,, dopilnuj, żeby sprzedano je w tym samym czasie.

- Ale w ten sposób zalejemy rynek i zbijemy ceny

- Właśnie o to mi chodzi - oznajmił Fenston. - O ile dobrze pamiętam, Petrescu wyceniła resztę kolekcji na mniej więcej trzydzieści pięć milionów a ja będę zadowolony, jeśli uda mi się uzyskać coś między piętnastoma a dwudziestoma milionami.

- Ale wtedy jesteś kolejne dziesięć milionów pod kreską.

- Jakie to przykre - rzekł Fenston, uśmiechając się. - Wtedy nie będę miał wyboru i zostanę zmuszony do wystawienia Wentworth Hall na sprzedaż, do pozbycia się wszystkiego, do ostatniej zbroi. - Zamilkł, nad czymś się zastanawiając. - A więc postaraj się ulokować tę posiadłość w rękach najmodniejszych agentów w Londynie. Powiedz im, że mogą wydrukować drogie broszury, umieścić ogłoszenia we wszystkich kolorowych czasopismach, a nawet opłacić jakieś pół strony w jednym czy dwóch największych dziennikach, co na pewno wywoła komentarze prasowe. Kiedy skończę z lady Arabellą, będzie nie tylko goła, ale także, znając brytyjską prasę, upokorzona.

- A Petrescu?

- Po prostu będzie miała pecha, że znajdzie się w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze - odrzekł Fenston ze znaczącym uśmieszkiem.

- Toteż Krantz ustrzelił dwa ptaszki jednym strzałem - skonstatował Leapman.

- I właśnie dlatego chcę, żebyś się skoncentrował na doprowadzeniu Wentworth do bankructwa, tak żeby lady Arabella została skazana na jeszcze powolniejszą śmierć.

- Zaraz się tym zajmę - oznajmił Leapman, kierując się do wyjścia. -

Życzę powodzenia na wieczornym wystąpieniu, szefie - dodał już na progu.

- Wystąpieniu? - Fenston zmarszczył czoło. Leapman odwrócił się twarzą do prezesa.

- Wydawało mi się, że dziś wieczorem miałeś powitać bankowców na kolacji w Sherry Netherland.

- Chryste, racja. Gdzie ta cholerna Tina położyła moje przemówienie?

Leapman uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy znalazł się po drugiej stronie drzwi. Wrócił do swego pokoju, usiadł przy biurku i zaczął analizować to, co przed chwilą Fenston mu wyjawiał. Był przekonany, że kiedy FBI się dowie, gdzie jutro wieczorem Krantz ma dotrzeć i na kogo wtedy zapoluje, prokurator zapewne obniży mu wyrok jeszcze bardziej. A jeśli dostarczy kluczowy dowód związku między Krantz a Fenstonem, to kto wie, czy nie mógłby liczyć na wyrok w zawieszeniu...

Z wewnętrznej kieszeni wyjął mikroskopijny aparat dostarczony mu przez FBI i zaczął liczyć, ile dokumentów udałoby się sfotografować w czasie, gdy Fenston będzie wygłaszał swe przemówienie na dorocznej kolacji bankowców.

48

O siódmej szesnastej wieczorem Leapman zgasił w swoim gabinecie światło i wyszedł na korytarz. Zamknął drzwi na klamkę, ale nie na klucz, i ruszył w stronę wind, stwierdzając, że na terenie biura światło wydobywa się jedynie spod drzwi prezesa.

Wsiadł do pustej windy i szybko znalazł się na parterze. Powolnym krokiem zbliżył się do recepcji i jako godzinę wyjścia wpisał siódmą dziewiętnaście. Stojąca za nim kobieta postąpiła krok do przodu, by wpisać się do księgi, podczas gdy Leapman cofnął się o krok, nie spuszczając oczu z dwóch strażników za kontuarem. Jeden bacznie obserwował strumień ludzi opuszczających wieżowiec, drugi zaś zajęty był przyjmowaniem przesyłki, która wymagała dopełnienia pewnych formalności. Leapman powoli szedł do tyłu, aż w końcu wsiadł do pustej windy, odwrócił się plecami do recepcji i stanął tuż przy bocznej ścianie, kryjąc się przed strażnikami. Nacisnął przycisk z numerem trzydzieści jeden i niecałą minutę później znalazł się na pustym korytarzu.

Dotarł na jego koniec, otworzył drzwi na schody ewakuacyjne i wszedł na trzydzieste drugie piętro. Otwierał drzwi powolutku, starając się robić to jak najciszej. Potem na palcach, po dywanie, udał się z powrotem do swego gabinetu, upewniając się przy okazji, że światło nadal pali się tylko u prezesa. Gdy znalazł się u siebie, zamknął drzwi na klucz, usiadł w fotelu za biurkiem i włożył do kieszeni aparat fotograficzny, nie zapalając jednak światła.

Siedział sam w ciemnościach i spokojnie czekał.

Fenston czytał właśnie wniosek o pożyczkę od niejakiego Michaela Karrawaya, który chciał zaciągnąć kredyt w wysokości czternastu milionów dolarów w celu zainwestowania w grupę prowincjonalnych teatrów. Był to bezrobotny aktor, który nie mógł się pochwalić wielkimi osiągnięciami teatralnymi, mógł się jednak poszczycić zapobiegliwą matką, która zostawiła mu w spadku obraz Matisse'a „Widok z sypialni” oraz liczącą czterysta hektarów farmę w Vermoncie.

Fenston przestudiował slajd przedstawiający młodą nagą kobietę wyglądającą przez okno sypialni i postanowił zlecić Leapmanowi sporządzenie projektu umowy.

Odrzucił wniosek na bok i zaczął przerzucać ostatni katalog Christiego. Zatrzymał się na chwilę przy reprodukcji „Tancerki przed lustrem” Degasa, ale kiedy ujrzał dolną wycenę, szybko przewrócił stronę. W końcu Perre de Rochelle dostarczył mu „Nauczycielkę tańca” Degasa za znacznie rozsądniejszą cenę.

Gdy Fenston przestudiował ceny kolejnych obrazów, z zadowoleniem stwierdził, że jego kolekcja jest coraz więcej warta. Z ust nie schodził mu uśmiech. Wreszcie zerknął na zegar stojący na rogu biurka. Siódma czterdzieści pięć.

- Cholera! - mruknął pod nosem, zdając sobie sprawę, że jeśli się nie pośpieszy, to się spóźni na swoje własne przemówienie.

Wziął do ręki katalog i szybko ruszył w stronę drzwi. Na klawiaturze obok wyłącznika światła wystukał sześciocyfrowy kod, po czym wyszedł na korytarz i zamknął drzwi. Osiem sekund po ich zamknięciu na klucz usłyszał, jak stalowe kraty opadają w dół.

Zjeżdżając windą na parter, z zachwytem zauważył dolną wycenę „Zamiataczy ulic” Caillebotte’a. Udało mu się kupić większą wersję tego płótna za połowę tej ceny od klienta, który niedawno zbankrutował. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, Fenston szybko podszedł do recepcji i wpisał godzinę wyjścia: siódma czterdzieści osiem.

Jeszcze będąc w holu, zauważył, że na ulicy przy schodach czeka na niego szofer. Zajął miejsce na tylnym siedzeniu samochodu, kciukiem zaznaczając odpowiednie miejsce w katalogu. Zdenerwował się, gdy przewrócił stronę i zauważył, że dolna wycena „Żeńców w polu” van Gogha wynosi dwadzieścia siedem milionów. Zaklął pod nosem. Ten obraz nie dorównuje klasą „Autoportretowi z zabandażowanym uchem”.

- Proszę mi wybaczyć, sir - odezwał się kierowca - ale czy pan jedzie na kolację bankowców?

- Tak, więc lepiej się pośpieszmy - odparł Fenston, przewracając kolejną stronę.

- Ale wie pan... - rzekł kierowca, podnosząc z przedniego siedzenia kartę ze złotymi tłoczonymi literami.

- Wiem co? - zapytał Fenston.

- Na zaproszeniu piszą, że jest wymagany smoking. - Kierowca odwrócił się i podał kartę swemu szefowi.

- A niech to szlag! - mruknął Fenston, rzucając katalog na siedzenie.

Przy takich okazjach Tina wyjmowała jego smoking z szafy i wieszala go w widocznym miejscu. Fenston wyskoczył z samochodu, zanim kierowca zdążył mu otworzyć drzwi, i pobiegł do głównego wejścia przeskakując po dwa stopnie naraz. Potem szybko minął recepcję, nawet się nie wpisując do księgi, i wpadł do otwartej windy, po czym wcisnął guzik trzydziestego drugiego piętra.

Już spod windy zauważył promień światła wydostający się spod drzwi jego gabinetu. Przysięgłby, że po włączeniu alarmu zgasił światło ale może studiowanie katalogu tak go pochłonęło, że o tym zapomniał?

W chwili, gdy miał zacząć wciskać kod na klawiaturze, usłyszał dochodzące ze środka jakieś dźwięki.

Zawahał się, ciekaw, kto to może być. Nie ruszał się przez chwilę, pragnąc się przekonać, czy intruz jest świadom jego obecności. Nie usłyszał odgłosów zamieszania, toteż się wycofał, wśliznął do sąsiedniego pomieszczenia i cicho zamknął drzwi. Potem usiadł w fotelu swojej sekretarki i



zaczął szukać przycisku - Leapman zwrócił mu kiedyś uwagę na fakt, że Tina może obserwować wszystko, co się dzieje w jego gabinecie. Wreszcie znalazł odpowiedni guzik. Kiedy go nacisnął, zapalił się mały ekran stojący w rogu biurka i Fenston ujrzał wewnątrz swego gabinetu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Przy jego biurku siedział Leapman, a przed nim leżał otwarty gruby segregator. Leapman powoli przewracał jego strony. Czasami zatrzymywał się i z uwagą coś studiował, czasami wyciągał jakąś kartkę, kładł ją na blacie i robił zdjęcie, używając niewątpliwie profesjonalnego aparatu fotograficznego.

Przez głowę Fenstona przebiegło kilka myśli. Leapman na pewno zbiera materiały, by w przyszłości móc go szantażować. Albo handluje informacjami z konkurencyjnym bankiem. A może urząd skarbowy zaczął wreszcie deptać mu po piętach, a on zawarł z nim umowę, że poświęci szefa w zamian za nietykalność. Fenston uznał, że Leapmanowi najprawdopodobniej chodzi o to pierwsze, czyli szantaż.

Szybko stało się oczywiste, że Leapman wcale się nie śpieszy. Najwyraźniej porę wybrał z premedytacją. Gdy skończył przeglądanie pierwszego segregatora, spokojnie odłożył go na miejsce i wyjął następny. Tryb jego pracy się nie zmieniał: powoli przeglądał zawartość segregatorów, wybrane części studiował dokładniej, a od czasu do czasu wyjmował pojedynczy dokument i go fotografował.

Fenston zastanawiał się, co mógłby w tej sytuacji zrobić, i w końcu zdecydował się na ruch, na jaki, jego zdaniem, Leapman sobie zasłużył.

Najpierw zanotował sekwencję zdarzeń, które miały zagwarantować, by go na niczym nie złapano. Gdy już zyskał pewność, że opracował strategię bez zarzutu, przesunął na konsoli dźwigenkę odcinającą wszystkie połączenia telefoniczne z gabinetu i do niego. Potem siedział spokojnie przy biurku sekretarki, obserwując poczynania swego towarzysza. Gdy ten otworzył kolejną grubą księgę, Fenston wyszedł na korytarz, po czym zatrzymał się pod drzwiami gabinetu. Jeszcze raz powtórzył w myślach swój plan, z zadowoleniem pokiwał głową, po czym przystąpił do działania.

Najpierw wprowadził do systemu właściwy numer - 170690 - tak jakby wychodził z biura. Potem przekręcił klucz w zamku i cichutko uchylił drzwi na nie więcej niż trzy centymetry, po czym natychmiast je zamknął.

Ten ruch wystarczył, by uruchomić alarm. Przy jego ogłuszającym wyciu Fenston odliczył osiem sekund - tyle czasu trwało opadanie krat z sufitu do podłogi. Wówczas szybko wystukał na klawiaturze kod z poprzedniego tygodnia - 170680 - otworzył drzwi po raz drugi i podobnie szybko je zamknął.

Słyszał, jak Leapman miota się po gabinecie, najwyraźniej mając nadzieję, że wprowadzenie do systemu właściwego kodu wyłączy alarm i spowoduje, że stalowe kraty powędrują w górę. Na to jednak było już za późno. Kraty ani myślały się cofnąć, a ogłuszająca kakofonia dźwięków nie osłabła ani odrobinę.

Fenston doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że pozostało mu tylko kilka sekund, jeśli chce zrealizować swój plan bez wzbudzania podejrzeń. Wbiegł więc szybko do sąsiedniego pomieszczenia i szybko przejrzał kartki, które pozostawił na biurku sekretarki. W końcu wybrał numer zgłoszeniowy do ochrony.

- Tu Abbott Security, słucham - odezwał się głos w słuchawce.

- Nazywam się Bryce Fenston, jestem prezesem firmy Fenston Finance. - Mówił powoli, lecz dobitnie. - W moim biurze na trzydziestym drugim piętrze włączył się alarm. Przez pomyłkę wprowadziłem kod z zeszłego tygodnia i teraz chciałem was zawiadomić, że to nie jest włamanie.

- Czy mógłby pan powtórzyć nazwisko?

- Bryce Fenston! - zawołał, przekrzykując przenikliwy dźwięk alarmu.

- Data urodzenia?

- Dwunastego czerwca pięćdziesiąt dwa.

- Nazwisko panińskie matki?

- Madejski.

- Domowy kod pocztowy?

- Jeden zero zero dwa jeden.

- Dziękuję, panie Fenston. Poślemy kogoś na trzydzieste drugie najszybciej, jak się da. Nasi technicy są obecnie zajęci awarią na siedemnastym piętrze, gdzie ktoś utknął w windzie, toteż dotrzemy do pana dopiero za parę minut.

- Nie ma sprawy - odparł Fenston nonszalancko. - Nikt tu teraz nie pracuje, a biuro otwiera się dopiero o siódmej rano.

- Na pewno tak długo nie każemy panu czekać - rzekł mężczyzna - ale jeśli pan pozwoli, zakwalifikujemy pana wezwanie jako pilne lub priorytetowe.

- W porządku! - krzyknął Fenston, przebijając się przez ogłuszający hałas.

- Ale opłata za interwencję po godzinach wynosi pięćset dolarów.

- To trochę dużo! - zawołał Fenston.

-

- W takich przypadkach to standardowa opłata, sir - odparł dyżurny. - Jednak gdyby zechciał pan pofatygować się do nas osobiście i wpisać się do naszej księgi, opłata automatycznie spadłaby o połowę.

- Już do was jadę! - odparł Fenston.

- Muszę jednak pana ostrzec - ciągnął mężczyzna - że w takim wypadku pana zgłoszenie zostanie przekwalifikowane na zwykłe, co oznacza, że zajmiemy się nim dopiero po obsłużeniu innych priorytetowych i pilnych wezwań.

- Ależ oczywiście!

- Zapewniamy jednak, że bez względu na liczbę dodatkowych wezwań pana awaria zostanie usunięta w ciągu czterech godzin.

- Dziękuję - odparł Fenston. - Zaraz zgłoszę się w recepcji.

Odłożył słuchawkę i wyszedł na korytarz. Gdy mijał drzwi swego gabinetu, słyszał, że Leapman wali w drzwi niczym uwięzione zwierzę. Jego głos, zagłuszany przenikliwym wyciem alarmu, był ledwo słyszalny. Gdy Fenston dotarł do wind, stwierdził, że nawet z odległości kilkunastu metrów to koszmarnie wycie jest nieznośne.

Winda zjechała na parter, a Fenston udał się do recepcji.

- Dobry wieczór panu - odezwał się strażnik. - Jeśli pan podpisze tutaj, zaoszczędzi pan dalsze dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Fenston podał mu dyskretnie dziesięciodolarowy banknot.

- Dzięki - powiedział. - Nie musicie się śpieszyć, wyszedłem ostatni - zapewnił, po czym ruszył

do wyjścia.

Gdy zbiegł po schodach do czekającego samochodu, spojrzął na okna swego biura. Po gabinecie miotła się malutka figurka, bezradnie tłukąc pięściami w szybę.

Kierowca zamknął drzwi, gdy jego pracodawca wsiadł do środka, i ze zdumioną miną zajął swoje miejsce za kierownicą. Szef wrócił do samochodu bez smokingu.

49

Tuż po dziewiątej trzydzięci wieczorem Jack Delaney zaparkował samochód na Broad Street. Czekając na Leapmana, włączył radio i zaczął słuchać programu „Cousin Bruncie”, nadawanego na częstotliwości 101,1 FM. Miejsce spotkania wybrał Leapman. Obiecał pojawić się tu między dziesiątą a jedenastą, by oddać człowiekowi z FBI aparat fotograficzny zawierający materiał dowodowy umożliwiający postawienie Fenstona w stan oskarżenia.

Jack trwał zawieszony w nierzeczywistym świecie, pół drzemiąc, pół czuwając, gdy nagle usłyszał dźwięk syreny. Jak wszyscy przedstawiciele aparatu ścigania, w ułamku sekundy po wysokości dźwięku potrafił określić, czy wydaje go radiowóz policyjny, straż czy też samochód pogotowia. To była syrena karetki, zapewne ze szpitala St. Vincent

Spojrzał na zegarek: jedenasta piętnaście. Leapman nie przyszedł, ale przecież ostrzegł Jacka, że ma zamiar sfotografować ponad setkę dokumentów, może się więc spóźnić. Technicy z FBI spędzili z Leapmanem sporo czasu, ucząc go posługiwania się nowoczesnym aparatem fotograficznym, tak by osiągnąć jak najlepsze rezultaty. To wszystko zdarzyło się przed tą ostatnią rozmową telefoniczną.

Kilka minut po siódmej Leapman zadzwonił do Jacka do biura by poinformować go, że dowiedział się od Fenstona czegoś, co znacznie bardziej go zdyskredytuje niż wszelkie dokumenty. Nie chciał jednak przekazać tej informacji przez telefon. Odłożył słuchawkę, zanim Jack zdążył go przycisnąć. Jack zapewne zareagowałby energiczniej, gdyby z jego doświadczeń nie wynikało, że przestępcy zawierający układ z organami ścigania zawsze utrzymują, że są w posiadaniu nowych, przełomowych dla śledztwa informacji, toteż FBI powinno ponownie rozważyć wysokość ich wyroku. Jack wiedział, że jego szef zgodzi się na coś takiego dopiero wtedy, gdy nowe dowody wykażą niepodważalne powiązania między Fenstonem a Krantz.

Dźwięk syreny stawał się coraz wyraźniejszy.

Jack postanowił wstać i rozprostować nogi. Miał wrażenie, że jego prochowiec jest pognieciony. Kupił go w sklepie Brooks Brothers w okresie, kiedy chciał, by wszyscy wiedzieli, że jest tajniakiem, lecz im wyżej w hierarchii się znajdował, tym bardziej pragnął to zakamufłować. Gdyby awansował na stanowisko szefa oddziału FBI, zastanowiłby się nad kupnem nowego płaszcza, takiego, w którym wyglądałby bardziej na prawnika lub bankowca - i który na pewno zadowoliłby jego ojca.

Myślami przeniósł się do Fenstona, który do tej pory z pewnością wygłosił swe przemówienie na temat moralnej odpowiedzialności bankowców, a potem do Anny, która przebyła już połowę drogi nad Atlantykiem, zmierzając na spotkanie z Nakamurą. Wcześniej zostawiła mu wiadomość w telefonie komórkowym, informując, że wreszcie wie, dlaczego Tina przyjęła pracę asystentki Fenstona, a powód tego był cały czas widoczny jak na dłoni. Gdy Anna do niego zadzwoniła, on właśnie z kimś rozmawiał, lecz Anna obiecała odezwać się następnego dnia rano. Pewnie gadał wtedy z tym Leapmanem. Niech go szlag. Teraz zaś stoi na nowojorskim chodniku w środku nocy, głodny i zmęczony i czeka na zwrot aparatu. Ojciec miał rację - powinien być zostać prawnikiem.

Syrena wyla już tylko dwie przecznice dalej.

Jack podszedł do końca ulicy i zerknął w górę na budynek w którym Leapman pracował, bodaj na trzydziestym drugim piętrze. W połowie wysokości wieżowca paliły się w oknach jaskrawe światła, reszta budynku zaś tonęła w mroku. Jack zaczął liczyć piętra, lecz gdy doszedł do osiemnastego, nie był pewien, czy się nie pogubił, a gdy doszedł do trzydziestego drugiego, uznał, że może to być piętro z jarzącymi się światłami. Uznał jednak, że to nie ma sensu, bo na piętrze Leapmana powinno się świecić tylko w jednym pomieszczeniu. Facet na pewno nie chciałby zwracać na siebie uwagi.

Jack przeniósł wzrok na ulicę przed budynkiem i zobaczył, że właśnie tam zatrzymuje się karetka. Jej tylne drzwi szybko się otworzyły i ze środka wyskoczyło trzech ratowników w granatowych uniformach - dwóch mężczyzn i kobieta. Jeden z ratowników niósł nosze, drugi - aparat tlenowy, kobieta zaś miała w ręku wypchaną torbę lekarską. Na oczach Jacka cała trójka wbiegła po schodach do wieżowca.

Skoncentrował teraz swą uwagę na recepcji, gdzie jeden ze strażników - wskazując coś w swym notatniku - rozmawiał ze starszym mężczyzną w eleganckim garniturze, zapewne swym zwierzchnikiem, podczas gdy drugi zajęty był rozmową przez telefon. Przy windach kręciło się kilka osób, co wcale nie było takie dziwne, bo wieżowiec znajdował się przecież w centrum miasta, które finansami zajmowało się przez całą dobę. Kiedy pieniądze zmieniały właścicieli w Sydney, Tokio, Hongkongu i Londynie, większość Amerykanów pogrążona była we śnie, niemniej pewna grupka nowojorczyków zawsze żyła rytmem tamtych odległych rynków.

Jack przerwał swe rozmyślenia, gdy drzwi windy rozsunęły się i jego oczom ukazał się ratownicy. Dwóch pchało wózek z pacjentem, trzeci zaś trzymał aparat tlenowy. Gdy powoli posuwali się w stronę wyjścia, wzdłuż ich trasy ludzie utworzyli mały szpaler. Jack podbiegł w stronę holu, by dokładniej im się przyjrzeć. Gdzieś daleko znów rozległo się wycie syreny, tym razem wozu policyjnego, ale o tej porze policja może jechać wszędzie, a poza tym Jack koncentrował się na noszach. Gdy ratownicy wychodzili z budynku, stał na szczycie schodów.

Patrzył na pobladłą twarz pacjenta, którego oczy były szklane, jak gdyby zostały uwięzione w oślepiającym świetle reflektora. Dopiero gdy ratownicy go minęli, Jack uprzytomnił sobie, kim ten człowiek jest. Musi szybko podjąć decyzję. Czy ma pojechać za karetką do szpitala, czy też udać się wprost nad trzydzieste drugie piętro?

Dźwięk syreny się przybliżał, jakby samochód policyjny zmierzał w ich kierunku. Jedno spojrzenie na twarz pacjenta wystarczyło, by zrozumieć, że Leapman przez bardzo długi czas do nikogo się nie odezwie. Jack wbiegł do holu w chwili, gdy wóz policyjny znajdował się przecznicę lub dwie od wieżowca. Wiedział, że ma zaledwie kilka minut, zanim na miejsce zdarzenia wkroczą spece z Wydziału Policji Nowego Jorku.

Przystanął na moment przy recepcji, by pokazać swą odznakę.

- Szybko pan tu dotarł - zauważył strażnik, lecz Jack już zmierzał w stronę wind i nie skomentował jego słów. Strażnik zdziwił się, skąd facet wie, na które piętro ma się udać.

Jack wcisnął się do windy w chwili, gdy drzwi już się zasuwwały, i pstryknął palcem w przycisk oznaczony numerem trzydzieści dwa. Kiedy na górze drzwi się otworzyły, zerknął w obie strony, by się zorientować, z której strony pada światło, po czym ruszył ku odpowiednim pomieszczeniom na końcu korytarza.

Przy otwartych drzwiach stał strażnik, dwóch techników w czerwonych kombinezonach i

sprzątac.

- Kim pan jest? - zapytał strażnik.

- FBI - odparł Jack, okazując odznakę, lecz nie zdradzając swego nazwiska, i wkroczył do gabinetu.

Najpierw rzuciła mu się w oczy ogromna fotografia Fenstona ściskającego dłoń George'a W. Busha, zajmująca dużą część ściany za biurkiem. Oczy Jacka zlustrowały szybko pokój, po czym spoczęły na jedynej rzeczy, której szukał. Leżała ona pośrodku biurka, na stosie rozłożonych dokumentów obok otwartego segregatora.

- Co tu się stało? - zapytał Jack wyniosłym tonem.

- Jakiś facet zamknął się w tym pokoju ponad trzy godziny temu i chyba włączył alarm.

- Ale to nie nasza wina! - wtrącił jeden z techników. - Kazano nam potraktować to wezwanie jako zwykłe, i mamy to na piśmie, inaczej bylibyśmy tu znacznie wcześniej.

Jack doskonale wiedział, kto uruchomił alarm i pozostawił Leapmana na pastwę losu. Podszedł do biurka, szacując wzrokiem dokumenty. Gdy podniósł głowę, stwierdził, że cała czwórka patrzy na niego wyczekująco.

Zatrzymał wzrok na strażniku.

- Proszę iść do windy i poczekać tam na policjantów, a jak tylko się pokażą, mają się stawić u mnie.

Strażnik zniknął w głębi korytarza, nie zadając żadnych pytań.

- A wy stąd wyjdźcie - rzekł kategorycznym tonem. - To jest najprawdopodobniej miejsce zbrodni i nie chcę, żeby ktokolwiek czegokolwiek tu dotykał.

Gdy mężczyźni się odwrócili, Jack chwycił aparat i schował go do jednej z przepastnych kieszeni swego prochowca.

Potem podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku Fenstona i stwierdził, że nie ma w niej zwykłego sygnału zgłoszenia, tylko ciągły brzęczący odgłos. Ktoś odłączył ten telefon. Zapewne ta sama osoba, która włączyła alarm. Jack niczego więcej w pokoju nie tknął, lecz wyszedł na korytarz i zajrzał do pomieszczenia obok. Na ekranie w rogu biurka widniały obrazy z gabinetu Fenstona. Fenston więc nie tylko był świadkiem tego, co Leapman w jego gabinecie robił, lecz także miał dosyć czasu, by opracować wyjątkowo diaboliczną zemstę.

Oczy Jacka przesunęły się na centralkę. Jedna z dźwigienek była podniesiona, paliło się przerywane pomarańczowe światelko, sygnalizujące, że linia jest zajęta. A więc Fenston odciął Leapmanowi wszelkie możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym.

W końcu Jack ogarnął wzrokiem biurko, przy którym Fenston siedział, planując swoją operację. Sporządził sobie nawet listę, by mieć pewność, że nie popełni błędu. Policja znajdzie tutaj wiele tropów. Gdyby to porucznik Columbo prowadził śledztwo, centralka, pozostawiona na biurku odręcznie sporządzona lista działań oraz godzina uruchomienia alarmu wystarczyłyby temu wielkiemu detektywowi, by Fenstona wsadzić za kratki, on zaś by się złamał i przyznał do wszystkiego po ostatniej przerwie na reklamy. Niestety, to nie jest film robiony dla telewizji i stąd pewność, że Fenston się nie złamie i nie przyzna do niczego.

Jack skrzywił usta. Z porucznikiem Columbo łączy go jedynie ten pognieciony płaszcz.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi windy i ktoś mówi:

- Tutaj.

To na pewno gliny. Jack utkwiał wzrok w ekranie, gdy dwóch umundurowanych policjantów

wkroczyło do gabinetu Fenstona i rozpoczęło przesłuchiwanie czterech świadków. Policjanci w cywilu nie każą na siebie długo czekać. Jack opuścił sekretariat i spokojnym krokiem ruszył w stronę wind. Był już przy drzwiach, kiedy jeden z policjantów wyszedł z gabinetu Fenstona i zawołał:

- Proszę pana!

Jack szybko wcisnął guzik przyzywający windę i rozejrzał się na boki, tak by policjant nie dostrzegł jego twarzy. Gdy drzwi się rozsunęły, prędko wszedł do środka. Przytrzymał palcem przycisk oznaczający główny hol, i drzwi natychmiast się zamknęły. Kiedy trzydzieści sekund później otworzyły się na dole, szybko minął recepcję, zbiegł po schodach na ulicę i skierował się w stronę swojego samochodu.

Wskoczył do środka i zapalił silnik w momencie, gdy zza rogu ulicy wybiegł glina. Jack zatoczył samochodem duży łuk, wjeżdżając na krawężnik, skręcił z powrotem na ulicę i pognął do szpitala.

- Dzień dobry, tu dom aukcyjny Sotheby.

- Z lordem Poltimore'em proszę.

- Kogo mam zaanonsować, proszę pani?

- Lady Wentworth.

Arabella nie czekała długo na połączenie.

- Bardzo miło mi cię słyszeć, Arabello - powiedział Mark. - Wybacz, że zapytam - odezwał się żartobliwie - ale sprzedajesz czy kupujesz?

- Szukam rady - odparła Arabella. - Ale gdybym miała sprzedać...

Mark wziął pióro i notował pytania, które Arabella najwyraźniej starannie przygotowała.

- W czasach, kiedy byłem jeszcze dilerem - odparł - zanim zacząłem pracować dla Sotheby'ego, zwyczajowa prowizja wynosiła dziesięć procent do pierwszego miliona. Jeśli istniało prawdopodobieństwo że obraz sprzeda się za kwotę wyższą niż jeden milion, ustalałem wysokość prowizji ze zbywcą.

\_ A jaką prowizję byś zaproponował, gdybym poprosiła cię o sprzedanie van Gogha z kolekcji Wentworthów?

Mark ucieszył się, że Arabella nie widzi jego miny. Kiedy się opanował, przez moment zastanawiał się, jaką kwotę podać, szybko jednak odparł:

- Arabello, gdybyś pozwoliła nam wystawić ten obraz na sprzedaż, nie wzięlibyśmy od ciebie ani grosza, gwarantując ci wypłatę pełnej kwoty z licytacji.

- W jaki więc sposób osiągacie zyski?

- Bierzemy dopłatę od nabywcy - wyjaśnił Mark.

- Ja już mam nabywcę - odparła Arabella - ale dziękuję ci za radę.

-

25 września

50

Krantz doszła do rogu i skręciła w bok. Stwierdziła z ulgą, że ulica jest bardzo zatłoczona. Przeszła ze sto metrów, po czym zatrzymała się pod małym hotelem i rozejrzała na boki, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś jej nie śledzi.

Pchnęła wiodące do hotelu wahadłowe drzwi i z podniesioną głową minęła recepcję, ignorując kobietę rozmawiającą z turystką, która - sądząc z akcentu - mogła pochodzić z Nowego Jorku, i

przystanąła z boku ze wzrokiem utkwionym w ścianie ze skrytkami na lewo od recepcji. Odczekała, aż wszystkie trzy recepcjonistki czymś się zajmą, po czym podeszła do ściany.

Obejrzała się dyskretnie, by sprawdzić, czy ktoś nie zmierza w jej stronę, po czym, uspokojona, wyjęła klucz z kieszeni spodni i włożyła go do zamka skrytki numer dziewiętnaście. Drzwiczki otworzyły się bez problemu, w środku także nic się nie zmieniło. Krantz wyjęła wszystkie pieniądze oraz dwa paszporty i upchnęła je w kieszeni. Potem zamknęła drzwiczki, opuściła hotel i wyszła na ulicę Hercena. Przez całą drogę nie odezwała się do nikogo ani słowem.

Zatrzymała taksówkę - było to coś, czego nie mogła zrobić w czasach, kiedy komuniści uczyli ją zawodu. Podała kierowcy adres banku w dzielnicy Czeriomuszki, oparła się wygodnie i pomyślała przelotnie o pułkowniku Sergieju Slotinaru - żałowała, że nie zdążyła odciąć mu lewego ucha. Bardzo chętnie wysłałaby tej Petrescu małą pamiątkę ze swej wizyty do Rumunii. Niemniej to, co przygotowała dla Petrescu, z nawiązką zrekompensuje jej ten zawód.

Najpierw jednak musi się skoncentrować na wyjeździe z Rosji. Tym amatorom z Bukaresztu łatwo było uciec, znacznie jednak trudniej będzie znaleźć bezpieczny sposób dotarcia do Londynu. Wyspy zawsze stanowią problem - przez góry jest znacznie łatwiej się przeprawić niż przez morza. Do stolicy Rosji przybyła dzisiaj wcześniej rano - wyczerpana, bo od chwili ucieczki ze szpitala nieustannie była w drodze.

Kiedy w szpitalu zaczęła wyc syrena, ona zdążyła już dotrzeć do szosy. Gdy się odwróciła, szpital stał skąpany w świetle reflektorów. Przez granice pomógł jej się przedostać kierowca ciężarówki, który dwukrotnie się z nią kochał i nie zasłużył sobie na śmierć. A potem jeszcze pociąg, samolot, następne trzysta dolarów, w sumie siedemnaście godzin, aż wreszcie dotarła do celu.

W Moskwie natychmiast udała się do hotelu Isla, choć wcale nie miała zamiaru tam nocować. Interesowała ją jedynie skrytka, w której ukryła dwa paszporty i kilkaset rubli.

Podczas przymusowego pobytu w Moskwie Krantz miała zamiar zarobić trochę grosza, chałturząc do czasu, aż powrót do Ameryki stanie się bezpieczny. W stolicy Rosji koszty utrzymania są znacznie niższe niż w Nowym Jorku, ale niższa jest także cena śmierci. Pięć tysięcy dolarów za żonę, dziesięć za męża. Rosjanie jeszcze nie pogodzili się z równouprawnieniem. Za pułkownika KGB można było zgarnąć aż pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a za mafijnego szefa Krantz mogła zażądać nawet stu tysięcy. Jednak jeśli Fenston przekazał jej obiecane dwa miliony dolarów, to denerwujące żony i nieznośni mężowie będą musieli poczekać na jej powrót. Właściwie teraz, kiedy Rosja przeprosiła się z gospodarką wolnorynkową, ona mogłaby związać się z którymś z nowych oligarchów i zaproponować mu obsługę kompleksową.

Była pewna, że jednemu z nich przydałyby się trzy miliony dolarów, przechowywane w pewnej skrytce w Queens, a wtedy nigdy nie musiałyby wracać do Ameryki.

Taksówka zatrzymała się pod nierzucającym się w oczy wejściem do banku, który chlubił się posiadaniem niewielu klientów. Na białym marmurowym gzymsie widniały wyrte litery G oraz Z. Krantz zapłaciła za kurs i wysiadła, a do banku weszła dopiero wtedy, gdy taksówka zniknęła za rogiem ulicy.

Bank Genewa-Zurych był instytucją specjalizującą się w zaspokajaniu potrzeb niedawno powstałej rasy Rosjan, którzy znaleźli sobie nowe miejsce po upadku komunizmu. Politycy, szefowie mafii (biznesmeni), piłkarze i gwiazdy popu - to wszystko były małe rybki w porównaniu z ostatnimi supergwiazdami: oligarchami. Ich nazwiska były tajemnicą poliszynela, lecz ta grupa ludzi mogła sobie pozwolić na luksus anonimowych kont bankowych, by uniemożliwić ustalenie, ile jej

przedstawiciele są w istocie warci.

Krantz podeszła do staroświeckiego drewnianego kontuaru bez linii ani krat, za którym siedział rząd mężczyzn w eleganckich szarych garniturach, białych koszulach i gładkich jedwabnych krawatach którzy czekali na klienta. Gdyby ich przenieść do Genewy czy Zurychu, wyglądali- by tam równie dobrze.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał urzędnik, którego Krantz wybrała.

On zaś zastanawiał się, do jakiej grupy ta kobieta należy - czy jest żoną mafijnego bossa, czy też córką oligarchy. Bo na gwiazdę pop nie wyglądała.

- Jeden zero siedem dwa zero dziewięć pięć dziewięć - odpowiedziała.

Urzędnik wpisał hasło do komputera, a kiedy na ekranie ukazały się liczby, nieco się ożywił.

- Czy mogę prosić o pani paszport?

Krantz wręczyła mu jeden z paszportów wyjętych ze skrytki w hotelu Isla.

- Ile pieniędzy jest na moim koncie? - zapytała.

- A ile, pani zdaniem, być powinno?

- Trochę ponad dwa miliony dolarów - odparła.

- A ile chciałaby pani wyjąć?

- Dziesięć tysięcy w dolarach, dziesięć tysięcy w rublach. Urzędnik wysunął spod kontuaru tacę i zaczął powoli przeliczać banknoty.

- To konto przez pewien czas było nieużywane - zauważył, przenosząc na nią wzrok.

- Owszem - przytaknęła - ale teraz, kiedy znowu jestem w Moskwie, będzie używane znacznie częściej - dodała bez dalszych wyjaśnień.

- Z przyjemnością będę panią obsługiwał - rzekł urzędnik, po czym pchnął na drugą stronę lady dwa pliki banknotów w plastikowych portfelikach, bez wydruku z informacją, z jakiego konta zostały wypłacone, no i oczywiście bez żadnych dokumentów stwierdzających, że tego rodzaju transakcja w ogóle miała miejsce.

Krantz włożyła oba portfele do wewnętrznej kieszeni i powoli opuściła bank, po czym zatrzymała trzecią z przejeżdżających ulicą taksówek.

- Kalstern - rzuciła i zajęła miejsce z tyłu, przystępując do wypełnienia drugiej części swego planu.

Fenston dotrzymał słowa. Teraz ona musi wypełnić swoją część umowy, jeśli chce zarobić następne dwa miliony. Przez głowę przemknęła jej myśl, by zatrzymać owe dwa miliony i nie zawracać sobie głowy podróżą do Londynu. Jednak była to myśl jedynie przelotna, bo Krantz wiedziała doskonale, że Fenston podtrzymuje kontakty z KGB, a w razie czego jego znajomkowie z przyjemnością by się jej pozbyli za kwotę znacznie niższą.

Kiedy dziesięć minut później taksówka się zatrzymała, Krantz wręczyła kierowcy czterysta rubli i nie czekała na resztę. Po opuszczeniu samochodu przyłączyła się do grupki turystów stłoczonych przed wystawą sklepową. Wypatrywali oni czegoś, co mogłoby stanowić pamiątkę ich wizyty, co mogliby pokazać swym sąsiadom jako dowód, że odwiedzili kraj złych komunistów.

Na środku wystawy widniał najbardziej popularny artykuł - czterogwiazdkowy mundur generalski ze wszystkim akcesoriami - czapką pasem, kaburą i trzema rzędami odznaczeń. Nie było metki z ceną ale Krantz wiedziała, że taki mundur sprzedawano za dwadzieścia dolarów.

Obok generała widniał admirał za piętnastkę, a za nim pułkownik KGB za dychę. I chociaż Krantz



nie miała żadnego powodu, by udowodniać swym rodakom w kraju, że odwiedziła Moskwę, to wiedziała, że człowiek, który potrafi załatwić mundur generała, admirała czy pułkownika KGB, niewątpliwie zdobędzie potrzebny jej uniform. Weszła do środka.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała młoda sprzedawczyni.

- Chcę się widzieć z szefem w prywatnej sprawie - odrzekła Krantz. Dziewczyna zrobiła niepewną minę, Krantz jednak patrzyła na nią tak twardym wzrokiem, że ta w końcu odezwała się:

- Proszę za mną - i zaprowadziła ją na zaplecze, gdzie nieśmiało za pukała w drzwi, a dopiero potem je otworzyła.

W małym pomieszczeniu przy wielkim biurku, na którym leżały papiery, puste pudełka po papierosach i do połowy zjedzona kanapka z salami, siedział gruby mężczyzna w obszernym brązowym garniturze. Spod marynarki wystawała czerwona, rozpięta pod szyją koszula, która wyglądała tak, jakby od dobrych kilku dni nie widziała wody z proszkiem. Krantz trudno było odgadnąć wiek mężczyzny, ponieważ był łysy, a jego twarz zasłaniały wąsy. Ale z pewnością wyglądał na właściciela tego interesu.

Mężczyzna oparł ręce o biurko i popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem. Potem lekko się uśmiechnął, lecz Krantz widziała tylko jego podwójny podbródek. Z takimi facetami zawsze trudno się dogadać.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał takim tonem, jakby wykluczał, że ubije z nią interes.

Krantz wyjawiała mu, czego oczekuje. Mężczyzna<sup>^</sup> wysłuchał jej ze zdumioną miną, a potem wybuchnął śmiechem.

- To nie będzie tanie - odezwał się w końcu - no i może trochę potrwać.

- Potrzebuję tego munduru na popołudnie - oznajmiła.

- To nie jest możliwe - odparł, wruszając tłustymi ramionami. Wyjęła z kieszeni plik banknotów i położyła na biurku sto dolarów.

- Dziś po południu - powtórzyła. Mężczyzna uniósł brwi, nie odwracając jednak wzroku od wizerunku

Benjamina Franklina.

- Może uda mi się z kimś skontaktować. Krantz położyła na biurku następne sto dolarów.

- Tak, chyba znam, kogo trzeba.

- Potrzebuję także jej paszportu - oświadczyła.

- Niemożliwe.

Do pary Franklinów dołączyło dwóch następnych.

- Możliwe, ale niełatwe.

Następne dwa banknoty dołączyły do poprzednich, tworząc w sumie szóstkę.

- Wydaje mi się, że można by coś zorganizować - grubas zawiesił głos - za odpowiednią cenę. -

Podniósł wzrok na swego gościa, opierając ręce na wydatnym brzuchu.

- Tysiąc, jeśli wszystko dostanę dziś po południu.

- Zrobię, co się da - oznajmił mężczyzna.

- Nie wątpię - odparła Krantz - bo zacznę odejmować po sto dolarów za każde piętnaście minut - zerknęła na zegarek - po godzinie drugiej.

Facet otworzył usta, by zaprotestować, ale po zastanowieniu zmienił zdanie.

Gdy taksówka przejechała przez bramę Wentworth Hall, Anna ze zdumieniem dostrzegła Arabellę stojącą na najwyższym stopniu schodów. Właścicielka rezydencji prawą ręką przyciskała do żeber dubeltówkę, a przy jej nogach warowały Brunswick i Piston. Gdy kamerdyner otworzył drzwi taksówki, jego pani wraz z labradorami zeszła na dół, by powitać gościa.

- Bardzo się cieszę, że cię widzę - oznajmiła Arabella, całując Annę w oba policzki. - Właśnie mieliśmy pić herbatę.

Anna pogłaskała psy i ruszyła z Arabella na górę, a kamerdyner wyjął z taksówki jej walizkę. Wszedłszy do holu, Anna przystanęła i powoli przesunęła wzrokiem po wiszących na ścianach obrazach.

- Tak, to bardzo przyjemna rzecz mieć rodzinę wokół siebie - zauważyła Arabella - nawet gdyby miał to być ich ostatni weekend na prowincji.

- Co masz na myśli? - zapytała Anna z niepokojem.

- Dziś rano od prawników Fenstona dostałam list z przypomnieniem, że jeśli do jutra w południe nie spłacę całego kredytu, będę zmuszona odprawić służbę.

- Czy on ma zamiar pozbyć się całej kolekcji? - zapytała Anna.

- Takie odnoszę wrażenie - odrzekła Arabella.

- Ale to przecież nie ma sensu - zauważyła Anna. - Jeśli Fenston rzuci na rynek wszystkie obrazy jednocześnie, nie odzyska nawet gołej kwoty kapitału.

- Odzyska, jeśli zaraz potem wystawi na sprzedaż pałac - wyjaśniła Arabella.

- Fenston najwyraźniej oczekuje, że oddasz mu van Gogha - rzekła Anna.

Nie dam zabójcy Victorii tej satysfakcji - oświadczyła Arabella - więc miejmy nadzieję, że pan Nakamura nie odkocha się w van Goghu ponieważ szczerze powiedziawszy, widzę w nim moją ostatnią deskę ratunku

- A gdzie jest to arcydzieło? - zapytała Anna, idąc za panią domu do salonu.

- W sypialni van Gogha, tam gdzie przebywało przez ostatnie sto lat. - Arabella na chwilę zamilkła. - Z wyjątkiem jednodniowej wycieczki na Heathrow.

Podczas gdy Arabella zajmowała swoje ulubione miejsce w fotelu przed kominkiem, w otoczeniu obu psów, Anna wędrowała po salonie, przypominając sobie włoską kolekcję zgromadzoną przez czwartego earla.

- Moi drodzy Włosi nie powinni narzekać, gdyby zostali zmuszeni do niespodziewanej podróży do Nowego Jorku - odezwała się Arabella.

- To w końcu tylko taka amerykańska tradycja.

Anna zaśmiała się, przechodząc od Tycjana do Veronesa, a potem do Caravaggia.

- Zapomniałam już, jak wspaniały jest ten Caravaggio - powiedziała, odstępując krok do tyłu, by podziwiać „Wesele w Kanie”.

- Jestem przekonana, że bardziej interesują cię martwi Włosi niż żywi Irlandczycy - zauważyła Arabella.

- Gdyby Caravaggio żył, Jack śledziłby jego, a nie mnie - odparła Anna.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Caravaggio zabił człowieka w pijackiej awanturze. Przez ostatnie lata życia nieustannie uciekał, ale kiedy przybywał do nowego miasta, stateczni obywatele przymykali oczy na jego wybryki, bo wspaniale przedstawiał na płótnach Matkę Boską i Dzieciątko.

- Anno, jesteś niemożliwa. Chodź tu i siadaj - poleciła Arabella, gdy do pokoju weszła

pokojówka ze srebrną tacą i zaczęła przy kominku nakrywać do herbaty. - Jaką wolisz, indyjską czy chińską?

Anna zajęła miejsce naprzeciwko Arabelli i zanim zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wszedł kamerdyner.

- Milady - odezwał się - w holu czeka dżentelmen z paczką dla pani.

Próbowałem go skierować do wejścia dla dostawców, on jednak utrzymuje, że nie może wypuścić paczki z rąk, dopóki nie uzyska pani podpisu.

- To chyba jakaś współczesna Wiola - zauważyła Arabella. - Chyba muszę pójść zobaczyć, o co chodzi temu natrętnemu posłańcowi. Może nawet rzucę mu pierścień za fatygę.

- Piękna Oliwia na pewno sobie z nim poradzi. - dodała jej otuchy Anna, rozumiejąc aluzję Arabelli do Szekspirowskiego „Wieczoru Trzech Króli”.

Arabella lekko się skłoniła i ruszyła za kamerdynerem. Gdy wróciła, Anna była zajęta podziwianiem „Perseusza i Andromedy” Tintoretta. Uśmiechnięta jeszcze przed chwilą gospodyni miała teraz ponurą minę.

- Jakiś problem? - zapytała Anna, odwracając się do Arabelli.

- Ten wściekły facet odesłał mój pierścień - odparła zapytana. - Chodź i zobacz sama.

Anna wyszła za nią do holu, gdzie Andrews i podkamerdyner usuwali opakowanie z czerwonej skrzynki, której Anna miała nadzieję już nigdy nie zobaczyć.

- Ten obraz musiał zostać wysłany z Nowego Jorku - zauważyła Arabella, studiując metryczkę przyklejoną do opakowania. - Na pewno leciał samolotem razem z tobą.

- Najwyraźniej gdzie ja, tam i on - przyznała Anna.

- Ależ ty wywierasz wrażenie na mężczyznach! - zażartowała Arabella.

Gdy Andrews usunął folię bąbelkową, oczom zebranych ukazało się płótno, które poprzednio Anna widziała w pracowni Antona.

- Wynika z tego jedna dobra rzecz - oświadczyła. - To mianowicie, że możemy „Autoportret” oprawić znów w oryginalną ramę.

- Ale co zrobimy z tym? - zapytała Arabella, wskazując na podróbkę. Kamerdyner dyskretnie zakasłał.

- Masz jakąś propozycję, Andrews? Jeśli tak, to słuchamy.

- Nie, milady - odparł Andrews - ale chyba z przyjemnością pani usłyszysz, że na podjeździe pojawił się już następny gość.

- Ten człowiek rzeczywiście ma wycucie czasu - skomentowała Arabella, szybko poprawiając w lustrze włosy. - Andrews - rzekła, powracając do swej roli - czy dla pana Nakamury został przygotowany pokój Wellingtona?

- Tak, milady. A doktor Petrescu zajmie pokój van Gogha.

- To bardzo stosowne - zauważyła Arabella, odwracając się do Anny - żeby tę ostatnią noc spędził właśnie z tobą.

Anna z ulgą stwierdziła, że Arabella szybko odzyskała humor, i uznała, że może okazać się godną partnerką Nakamury.

Kamerdyner otworzył drzwi i ruszył w dół dostojnym krokiem. Stał na podjeździe dokładnie w chwili, gdy zatrzymała się tam toyota lexus. Andrews otworzył tylne drzwi limuzyny i Nakamura wysiadł. W rękę trzymał niewielką paczkę w kształcie prostopadłościanu.

- Japończycy zawsze przyjeżdżają z prezentem - wyszeptała Anna - ale pod żadnym pozorem nie

wolno ci go obejrzyć w ich obecności.

- Oczywiście - odparła Arabella. - Tylko że ja nic dla niego nie mam..

- On niczego nie oczekuje. Przyjmujesz go w swoim domu jako gościa, a to jest największa uprzejmość, jaką możesz wyświadczyć Japończykowi.

- Dzięki Bogu! - szepnęła Arabella, gdy Takashi Nakamura zbliżał się do wejścia.

- Arabello - odezwał się, składając przed nią niski ukłon - zaproszenie do pani wspaniałego domu uważam za największy zaszczyt.

- To pan zaszczyca ten dom swoją obecnością - odparła Arabella, mając nadzieję, że mówi to, co należy powiedzieć w takiej sytuacji.

Japończyk skłonił się jeszcze niżej, a gdy się wyprostował, stanął na wprost portretu Wellingtona pędzla Lawrence'a.

- Jakżeby inaczej - zauważył. - Czy przypadkiem ten wielki człowiek nie był na kolacji w Wentworth Hall, zanim wyruszył na wyprawę do Waterloo?

- Ależ oczywiście - odparła Arabella. - A panu damy do dyspozycji to samo łóżko, w którym podczas tej historycznej nocy spał Żelazny Książę.

Teraz Nakamura z ukłonem zwrócił się do Anny.

- Bardzo mi miło znowu panią widzieć, doktor Petrescu.

- A mnie jest miło widzieć pana, Nakamura San - odpowiedziała Anna. - Mam nadzieję, że podróż upłynęła panu dobrze.

- Owszem, dziękuję. Dla odmiany nawet wylądowaliśmy o czasie - zażartował Nakamura. Stojąc nieruchomo, lustrował wzrokiem pomieszczenie. - Proszę mnie poprawić, Anno, jeśli się pomyłę. Dla mnie jest oczywiste, że ta sala jest poświęcona szkole angielskiej. Gainsborough? - zapytał, patrząc z admiracją na stojący portret Catherine, lady Wentworth.

Anna kiwnęła głową, zanim Nakamura zdążył przejść do następnych dzieł.

- Landseer, Morland, Romney, Stubbs, ale dalej... jestem w kropce. Czy dobrze się wyraziłem?

- Ależ oczywiście ~ potwierdziła Arabella - chociaż nasi amerykańscy krewni mieliby pewne problemy ze zrozumieniem tego wyrażenia.

A w kropce znalazł się pan z powodu Lely'ego.

- Ach tak, sir Peter i bardzo ładna kobieta. - Urwał, przenosząc wzrok na panią domu. - To cecha rodzinna.

- A ja stwierdzam, że cechą pana rodziny jest prawienie komplementów - zażartowała Arabella.

Nakamura się roześmiał.

- Zanim zdoła mnie pani przywołać do porządku po raz drugi, niech mi wolno będzie zauważyć, że jeśli każda sala jest podobna do tej, to pewnie zostanę zmuszony do odwołania spotkania z tymi cymbałami z Corus Steel. - Oczy Nakamury wędrowały po pokoju. - Wheatley, Lawrence, West i Wilkie - recytował, aż wreszcie jego wzrok spoczął na opartym o ścianę portrecie.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Niezły - zauważył w końcu. - Dzieło całkiem utalentowanego artysty - zawiesił głos - ale nie samego mistrza.

- Skąd pan wie, Nakamura San? - zapytała Anna.

- Ponieważ bandaż zakrywa niewłaściwe ucho - odparł.

- Ale przecież wszyscy wiedzą, że van Gogh odciął sobie lewe ucho - oświadczyła Anna.

Nakamura popatrzył na nią z uśmiechem.

- Kto jak kto, ale pani doskonale się orientuje, że van Gogh malował ten obraz, patrząc w lustro, i dlatego bandaż wylądował na złej stronie.

- Mam nadzieję, że później ktoś mi to wszystko wytłumaczy - odezwała się Arabella, wskazując gościom drogę do salonu.

52

Krantz pojawiła się w sklepie o drugiej po południu, nie zastała jednak właściciela.

- Lada moment wróci - powiedziała ekspedientka bez przekonania.

Ten „moment” przeciągnął się do trzydziestu minut, podczas których

Krantz nie widziała nawet ekspedientki. Gdy właściciel sklepu w końcu stanął w drzwiach, z zadowoleniem zauważyła w jego ręku dużą plastikową torbę. Bez słowa ruszyła za nim na zaplecze. Dopiero gdy znaleźli się w zamkniętym wnętrzu małego gabinetu, mięsiste wargi mężczyzny rozciągnęły się w uśmiechu.

Umieścił torbę na biurku, przez chwilę milczał, po czym wyjął czerwony mundur, taki, jakiego Krantz zażądała.

- Ona jest chyba trochę wyższa od pani - rzekł przeproszającym tonem - ale bez dodatkowej opłaty mogę dostarczyć igłę z nitką. - Roześmiał się, lecz natychmiast spoważniał, stwierdzając, że ten żart klientki nie rozbawił.

Krantz przyłożyła do siebie mundur. Jego właścicielka była od niej o jakieś dziesięć centymetrów wyższa, niewiele jednak cięższa. Właściciel sklepu utrzymywał, że za pomocą igły z nicią łatwo się ten mundur dopasuje.

- A paszport? - zapytała.

Mężczyzna ponownie zanurzył rękę w torbie i niczym magik wyciągający królika z kapelusza, wydobył rosyjski paszport. Podał go swej klientce ze słowami:

- Ona ma trzy dni przerwy, a więc do piątku na pewno nic nie zauważy.

- Aż tak długo nie będzie mi potrzebny - odparła Krantz, przewracając kartki dokumentu.

Sasza Prestakawicz jak odkryta, była od niej o trzy lata młodsza, osiem centymetrów wyższa i nie miała żadnych znaków szczególnych. Problem wzrostu rozwiążą buty na wysokich obcasach, pod warunkiem jednak że jakaś nadgorliwa funkcjonariuszka nie postanowi przeprowadzić rewizji osobistej i nie odkryje przy okazji na jej ramieniu świeżej rany.

Gdy Krantz dotarła do strony, na której poprzednio znajdowało się zdjęcie Saszy, mężczyzna nie potrafił ukryć zadowolenia. Niczym prawdziwy magik, tym razem wyczarował spod lady polaroida.

- Uśmiech proszę! - zakomenderował.

Krantz nie zareagowała.

Kilka sekund później z aparatu wysunęło się zdjęcie. Grubas wziął nożyczki i przyciął je do rozmiaru odpowiadającego małemu prostokątowi na trzeciej stronie paszportu. Potem kropla kleju - i zdjęcie znalazło się na swoim miejscu. W końcu mężczyzna wrzucił do torby szpulkę nici z igłą. Krantz uświadomiła sobie, że właściciel sklepu świadczy tego rodzaju usługę nie po raz pierwszy. Włożyła do torby mundur oraz paszport, po czym wręczyła mu osiemset dolarów.

Mężczyzna starannie przeliczył plik banknotów.

- Obiecała pani tysiąc - zaprotestował.

- Pół godziny się pan spóźnił - wyjaśniła, wzięła torbę i skierowała się do wyjścia.

- Proszę nas jeszcze kiedyś odwiedzić - rzekł na pożegnanie - gdyby znalazła się pani gdzieś w

pobliżu.

Krantz nie zadała sobie trudu, by wyjaśnić mu, dlaczego robiąc to, co robi, z nikim nie kontaktuje się po raz drugi, chyba że chodzi o to, by ten ktoś nie ujrzał jej po raz trzeci.

Wyszła na ulicę, minęła dwie przecznice i znalazła sklep z obuwiami. Kupiła w nim zwykłe czarne czółenka na wysokim obcasie - nie były w jej stylu, lecz na pewno spełnią swój cel. Zapłaciła w rublach i wyszła na ulicę z dwiema torbami w rękę.

Potem zatrzymała taksówkę, podała kierowcy adres i wyjaśniła mu, przy którym wejściu ma się zatrzymać. Gdy samochód zaparkował przy drzwiach z napisem „Tylko dla personelu”, zapłaciła za kurs, weszła do budynku i skierowała się wprost do damskiej toalety.

W zamkniętej kabinie spędziła całe czterdzieści minut. Za pomocą dostarczonych przez właściciela sklepu utensyliów skróciła spódnicę, a w pasie zrobiła dwie zaszewki, niewidoczne pod zakietem.

Potem rozebrała się i przymierzyła mundur. Stwierdziła, że co prawda nie leży na niej doskonale, ale na szczęście firma, w której miała zamiar pracować, nie słynie z elegancji. W końcu zamieniła adidasy na czarne pantofle i wrzuciła swoje rzeczy do torby.

Gdy wreszcie opuściła toaletę, ruszyła na poszukiwania nowego pracodawcy. Ponieważ nie była przyzwyczajona do wysokich obcasów, szła niepewnym krokiem. Po chwili wyłowila wzrokiem kobietę ubraną w identyczny mundur. Podeszła do kontuaru i zapytała:

- Czy znajdzie się wolne miejsce w którymś z naszych samolotów do Londynu?

- Na pewno - odparła kobieta. - Czy mogę prosić o paszport?

Krantz podała jej zdobyty niedawno dokument. Przedstawicielka firmy sprawdziła informacje dotyczące Saszy Prestakawicz w swojej bazie danych. Okazało się, że właścicielka paszportu istotnie ma trzydniową przerwę.

- Wszystko w porządku - rzekła urzędniczka, podając Krantz bilet dla załogi. - Tylko proszę wejść na pokład na samym końcu, bo zawsze ktoś może się spóźnić.

Krantz ruszyła w stronę terminalu międzynarodowego. Przeszła przez stanowisko celne, a potem spacerowała po sklepie wolnocłowym aż do chwili, gdy usłyszała ostatnie wezwanie do samolotu lecącego do Londynu, numer rejsu 413. Przez bramkę przechodziło trzech ostatnich pasażerów. Przedstawiciel linii ponownie sprawdził jej dane w komputerze, a potem zerknął na ekran i powiedział:

- Mamy miejsca w każdej klasie, proszę sobie wybrać.

- Klasa ekonomiczna, z tyłu - rzekła Krantz bez wahania. Mężczyzna zrobił zaskoczoną minę, niemniej bez słowa komentarza wydrukował kartę pokładową i wręczył jej odcinek. I tak oto Krantz weszła na pokład samolotu Aeroflotu lecącego do Londynu.

53

Anna schodziła wolnym krokiem po szerokich marmurowych schodach, co dwa lub trzy stopnie zatrzymując się i podziwiając kolejnego mistrza. Mogłaby te obrazy oglądać w nieskończoność...

Nagle usłyszała jakiś hałas i spojrzała w górę - tylko po to, by zauważyć, że z jej sypialni wychodzi Andrews, niosąc pod pachą obraz. Anna uśmiechnęła się, patrząc, jak kamerdyner kieruje się pośpiesznie w stronę tylnych schodów, i przeniosła wzrok na zawieszoną portretami ścianę nad schodami.

Gdy znalazła się wreszcie w holu, obdarzyła przeciągłym, pełnym zachwytu spojrzeniem Catherine, lady Wentworth, po czym przecięła wyłożony białą-czarną marmurową terakotą hol i wkroczyła do salonu.

Pierwszą rzeczą, jaką tam ujrzała, był Andrews umieszczający obraz van Gogha na sztalugach stojących pośrodku pokoju.

- No i co o tym myślisz? - zapytała Arabella, odstępując krok do tyłu i patrząc z zachwytem na autoportret twórcy.

- Czy nie odnosisz wrażenia, że pan Nakamura może uznać to za trochę... - zaczęła Anna, starając się nie urazić gospodyni.

- Prymitywne, nachalne, oczywiste? Którego słowa chciałaś użyć, moja droga? - zapytała Arabella, przenosząc wzrok na Annę, która wybuchnęła śmiechem. - Powiedzmy sobie prawdę - ciągnęła Arabella - Brakuje mi gotówki oraz czasu, nie mam więc wyboru

- Patrząc na ciebie, nikt by o tym nie pomyślał - zauważyła Anna zerkając z podziwem na wspaniałą długą suknię z różowej jedwabnej tafty oraz brylantowy naszyjnik Arabelli.

Jej krótka czarna sukienka od Armaniego wyglądała przy stroju pani domu nader skromnie.

- To bardzo miłe z twojej strony, że tak mówisz, moja droga, ale gdy bym miała twoją figurę i urodę, nie musiałabym się obwieszać świecidełkami!

Anna uśmiechnęła się, pełna podziwu dla Arabelli, która jednym zdaniem sprawiła, że poczuła się swobodnie.

- Kiedy on, twoim zdaniem, podejmie decyzję? - zapytała Arabella, starając się ukryć desperację w głosie.

- Jak wszyscy wielcy kolekcjonerzy - odparła Anna - zdecyduje się niemal natychmiast. Jakieś badania naukowe ostatnio wykazały, że mężczyzna podejmuje decyzję o przespaniu się bądź nie z kobietą w ciągu ośmiu sekund.

- Aż tak długo?

- Pan Nakamura w tym samym czasie postanowi, czy chce mieć ten obraz - oznajmiła Anna, patrząc na van Gogha.

- Wznieśmy w tej intencji toast - zaproponowała Arabella.

Słyszając te słowa, Andrews wszedł do salonu, niosąc srebrną tacę z trzema kieliszkami.

- Szampan, proszę pani?

- Dziękuję - rzekła Anna, ujmując smukły kieliszek.

Gdy Andrews się wycofał, jej wzrok padł na turkusowo-czarną wazę, której dotąd w tym miejscu nie widziała.

- Jest bardzo piękna - powiedziała.

- Prezent od pana Nakamury - wyjaśniła Arabella. - Stawia mnie to w kłopotliwym położeniu. A propos - ciągnęła - mam nadzieję, że nie popełniam faux pas, umieszczając ją w widocznym miejscu, skoro pan Nakamura jest nadal moim gościem? - Urwała na sekundę. - Bo jeśli tak, to Andrews natychmiast ją usunie.

- Ależ niepotrzebnie - uspokoiła ją Anna. - Pan Nakamura poczuje się mile pochlebiony tym, że umieściłaś prezent od niego pośród swych arcydzieł.

- Jesteś pewna? - zapytała Arabella.

- Och tak. W tym salonie ta waza nabiera blasku. Jeśli chodzi o prawdziwy talent, obowiązuje tylko jedna zasada - tłumaczyła Anna. - Żadna forma sztuki nie wygląda niestosownie wtedy, kiedy

jest eksponowana wśród równych sobie. Rafael na ścianie, brylantowy naszyjnik na twojej szyi, stolik chippendale, na którym postawiłaś wazę, kominek Nasha i obraz van Gogha - to wszystko są rzeczy stworzone przez mistrzów. Nie mam oczywiście pojęcia, kto jest autorem tej wazy - ciągnęła Anna, z uznaniem patrząc na strużki turkusowego, wtapiające się w czerń niczym nacieki stearyny na zapalonej świecy - nie mam jednak wątpliwości, że w swojej ojczyźnie jest on mistrzem.

- Niezupełnie mistrzem - oznajmił głos płynący zza ich pleców.

Anna i Arabella odwróciły się jak na komendę i zobaczyły, że do salonu wszedł Takashi Nakamura. Miał na sobie smoking i muszkę, którą Andrews by docenił.

- Nie mistrzem? - powtórzyła Arabella.

- Nie - odparł Nakamura. - U was ci, którzy „osiągnęli wielkość”, by zacytować waszego Barda, zostają uhonorowani tytułem barona lub knighta, podczas gdy u nas w Japonii nagradzamy taki talent tytułem „skarbu narodowego”. Wentworth Hall jest bardzo stosownym miejscem dla tej wazy, ponieważ spośród dwunastu wielkich garncarzy w historii jedenastu, według znawców, było Japończykami, a jeden, Bernard Leach, był Kornwalijszczykiem. Nie zrobiliście go lordem, nie nadaliście mu nawet tytułu szlacheckiego, toteż my uznaliśmy go za nasz honorowy skarb narodowy.

- Obyczaj godny szacunku - oświadczyła Arabella - bo muszę przyznać, że my ostatnio obsypywaliśmy zaszczytami gwiazdy popu, piłkarzy i nieokrzesanych milionerów.

Nakamura uśmiechnął się, gdy Andrews podał mu szampana.

- A czy pan sam jest skarbem narodowym? - zapytała Arabella.

- Nie - odparł Japończyk. - Moi ziomkowie uważają, że nieokrzesani milionerzy nie zasługują na taki zaszczyt.

Arabella zaczerwieniła się po cebulki włosów, Anna zaś wpatrywała się uparcie w wazę, jakby nie słyszała tej wymiany zdań.

- Ale chyba nie mam racji, mówiąc, że ta waza nie jest symetryczna? - zapytała, patrząc na gościa Arabelli.

- To bardzo błyskotliwa uwaga, Anno - zauważył Nakamura. - Powinna pani wstąpić do korpusu dyplomatycznego. Zdołała pani nie tylko zręcznie zmienić temat, lecz i zadać pytanie, na które trzeba odpowiedzieć.

Nakamura minął obraz van Gogha, jakby go nie zauważył, przez chwilę z namysłem patrzył na wazę, po czym dodał:

- Jeśli kiedykolwiek natkniecie się na wyrób ceramiczny, który będzie doskonały, możecie być pewni, że wyprodukowano go fabrycznie. Cera mika artystyczna jest jedynie bliska doskonałości. Jeśli się dobrze przyjrzeć, zawsze się odkryje jakąś niewielką skazę, która nam przypomina tylko o tym, że dane dzieło zostało zrobione ręką ludzką. Z im lepszym rzemieślnikiem mamy do czynienia, tym trudniej jest wypatrzeć skazę, ale wkońcu w całej historii sztuki jedynie Giotto potrafił narysować idealne koło.

- Dla mnie ta waza jest doskonała - oświadczyła Arabella. - Ja ją wprost uwielbiam, a jeśli w ciągu nadchodzących lat pan Fenston zacznie pozbawiać mnie różnych rzeczy, to tego narodowego skarbu nigdy nie dostanie.

- Być może nie będzie konieczności pozbawiania pani czegokolwiek oprócz tego - zauważył pan Nakamura, przenosząc wzrok na van Gogha z taką miną, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

Arabella wstrzymała oddech, Anna zaś studiowała wyraz twarzy Japończyka. Nie była w stanie wyciągnąć żadnych wniosków.



Patrzył na obraz przez kilka nieskończenie długich sekund, po czym przeniósł wzrok na Arabellę.

- Bycie nieokrzesanym milionerem ma czasem tę zaletę, że chociaż nie można marzyć o tym, by samemu stać się skarbem narodowym, to jednak można oddać się pasji kolekcjonowania narodowych skarbów innych krajów.

Anna miała ochotę krzyknąć z radości, wzniosła jednak tylko toast. Takashi Nakamura także podniósł kieliszek, po czym oboje zwrócili się do Arabelli. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować - oznajmiła.

- Nie mnie - odrzekł Nakamura - tylko Annie. Bez jej odwagi i hartu ducha cała ta sprawa nie została doprowadzona do tego interesującego końca.

- Zgadzam się z panem - Arabella pokiwała głową - i dlatego poproszę Andrews'a o odniesienie portretu do sypialni Anny, żeby jako ostatnia osoba złożyła mu tutaj hołd, zanim wyruszy on w długą podróż do Japonii.

- Oczywiście - poparł ją Nakamura. - Ale gdyby Anna zgodziła się zostać dyrektorem mojej fundacji, mogłaby ten obraz oglądać do woli.

Anna już otwierała usta, by mu odpowiedzieć, kiedy do salonu wszedł ponownie Andrews i oznajmił: - Podano kolację, milady.

Krantz wybrała miejsce w ostatnim rzędzie, by nie rzucać się w oczy pasażerom, jednak już na początku podróży musiała się zaprzyjaźnić z kimś z załogi. Nieśpiesznie przyglądała się stewardesom, zastanawiając się, która z jej nowych koleżanek nadaje się do tego celu.

- Latasz krajowymi czy międzynarodowymi? - zapytała ją starsza rangą stewardesa wkrótce potem, gdy samolot osiągnął wysokość przelotową.

- Krajowymi - odparła Krantz z uśmiechem.

- Aha, to pewnie dlatego widzę cię po raz pierwszy.

- Pracuję w Aeroflocie dopiero od trzech miesięcy - dodała Krantz.

- To by wszystko wyjaśniało. Mam na imię Nina.

- A ja Sasza - odparła Krantz, uśmiechając się ciepło do swojej nowej koleżanki.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to mi powiedz, dobrze?

- Oczywiście.

Ból w prawym ramieniu sprawił, że Krantz długo nie mogła zasnąć. Wykorzystała ten czas na nawiązanie bliższej znajomości z Niną, toteż na długo przed końcem lotu stewardesa była gotowa nieświadomie odegrać bardzo ważną rolę w planie Krantz. Gdy Nina wzięła ją pod swoje skrzydła, Krantz mogła wreszcie spokojnie zasnąć.

- Może chciałabyś przejść do przodu, Sasza? - zapytała Nina, gdy pilot polecił załodze zająć miejsca i przygotować się do lądowania. -

Wtedy będziesz mogła wysiąść od razu po otwarciu drzwi.

Krantz pokręciła głową.

- Pierwszy raz lecę do Anglii - powiedziała zdenerwowana - i wolałabym zostać z tobą i resztą załogi.

- Ależ bardzo proszę - odrzekła Nina. - Jeśli chcesz, możesz pojechać z nami mikrobusem.

- Dzięki - odparła Krantz i wstała ze swojego miejsca dopiero wtedy, gdy pokład samolotu opuścili wszyscy pasażerowie.

Potem wraz z załogą udała się w stronę terminalu. Podczas długiego marszu niekończącymi się

korytarzami Heathrow nie odstępowała Niny, tej zaś buzia się nie zamykała. Gadatliwa stewardesa wyrażała swoją opinię na wszystkie możliwe tematy, od Putina do Rasputina.

Gdy załoga Aerofłotu dotarła wreszcie do stanowiska kontroli paszportowej, Nina skierowała swą podopieczną do długiej kolejki przed przejściem z napisem „Tylko dla załogi5’”. Krantz ukryła się za Niną, gdy ta, nie przestając mówić, wręczyła swój paszport urzędnikowi. Mężczyzna powoli przewrócił kartki, zerknął na zdjęcie i gestem dłoni kazał Ninie przejść.

- Następny proszę.

Krantz wręczyła mu swój paszport. Funkcjonariusz znów uważnie obejrzał fotografię i osobę, której twarz miała na niej widnieć. Gdy zezwolił jej na przejście, nawet się uśmiechnął. Krantz nagle poczuła w prawym ramieniu przeszywający ból. Był tak silny, że przez moment nie była w stanie się poruszyć. Z trudem zachowała kamienną twarz. Funkcjonariusz machnął ręką po raz drugi, nakazując jej iść dalej, ona jednak stała jak przykuta do ziemi.

- Chodź, Sasza! - zawołała Nina. - Blokujesz przejście.

Krantz niepewnym krokiem przeszła za barierkę. Funkcjonariusz przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem. Nie oglądaj się za siebie, przypomniała sobie, po czym uśmiechnęła się do Niny i nawet wzięta ją pod rękę, kierując się z nią do wyjścia. Funkcjonariusz przeniósł wreszcie wzrok na drugiego oficera, który był następny.

- To co, pojedziesz z nami? - zapytała Nina, gdy opuściły terminal.

- Nie - odparła Krantz. - Umówiłam się z chłopakiem.

Nina wyglądała na zaskoczoną, niemniej pożegnała się ze swą nową koleżanką i w towarzystwie drugiego oficera przeszła na drugą stronę jezdni, gdzie parkowały autobusy.

- Kto to był? - zapytał kolega, gdy wsiadali do mikrobusu Aerofłotu.

54

- Czy na tym filmie nie było nic takiego, co mogłoby nam pomóc? - zapytał Macy.

- Nic - odparł Jack, który siedział po drugiej stronie biurka. - Przed powrotem Fenstona Leapman zdążył sfotografować tylko osiem dokumentów.

- A co wynika z tych ośmiu dokumentów? - drażył Macy.

- Nic takiego, czego byśmy nie wiedzieli - przyznał Jack, otwierając teczkę. - Są tam głównie kontrakty potwierdzające, że Fenston nadal oskubuje klientów w różnych częściach świata, którzy albo są naiwni, albo pazerni. Ale podejrzewam, że z następnym trupem będziemy mieli do czynienia wtedy, kiedy któryś z nich uzna, że w jego dobrze pojętym interesie jest wyprzedaż aktywów i spłacenie kredytu w Fenston Finance. Nie, cała moja nadzieja w tym, że nowojorski wydział policji zebrał wystarczający materiał dowodowy, aby postawić Leapmana w stan oskarżenia, bo ja nie uzbierałem nawet tyle, żeby mu wpięprzyć mandat za złe parkowanie.

- No właśnie - skomentował Macy. - Bo kiedy dziś rano rozmawiałem ze swoim odpowiednikiem w tejże policji, albo raczej kiedy on rozmawiał ze mną, to przede wszystkim spytał, czy u nas pracuje agent FBI nazwiskiem Delaney, a jeśli tak, to czy ten facet był na miejscu zbrodni przed przybyciem jego chłopców.

- Co mu powiedziałaś? - zapytał Jack, ukrywając uśmiech.

- Że zbadam sprawę i oddzwonię. - Macy zmarszczył czoło. - Ale można by ich trochę udobruchać, gdybyś zgodził się przehandlować parę informacji - zasugerował.

- Nie sądzę, żeby mieli coś, o czym my jeszcze nie wiemy - odparł Jack - a nie mogą być tacy

optymistyczni, że wysuną przeciwko Fenstonowi zarzuty, skoro Leapman śpi jak zabity.

- Są jakieś pozytywne wiadomości ze szpitala? - zapytał Macy. - Jakie on ma rokowania?

- Nie najlepsze - odparł Jack. - Kiedy był w gabinecie Fenstona, doznał udaru na skutek skoku ciśnienia. Jego przypadłość nazywa się afazją.

- Afazją?

- Obszary mózgu Leapmana, które zawiadują funkcją mowy, zostały nieodwracalnie uszkodzone, toteż facet nie może mówić. Jego lekarz nazywa go warzywem. Ostrzegł mnie, że jedyną decyzją, jaką szpital będzie władny podjąć, to czy nie odłączyć go od aparatury i pozwolić mu spokojnie umrzeć.

- Chłopcy z policji mówili mi, że Fenston siedzi przy jego łóżku z zatroskaną miną.

- Lepiej niech ich nie zostawiają samych na więcej niż kilka sekund, bo jeśli to zrobią, lekarze nie będą musieli odłączać aparatury.

- Policja chce także wiedzieć, czy to ty zabrałeś aparat z miejsca zbrodni.

- Był własnością FBI.

- Nie możesz tak mówić w sytuacji, kiedy aparat może stanowić dowód w śledztwie. Może byś im tak wysłał zdjęcia, które Leapman zrobił, i postarał się w przyszłości trochę z nimi współpracować? Przypomnij im, że twój ojciec pracował u nich przez dwadzieścia sześć lat. To powinno ich dobrze usposobić.

- Ale co oni mają do zaoferowania w zamian?

- Kopię zdjęcia z twoim nazwiskiem na odwrocie. Chcieliby wiedzieć, czy coś ci to mówi, bo im nie mówi to nic. Ani mnie - dodał Macy, przesuając w kierunku swego podwładnego dwie odbitki i dając mu czas na obejrzenie ich.

Pierwsza przedstawiała zdjęcia Fenstona ściskającego dłoń George'a W. Busha podczas wizyty w Strefie Zero. Jack przypomniał sobie, że powiększenie tej fotografii wisiało na ścianie za biurkiem Fenstona. Podniósł odbitkę i zapytał:

- Jakim cudem dostało się to w ręce policji?

- Znaleźli to na biurku Leapmana. Najwyraźniej miał zamiar wczoraj wieczorem ci to dać, no i wyjaśnić, co znaczą słowa napisane na odwrocie.

Gdy Jack spojrział na drugą odbitkę i przeczytał: „Delaney, lepszego dowodu nie potrzebujecie”, stojący na biurku telefon zaczął dzwonić. Macy go odebrał i przez chwilę słuchał.

- Połącz go - powiedział i odłożył słuchawkę, włączając jednocześnie głośnik. - Tom Crasanti, dzwoni z Londynu - wyjaśnił. - Cześć, Tom, tu Dick Macy. Jest u mnie Jack. Właśnie omawialiśmy sprawę Fenstona, ale nie udało nam się wiele zdziałać.

- Dlatego właśnie dzwonię - odparł Tom. - Po tej stronie coś się wydarzyło, i to niedobrego. Wydaje się nam, że Krantz przedostała się do Anglii.

- Niemożliwe! - zawołał Jack. - Jakim cudem przeszłaby przez kontrolę paszportową?

- Chyba w stroju stewardesy Aeroflotu - wyjaśnił Tom. - Zadzwoił do mnie przyjaciel z ambasady rosyjskiej z ostrzeżeniem, że do Wielkiej Brytanii przyleciała kobieta posługująca się fałszywym paszportem na nazwisko Sasza Prestakawicz.

- A na jakiej podstawie oni uważają, że Prestakawicz to Krantz? - zapytał Jack.

- Oni tak nie uważają - odparł Tom. - Oni nie mają pojęcia, kim ta kobieta była. Powiedzieli mi jedynie tyle, że podejrzana zaprzyjaźniła się z główną stewardesą Aeroflotu podczas popołudniowego lotu do Londynu. Potem tak ją urobiła, że ta poszła z nią do kontroli paszportowej. Ale dzięki temu w ogóle się o tym dowiedzieliśmy. Bo kiedy drugi pilot zapytał tę stewardesę, kim

była towarzysząca jej koleżanka, i usłyszał, że to była Sasza Prestakawicz, oświadczył, że to niemożliwe, bo on często z Saszą podróżuje, i to na pewno nie była ona.

- Ale to jeszcze nie dowód, że to Krantz - zastrzegł Macy.

- Dojdziemy do tego, tylko proszę mi nie przerywać.

Jack był zadowolony, że jego przyjaciel nie widzi grymasu niezadowolenia na twarzy szefa.

- Ten drugi pilot - ciągnął Tom - złożył meldunek kapitanowi, który niezwłocznie zaalarmował władze Aeroflotu. Bardzo szybko ustalono, że Sasza Prestakawicz ma trzydniową przerwę i że ukradziono jej paszport razem z uniformem. No i wtedy rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. - Macy zaczął niecierpliwie bębnić palcami w biurko. - Mój kontakt z ambasady rosyjskiej zadzwonił do mnie w ramach nowego porozumienia po wydarzeniach jedenastego września - dodał Tom - zawiadomiwszy uprzednio Interpol.

- Dojdiesz wreszcie do sedna, Tom?

- Za sekundę, sir. - Tom na chwilę zamilkł. - O czym to ja mówiłem?

- O telefonie od twojego kontaktu w ambasadzie rosyjskiej - przypomniał Jack przyjacielowi.

- Ach tak. No więc kiedy przekazałem im rysopis Krantz, wiecie, wzrost, waga, włosy obcięte na języka, poprosili mnie o przesłanie faksem jej zdjęcia, co też uczyniłem. Oni potem przesłali kopię tego zdjęcia do hotelu w Londynie, w którym zatrzymał się drugi pilot, i ten pilot potwierdził, że to była ta kobieta.

- Dobra robota, Tom - pochwalił kolegę Macy. - Jak zwykle, pedantyczna. A może wpadłeś też na pomysł, dlaczego Krantz ryzykowała przyjazd do Anglii właśnie teraz?

- Chyba po to, żeby zabić Petrescu - odparł Tom.

- A ty co sądzisz o tej hipotezie? - zapytał Macy Jacka.

- Zgadzam się z Tomem. - Jack kiwnął głową. - Anna jest celem oczywistym. - Zawiesił na chwilę głos. - Nie rozumiem tylko, dlaczego Krantz podejmuje takie ryzyko właśnie w tej chwili.

- Zgadzam się z tobą - oznajmił Macy - ale nie mam zamiaru narażać Petrescu na śmierć, kiedy my będziemy analizowali motyw Krantz. - Pochylił się do przodu. - Tom, słuchaj mnie uważnie, bo nie mam zamiaru się powtarzać. - Sięgnął po teczkę Fenstona. - Proszę cię, żebyś skontaktował się... chwilczkę... - Zamilkł, przerzucając kartki. - O, już mam. Z nadinspektorem Rentonem z wydziału kryminalnego policji w hrabstwie Surrey. Po przeczytaniu raportu Jacka odniosłem nieodparte wrażenie, że Renton jest człowiekiem przywykłym do podejmowania trudnych decyzji, a nawet bierze na siebie odpowiedzialność, kiedy któryś z jego podwładnych w czymś nawali. Wiem, że już przekazałeś mu informacje na temat Krantz, ale proszę, ostrzeż go, że naszym zdaniem, ona znowu zaatakuje, i tym razem ofiarą może być ktoś z Wentworth Hall. Nie chcemy, żeby za jego kadencji coś takiego przydarzyło się dwukrotnie, podkreśl także, że po ostatnim aresztowaniu Krantz zdołała uciec. To sprawi, że przez całą noc będą czuwać. A jeśli Renton zechce zamienić ze mną parę słów, jestem w każdej chwili do dyspozycji.

- Przekaż mu także najlepsze życzenia ode mnie - dorzucił Jack.

- No to załatwione - rzekł Macy. - A więc, Tom, dodaj trochę gazu.

- Jasne, sir! - zawołał Tom na zakończenie.

Macy wyłączył przycisk głosu.

- A ty, Jack, wsiądziesz do najbliższego samolotu do Londynu. Jeśli Krantz istotnie chce zrobić coś Petrescu, to przynajmniej na nią tam czekajmy, bo jeśli nam zwieje po raz drugi, ja zostanę wysłany na emeryturę, a ty się pożegnasz z marzeniami o awansie.

Jack zmarszczył czoło, lecz się nie odzywał.

- Wyglądasz na zaniepokojonego - dodał Macy.

- Nie rozumiem, dlaczego zdjęcie Fenstona ściskającego dłoń prezydenta to najlepszy „dowód” - zawiesił głos - chociaż chyba się domyślam, dlaczego Krantz zaryzykowała powrót do Wentworth Hall.

- No to mów.

- Ma zamiar ukraść van Gogha i jakoś przekazać go Fenstonowi.

- A więc to nie z powodu Petrescu wróciła do Anglii.

- Zgadza się, ale kiedy tylko się zorientuje, że Anna tam przebywa, możesz być pewien, że zabicie jej potraktuje jako premię.

55

Dwudziestego piątego września latarnie zapalono zgodnie z harmonogramem o siódmej czterdzieści jeden wieczorem. Krantz pojawiła się na obrzeżach Wentworth tuż po ósmej.

W tym czasie Arabella wraz ze swymi gośćmi szła do jadalni.

Krantz, ubrana w czarne legginsy i obcisłą bluzę, okrążyła posiadłość dwukrotnie, zanim zdecydowała, w którym miejscu wejdzie na jej teren. Na pewno nie miała zamiaru wkroczyć przez główną bramę. Otaczające posiadłość wysokie mury, budowane w czasie inwazji Francuzów i Niemców, były przez długi czas nie do zdobycia, jednak w początkach dwudziestego pierwszego wieku, na skutek niszczącego działania czasu i wprowadzenia płacy minimalnej, w murze znalazłoby się parę miejsc, przez które miejscowi chłopcy mogli przedrzeć się na drugą stronę, by kraść jabłka.

Gdy Krantz dokonała już wyboru miejsca, w kilka sekund wdrapała się na mur, przerzuciła nogi na drugą stronę i zeskoczyła na ziemię, po czym przekoziółkowała. Tak właśnie ratowała się setki razy po nieudanym zeskoku z poręczy.

Przez chwilę leżała nieruchomo, czekając, aż księżyc zniknie za chmurami. Potem przebiegła trzydzieści lub czterdzieści metrów, jakie dzieliły ją od niewielkiego zagajnika nad rzeką, i czekała na pojawienie się księżyca, którego światło umożliwiłoby jej dokładniejsze przestudiowanie terenu. Była świadoma, że musi wykazać dużo cierpliwości. W jej zawodzie niecierpliwość prowadzi do błędów, których nie można naprawić tak szybko jak w niektórych innych profesjach.

Krantz wyraźnie widziała rezydencję od frontu. Gdy upłynęło czterdzieści minut, mężczyzna w czarnym fraku i białej muszce otworzył ciężkie dębowe drzwi i wypuścił dwa psy na wieczorne igraszki. Psy wciągnęły w nozdrza powietrze, natychmiast wyczuły zapach Krantz, zaczęły głośno szczekać i ruszyły w jej kierunku. Ona tymczasem spokojnie na nie czekała.

Anglicy, jak wyjaśnił jej niegdyś instruktor, to wielcy miłośnicy zwierząt. Zwierzęta, które mieszkają w domu danego człowieka, zdradzają, do jakiej sfery on należy. Klasa robotnicza lubi charty, klasa średnia - jack russell teriery i cocker-spaniele, podczas gdy nuworysze preferują rottweilery i owczarki niemieckie jako psy znakomicie się nadające do ochrony ich świeżo zdobytego majątku. Sfery wyższe tradycyjnie wybierają labradory, psy kompletnie nieprzydatne do ochrony, które prędzej połaszą się do obcego, niż dobiorą się do jego skóry. Krantz zetknęła się ze słowem „cukierkowy” właśnie wtedy, kiedy zyskała wiedzę o tych psach. Królowa jednak trzyma psy pasterskie rasy corgi.

Teraz Krantz tkwiła w miejscu nieruchomo, podczas gdy labradory zmierzały w jej kierunku, od czasu do czasu zatrzymując się i węsząc. Teraz już rozpoznawały pewien zapach, co wprawiało ich

ogony w coraz szybszy ruch. Tego dnia Krantz odwiedziła Curnick's na Fulham Road i kupiła tam tak delikatną polędwicę, że delektowaliby się nią także goście jedzący obecnie kolację w Wentworth Hall. Krantz wiedziała, że w tym przypadku nie należy oszczędzać. W końcu miała to być ostatnia kolacja labradorów.

Rozłożyła soczyste kawałeczki polędwicy wokół siebie, a sama stała nieruchomo w środku tego kręgu. Kiedy Brunswick i Picton wyczuły mięso, łączywie się na nie rzuciły, nie wykazując najmniejszego zainteresowania człowiekiem stojącym nieopodal. Potem Krantz przyklękła powoli na jedno kolano i w pustych miejscach na okręgu zaczęła psom serwować drugie danie. Czasem labradory robiły sobie przerwę między kolejnymi kawałkami, podnosiły na nią smutne oczy, machając przy tym entuzjastycznie ogonami, po czym wracały do swej uczty.

Kiedy już ostatnie frykasy znalazły się na ziemi, Krantz pochyliła się i zaczęła gładzić jedwabisty łeb Pictona, młodszego z psów. Nawet nie podniósł łba, gdy Krantz wyciągnęła z pochwy nóż - ze stali sheffieldzkiej, również nabyty tego popołudnia na Fulham Road.

Ponownie pogłaskała delikatnie czekoladowy łeb labradora, po czym nagle chwyciła go za uszy, odsunęła gwałtownie jego pysk od ostatnich pysznych kąsków i jednym ruchem dłoni poderżnęła mu gardło. Głośnie warknięcie Pictona przeszło w przeraźliwy skowyt, lecz w ciemnościach Krantz nie widziała wielkich, przepęlnionych bólem oczu. Czarny labrador, starszy, lecz wcale nie mądrzejszy, podniósł do góry łeb i warknął, co mu zajęło całą sekundę. To wystarczyło, by Krantz wsunęła lewą rękę pod szczękę psa, skłaniając go do podniesienia łba na tyle, by dokonać takiego samego cięcia jak poprzednio, choć tym razem już trochę mniej precyzyjnego. Brunswick osunął się na ziemię, skamłając z bólu. Krantz pochyliła się, chwyciła jego jedwabiste uszy i jednym szybkim ruchem dokończyła dzieła.

Zaciągnęła oba psy między drzewa i ukryła je za zwałonym dębem. Potem umyła w strumyku ręce i z irytacją stwierdziła, że jej nowy strój zdobią plamy z krwi. W końcu otarła nóż o trawę i wsunęła go do futerału. Spojrzała na zegarek. Przeznaczyła na całą operację dwie godziny, toteż oszacowała, że ma jeszcze ponad godzinę, zanim zebrani w domu ludzie, zarówno państwo, jak i służba, zauważą, że psy nie wróciły z wieczornej przechadzki.

Krantz oceniła, że odległość między zagajnikiem a północną stroną pałacyku wynosi od stu do stu dwudziestu metrów. Ponieważ świecił księżyc, z rzadka przesłaniany przez chmury, wiedziała, że tylko w jeden sposób może się dostać do domu niezauważona.

Opadła na kolana, po czym płasko położyła się na trawie. Najpierw wysunęła przed siebie jedno ramię, potem przesunęła w bok jedną nogę, po czym dołączyła drugie ramię oraz drugą nogę, i w końcu pchnęła do przodu całe ciało. Jej rekord w posuwaniu się do przodu ruchem kraba na sto metrów wynosił siedem minut i dziewiętnaście sekund. Od czasu do czasu nieruchomiała i podnosiła głowę, by ocenić, gdzie się znajduje i w którym miejscu da się wejść do rezydencji. Pomieszczenia na parterze były jasno oświetlone, podczas gdy pierwsze piętro niemal tonęło w ciemnościach. Na drugim piętrze, gdzie mieszkała służba, paliło się tylko jedno światło. To piętro Krantz nie interesowało. Osoba, której poszukiwała, jest teraz na parterze, a potem będzie na pierwszym piętrze.

Gdy znalazła się w odległości dziesięciu metrów od pałacu, zwolniła tempo, aż wreszcie dotknęła palcem muru. Leżała nieruchomo, z głową zwróconą w bok, studiując w świetle księżyca szczegóły architektoniczne rezydencji. Tylko w najlepszych budowlach trafiają się rynny tej średnicy. Ktoś, kto kręcił salta na szerokiej na dziesięć centymetrów równoważni, taką solidną rurę potrafi

wykorzystać jako drabinę.

Potem Krantz zlustrowała okna dużego pokoju, skąd dobiegał największy hałas. Chociaż ciężkie kotary przesłaniały okna, w jednym miejscu dostrzegła wąski prześwit. Niespiesznie przesunęła się w stronę tego miejsca, nasłuchując dobiegających ze środka odgłosów rozmowy oraz śmiechu. Gdy dotarła do celu, podciągnęła się ostrożnie na kolana i przez szczelinę zajrzała do środka.

Najpierw zobaczyła mężczyznę ubranego w smoking. Stał, trzymając w dłoni kieliszek szampana, jakby wznosił toast. Nie słyszała, co mężczyzna mówił, ale też wcale jej to nie obchodziło. Przebiegła wzrokiem widoczną część pokoju. U szczytu stołu, plecami do okna, siedziała kobieta w długiej jedwabnej sukni, wpatrzona uważnie w mężczyznę wygłaszającego zaimprovizowane przemówienie. Krantz zatrzymała wzrok na brylantowym naszyjniku, choć biżuteria nie była jej specjalnością. Ją interesowało miejsce ponad lśniącymi klejnotami.

Przeniosła wzrok na drugi koniec stołu. Gdy odkryła, kto delektuje się bażantem i sący wino, przez jej twarz przemknął słaby uśmiech. Kiedy wkrótce Petrescu uda się do sypialni, Krantz będzie na nią czekać, ukryta w miejscu, w którym nikt by się jej nie spodziewał.

Zerknęła na mężczyznę w czarnym fraku, który wypuścił na dwór psy. Stał on w tej chwili za kobietą w jedwabnej sukni, napełniając jej kieliszek winem, podczas gdy służba zbierała talerze, a jedna ze służących zmiatała ze stołu okruszki na srebrną tacę. Krantz tkwiła przy oknie nieruchomo, lecz jej oczy krążyły po pokoju w poszukiwaniu drugiego gardła, które Fenston nakazał jej poderżnąć.

- Lady Arabello, wstałem, aby podziękować pani za uprzejmość i gościnność. Pstrąg z rzeki Test był znakomity, podobnie jak bażant ustrzelony na terenie tej posiadłości, nie mówiąc już o towarzystwie dwóch wyjątkowych kobiet. Dzisiejszy wieczór pozostanie w mojej pamięci z wielu innych powodów. Zwłaszcza tego, że opuszczę jutro Wentworth Hall z dwoma jedynymi w swoim rodzaju ozdobami mojej kolekcji. Mam na myśli jedno z najwspanialszych dzieł van Gogha oraz jedną z najbardziej utalentowanych profesjonalistek w swej dziedzinie, która zgodziła się zostać dyrektorem mojej fundacji. Ponad sto lat temu, w 1889 roku, pani pradziadek - tu Nakamura zwrócił się do gospodyni - postąpił bardzo roztropnie, kupując od doktora Gacheta autoportret swego bliskiego przyjaciela, Vincenta van Gogha. Jutro arcydzieło to rozpocznie podróż na drugi koniec świata, niemniej muszę panią ostrzec, Arabello, że po kilku godzinach pobytu w pani domu mam ochotę na jeszcze jeden z pani skarbów narodowych, a tym razem zamierzam zapłacić dobrze ponad cenę katalogową.

- Który, jeśli wolno spytać?

Krantz uznała, że pora ruszać dalej.

Podczołgała się powoli w stronę północnej ściany rezydencji, nieświadoma faktu, że masywne narożne kamienie w oczach sir Johna Vanbrugha były architektonicznym cudem; ona widziała w nich jedynie znakomite oparcie dla stóp podczas wspinaczki w górę.

W ciągu niespełna dwóch minut wspięła się na balkon pierwszego piętra i przez chwilę zastanawiała się nad tym, do ilu sypialni będzie musiała wejść. Wiedziała, że kiedy w domu są goście, nie ma powodu zakładać, że w którymś pokoju włączy się alarm, zaś wejście do rezydencji - dzięki jej szacownemu wiekowi - nie stanowi większego problemu nawet dla debiutującego włamywacza.

Za pomocą noża Krantz podważyła zasuwkę pierwszego okna. Gdy dostała się do środka, nie szukała po omacku wyłącznika, lecz zapaliła latarkę wielkości długopisu, która oświetlała obszar

wielkości małego ekranu telewizyjnego. Kwadrat światła przesuwiał się po ścianie, oświetlając obraz za obrazem, i mimo że Hals, Hobbema i van Goyen zachwyciliby większość koneserów, Krantz tylko na nie zerknęła, wypatrując innego znanego holenderskiego mistrza.

Gdy pobieżnie obejrzała wszystkie obrazy w tym pokoju, zgasła latarkę i wróciła na balkon. Do drugiego pomieszczenia wchodziła w chwili, gdy Arabella podniosła się, by podziękować panu Nakamura za jego uprzejme przemówienie.

Krantz ponownie przestudiowała wszystkie płótna, lecz i tym razem jej twarzy nie rozjaśnił uśmiech. Szybko wróciła na balkon, podczas gdy na dole kamerdyner zaproponował Nakamura porto i otworzył pudełko z cygarami. Japończyk wskazał na Taylora, rocznik czterdzieści siedem.

Kamerdyner powrócił do swej pani siedzącej przy drugim końcu stołu. Arabella pokręciła głową na widok butelki porto, lecz kciukiem i palcem wskazującym ujęła kilka cygar i je sprawdziła, wybierając w końcu Monte Christo. Gdy kamerdyner zapalał dla niej zapalkę, Arabella się uśmiechnęła. Wszystko idzie zgodnie z planem.

56

Gdy Arabella zaprosiła swych gości do salonu na kawę, Krantz zdążyła już zlustrować pięć sypialni. Do przejścia pozostało jeszcze dziewięć pokoi. Zdawała sobie sprawę, że pozostało jej niewiele czasu, a poza tym taka szansa już się nie powtórzy.

Szybko wsunęła się do następnego pomieszczenia, gdzie ktoś wierzący w dobroczynne skutki działania świeżego powietrza zostawił szeroko otwarte okno. Gdy zapaliła latarkę, powitało ją stalowe spojrzenie Żelaznego Księcia. Przy kolejnym obrazie przystanąła w chwili, gdy Takashi Nakamura odstawił filiżankę na mały stolik i wstał z miejsca.

- Myślę, że na mnie już pora - oznajmił, zwracając się do Arabelli.

- Nie chciałbym, żeby ci nudziarze z Corus Steel pomyśleli, że straciłem wigor. - Przeniósł wzrok na Annę. - Do zobaczenia rano. Przy śniadaniu bardzo chętnie bym usłyszał, jakie ma pani pomysły na rozwinięcie mojej kolekcji, a może nawet omówimy kwestię pani wynagrodzenia.

- Ale przecież pan nie ukrywał, ile, według pana, jestem warta - zauważyła Anna.

- Tego sobie nie przypominam - odparł Nakamura zaskoczony.

- Nie? - Anna popatrzyła na niego z uśmiechem. - Fenston przekonał pana, że jestem warta pięćset dolarów dziennie. Tak mi pan powiedział, dobrze pamiętam.

- Wykorzystuje pani starego człowieka - odparł uśmiechnięty Nakamura - ale nie mogę złamać słowa.

Krantz odniosła wrażenie, że słyszy odgłos zamykanych drzwi, szybko więc wycofała się na balkon, nie zaszczycając Wellingtona następnym spojrzeniem. Aby dostać się do kolejnego pokoju, potrzebny był jej znowu nóż. Chyłkiem pokonała odległość dzielącą ją od jeszcze jednego łoża z baldachimem. Zapaliła latarkę, spodziewając się, że powita ją pusta ściana. Tym razem jednak czekała ją niespodzianka.

Patrzyły na nią oczy geniusza, w których czaiło się szaleństwo. Podobne szaleństwo kryło się w oczach zabójczym.

Po raz drugi tego dnia Krantz się uśmiechnęła: Weszła na łóżko i podczołgała się ostrożnie do swej kolejnej ofiary. Była już bardzo blisko obrazu, gdy wyjęła nóż i wzniosła go do góry. Właśnie miała zamiar zatopić jego ostrze w szyi van Gogha, kiedy przypomniała sobie słowa Fenstona. Jasne,



lepiej zarobić milion więcej. Zgasiła latarkę, zsunęła się na gruby dywan i wczółgała się pod łożę. Tam położyła się na plecach i czekała.

Kiedy Arabella i jej goście przeszli do holu, gospodyni zapytała kamerdynera, czy Brunswick i Picton już wróciły.

- Nie, milady - odparł kamerdyner - ale dziś wieczorem jest wszędzie dużo królików.

- Wobec tego pójdę i sama zagonię te łobuzy do domu - rzekła cicho Arabella, po czym zwróciła się do gości: - Miłych snów. Do zobaczenia przy śniadaniu.

Nakamura uklonił się w stronę gospodyni, po czym ruszył z Anną na górę, od czasu do czasu zatrzymując się na schodach, by popatrzeć na przodków Arabelli, którzy odwzajemniali mu się uprzejmym spojrzeniem.

- Proszę mi wybaczyć, Anno, że tyle czasu mi to zajmuje, ale mogę już nie mieć okazji zobaczyć tych dżentelmenów.

Anna uśmiechnęła się i odeszła, podczas gdy Japończyk stał i podziwiał portret pani Siddons Romneya.

Przeszła korytarzem do sypialni van Gogha, otworzyła drzwi i zapaliła światło, po czym przez chwilę patrzyła na słynny autoportret. Potem zdjęła suknię, odwiesiła ją do szafy, a resztę garderoby ułożyła na kanapce w nogach łoża z baldachimem. Potem zapaliła lampkę nocną i spojrzała na zegarek. Parę minut po jedenastej. Pora iść się umyć.

Gdy Krantz usłyszała szum prysznica, wysunęła się spod łożka i uklękła obok niego. Niczym węszące trop czujne zwierzę nadstawiła ucha. Woda z prysznica nie przestawała płynąć. Krantz wstała, podeszła do drzwi i zgasiła górne światło, pozostawiając jedynie zapaloną lampkę nocną. Potem wśliznęła się pod kołdrę z drugiej strony łożka. Po raz ostatni spojrzała na van Gogha, po czym naciągnęła na głowę narzutę razem z kołdrą. Leżała cicho jak myszka. Była tak drobna, że w przyćmionym świetle lampki delikatne wybrzuszenie na wielkim łożu stało się prawie niewidoczne. W końcu Krantz usłyszała, że Anna zakręciła kran. Potem nastąpiła chwila ciszy - Anna zapewne się wycierała. W końcu do uszu Krantz dobiegł odgłos gaszenia światła - pewnie w łazience - oraz drugi: zamykanych drzwi.

Krantz wyjęła nóż z ukrytego pod legginsami futerału i mocno go ścisnęła. Anna weszła do pokoju, wsunęła się do łożka od strony łazienki i natychmiast położyła się na boku, wyciągając rękę w stronę lampki nocnej. Gdy w pokoju zapadła ciemność, Anna opuściła głowę na poduszkę z miękkiego gęsiego pierza. Gdy powoli zapadała w sen, jej ostatnią myślą było, że wieczór nie mógł upłynąć w przyjemniejszej atmosferze. Takashi Nakamura nie tylko wywiązał się z umowy, lecz także zaproponował jej posadę. Czy można pragnąć więcej?

Krantz odczekała chwilę, po czym przysunęła się do Anny i dotknęła jej pleców opuszką palca wskazującego. Najpierw przesunęła nim po kręgosłupie aż do kości ogonowej, a potem zatrzymała palec na udzie. Z ust Anny wyrwało się westchnienie. Krantz odczekała moment, po czym wsunęła rękę między nogi Anny.

Zawieszona między jawą a snem Anna zastanawiała się, czy coś jej się śni czy ktoś naprawdę jej dotyka. Nie poruszyła się. To niemożliwe że by ktoś był w łożku oprócz niej. To na pewno sen. W tej właśnie chwili między udami poczuła chłodne ostrze. Rozbudziła się, czując w głowie galopadę myśli. Miała już odrzucić nakrycie i opaść na podłogę gdy usłyszała cichy, lecz stanowczy głos:

- Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy się poruszyć. Ten nóż ma piętnaście centymetrów długości, a jego ostrze jest skierowane w górę.

Anna ani drgnęła.

- Jeśli piśniesz choćby słowo, rozpruję cię od kroku do samego gardła. Będziesz żałowała, że od razu nie umarłaś.

Anna poczuła, że ostrze między jej nogami się przesuwa. Starła się nie ruszać, chociaż nie była w stanie powstrzymać drżenia.

- Jeśli wypełnisz moje polecenia - ciągnęła Krantz - może uda ci się przeżyć, choć na twoim miejscu zbytnio bym na to nie liczyła.

Anna jej uwierzyła. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że jeśli ma jakąkolwiek szansę zachować życie, musi grać na zwłokę.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Mówiłam ci, że masz być cicho - powtórzyła Krantz, przesuwając nóż jeszcze wyżej, aż ostrze zatrzymało się blisko spojenia łonowego.

Tym razem Anna zachowała milczenie.

- Po twojej stronie łóżka jest lampka - mówiła dalej Krantz. - Wyciągnij rękę, powolutku, i ją zapal.

.. Gdy Anna posłusznie skierowała rękę w stronę lampki, poczuła, że ostrze przesuwa się wraz z nią.

- Dobrze - pochwaliła Krantz. - Teraz zsunę z ciebie kołdrę, ale się nie ruszaj. Na razie nie zabiorę noża.

Anna patrzyła przed siebie, czując, że Krantz zsuwa z niej nakrycie.

- Podciągnij kolana pod brodę - poleciła Krantz. - Powoli. Anna spełniła rozkaz, czując, że nóż przesuwa się wraz z jej ciałem.

- Teraz uklęknij i patrz na ścianę.

Anna podparła się na lewym łokciu, powoli uklękła na obu kolanach i odwróciła się odrobinę, by spojrzeć wprost na ścianę. Zatrzymała wzrok na autoportrecie van Gogha. Gdy zobaczyła jego zabandażowane ucho, przypomniała sobie śmierć Victorii.

Krantz klęczała teraz tuż za nią, mocno trzymając nóż.

- Powoli pochyl się do przodu - rozkazała Krantz - i weź obraz w obie ręce.

Anna ujęła ramę z obu stron, mimo że drżały jej wszystkie mięśnie.

- Zdejmij obraz z haka i powoli połóż go na poduszce.

Anna wykrzesła z siebie resztki sił, by wykonać rozkaz Krantz. Po chwili obraz znalazł się na wyznaczonym miejscu.

- Teraz powoli przeniosę nóż spomiędzy nóg do twojego karku. Niech ci nie przyjdzie do głowy żaden ruch w momencie, kiedy będę to robiła, bo jeśli będziesz głupia i zaryzykujesz, to zabiję cię w trzy sekundy, a znajdę się na dworze za niecałe dziesięć sekund. Pomyśl o tym przez chwilę, zanim zabiorę nóż.

Anna nie miała zamiaru kwestionować prawdziwości słów tej kobiety. Po kilku sekundach, zgodnie z obietnicą, Krantz wyjęła nóż spomiędzy nóg Anny i przyłożyła ostrze do nasady jej szyi.

- Podnieś obraz - odezwała się Krantz - i powoli obróć się twarzą do mnie. Pamiętaj, że przez cały czas nóż będzie bardzo blisko twojego gardła. Każdy ruch, powtarzam, każdy ruch, który uznam za nieoczekiwany, będzie twoim ostatnim ruchem.

Anna nie wątpiła, że Krantz mówi prawdę. Pochyliła się, podniosła obraz z poduszki i powoli obracała się na kolanach, aż wreszcie zobaczyła swą prześladowczynię. W pierwszej chwili ogromnie się zdziwiła: Krantz była bardzo drobna, a wyglądała wręcz na bezbronną - ten błąd w ocenie owej kobiety popełniło w przeszłości wielu doświadczonych mężczyzn. Jeśli Krantz zdołała pokonać Sergeia, to czy ona, Anna, ma w ogóle jakąś szansę? Gdy czekała na następny rozkaz, przez jej głowę przebiegały najdziwniejsze myśli. Dlaczego odrzuciła propozycję Andrews'a, gdy ten zaproponował, że przyniesie jej do sypialni filiżankę kakao?

- A teraz odwróć obraz tak, żeby był przodem do mnie - rzekła Krantz - i nie zdejmuj oczu z tego - dodała, odsuwając nóż z szyi Anny i unosząc go nad jej głowę.

Kiedy Anna odwracała autoportret, Krantz utrzymywała ostrze w pobliżu jej gardła.

- Trzymaj mocno ramę, bo twój przyjaciel van Gogh zaraz straci coś więcej niż tylko lewe ucho.

- Ale dlaczego? - zawołała Anna, nie będąc w stanie dłużej milczeć.

- Cieszę się, że pytasz - odrzekła Krantz - bo rozkazy pana Fenstona nie mogły być bardziej precyzyjne. Chciał, żebyś była ostatnią osobą, która widziała to arcydzieło, zanim zostanie ono na jej oczach zniszczone.

- Ale dlaczego? - powtórzyła Anna.

- Skoro pan Fenston sam nie zdobył tego obrazu, musiał się postarać, żeby pan Nakamura także go nie zdobył - wyjaśniła Krantz, trzymając nóż tuż przy szyi Anny. - Niedobrze jest rozgniewać pana Fenstona. Jaka szkoda, że nie będziesz miała okazji powiedzieć swojej przyjaciółce, lady Arabelli, co pan Fenston wymyślił dla niej. - Krantz urwała. - Ale może nie będzie miał mi za złe, że podzielę się z tobą paroma szczegółami. Więc kiedy obraz zostanie już zniszczony - szkoda, że Arabella nie mogła go ubezpieczyć, to doprawdy wątpliwa oszczędność - pan Fenston zacznie wyprzedawać jej majątek, aż odzyska swoje pieniądze. Śmierć Arabelli, w przeciwieństwie do twojej, będzie długa i powolna. Pan Fenston ma niezwykle logiczny i precyzyjny umysł, bardzo go za to podziwiam. - Krantz znów na chwilę zamilkła. - No, obawiam się że wasz czas się kończy, twój i pana van Gogha.

Nagle uniosła nóż wysoko i z całej siły wbiła go w płótno. Anna odczuła siłę zabójczyni, gdy ta przejechała nożem po szyi mistrza a potem z energią szaleńca kontynuowała swe dzieło zniszczenia, aż w końcu zatoczyła nożem krąg wokół głowy van Gogha i wyjęła ją, pozostawiając w środku płótna ziejącą dziurę. Potem odchyliła się do tyłu, by popatrzeć na swe dzieło, i pozwoliła sobie na chwilę satysfakcji. Uznała, że wywiązała się z umowy z Fenstonem co do joty, a teraz, skoro Anna już widziała całe przedstawienie, nadeszła pora, by zarobić czwarty milion.

Anna zaś patrzyła, jak głowa mistrza spada obok niej na pościel. Został jej pozbawiony bez przelewu krwi. Kiedy Krantz podziwiała swe osiągnięcie z triumfującą miną, Anna zamachnęła się, usiłując trafić ciężką ramą w głowę Krantz. Ta jednak była szybsza, niż Anna podejrzewała. Zrobiła błyskawiczny unik, podniosła rękę i trafiła Annę w lewe ramię. Anna zeskoczyła z łóżka, Krantz zaś odrzuciła ramę na bok i zerwała się na nogi. Anna zdołała wstać i nawet zrobić krok czy dwa w stronę drzwi, kiedy jej prześladowczyni zeskoczyła na podłogę i rzuciła się na nią, raniąc ją w nogę. Anna potknęła się i upadła niedaleko drzwi, znacząc krwią grubo dywan. Krantz była zaledwie krok za nią, gdy Anna dotknęła ręką klamki. Nie zdążyła jej nacisnąć. Krantz chwyciła ją za włosy i pociągnęła na podłogę, po czym uniosła nóż. Ostatnie słowa, jakie Anna usłyszała z jej ust, brzmiały:

- Tym razem jest to sprawa osobista.

W chwili gdy Krantz miała dokonać swego rytualnego cięcia, drzwi się otworzyły, a w progu stanął nie kamerdyner z filiżanką kakao, lecz kobieta z dubeltówką. Jej ręce oraz połyskującą

jedwabną suknię pokrywała krew.

Krantz na moment znieruchomiała - to przecież lady Victoria Wentworth! Czyżby jej wtedy nie zabiła? Czy też może to jej duch? Krantz patrzyła jak zahipnotyzowana na zbliżającą się do niej zjawę. Nie spuszczała oczu z Arabelli, trzymając jednak nóż przy gardle Anny.

Arabella podniosła strzelbę, podczas gdy Krantz zaczęła powoli się wycofywać, ciągnąc swą ofiarę w stronę otwartego okna. Arabella odbezpieczyła kurek.

- Jeszcze jedna kropla krwi - ostrzegła - a rozwalę cię na kawałeczki.

Najpierw strzelę w nogi, a drugi nabój zachowam na żołądek. Ale nie zabiję cię od razu. Nie, obiecuję ci powolną i bolesną śmierć i nie wezwę karetki, dopóki nie nabiorę przekonania, że już nikt ci nie pomoże. -

Arabella skierowała broń nieco niżej, a Krantz się zawahała. - Puść ją - powiedziała - to nie strzelę. Masz na to moje słowo.

Złamała lufę i czekała. Była zaskoczona, widząc, jak bardzo Krantz jest przerażona, w przeciwieństwie do Anny, która sprawiała wrażenie dość opanowanej.

Nagle prześladowczyni puściła włosy swej ofiary i rzuciła się bokiem w półotwarte okno, lądując na balkonie. Arabella z trzaskiem zamknęła lufę, podniosła dubeltówkę i wystrzeliła, robiąc w oknie z witrażami Burne-Jonesa osmaloną na brzegach dziurę. Podbiegła do dymiącego jeszcze otworu i zawołała:

- Teraz, Andrews! - takim tonem, jakby dawała sygnał, że ma się zacząć polowanie na bażanta.

Sekundę później teren przed domem zalały światła reflektorów. Przypominał on boisko do gry w piłkę z jednym zawodnikiem, który samotnie zmierza do swojego celu.

Arabella utkwiała oczy w drobnej figurce w czerni, która zygzakiem przemierzała trawnik. Podniosła dubeltówkę po raz drugi, oparta kolbę o ramię, wycelowała, odetchnęła głęboko i wystrzeliła. Krantz upadła na ziemię, jakimś cudem jednak nadal czołgała się w stronę muru.

- Niech to szlag - mruknęła Arabella. - Tylko ją drasnęłam. - Wypadła z pokoju i ruszyła w dół po schodach, krzycząc w biegu: - Dwa na boje, Andrews!

Kamerdyner prawą ręką otworzył drzwi, a lewą podał swej pani żądane naboje. Arabella szybko załadowała strzelbę, po czym wybiegła na trawnik. Z trudem wypatrzyła w mroku małą czarną postać, która zmierzała teraz w stronę otwartej bramy. Arabella powoli odzyskiwała utraconą pozycję. Gdy już była pewna, że Krantz znalazła się w zasięgu strzału, zatrzymała się na trawniku. Podniosła dubeltówkę, oparła ją o ramię, wycelowała i już miała pociągnąć za spust, gdy niespodziewanie na teren posiadłości wjechały trzy samochody policyjne i karetka.

Patrząc w oślepiające światła reflektorów, Arabella straciła z oczu swą ofiarę.

Pierwszy z samochodów zatrzymał się tuż przy niej. Gdy zobaczyła, kto nim przyjechał, niechętnie opuściła broń.

- Dobry wieczór, panie nadinspektorze - powiedziała i przyłożyła dłoń do czoła, próbując osłonić oczy przed ostrym światłem.

- Dobry wieczór pani, Arabello - odparł nadinspektor takim tonem, jakby się spóźnił parę minut na przyjęcie. - Czy wszystko w porządku?

- Wszystko było w porządku, dopóki pan się nie pojawił - odparła Arabella. - Dlaczego wsadza pan nos w nie swoje sprawy? I jakim cudem znalazł się pan tu tak szybko?

- Za to musi pani podziękować swojemu amerykańskiemu przyjacielowi, Jackowi Delaneyowi - odparł nadinspektor. - Ostrzegł nas, że możecie potrzebować pomocy, toteż od godziny obserwujemy

tę posiadłość.

- Nie potrzebowałam żadnej pomocy - zaprotestowała Arabella, znów podnosząc dubeltówkę. - Gdybyście mi dali jeszcze dwie minuty, zdążyłabym ją załatwić, a potem z radością poniosłabym konsekwencje.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pani mówi - oznajmił nadinspektor, po czym wrócił do samochodu i zgasił światła

Karetka oraz dwa pozostałe samochody policyjne zniknęły Arabelli z oczu.

- Pozwoliliście jej uciec, głupcy - oświadczyła, podnosząc broń po raz trzeci. W tej samej chwili stanął przy niej ubrany w szlafrok Nakamura.

- Wydaje mi się, że Anna...

- O mój Boże! - zawołała Arabella, odwróciła się i nie czekając na odpowiedź nadinspektora, ruszyła pędem w stronę domu.

Niczym błyskawica pokonała zewnętrzne schody, hol, a potem schody na piętro, i zdyszana wpadła do sypialni. Andrews klęczał na podłodze i wprawnymi ruchami bandażował nogę leżącą na dywanie Anny. Po paru sekundach do sypialni wbiegł także Nakamura. Przez chwilę wyrównywał oddech, po czym się odezwał:

- Arabello, przez wiele lat zastanawiałem się, co też takiego wyprawia się w angielskich wiejskich posiadłościach. - Zawiesił głos. - Wreszcie wiem.

Arabella wybuchnęła śmiechem i odwróciła się twarzą do swego gościa. Japończyk wpatrywał się w zmasakrowane płótno, leżące na podłodze obok łóżka.

- O mój Boże! - powtórzyła Arabella, widząc, co pozostało z jej arcydzieła. - Ten drań Fenston w końcu nas pokonał. Teraz już rozumiem, skąd miał pewność, że zostanę zmuszona do wyprzedaży wszystkich obrazów, a nawet całego Wentworth Hall.

Anna powoli podniosła się na nogi i przysiadła na brzegu łóżka.

- Nie sędzę - powiedziała, patrząc na panią domu. Arabella zrobiła zaskoczoną minę.

- Ale za to powinnaś podziękować Andrewsowi.

- Andrewsowi? - powtórzyła Arabella.

- Tak. Andrews ostrzegł mnie, że pan Nakamura musi wyjechać wcześniej rano, jeśli chce zdążyć na spotkanie w Corus Steel, i zasugerował, że jeśli sobie nie życzę, by mi przeszkadzano o jakiejś nieludzkiej porze, to może byłoby rozsądnie zabrać stąd ten obraz podczas kolacji.

To ułatwiłoby jego ludziom nie tylko umieszczenie oryginału we właściwej ramie, ale także zapakowanie go przed odjazdem pana Nakamury. -

Anna zawiesiła głos. - Uświadomiłam Andrewsowi, że możesz nie być zachwycona, kiedy odkryjesz, że zlekceważył twoje życzenie a ja nadużyłam twej gościnności. I wtedy Andrews powiedział tak: „Gdyby pozwoliła mi pani zastąpić oryginał falsyfikatem, jestem pewien, że jasnie pani niczego by nie zauważyła”.

W ciągu czterdziestu dziewięciu lat zaledwie kilka razy się zdarzyło, by Arabella oniemiała. Andrews stwierdził, że dziś jest świadkiem jednej z kolejnych takich rzadkich chwil.

- Myślę, że powinna go pani natychmiast wyrzucić za niesubordynację - wtrącił Nakamura - a wtedy ja mógłbym mu zaproponować pracę. Gdyby pan ją przyjął - dodał Nakamura, zwracając się do kamerdynera - to z przyjemnością podwoiłbym panu pensję.

- Nie ma mowy - oznajmiła Arabella, zanim kamerdyner zdążył się odezwać. - Andrews to jeden z tych skarbów narodowych, z którymi nigdy się nie rozstanę.

26 września

57

Nakamura obudził się kilka minut po szóstej, kiedy mu się wydawało, że usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Przez parę chwil leżał jeszcze w łóżku, dumając nad tym, co poprzedniego wieczoru wydarzyło się w tym domu, i starając się przekonać siebie, że nie wszystko było snem.

W końcu odrzucił na bok kołdrę, opuścił stopy na dywan i stwierdził, że ktoś umieścił przy łóżku domowe pantofle oraz szlafrok. Wsunął stopy w te pantofle, włożył szlafrok i przeszedł na drugi koniec łóżka, gdzie wieczorem na krześle zostawił smoking, koszulę oraz resztę garderoby. Miał zamiar się spakować, lecz krzesło było puste. Usiłował sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie włożył już swych rzeczy do walizki. Otworzył ją i stwierdził, że koszula została uprana i uprasowana, zaś odprasowany smoking wisi w torbie podróżnej na garnitury.

Wanna w łazience była w trzech czwartych napełniona wodą. Nakamura włożył do niej rękę, by sprawdzić temperaturę: woda była ciepła, ale nie gorąca. Wtedy przypomniał sobie odgłos zamykanych drzwi. Niewątpliwie na tyle głośny, by obudzić tylko jego, bez niepokojenia innych gości. Zdjął szlafrok i wszedł do wanny.

Anna wyszła z łazienki i zaczęła się ubierać. Dopiero gdy wkładała zegarek Tiny, na stoliku nocnym zauważyła list. Czyżby Andrews przyniósł go tu, gdy brała prysznic? Była pewna, że listu nie było na stoliku, kiedy się obudziła. Na kopercie zamasztyłym pismem Arabelli było napisane słowo „Anna”. Usiadła na brzegu łóżka i otworzyła list.

Wentworth Hall

26 września, 2001

Najdroższa Anno!

Królowa Elżbieta I nagrodziła mojego przodka pirata złotem za jego dzielność i przedsiębiorczość. Wobec tego, skoro uratowałeś nam wszystkim skórę, mnie do zrobienia pozostaje tylko jedno...

Anna roześmiała się, czytając o ratowaniu skóry, i zauważyła, że z koperty wypadły na podłogę dwie karteczki. Pochyliła się, by je podnieść. Jedna z nich była czekiem z banku Coutts na milion funtów, wystawionym na Annę Petrescu. Druga zaś...

Nakamura ubrał się, wziął telefon komórkowy ze stolika przy łóżku i wystukał numer w Tokio, po czym polecił swemu dyrektorowi finansowemu, by transferem elektronicznym zdeponował kwotę czterdziestu pięciu milionów dolarów w jego londyńskim banku. Nie musiał zawiadamiać o tym swych prawników, ponieważ już wcześniej nakazał im przelanie całej kwoty do oddziału banku Coutts & Co na londyńskim Strandzie, gdzie rodzina Wentworthów ma konto od ponad dwustu lat.

Przed opuszczeniem pokoju Japończyk zatrzymał się przed portretem Wellingtona i skłonił lekko, pewien, że Żelaznemu Księżciu spodobałyby się poryczki zeszłej nocy.

Gdy marmurowymi schodami schodził na śniadanie, zauważył w holu Andrews, który nadzorował przenoszenie czerwonej skrzynki z autoportretem van Gogha w oryginalnej ramie.

Zastępca kamerdynera ustawiał właśnie owo pudło przy drzwiach wejściowych, tak by można je było umieścić w bagażniku samochodu, który miał przyjechać po Nakamurę.

Arabella wypadła z pokoju śniadaniowego w chwili, gdy jej gość znalazł się na ostatnim stopniu schodów.

- Dzień dobry, Takashi - powiedziała. - Mam nadzieję, że mimo wszystko udało się panu zasnąć.

- Och tak, dziękuję pani, Arabello - odparł, słysząc, że za nim, kulejąc, po schodach schodzi

Anna.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować - rzekła Anna.

- U Sotheby'ego wzięliby ode mnie znacznie więcej - odparła Arabella bez dalszych wyjaśnień.

- A ja wiem, że Tina... - zaczęła Anna, lecz przerwało jej gwałtowne stukanie do głównych drzwi.

Nakamura przystanął, podczas gdy Andrews dostojnym krokiem ruszył w stronę wejścia.

- To pewnie mój kierowca - domyślił się Nakamura, gdy kamerdyner otwierał dębowe drzwi.

- Dzień dobry, sir - odezwał się na powitanie.

Arabella odwróciła się i uśmiechnęła na widok niespodziewanego gościa.

- Dzień dobry, Jack - powiedziała. - Nie miałam pojęcia, że zje pan z nami śniadanie. Czy wpadł pan tu w drodze ze Stanów, czy też może spędził pan noc na naszym lokalnym posterunku?

- Nie, Arabello, nie spędziłem nocy na posterunku, ale mówiono mi, że pani cudem tego uniknęła

- odparł Jack z uśmiechem.

- Witaj, mój bohaterze - powiedziała Anna, całując go w policzek. - Przybyłeś w samą porę, żeby nas uratować

- To nie jest sprawiedliwe - wtrąciła Arabella - bo to przecież Jack złożył na nas donos u nadinspektora.

Anna uśmiechnęła się, a zwracając głowę w stronę Nakamury wyjaśniła:

- To mój przyjaciel, Jack Fitzgerald Delaney.

- Z pewnością ochrzczony jako John - zauważył pan Nakamura, ściskając dłoń Jacka.

- Oczywiście, proszę pana.

- Czy te imiona zostały wybrane przez irlandzką matkę, czy też urodził się pan dwudziestego drugiego listopada 1963 roku?

- Winien obu zarzucanych czynów - przyznał Jack.

- Bardzo śmieszne - mruknęła Arabella, prowadząc gości do stołu.

W drodze Anna wyjaśniła Jackowi, skąd się wziął bandaż na jej nodze.

Arabella poprosiła Nakamurę, by zajął miejsce po jej prawej stronie, a potem wskazała miejsce Jackowi.

- Proszę usiąść po mojej lewej ręce, młody człowieku. Nadal nie znam odpowiedzi na co najmniej dwa pytania. - Ujmując nóż i widelec, Jack zerknął na ostro przyprawione cynaderki. - Nie ma mowy o jedzeniu - uprzytomniła mu Arabella - dopóki mi pan nie wyjaśni, dlaczego nie pojawiłam się dziś na pierwszej stronie „Daily Mail”. Przecież wczoraj w nocy zachowałam się jak prawdziwa bohaterka.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - powiedział Jack w chwili, gdy Andrews nalewał mu kawę.

- No nie, i pan też?! - jęknęła Arabella. - Nic dziwnego, że tylu ludzi wierzy w teorie konspiracyjne i tuszowanie spraw przez policję. Proszę się trochę bardziej wysilić, Jack.

- Kiedy dziś rano rozmawiałem z moimi kolegami z MI5 - odparł Jack, odkładając sztucce - zapewniono mnie, że w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin żaden terrorysta nie przekroczył granicy tego państwa.

- Innymi słowy, znów udało jej się uciec - rzekła Anna.

- Niezupełnie - zaprotestował Jack. - Mogę tylko powiedzieć, że pewna niska i drobna kobieta, z raną postrzałową w barku, spędziła noc w pojedynczej celi więzienia w Belmarsh.

- Z którego niewątpliwie uda jej się uciec - zauważyła Arabella.

- Mogę panią zapewnić, Arabello, że z Belmarsh nikomu jeszcze nie udało się uciec.

- Ale w końcu i tak będą musieli odesłać ją do Bukaresztu.

- Wykluczone - odparł Jack - ponieważ przede wszystkim nie ma śladu, że przekroczyła granicę tego państwa, a po drugie nikt nie będzie szukał żadnej kobiety w tym więzieniu.

- Cóż, skoro tak, to pozwalam panu poczęstować się malutką porcją grzybków.

Jack ujął nóż i widelec.

- Które gorąco polecam - wtrącił Nakamura, wstając. - Obawiam się, Arabello, że muszę was opuścić, jeśli mam się nie spóźnić na spotkanie.

Jack po raz drugi odłożył sztucce, bo wszyscy podnieśli się i wyszli do holu, by się pożegnać z Japończykiem.

Andrews stał przy drzwiach, dyrygując umieszczaniem czerwonej skrzynki w bagażniku limuzyny marki Toyota.

- Uważam - rzekł pan Nakamura, zwracając się do Arabelli - że nazwanie mojej krótkiej wizyty w Wentworth Hall wydarzeniem pamiętnym byłoby typowym angielskim niedopowiedzeniem. - Uśmiechnął się, po czym po raz ostatni zerknął na portret Catherine, lady Wentworth pędzla Gainsborough. - Jeśli się mylę, proszę mnie poprawić, Arabello, ale czy to nie jest ten sam naszyjnik, który wczoraj podczas kolacji zdobił pani szyję?

- Ależ oczywiście - odparła uśmiechnięta Arabella. - Jaśnie pani była aktorką, mniej więcej odpowiedniczką dzisiejszej tancerki erotycznej, i tylko jeden Pan Bóg wie, od którego ze swoich licznych wielbicieli dostała takie wspaniałe świecidełko. Ale nie narzekam, bo rzeczywiście to właśnie jej zawdzięczam ten naszyjnik.

- I kolczyki - dodała Anna.

- Niestety, kolczyk - poprawiła ją Arabella, dotykając prawego ucha.

- Kolczyk - powtórzył Jack ze wzrokiem utkwionym w obraz. - Ależ ja jestem tępy! - skonstatował. - Cały czas było to widoczne jak na dłoni.

- Co takiego było widoczne jak na dłoni? - zapytała Anna.

- Z tyłu fotografii, na której Fenston ściska rękę George'a W. Busha, Leapman napisał: „Lepszego dowodu nie potrzebujecie”.

- Dowodu czego? - zapytała Arabella.

- Dowodu tego, że to właśnie Fenston zamordował pani siostrę - odparł Jack.

- Jakoś nie dostrzegam związku między Catherine, lady Wentworth a prezydentem Stanów Zjednoczonych - oświadczyła Arabella.

- Ja popełniłem dokładnie ten sam błąd - oznajmił Jack. - Związek nie dotyczy lady Wentworth i Busha, lecz lady Wentworth i Fenstona. A rozwiązanie tej zagadki było oczywiste jak na dłoni.

Wszyscy utkwili wzrok w portrecie Thomasa Gainsborough. Trwającą dłuższą chwilę ciszę przerwała wreszcie Anna.



- Oboje noszą taki sam kolczyk - oznajmiła beznamiętnie. - Ja także tego nie zauważyłam. Widziałam kolczyk w uchu Fenstona jeszcze w dniu, w którym mnie wywalił, ale jakoś tego ze sobą nie połączyłam.

Leapman od razu uświadomił sobie jego znaczenie - powiedział Jack, niemal zacierając ręce. - Odkrył, że to wystarczający dowód, by Fenstona skazać na wiele lat więzienia. Andrews zakaszał cicho.

- Masz rację, Andrews - rzekła Arabella. - Nie możemy dłużej zatrzymywać pana Nakamury. Jak na jeden dzień, ten biedny człowiek nasłuchiwał się aż nadto o naszych rodzinnych sprawach.

- To prawda - przyznał Japończyk. - Niemniej chciałbym pogratulować panu Delaneyowi bardzo skutecznego śledztwa.

- On w końcu dociera do celu, choć zajmuje mu to dużo czasu - rzekła Anna, ściskając na pożegnanie dłoń Japończyka.

Arabella odprowadziła uśmiechniętego Nakamurę do limuzyny, podczas gdy Jack i Anna patrzyli na nich z góry schodów.

- Dobra robota, Wywiadowco. Zgadzam się z panem Nakamurą, to wcale nie było jakieś tam nieporadne śledztwo.

Jack spojrzał na nią z uśmiechem.

- A jak się powiodły twoje wysiłki w roli agentki debiutantki? Czy udało ci się odkryć, dlaczego Tina...

- A już myślałam, że nie zapytasz - odrzekła Anna - choć muszę wyznać, że ja także przeoczyłam kilka tropów, które powinny być oczywiste nawet dla amatora.

- Co, na przykład, przeoczyłaś? - zapytał Jack.

- Na przykład dziewczynę, która kibicuje futbolistom San Francisco 49ers i koszykarzom Los Angeles Lakers, która zna się na amerykańskiej sztuce, i której hobby było żeglowanie na jachcie „Christina”, nazwanym tak na cześć dwójki dzieci właściciela.

- Ona jest córką Chrisa Adamsa? - zapytał Jack.

- A także siostrą Chrisa Adamsa juniora.

- No cóż, to wyjaśnia wszystko.

- Prawie wszystko - uściśliła Anna - bo Tina Adams nie tylko straciła dom oraz jacht po tym, kiedy Krantz poderżnęła jej bratu gardło, ale także musiała zrezygnować ze studiowania prawa.

- A więc w końcu na Fenstona ktoś się wściekł.

- Słuchaj dalej - ciągnęła Anna. - Otóż Tina zmieniła nazwisko z Adams na Forster, przeniosła się do Nowego Jorku, skończyła kurs dla sekretarek, złożyła podanie o intratną pracę w banku i czekała, aż sekretarka Fenstona zrezygnuje - co nie było takim znowu wydarzeniem - po czym przejęła jej obowiązki.

- I utrzymała tę posadę do zeszłego tygodnia, kiedy to Fenston ją wyrzucił - dokończył Jack, zerkając na Japończyka, który przy otwartych drzwiach limuzyny kłaniał się właśnie Arabelli.

- Mam jeszcze lepszą wiadomość, Wywiadowco - dodała Anna odwzajemniając pożegnalny gest Nakamury. - Tina ściągnęła na swój komputer wszystkie dokumenty, które mogłyby Fenstona skompromitować. Trzymała w nim kontrakty i korespondencję, a nawet notatki osobiste, które, według Fenstona, zginęły podczas ataku na Wieżę Północną. Toteż mam wrażenie, że już niedługo będziesz mógł zamknąć sprawę pana Bryce'a Fenstona.

- Dzięki tobie i Tinie. - Jack na chwilę zamilkł. - Ale ona i tak wszystko straciła.

- Nie wszystko - oznajmiła Anna. - Na pewno się ucieszysz, gdy się dowiesz, że Arabella podarowała jej milion dolarów w nagrodę za to, że przyczyniła się do uratowania Wentworth.
- Milion dolarów?
- Że nie wspomnę już miliona funtów, które podarowała mnie, „bo zasługuje robotnik na swoją zapłatę”, jak mi wyjaśniła w liście.
- Święty Łukasz. - Jack pokiwał głową. - „W tym samym domu zostańcie, jedząc i pijąc, co mają: bo zasługuje robotnik na swoją zapłatę”.
- Jestem pod wrażeniem - rzekła Anna.
- A mnie się nie udało nawet tknąć śniadania.
- No cóż, Wywiadowco, może się nad tobą zlituję i pozwolę ci zjeść ze mną lunch w pierwszej klasie samolotu do Nowego Jorku.
- Jack popatrzył na nią z uśmiechem.
- Wolałbym, żebyś w sobotę poszła ze mną na kolację.
- Czy to jest irlandzki wieczór twojej matki? Znacznie bardziej mnie to pociąga niż lunch w pierwszej klasie. Bardzo chętnie.
- Zanim się jednak zgodzisz, Anno, muszę ci coś wyznać - rzekł z namysłem Jack, patrząc na znikający za bramą samochód Nakamury.
- Zamieniam się w słuch - oznajmiła Anna, zawieszając na Jacku wzrok.
- Moja matka trwa w mylnym przeświadczeniu, że miałaś już trzech mężów, że masz pięcioro dzieci, których ojcami niekoniecznie są twoi mężowie, że czwórka z tych dzieci bierze twarde narkotyki, a piąte właśnie odsiada wyrok. - Jack zawiesił głos. - Uważa też, że trudnisz się profesją, która jest znacznie starsza od doradztwa w sprawach sztuki.
- Anna wybuchnęła śmiechem.
- A co jej powiesz, gdy się wyda, że to nieprawda?
- Że nie jesteś Irlandką - odparł Jack z westchnieniem.

## Notka od autora

Chociaż po kłótni z Gauguinem van Gogh odciął sobie brzytwą część lewego ucha, nadal pozostaje tajemnicą, dlaczego na obu autoportretach zabandażowane jest ucho prawe.

Historycy sztuki, w tym Louis van Tilborgh, kustosz z Muzeum van Gogha w Amsterdamie, są przekonani, że artysta malował te obrazy, patrząc w lustro.

Tilborgh podkreśla, że 17 września 1888 roku van Gogh napisał do swego brata Thea, że kupił lustro, „aby pomóc sobie w pracy” (list 685 w wydaniu listów van Gogha z 1990 roku oraz list 537 w angielskim wydaniu jego korespondencji z 1953 roku).

Gdy artysta przeniósł się do Saint-Remy, lustro pozostało w Arles. Niemniej 11 maja 1890 roku van Gogh napisał kolejny list do J. Ginoux (634a w wydaniu angielskim, 872 w wydaniu holenderskim), prosząc go, by „zadbał o to lustro”.

O ile nam wiadomo, van Gogh namalował dwa autoportrety z zabandażowanym uchem. Jeden z nich jest wystawiony w Instytucie Courtaulda w Somerset House w Londynie. Drugi pozostaje w kolekcji prywatnej.

\* W Polsce tę książkę Clive'a Cusslera wydał Amber 1 „Cerber” w tłumaczeniu Piotra Maksymowicza i Macieja Pintary - (przyp. tłum.).

\* Quantico - miejscowość nieopodal Waszyngtonu, baza szkoleniowa amerykańskiej Piechoty morskiej, a także Akademii FBI (przyp. tłum.).

\* MoMa - popularny skrót nazwy Museum of Modern Art (przp. tłum.).